

Bestseller „The New York Times”

JAYNE ANN
KRENTZ

Uśmiech losu



Krentz Jayne Ann

Uśmiech losu

Rozdział 1

Nic nie widzę.

- Proszę się nie niepokoić. Oczy są w idealnym porządku. - Jessie Benedict pochyliła się nad kruchą postacią Irene Valentine; która leżała na szpitalnym łóżku, i poklepała uspokajająco jej dłoń wczepioną kurczowo w prześcieradło. - To był naprawdę fatalny upadek, więc złamała pani kilka żeber i doznała wstrząsu, ale oczy nie ucierpiały. Proszę je otworzyć i popatrzeć na mnie.

Pani Valentine podniosła powieki i spojrzała na Jessie wyblakłymi, niebieskimi oczami.

- Nie rozumiesz. Ja nie widzę.

- Przecież pani na mnie patrzy. Poznaje mnie pani, prawda? - Jessie zaniepokoiła się i uniosła dłoń. - Ile palców pokazuję?

- Dwa. - Siwa głowa pani Valentine poruszyła się niespokojnie na poduszce. - Na miłość boską, nie o to mi chodzi. Nie rozumiesz. Ja nie widzę. Jessie doznała olśnienia i spojrzała na panią Valentine z przerażeniem.

- Och, nie. jest pani pewna? Skąd pani wie? Starsza pani westchnęła i znów przymknęła powieki.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć - powiedziała niewyraźnie ochrypłym głosem. - Ale wiem, że coś się stało. Czuję się tak, jakbym straciła zmysł smaku i dotyku. Tak, jakbym naprawdę oślepla. Dobry Boże! Nie mam już po co żyć.

- To dlatego, że uderzyła się pani w głowę. Kiedy szok minie, na pewno wszystko wróci do normy. - Bez turbanu, marszczonych spódnic i brzęczących koralików, pani Valentine wydała się Jessie krucha i maleńka.

A ona milczała. Leżała nieruchomo na łóżku, ściskając prześcieradło.

- Wszystko w porządku? - spytała szeptem Jessie.

- Ja nie spadłam - mruknęła pani Valentine.

- Słucham?

- Wcale nie spadłam z tych schodów. Ktoś mnie zepchnął.

- Zepchnął? - powtórzyła trwożliwie Jessie. - jest pani pewna? Komu jeszcze pani o tym mówiła?

- Nie chcieli mi wierzyć. Powiedzieli, że nikogo oprócz mnie tam nie było. Co ja teraz zrobię? A firma? Co będzie z firmą?

Jessie wyprostowała plecy. Nadeszła jej wielka szansa, której w żadnym wypadku nie zamierzała zmarnować.

- Ja się wszystkim zajmę. Proszę się nie martwić. jestem przecież pani asystentką, prawda? I jak każdy asystent muszę pilnować interesów szefa.

Irene Valentine zerknęła na Jessie z powątpiewaniem. - Może lepiej na razie zawiesić działalność, kochanie. Sam Pan Bóg wie, że nie miałyśmy ostatnio zbyt wielu klientów.

- Doskonale dam sobie radę - odparła dziewczyna z animuszem.

- Nie jestem taka pewna. Znam cię zaledwie od miesiąca. Nie zdążyłaś się jeszcze dowiedzieć bardzo wielu rzeczy o moich interesach.

W tej samej chwili do separatki wkroczyła pielęgniarka i uśmiechnęła się znacząco do Jessie.

- Myślę, że pora kończyć wizytę - powiedziała. - Pani Valentine musi przecież odpocząć.

- Rozumiem. - Jessie po raz ostatni poklepała szefową po ręku. - Przyjdę do pani jutro. Proszę się nie martwić i wracać do formy. Wszystko będzie dobrze.

- O mój Boże - westchnęła pani Valentine i znowu zamknęła oczy. Rzuciwszy stroskane spojrzenie na wymizerowaną postać, Jessie odwróciła się i wyszła na korytarz. Tam dopadła pierwszego napotkanego pracownika szpitala.

- Pani Valentine uważa, że została zepchnięta ze schodów w swoim własnym domu. Czy powiadomiono policję?

Lekarz - młody człowiek o szczerym wejrzeniu uśmiechnął się do niej współczująco.

- Tak. I to natychmiast po wypadku. Słyszałem, że nie znaleziono śladów najścia. Pani Valentine straciła po prostu równowagę na najwyższym stopniu i stoczyła się na sam dół. Takie rzeczy się przecież zdarzają, szczególnie starszym ludziom. Może zresztą pani sprawdzić na policji. Sporządzili raport.

- Ale jej się wydaje, że ktoś tam był. Ktoś, kto ją zepchnął.

- Pacjenci z urazami głowy często zapominają wszystko, co działo się tuż przed wypadkiem.

- I nie odzyskują już pamięci?

- Bardzo często - przytaknął doktor. - Tak więc, nawet gdyby ktoś rzeczywiście ją napadł, nie mogłaby odtworzyć tego zdarzenia.

- Sęk w tym, że pani Valentine różni się nieco od innych ludzi - zaczęła Jessie i natychmiast doszła do wniosku, że lekarzowi na pewno nie spodoba się opowieść o zdolnościach parapsychicznych jej chlebodawczyni. Cały świat medyczny był bardzo sceptycznie nastawiony do tego rodzaju zjawisk. - Nieważne. Dziękuję. Do zobaczenia. Jessie obróciła się na pięcie i pospieszyła do wind, myśląc intensywnie o nowych obowiązkach, jakie czekały na nią w gabinecie. Z przyzwyczajenia odgarnęła za uszy czarne, obcięte na pazia włosy, które zasłaniały jej wysokie kości policzkowe, a na karku układały się w trójkąt. Długa, spadająca na czoło grzywka stanowiła oprawę lekko skośnych, zielonych oczu i uwydatniała delikatne rysy twarzy dziewczyny, nadając jej dziwnie egzotyczny, prawie koci wygląd.

Wrażenie to potęgowało jeszcze jej smukłe ciało kipiące energią, gdy się poruszała, i zmysłowo rozluźnione, kiedy siadała niedbale na krześle. Czarne dżinsy, czarne buty i biała bufiasta koszula w stylu poetów romantycznych pasowały znakomicie do całości.

Czekając niecierpliwie, aby winda dotarła wreszcie na parter, Jessie zmarszczyła brwi i zatopiła się w rozmyślaniach. Przejmując tymczasową odpowiedzialność za gabinet pani Valentine, wzięła na siebie wiele nowych obowiązków. A przede wszystkim musiała zacząć od odwołania umówionego wcześniej spotkania.

Ta myśl przyniosła jej natychmiast zarówno ogromną ulgę, jak i uczucie zawodu. Na razie pozbyła się kłopotu. Nie była jednak do końca przekonana, czy naprawdę chce się go pozbyć. Ostatnio miewała dość często mieszane uczucia i nic nie wskazywało na to, by ten nieprzyjemny stan mógł ulec poprawie. Intuicja podpowiadała Jessie, że dopóki Sam Hatchard nie zniknie z jej życia, nie ma szans na rozwiązanie problemu.

Jessie szła szybko ulicą, stukając zwawo obcasami o chodnik. I choć nad Seattle rozpostarły się jasnożółte opary, był to naprawdę bardzo piękny wiosenny dzień. W tym wspaniałym, tętniącym życiem mieście niechętnie wspominano o smogu. Ludzie ignorowali go za każdym razem, gdy miał czelność się pojawić. W takich razach zazwyczaj rozprawiali żywo o słońcu, które tak rzadko gościło w Seattle. Smog zresztą zniknął natychmiast w strugach ulewnego deszczu, a tu na szczęście padało często. Nad głowami przechodniów rozpościerał się baldachim soczystej zieleni drzew zasadzonych gęsto po obu stronach chodnika. Na tle srebrzystych wód Zatoki Elliotta rozciągała się przybierająca

wciąż nowe kształty sylwetka miasta, w którym budowano ostatnio coraz więcej wieżowców. Promy i tankowce wyglądały z daleka jak łódeczki z który na ciemnoniebieskiej tafli stawu. W jasnożółtej mgłę trudno było nawet dostrzec zarys dzikich Gór Olimpijskich.

Jessie zmrużyła oczy, sięgnęła do torebki i wyjęła z niej ciemne okulary. Na północno-wschodnim wybrzeżu Pacyfiku słoneczne dni psuły ludziom szyki. Droga do punktu konsultacyjnego pani Valentine, położonego w cichej, bocznej uliczce, zajęła jej dwadzieścia minut. Nieduża firma mieściła się w dwupiętrowym budynku z cegły, kilka przecznic od szpitala First Hill, gdzie zabrano panią Valentine z samego rana.

Na drzwiach wejściowych prowadzących do tej starzejącej się posesji znajdował się szyld pani Valentine oraz stylizowany rysunek gila -logo małej, kiepsko prosperującej firmy komputerowej, z którą dzieliła lokal. Jessie nacisnęła klamkę i weszła do ciemnego holu.

Natychmiast otworzyły się matowe, szklane drzwi po prawej stronie i pojawiła się w nich potargana głowa młodzieńca dwudziestopięcioletniego. Młody człowiek wyglądał tak, jakby spał w ubraniu, co zapewne nie było dalekie od prawdy. Ubrany był w dżinsy, adidasów oraz biały podkoszulek z krótkim rękawem. Z kieszonki na piersiach wystawało plastikowe etui na długopisy i drobne akcesoria komputerowe. Chłopak łypał na Jessie zza szkieł okularów w rogowej oprawie. W tle połyskiwał tajemniczo ekran mruczącego komputera. Jessie uśmiechnęła się. - Cześć, Alex.

- Ach, to ty - powiedział Alex Rabin. - A już miałem nadzieję , że przyszedł klient. jak się czuje pani V.

- Wyzdrowieje. Połamane żebra i szok. Lekarze chcą zatrzymać ją na obserwacji przez parę dni, a potem pojedzie do siostry. Ale powinno być dobrze.

Alex podrapał się bezmyślnie po głowie i nastroszył sobie włosy.

- Biedna staruszka. Ma szczęście, że żyje. Co będzie z jej firmą?

Jessie uśmiechnęła się buńczucznie. - ja się wszystkim zajmę.

- Naprawdę? - Alex znów przymrużył oczy. - No cóż, powodzenia. W razie czego, wpadnij. Chętnie służę pomocą.

Jessie zmarszczyła nos.

- Prawdę powiedziawszy, przydałoby nam się po prostu paru nowych klientów.

- Mnie też. Słuchaj, a może byśmy dali wspólne ogłoszenie? - Alex wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Robin i Valentine: Psychotroniczne konsultacje komputerowe.

- Wiesz, to wcale niegłupi pomysł - rzuciła Jessie, ruszając po schodach na górę. - Powiem więcej: całkiem niezły. Muszę o tym pomyśleć.

- Daj spokój, przecież żartowałem - zawołał za nią Alex.

- Mogłoby się udać - wrzasnęła Jessie z podestu drugiego piętra, otwierając drzwi, na których widniała wywieszka: PSYCHOTRONICZNE KONSULTACJE PANI VALENTINE. - Nawet wymyśliłam dla nas slogan reklamowy: Intuicja i inteligencja na usługach naszych klientów.

- Oszalałaś? Natychmiast zleciałyby się tutaj wszystkie czuby.

- Wcale by mi to nie przeszkadzało, gdyby mieli forszę.

- W zasadzie racja.

Jessie weszła do tandetnie urządzonego biura i rzuciła okulary słoneczne oraz torbę na sofę z wypłowiałym perkalowym obiciem. Potem poszła w przeciwległy kąt pokoju i stanęła przy staroświeckim biurku z żaluzjowym zamknięciem, wmawiając sobie, że najlepiej będzie, jeśli zakończy sprawę, zanim opuści ją odwaga. Opadła na duże drewniane krzesło obrotowe i położyła

nogi na biurku, nie zdejmując nawet butów. Krzesło zaskrzypiało na znak protestu, kiedy Jessie wychyliła się trochę do przodu, żeby wystukać prywatny numer telefonu ojca - prezesa firmy *Benedict Fasteners*.

- Biuro pana Benedicta, słucham. - Spokojny, obojętny głos należał niewątpliwie do doświadczonej sekretarki.

- Cześć, Grace. Tu Jessie. Jest tata?

- Jak się masz, Jessie. - W profesjonalny ton wkradła się przyjazna nuta wywołana długoletnią znajomością. Owszem jest, ale jak zwykle nie życzy sobie, żeby mu przeszkadzano. Chcesz z nim rozmawiać osobiście?

- Koniecznie.

Powiedz, że to ważne.

- Zaczekaj. Zobaczą, co się da zrobić. - Grace wcisnęła guzik na interkomie.

W chwilę później w słuchawce odezwał się głos ojca Jessie. Był mocno poirytowany.

- Jessie? - spytał pan Benedict zniecierpliwionym tonem. - Właśnie omawiam kontrakt. Co się dzieje?

- Jak się masz, tato. - Jessie w ostatniej chwili ugryzła się w język i nie przeprosiła ojca za to, że niepokoi go w pracy. Vincent Benedict był zawsze zajęty, a zatem przeszkadzały mu wszystkie telefony.

Jessie już dawno doszła do wniosku, że będzie musiała prosić ojca o wybaczenie za każdym razem, gdy zdecyduje się do niego zadzwonić, i postanowiła zrezygnować z kurtuazji.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że coś się wydarzyło u mnie w firmie i nie będę mogła pójść dziś na kolację z Hatchem i Gallowayami. Mam kłopoty.

- I to jakie! - zagrział w słuchawkę pan Benedict. Dałaś mi słowo, że pomożesz Hatchowi zabawiać gości. Doskonale wiesz, jakie to ważne. Tłumaczyłem ci wszystko w zeszłym tygodniu.

Gallowayowie muszą się przekonać, że trzymamy wspólny front. Na tym polegają interesy, do cholery!

- Więc ty idź. - Jessie odsunęła słuchawkę od ucha. Już w dzieciństwie zyskała tę bolesną świadomość, że w świecie jej ojca interesy są zawsze na pierwszym miejscu.

- Nie wypada! - ryknął Vincent. - Ethel i George domyślą się od razu, że to spotkanie ma służbowy charakter.

- Niewiele się pomylą. Spójrz prawdzie w oczy. Gdybyście nie wiązali z tą kolacją ukrytych nadziei, wcale by wam na niej tak bardzo nie zależało.

- Nie w tym rzecz. Chcieliśmy rozmawiać z nimi na luzie. Doskonale wiesz, o co mi chodzi.

Finalizujemy kontrakt. Hatch potrzebuje kogoś do towarzystwa, a Gallowayowie powinni się upewnić, że darzę tego chłopaka stuprocentowym zaufaniem.

- Tato, posłuchaj - zaczęła Jessie i urwała czując, że uderza w płaczliwy ton. Nie potrafiłaby wytłumaczyć ojcu, dlaczego tak bardzo nie chce pójść z Hatchem na spotkanie w interesach. Vincent nie rozumiałby jej zastrzeżeń. Hatch tym bardziej nie.

Miał przecież szansę podpisać ważny kontrakt dla firmy i oczarować córkę prezesa. A to wszystko dzięki jednej kolacji.

- Właśnie ty powinnaś tam pójść. Nie widzę lepszego rozwiązania - ciągnął Vincent szorstko. - Gallowayowie znają cię od dziecka. Kiedy zobaczą nowego dyrektora *Benedict Fasteners* w towarzystwie mojej córki, utwierdzą się w przekonaniu, że go popieram, więc w firmie nie zajdą

żadne istotne zmiany. To bardzo ważne. Galloway jest człowiekiem starej daty i lubi ciągłość w interesach.

- Tato, nie mogę. Pani Valentine uległa wypadkowi. Jest w szpitalu.

- W szpitalu? Co się stało, do cholery?

- Spadła ze schodów. Nie wiem dokładnie, jak do tego doszło. Doznała wstrząsu i złamała kilka żeber. Przez kilka tygodni nie będzie mogła pracować.

Wszystko zostało na mojej głowie.

- Co za różnica? Sama mi mówiłaś, że i tak nie macie zbyt wielu klientów.

- Jako jej nowa asystentka zamierzam rozwinąć firmę. Muszę zacząć od reklamy.

- Chryste! Moja córka zajmuje się marketingiem dla wróżki!

- Tato, nie życzę sobie żadnych uwag na ten temat.

Dobrze, już dobrze. Słuchaj. Przykro mi z powodu pani Valentine, ale nie widzę związku między jej wypadkiem a dzisiejszą kolacją.

- Odpowiadam za firmę. Pani Valentine powierzyła mi swoje sprawy, a tu jest cała masa rzeczy do zrobienia.

- Akurat dziś wieczorem? - zapytał sceptycznie Vincent.

Jessie przez chwilę rozglądała się rozpaczliwie po pustym biurze, aż w końcu wzrok jej padł na nie zapisane karty książki przyjęć.

- Tak. - Starła się, by jej słowa brzmiały stanowczo. Uporządkowanie kartoteki i opracowanie planu zajmie mi sporo czasu. Powinieneś mnie zrozumieć. Nigdy nie pracowałeś mniej niż dwanaście godzin na dobę. Przeciętnie czternaście.

- Daj spokój. Nie porównuj zarządzania firmą z prowadzeniem biura jakiejś wróżki.

- Nie nazywaj jej tak. Pani Valentine to medium. Naprawdę. A ja jestem jej asystentką. Taki sam interes jak każdy inny. - Jessie zniżyła głos do przymilnego szeptu. - Więc jak? Powiesz Hatchowi, że jestem zajęta i nie mogę mu towarzyszyć?

- Oczywiście że nie, do diabła. Z jakiej racji?

- Tato, proszę. Mówiłam ci przecież, że ten facet mnie denerwuje.

- Sama się nakręcasz. Zresztą, o ile wiem, zupełnie bez powodu. Jeśli jednak chcesz zostawić go na lodzie akurat wtedy, gdy jesteś mu najbardziej potrzebna, nie wymagaj ode mnie pomocy. - Nie zamierzam świecić za ciebie oczami.

- Proszę. Tylko ten jeden raz. Lecę z nóg. Zresztą nawet nie wiem, gdzie go szukać.

- Nie widzę problemu. Hatch właśnie tu przyszedł.

Właściwie stoi przy biurku. Wy tłumacz mu dokładnie, dlaczego wystawiasz go do wiatru na dwie godziny przed tak ważnym spotkaniem.

- Tato, przestań. Błagam ... - Jessie jęknęła.

Ale już było za późno. Vincent przysłonił dłonią słuchawkę i zaczął mówić, a jego córka zamknęła oczy z przerażenia.

- Dzwoni Jessie. - Pan Benedict prychnął. - Próbuje się wymigać od kolacji z Gallowayami. Zrób coś. W końcu jesteś dyrektorem.

Jessie wyczuła, że słuchawka przechodzi w ręce Hatcha, i jęknęła w duchu. Wyobraziła sobie te ręce. Takie męskie i delikatne. Ręce pianisty lub szermierza. Usłyszała w słuchawce jego głos - niski, spokojny, głęboki jak wody oceanu - przeszedł ją dreszcz.

- Co się stało? - spytał Sam Hatchard tak łagodnie, że Jessie przerażona się jeszcze bardziej.

Hatch nigdy nie tracił panowania nad sobą, działał na zimno i niezwykle skutecznie. Jessie wydawało się, że nawet bezwzględnie. I choć sprawiał wrażenie człowieka całkowicie wyzutego z uczuć, intuicja ostrzegła dziewczynę, że prawda wygląda zupełnie inaczej.

- Cześć, Hatch. - Jessie zdjęła nogi z biurka, po czym zaczęła wyginać nerwowo sznur telefonu.

Przełknąwszy ślinę, uczyniła ogromny wysiłek, by mówić stanowczo i bez pośpiechu.

- Przykro mi bardzo, ale zdarzyło się tu coś, czego nie można było przewidzieć.

- Przecież w gabinecie wróżki nie mogą się dziać rzeczy nieprzewidziane. Jessie zamrugała powiekami. Gdyby powiedział to ktokolwiek inny, pomyślałaby, że żartuje. Niestety Hatch był całkowicie pozbawiony poczucia humoru, o czym zdążyła się już przekonać. Popatrzyła groźnie na ścianę.

- Niestety, nie będę mogła dziś zabawić Gallowayów.

Szefowa leży w szpitalu, a ja zajmuję się firmą. Mam masę pracy i właściwie powinnam już kończyć tę rozmowę- I tak nie zdążę dziś wszystkiego zrobić.

- Już za późno, żebym zmienił plany.

Jessie odkaszlęła i zacisnęła palce wokół sznura.

- Bardzo mi przykro, ale pani Valentine naprawdę na mnie liczy.

- Interes z Gallowayami przyniesie ogromne zyski.

- Wiem, ale ...

- George i Ethel Galloway bardzo chcieliby cię zobaczyć. George wyraźnie to podkreślał. Nie wiem, jak zinterpretują twoją nieobecność. Pewnie pomyślą, że ktoś wykupuje udziały albo że ja nie potrafię dojść do porozumienia z twoim ojcem.

Zadawał jej cios za ciosem i zamykał tym samym drogę wyjścia.

- Hatch ...

- jeśli Galloway wbije sobie do głowy, że *Benedict Fasteners* zmieni właściciela, nie wejdzie w interes. Byłbym bardzo zawiedziony, gdyby mi się nie udało podpisać tego kontraktu. Jessie poczuła się osaczona. Hatch po mistrzowsku przypierał ludzi do muru.

- Może tatuś z tobą pójdzie? - spytała rozglądając się po pokoju, jakby szukała schronienia.

- To by było trochę dziwne, nie sądzisz?

Ta spokojna, rozsądna argumentacja doprowadzała ją do szału. Tylko Hatch potrafił ją do tego stopnia wytrącić z równowagi. Skręcając sznur telefonu, zakołysała się niespokojnie na krześle.

- Wiem, że powiadomiłam cię o swej decyzji zbyt późno ...

- I chyba niepotrzebnie ją podjęłaś. - Hatch mówił teraz bardzo cicho. - jestem przekonany, że pani Valentine nie wymaga od ciebie, żebyś pracowała wieczorami.

- Zwykle nie, ale to wyjątkowa sytuacja.

- I naprawdę nie możesz przełożyć swoich zajęć na jutro?

Jessie popatrzyła bezradnie na zniszczony blat biurka. Nie umiała kłamać. Przypierana do muru, na ogół mówiła prawdę.

- W tego rodzaju interesach trudno cokolwiek planować. - Jessie? Znowu przełknęła ślinę. Bardzo źle się czuła, gdy Hatch skupił na niej całą swoją uwagę. Nie potrafiła odpierać ataków.

- Tak?

- Bardzo się cieszyłem na to spotkanie.

- Co? - Jessie wyprostowała się, jakby nagle poraził ją prąd. Sznur napiął się i telefon spadł z głośnym hukem na podłogę.

- O, cholera!

- Zdaje się, że zrzuciłaś aparat - zauważył Hatch, czekając cierpliwie, aż Jessie znów weźmie słuchawkę do ręki. - Wszystko w porządku?

- Tak - wysapała, gdy wyprostowała sznur i ustawiła telefon z powrotem na biurku. Była na siebie wściekła. Słuchaj ...

- Przyjadę po ciebie o siódmej - odparł, wyraźnie zaabsorbowany czym innym. Często zajmował się dwiema sprawami naraz, tak jak podczas tej rozmowy. Jessie wiedziała doskonale, że interesy są dla niego ważniejsze od zalotów.

- Naprawdę nie mogę - o siódmej. Przepraszam, ale muszę już kończyć.

Chciałbym jeszcze skonsultować kontrakt z twoim ojcem. Do zobaczenia. - Cicho odłożył słuchawkę. Jessie przycupnęła na brzeжку krzesła i przez chwilę patrzyła bezmyślnie na buczącą słuchawkę. Pokonana, odłożyła ją z powrotem na widełki i oparła głowę na rękach. Powinna się była domyślić, że czeka ją ciężka przeprawa. Zaproszenie na kolację z Gallowayami miało szczególną wymowę. Hatch zastawiał na nią sidła. Nic nie zostało jeszcze powiedziane, ale jego matrymonialne zamiary nie stanowiły dla nikogo tajemnicy.

Hatch fascynował Jessie. Nie mogłaby temu zaprzeczyć. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie odważy się wyjść za niego za męża. Dla Hacha małżeństwo oznaczało tyle samo co spisanie kontraktu, który w tym wypadku gwarantowałby mu dożywotni kawałek chleba w firmie Benedict Fasteners, na czym bardzo mu zależało.

W danym momencie uwodzenie córki prezesa zajmowało czołowe miejsce na liście priorytetów Hacha. Jessie wiedziała jednak, że Sam Hatchard darzy ją równie przelotnym i powierzchownym zainteresowaniem jak każdą inną sprawę, której aktualnie poświęca nieco czasu. A to oznaczało, że wpadła w pułapkę. Hatch zajmował wiele miejsca w jej myślach i za każdym razem, gdy stawała się obiektem jego uwagi, musiała walczyć, by całkowicie mu się nie poddać.

Ćma tańcząca wokół płomienia. Jessie przymknęła oczy i przywołała w pamięci obraz mężczyzny, który przed dwoma miesiącami pojawił się w jej życiu jak Nemezis. Wygląd Hacha świetnie odzwierciedlał jego osobowość. Sam Hatchard był wysoki, szczupły, silnie zbudowany. Długie ręce szermierza znakomicie pasowały do surowych, ascetycznych rysów twarzy.

Przyjmując, że pod tą gładką i wytworną powłoką nie pali się żaden ogień, Jessie próbowała oszukać samą siebie. Istota problemu polegała na tym, że -tak jak w przypadku świętych i rycerzy - ten wewnętrzny płomień nie był przeznaczony dla żadnej kobiety. Miał służyć imperium - królestwu, jakie Hatch zamierzał wybudować na podwalinach firmy *Benedict Fasteners*.

Hatch cieszył się pełnym poparciem Vincenta Benedicta i całej jego rodziny, która dała się złapać na kuszącą przynętę. W zamian za intratną posadę w małym, dobrze prosperującym przedsiębiorstwie, Sam Hatchard obiecał nadać mu rozmach.

Benedict Fasteners trzymało się zupełnie dosłownie dzięki śrubom i nakrętkom. Firma zajmowała się projektowaniem oraz produkcją wszelkiego rodzaju elementów złącznych i miała szansę stać się dominującym na rynku gigantem przemysłowym. Potrzebny jej był tylko przedsiębiorczy zarządca z polotem.

Benedictowie nie mieli żadnych wątpliwości, że Hatchard doskonale nadaje się do tej roli. Jediną osobą, której zdanie naprawdę się liczyło, był założyciel firmy - Vincent Benedict, a on polubił Hacha od pierwszego wejrzenia. Jessie natychmiast wyczuła, że obaj panowie doskonale się rozumieją i uzupełniają. Hatch zastąpił Vincentowi upragnionego syna, co predestynowało go

doskonale do roli idealnego zarządcy firmy, ale jednocześnie dyskredytowało całkowicie jako kandydata na męża Jessie.

Sam Hatchard skończył trzydzieści siedem lat. Jessie doszła do wniosku, że potrzeba mu przynajmniej drugie tyle, żeby dojrzał, jeśli to w ogóle miało kiedykolwiek nastąpić. A ona nie zamierzała dawać mu tyle czasu. jeszcze do tego stopnia nie zgłupiała.

Odkryła jednocześnie przerażającą prawdę: nawet jeśli uciekała przed Hatchem, nie robiła tego wystarczająco szybko. Ta świadomość całkowicie ją załamała. Odezwała się w niej ćma ulegająca łatwo pokusie, by tańczyć wokół płomienia. Hatch z pewnością odkrył jej słaby punkt, bo wykorzystywał go skutecznie przeciw niej. Zresztą to wcale nie była tajemnica. Cała rodzina postępowała z nią dokładnie w ten sam sposób.

Jessie zachowała jednak resztki zdrowego rozsądku i zdawała sobie sprawę, że jeśli wpadnie w szpony Hatcha, skaże się na nieszczęśliwe, fatalne małżeństwo, powielając w ten sposób błąd, jaki wcześniej popełniła jej matka, gdy zdecydowała się poślubić Vincenta Benedicta. Związałyby się przecież z pracoholikiem, facetem, który nigdy nie znalazłby czasu dla żony i rodziny.

Taplając się w grzędawisku sprzecznych uczuć, nie wiedziała zupełnie, co robić. Hatch zabiegał już o jej względy, a Jessie krążyła coraz bliżej świecy. Nie potrafiła oprzeć się pokusie ani też poddać się czemuś, co sprowadziłoby na nią nieszczęście. Cała ta sytuacja stawała się coraz bardziej absurdalna i dziewczyna doszła do wniosku, że należy położyć jej kres.

Musiała się nauczyć mówić: nie. Telefon zadzwonił jej prosto w ucho i Jessie podskoczyła na krześle. Najpierw wyciągnęła odruchowo rękę po słuchawkę, a potem zawahała się i czekała, żeby włączyła się sekretarka. Maszyna odpowiedziała jej własnym głosem, że gabinet jest zamknięty, i obiecała oddzwonić. Natychmiast potem odezwała się Alison Kent. Od dnia gdy została maklerem Alison, przybrała ton zawodowej instruktorki kibicowania. Za każdym razem, gdy telefonowała i chłodnym tonem przekazywała jej najnowsze informacje, Jessie wyobrażała ją sobie w krótkiej spódniczce, powiewającą chorągiewką.

- Jessie, tu Alison z biura Caine, Carter i Peat. Zadzwoń natychmiast. Odkryłam wspaniałą okazję. Chodzi o nowy beztłuszczowy produkt, ale trzeba się szybko decydować. Sekretarka wyłączyła taśmę, a Jessie głęboko westchnęła. Alison - pracująca od niedawna w tym zawodzie traktowała każdą transakcję jak życiową szansę. Jessie zupełnie nie mogła za nią nadążyć.

Z początku, gdy zgodziła się założyć konto w biurze maklerskim Caine'a, Cartera i Peata, była pełna entuzjazmu i zastanawiała się nawet, czy nie powinna poświęcić giełdzie więcej czasu. Po kolejnej stracie nauczyła się jednak patrzeć na Wall Street z dystansem.

Bała się rozmowy z Alison, bo wiedziała, że ulegnie jej perswazjom i zdecyduje się kupić akcje firmy produkującej olej bez tłuszczu. Znowu zadzwonił telefon. Tym razem wiadomość na sekretarce nagrała Lillian Benedict. Kulturalny, ciepły głos matki natychmiast ukoił stargane nerwy dziewczyny.

- Jessie? Tu Lillian. Chciałam tylko sprawdzić, czy prosiłaś już Vincenta o pożyczkę dla ExTra Mieszkania. Aha - przy okazji: baw się dobrze, kochanie. Włóż koniecznie tę małą czarną z dekoltem na plecach. Ślicznie w niej wyglądasz. Pozdrów Hatcha i Gallowayów. Pogadamy kiedy indziej. Maszyna wyłączyła się, a w pokoju zapanowała nabrzmiąta emocjami cisza. Jessie kontemplowała fakt, że jej własna matka popycha ją prosto w ramiona Sama Hatcharda.

Sytuacja na dobre wymknęła się jej spod kontroli. Dziewczyna wstała i zaczęła chodzić w kółko po pokoju. Nikt wprawdzie nie wspomniał jeszcze o małżeństwie, ale nie trzeba było zdolności telepatycznych pani Valentine, by wiedzieć, co wszyscy knują. Wszyscy z Hatchem na czele.

Jessie zrozumiała, co się dzieje, już kilka tygodni wcześniej, ale nic sobie z tego nie robiła. Była absolutnie przekonana, że nie ulegnie żadnej presji. Teraz jednak zaczęła się bać. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że jest powoli i stopniowo popychana ku związkowi, jaki jeszcze sto lat temu zostałby nazwany małżeństwem z rozsądku.

Wiedziała, że jeśli nie zachowa ostrożności, popadnie w poważne tarapaty. Ludzie, którzy lubią igrzać z ogniem, często łądają w szpitalu z poparzonymi palcami. Jessie zerknęła na zegarek i stwierdziła z przerażeniem, że dochodzi szósta. Jeśli ma dojechać na czas do domu i przebrać się, zanim Hatch stanie na progu, musi się spieszyć. Sam Hatchard nigdy się nie spóźniał.

Hatch podsunął Vincentowi teczkę z wydrukami komputerowymi.

- Zobacz.

Chyba będziesz zadowolony. Vincent zerknął niecierpliwie na papiery.

- Na pewno. Jesteś mistrzem w takich sprawach. Nikt nie potrafi lepiej opracować kontraktu.

- Dzięki - mruknął Hatch. Wiedział oczywiście, że znakomicie przygotowuje tego typu projekty, ale miło było usłyszeć pochwałę. Szczególnie z ust Benedicta Vincenta.

Vincent nadal wpatrywał się w zamyśleniu w papiery, a Hatch doszedł do wniosku, że Jessie odziedziczyła swoje kocie, inteligentne i wyraziste oczy po ojcu. W spojrzeniu dziewczyny kryło się jednak coś, czego trudno byłoby się doszukać w oczach Benedicta.

Benedict dobiegał sześćdziesiątki i nadal był pełnym wigoru, silnie zbudowanym mężczyzną o szerokich ramionach, jakie zawdzięczał pracy na budowie, od której rozpoczął swoją karierę. Miał siwe, lekko przerzedzone włosy. Rysy twarzy niewątpliwie trochę mu złagodniały, ale orli nos i szeroka wydatna szczeka pasowały świetnie do obrazu człowieka, który przeszedł niełatwą drogę do sukcesu. Vincent Benedict sam tworzył sobie prawa i ści-20 śle ich przestrzegał. Jeśli ktoś postępował wobec niego uczciwie, odpłacał mu z nawiązką. Ale ci, którzy nadepnęli mu na odcisk, musieli za to srodze odpokutować.

Hatch rozumiał ten prosty kodeks, bo sam żył według podobnych zasad. Nauczył się ich jeszcze we wczesnej młodości, w świecie, w którym żyło się z ciężkiej pracy rąk, uprawiając ziemię, budując domy lub ładując ciężarówki. Te proste reguły gry włączano mu do głowy za dnia i później, po robocie, w zadymionych knajpach, gdzie piło się piwo zamiast białego wina, a skrócony kurs psychologii zawierał się w słowach ballad w stylu country.

Benedict od razu przypadł Hatchowi do serca. Rozumieli się doskonale, bo obaj wywodzili się z tego samego klanu. Vincent był jednym z nielicznych ludzi, jakich Hatch darzył szacunkiem, a także jednym z niewielu, od których oczekiwał wzajemności.

- Boisz się, że Gallowayowie spanikują? - spytał Hatch natychmiast, gdy zauważył, że Vincent nie zwraca uwagi na wydruk.

- Nie. - Vincent zabębnił palcami o blat i skrzywił się.

- Chciałeś o coś zapytać? - sondował Hatch, zaskoczony tym nietypowym zachowaniem szefa.

Benedict zawsze walił prosto z mostu, jeśli miał jakieś wątpliwości.

- Nie. Wszystko w porządku.

Hatch wzruszył ramionami i otworzył kolejną teczkę, by rzucić okiem na cyfry. Dostrzegł ogromny potencjał *Benedict Fasteners*, kiedy Vincent przed podpisaniem kontraktu z japończykami poprosił o pomoc firmę konsultingową Hatcharda. Brytyjczycy otworzyli wtedy fabrykę w Waszyngtonie i poszukiwali dostawców, ale większość z tych, którzy złożyli im oferty, odpadła w przed-biegach ze względu na zbyt niską jakość wyrobów. A Vincent Benedict wiązał wielkie nadzieje z tą transakcją i

postanowił znaleźć sposób, by zaspokoić wymagania kontrahenta.

Hatch wiedział, co należy zrobić, a przy okazji stwierdził, że *Benedict Fasteners* jest zasobną małą firmą, która kręci się jak zegareczek, a on właśnie takiej szukał, by na jej bazie stworzyć prawdziwe imperium. Vincent nie chciał jednak sprzedać jej Hatchardowi, ale dał mu do zrozumienia, że mogą się jakoś dogadać.

Na początek zatrudnił go na stanowisku dyrektora. Umowa opiewała na rok i w tym czasie obaj panowie mieli dokonać oceny wartości firmy, swojej własnej i zastanowić się nad przyszłością. Ledwo na kontrakcie wysechł atrament, a Vincent już zaczął odgrywać rolę swatki. Dał również Hatchowi do zrozumienia, że ubije z nim interes, jeśli firma zostanie w rodzinie.

Istniał tylko jeden sposób, by spełnić jego oczekiwania, ale Hatch znał już Jessie i wiedział, że cena nie jest zbyt wygórowana. Akceptował w pełni taką transakcję. Kontrakt Gallowayów leżał w teczce. Planowana kolacja miała charakter towarzyski. Służyła podtrzymaniu znajomości i uświadomieniu Gallowayom, że odtąd będą mieli do czynienia z Samem Hatchardem - nowym dyrektorem *Benedict Fasteners*. A obecność Jessie była niezbędna, by udowodnić kontrahentom, że zmiany w firmie cieszą się poparciem jej ojca.

- Ona mówi, że ją denerwujesz - warknął nagle Vincent. Hatch podniósł głowę, wciąż błędząc myślami wokół wyliczeń.

- Słucham?

- Jessie mówi, że ją denerwujesz.

- Tak - odparł i przeniósł wzrok na papier.

- Cholera jasna! Człowieku! Nic cię to nie obchodzi?

- Przejdzie jej.

- Ale właściwie dlaczego tak na nią działasz? Hatch posłał mu rozbawione spojrzenie.

- Co ty? Chyba nie martwisz się już o córkę? Ona ma dwadzieścia siedem lat. Potrafi sama o siebie zadbać.

- Nie byłbym tego taki pewien - mruknął Vincent. Skończyła dwadzieścia siedem lat, a nie znalazła sobie jeszcze stałej posady.

- O ile wiem, pracowała w różnych zawodach, tyle że żaden jej nie odpowiadał - zauważył Hatch z uśmiechem.

Ona jest taka zdolna. - Vincent skrzywił się jeszcze bardziej. - Zawsze miała głowę na karku. Ale po skończeniu college'u podejmowała się tylu różnych zajęć, że już w końcu straciłem rachubę.

Jessie nie ma żadnego celu. Żadnych konkretnych zainteresowań. A teraz jeszcze ten etat u wróżki. Ta kropla przeleję czarę, mówię ci.

- Nie przejmuj się. Za miesiąc albo dwa będzie karmić zwierzęta w zoo - pocieszył go Hatch, wzruszając ramionami.

- Właściwie powinienem być zadowolony. Jessie bardzo poważnie traktuje swoją posadę u medium. Pracuje tam już miesiąc i jest coraz bardziej zadowolona. Do tej pory nie pozwoliła się wyrzucić. To zły znak, bo zwykle pracodawcy mojej córki marzyli wyłącznie o tym, żeby się jej pozbyć nie dalej jak po dwóch tygodniach. Dokładnie tyle czasu trzymali ją w tej zwiariowanej firmie dostarczającej śpiewające telegramy. I tak się dziwię, że ją w ogóle przyjęli. Przecież jej słoń na ucho nadepnął.

- Cierpliwości.

Vincent popatrzył na niego podejrzliwie.

- Nie przeszkadza ci, że ona nie potrafi sobie znaleźć miejsca? Nie wydaje ci się trochę

zwariowana?

- Uspokoi się, jak wyjdzie za mąż.

- Nie bądź taki pewien - odparł Vincent. - Co ty możesz wiedzieć o kobietach i małżeństwie? - Byłem żonaty.

Vincentowi szczeka opadła.

- Naprawdę? I co? Rozwiodłeś się?

- Moja żona umarła.

Vincent nie mógł uwierzyć, że Hatch, którego uważał za bliskiego przyjaciela, nie wspominał dotąd o swoim małżeństwie.

- O Boże! Tak mi przykro.

- To było dawno - odparł Sam, patrząc mu prosto w oczy.

- No cóż, naprawdę ci współczuję.

- Dzięki. - Hatch zaczął znów studiować wydruk. - Nie martw się o córkę. Zaopiekuję się nią.

- Właśnie usiłuję ci powiedzieć, że ona tego nie chce. Chyba cię specjalnie nie zachęca, prawda?

- Mylisz się - odparł łagodnie Hatch. - Jessie okazuje mi zainteresowanie. Tyle że na swój sposób.

- Naprawdę? - Vincent spojrział na niego z powątpiewaniem.

Tak. - Hatch przewrócił kolejną stronę.

- Skąd wiesz, do cholery? Co ona takiego zrobiła?

- Moja obecność wyprowadza ją z równowagi - wyjaśnił cierpliwie Hatch.

- Wiem. Właśnie o tym mówiłem. Na miłość boską ... przecież ... - Urwał, patrząc na niego z niedowierzaniem. - I ty uważasz, że to dobry znak?

- Nawet bardzo dobry.

- Skąd ta pewność? Ja miałem dwie żony, ale żadnej z nich nie denerwowałem - powiedział Vincent.

- Widać miały nerwy ze stali.

- Jessie jest inna.

Przecież wiem. Nigdy nie rozumiałem tej dziewczyny. - Dość ciekawe wyznanie, zważywszy na to, że chcesz jej oddać *Benedict Fasteners*.

- Bo ona jest jedyną osobą w mojej rodzinie, której mogę zaufać - prychnął Vincent. - Jessie zawsze robi wszystko zarówno dla firmy, jak i dla rodziny.

- Ale z pewnością nie ma talentu do zarządzania. I wcale jej to nie bawi - zauważył Hatch.

- Dlatego zatrudniłem ciebie. Rozwiążesz mi wszystkie problemy. - Vincent spojrział na niego ostro. - Prawda? - Tak. Rozwiążę.

Za pięć siódma Hatch zatrzymał nowiutkiego srebrnego Mercedesa przy Capitol Hill, gdzie mieszkała Jessie. Wsiadł z samochodu i odruchowo sprawdził, czy jego buty o spiczastych noskach są na pewno należycie wypastowane. Potem poprawił węzeł krawata w dyskretne paski i wygładził szarą marynarkę. Zadowolony, poszedł pewnym krokiem do wejścia. Hatch był całkowicie świadom dyskretnej elegancji swego ubioru. Zawsze poświęcał wiele uwagi doborowi takich szczegółów jak szerokość pasków krawata i kształt kołnierzyka szytych na miarę koszul. Nie interesował się wprawdzie modą, ale nie chciał popełnić żadnego błędu, gdyż w świecie interesów wiele zależało od prezencji.

Hatch wychował się w dżinsach, roboczych koszulach i długich butach. I choć obracał się w środowisku biznesmenów już od paru lat, nadal nie całkiem ufał własnemu wyczuciu co do ubioru. Wolał zachować ostrożność.

Jego żona Olivia nauczyła go wszystkiego, co wiedział na temat konserwatywnego wyglądu, tak cenionego przez amerykańskich potentatów finansowych. Była to zresztą jedyna rzecz, jaką jej zawdzięczał. Hatch zerknął na stalowo-złoty zegarek i wcisnął guzik dzwonka przy wejściu do starzejącego się budynku z cegły. Zegarek wydawał mu się kiedyś zbyt ekstrawagancki. Takie same obawy żywił również w stosunku do Mercedesa. Cieszył się jednak z obu nabytków, gdyż były wspaniale wykonane i bardzo funkcjonalne, a ponadto stanowiły namacalny dowód sukcesu, jaki udało mu się odnieść, wbrew przepowiedniom ojca - zgorzkniałego nieudacznika, który nie wierzył, że Hatch czegokolwiek w życiu dokona.

Gdy Hatch popadał w filozoficzny nastrój, co zresztą zdarzało mu się niezwykle rzadko, zastanawiał się, czy przypadkiem nie pracował tak ciężko wyłącznie po to, by udowodnić ojcu, że się myli. Złote wskazówki zegarka mówiły mu wyraźnie, że przyszedł punktualnie, co i tak nie miało najmniejszego znaczenia, bo Jessie nigdy nie była gotowa na czas.

Hatch wiedział z doświadczenia, że dziewczyna będzie miotać się jak szalona po mieszkaniu, szukać kluczy, sprawdzać, czy wyłączyła kuchenkę i wcisnęła odpowiedni guzik na automatycznej sekretarce. Zupełnie jakby chciała odwlec egzekucję, pomyślał gorzko. Zdjął palec z guzika i wreszcie usłyszał zdyszany głos Jessie.

- Kto tam?

- Hatch.

- Ach, to ty.

- Spodziewałaś się kogoś innego? - spytał grzecznie.

- Nie, oczywiście że nie. Już otwieram.

Drzwi wydały syczący dźwięk, zamek odskoczył i Hatch wszedł do środka. Ruszył natychmiast schodami na drugie piętro i dotarł pod drzwi apartamentu zajmowanego przez Jessie. Zapukał lekko, dziewczyna otworzyła i popatrzyła na niego marszcząc oskarżycielsko brwi.

- Jesteś bardzo punktualny - mruknęła.

Hatch postanowił zignorować wyrzut pobrzmiwający w jej głosie. Uśmiechnął się tylko z aprobatą na widok dopasowanej czarnej sukienki przed kolana.

- jak się masz. Ślicznie wyglądasz. jak zwykle. Rzeczywiście, Jessie wyglądała bardzo ładnie, ale Hatchowi zawsze się podobała. Pod pulsującą kobiecością kryło się coś tajemniczego. Ta dziewczyna przywodziła mu zawsze na myśl czarownice, czarne koty i starożytne władczynie Egiptu. Egzotyczna twarz Jessie łączyła inteligencję i bezbronność, a Hacha ujęły obie te cechy. Uznanie dla walorów umysłowych dziewczyny nie było w jego przypadku niczym nie zwykłym; zawsze lubił błyskotliwe kobiety, a słodkie idiotki doprowadzały go do szału.

Nie mógł natomiast zrozumieć, dlaczego tak bardzo wzrusza go jej słabość. Bardzo długo nikim się nie opiekował, a ostatni raz odczuwał taką potrzebę w pierwszych latach małżeństwa z Olivią. Nie potrafił sam sobie zadowalająco odpowiedzieć na pytanie, czemu reaguje podobnie na Jessie, która stanowiła całkowite przeciwieństwo jego zmarłej żony.

Jessie była żywiołowa i pełna radości życia, Olivia natomiast - melancholijna i czarująca. Córka Benedicta okazała się nieznośna i trudna w pożyciu, podczas gdy żona Hacha nigdy nie zapominała o dobrych manierach. Jessie należała do kobiet, które rzucają mężczyźnie kłody pod nogi, nawet jeśli bardzo go pragną. Olivia wiedziała instynktownie, jak zatroszczyć się o samcze ego.

Hatch spodziewał się, że Jessie każe mu na siebie czekać. Musiała jakoś wyładować złość, a była przecież wściekła na niego za to, że zmusił ją do pójścia na kolację, i oczywiście na siebie, ponieważ

nie potrafiła skutecznie się wykręcić.

Olivia być może również kazałaby mu czekać, ale na pewno nie tak długo i głównie po to, żeby mieć lepsze wejście. A już na pewno doceniłaby rangę tego spotkania i udzieliłaby Hatchowi poparcia. Zawsze pomagała mu w interesach.

Tej dziewczynie natomiast nie zależało zupełnie na jego karierze. Hatch stanął na progu i westchnął w duchu. Jessie zrobiła krok w tył i zupełnie rozmyślnie potknęła się o figurkę metalowego konia, który zabezpieczał drzwi przed zatrzaśnięciem. Hatch chwycił ją za ramię, chroniąc w ten sposób przed upadkiem. Gładka skóra dziewczyny pachniała delikatnie perfumami o orientalnej woni.

- Co się stało?. Poszło mi oczko w rajstopach. Będę musiała się przebrać.

- Nic nie szkodzi. - Hatch zamknął cicho drzwi, udając, że nie słyszy irytacji w jej głosie. - Mamy zapas czasu. Umówiłem się z nimi kwadrans przed ósmą. Była już w drodze do sypialni, więc tylko łypnęła na niego przez ramię.

- Mówiłeś, że o wpół do ósmej.

- Skłamałem.

Natychmiast zatrzasnęła za sobą drzwi, ale Hatch zdążył jeszcze dostrzec duże wycięcie na plecach wieczorowej sukni i widoczny w nim fragment gładkiej, mlecznobiałej skóry.

Znowu się uśmiechnął i rozejrzał po małym, przytulnym mieszkanku. Ku swemu ogromnemu ubolewaniu nie bywał tu zbyt często, ale zawsze przy tych nielicznych okazjach fascynował go eklektyczny, kolorowy wystrój wnętrza.

Pokój odzwierciedlał różnorodność, a nawet dziwaczne zainteresowania właścicielki. Meble były raczej nowoczesne - szkło, metal, nowoczesna technologia. Na ścianach wisiały plakaty oprawione w ramki; Jessie zbyt często zmieniała upodobania, by ryzykować kupno kosztownych płócien. Gdy Hatch poruszył ten temat, powiedziała, że plakat można zawsze wyrzucić, jak się znudzi. Przy oknie stał szklany stolik, a na nim kolekcja miniaturowych kaktusów. Kolczaste rośliny najwyraźniej nie mogły zrozumieć, co robią w tym wilgotnym klimacie północno-wschodniego wybrzeża Pacyfiku. Kiedy Hatch był tu poprzednim razem, na ich miejscu pyszniły się okazałe paprocie.

Całą ścianę za kanapą zajmowały książki. Księgozbiór Jessie obejmował najróżniejsze tytuły; od rozpraw na temat czarnej magii po poradniki oferujące najpewniejsze sposoby zrobienia kariery.

Brakowało w nim jednak typowo kobiecych lektur typu Jak zdobyć mężczyznę. Jessie najwyraźniej wolała beletrystykę - czytywała zarówno romanse, jak horrory i science fiction jedynym stałym elementem w świecie tej dziewczyny była jej lojalność wobec bliskich. Hatch zdążył się już przekonać, że to właśnie ona stanowi duszę i serce klanu Benedictów.

Hatch bardzo wysoko cenił lojalność, zwłaszcza u kobiet, prawdopodobnie dlatego, że nie doświadczał jej zbyt często. Stało się dla niego oczywiste, że gdyby ożenił się z Jessie, mógłby od niej oczekiwać dokładnie tego samego, i oparł na tym całą swoją strategię zalotów.

Stojący na stoliku telefon zaświergotał akurat w chwili, gdy Hatch zaczął przeglądać Nowe kierunki w filozofii ekologicznej - prezent od Davida, kuzyna Jessie.

- Odbierz, dobrze? - krzyknęła Jessie z sypialni. Podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Dzień dobry - odezwał się rześki, tryskający energią głos. - Mówi Alison z biura maklerskiego Caine Carter i Pete. Chciałabym rozmawiać z Jessie Benedict.

- Chwileczkę. - Hatch położył słuchawkę na stoliku i poszedł zapukać do wciąż zamkniętych drzwi sypialni.

Kto dzwoni?

- Chyba maklerka.

- O Boże! Alison! O tej porze? Przez cały dzień unikałam jej jak ognia. Miałam nadzieję, że mi się uda przed nią schować przynajmniej do jutra rano. Chce mi sprzedać akcje firmy produkującej beztłuszczowy olej kuchenny. Wiesz coś na temat tego oleju?

- Tylko tyle, że to prawdopodobnie zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Tego się właśnie obawiałam. Co by tu wymyślić?

- Dlaczego po prostu nie powiesz: nie. - Hatch wdychał delikatny zapach dochodzący z sypialni. Przez szparę w drzwiach widział róg łóżka okrytego białą pikowaną kołdrą. Niedbale rzucone majteczki leżały uwodzicielsko na dywanie.

- Nic nie rozumiesz - syknęła Jessie. - Nie mogę jej odmówić. Jest moją przyjaciółką, dopiero zaczęła pracować i bardzo się stara pozyskać klientów. Przecież powinnam jej pomóc.

Hatch uniósł brwi, poszedł do salonu i wziął słuchawkę do ręki.

- Jessie nie jest zainteresowana kupnem żadnych akcji firmy produkującej olej beztłuszczowy - powiedział i nie zwracając uwagi na gwałtowne protesty Alison, spokojnie odłożył słuchawkę. Odwrócił się i zobaczył, że Jessie stoi w korytarzu. Miała zaszokowany i rozgniewany wyraz twarzy. Hatch uśmiechnął się do niej uprzejmie.

- Bardzo łatwo jest powiedzieć: nie, Jessie.

- Zauważyłam. Zapamiętam ten sposób - warknęła.

Rozdział 2

Oczywiście, dla takich ludzi jak Sam Hatchard odmowa nie stanowi żadnego problemu pomyślała Jessie, otwierając kartę w zatłoczonej restauracji położonej w samym centrum miasta. Tacy Hatchardowie nie przejmowali się specjalnie uczuciami innych ludzi ani też nie mieli zwyczaju się zastanawiać, jakie skutki może spowodować jedno słowo: nie.

Hatch nie przywiązywał szczególnej wagi do faktu, że Alison dopiero co rozpoczęła swoją maklerską karierę i jako kobieta musiała walczyć, żeby utrzymać się w tym bezwzględny, wyrachowanym świecie zdominowanym całkowicie przez mężczyzn. Nie obchodziło go to, że potrzebowała klientów, żeby nie stracić pracy. I zupełnie nie wzruszała go jej przyjaźń z Jessie.

Jessie poczuła na sobie spojrzenie chłodnych, niebieskich oczu Hacha i podniosła głowę.

Sam Hatchard siedział naprzeciwko niej i uprzejmie odpowiadał na pytania rozpromienionego George'a Gallowaya. Dziewczyna zdawała sobie jednak sprawę, że Hatch - nawet gdy rzuca niezwykle inteligentne i bystre uwagi na temat długoterminowych stóp procentowych tak naprawdę zastanawia się, jak właściwie powinien z nią postępować. Jessie zajmowała jedno z czołowych miejsc na liście priorytetów Hacha - była dla niego prawie tak samo ważna jak wysokość odsetek.

Nagle przeszedł ją dreszcz. Wiedziała, że lęk nie jest jedyną przyczyną tej atawistycznej reakcji. W znacznie poważniejszej mierze wywołało ją kobiece oczekiwanie. Wymyślając sobie w duchu od idiotek, skrzywiła się i ponownie spróbowała skupić uwagę na menu.

George Galloway należał do staroświeckich mężczyzn i dlatego Hatch wybrał jedną z nielicznych restauracji w mieście, która oferowała szeroki wybór dań z wołowiny. Jessie wołała owoce morza.

- Powiedz mi, kochanie, co słysząc u twojej mamy. Nie widziałam się z Ullian od wieków - poprosiła Ethel Galloway i posłała Jessie jeden ze swych promiennych uśmiechów.

Pani Galloway zbliżała się do sześćdziesiątki. Pulchna, o sympatycznej twarzy, zachowywała się jak przystało na babunię. Ona i jej prostoduszny, mocno stąpający po ziemi mąż znakomicie się uzupełniali.

- U mamy wszystko w porządku - odparła Jessie. - Ona i Connie myślą tylko o rozwoju firmy. Interes kwitnie.

Ethel zachichotała.

- Rzeczywiście. Przecież one projektują wnętrza. Nazwały tę spółkę ExTra Mieszkanie, czy jakoś tak, prawda? Chciały podkreślić, że obie są eks-żonami twego ojca.

- Tak. Twierdzą, że mają ze sobą o wiele więcej wspólnego, niż kiedykolwiek łączyło je z tatą. On nawet nie próbuje zaprzeczać.

- A twoja przyrodnia siostra? - spytała Ethel. - Mała Elisabeth? Nadal tak dobrze się uczy?

Tym razem uśmiech dziewczyny wyrażał zadowolenie. Poczowała przyływ dumy, jak zawsze, gdy opowiadała o siostrze.

- Wspaniale. Zamierza rozpocząć jakieś badania naukowe. Na szkolny konkurs przygotowała interesującą analizę odpadów toksycznych. Aż trudno uwierzyć. Przecież ona dopiero niedawno skończyła dwanaście lat.

Ethel rzuciła Hatchowi znaczące spojrzenie.

- Mówi jak pęczniąca z dumy matka, a nie siostra przyrodnia, prawda? Ale też ma ogromny wkład w wychowanie Elisabeth. Connie i Lillian zajmowały się ostatnio wyłącznie firmą i dziewczynka spędzała większość czasu z Jessie.

- Rozumiem. - Hatch przyjrzał się dziewczynie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. - Jessie pewnie będzie wspaniałą matką.

Poczowała, że jej policzki przybierają żenujący cień buraka, ale Gallowayowie absolutnie nie uważali, by Hatch powiedział coś niestosownego.

- No, no - mruknął George i zaśmiał się serdecznie, patrząc porozumiewawczo na dziewczynę. - Jak widzę, sprawy posuwają się naprzód. Twój ojciec dawał mi to zresztą do zrozumienia podczas naszej ostatniej rozmowy. Mam składać gratulacje?

- Nie - wydusiła Jessie chrapliwym głosem, unosząc kieliszek. Pociągnęła sążnisty łyk i omal się nie zakrztusiła, gdy wino wpadło jej do tchawicy. Walcząc z atakiem kaszlu podniosła załzawione oczy na Hacha, który obdarzył ją swoim charakterystycznym, tajemniczym uśmiechem. Był w pełni świadom, jak na nią działa. Miała ochotę go udusić.

- Jessie żyje ostatnio pod silną presją - wytłumaczył Hatch. - W końcu swata ją cała rodzina.

- Aha. - Ethel popatrzyła na Hacha z błyskiem w oku.

- A więc to tak? Dziewczyna miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Nic dziwnego, że chcą, żebyście się pobrali - zauważył pogodnie George. - Wasze małżeństwo uprościłoby wiele spraw. Firma zostałaby w rodzinie, a Benediet zyskałby następcę i zarządcę, który nadałby jej rozmach.

- No wiesz! - Ethel spojrzała na męża z wyrzutem. - Wprawiasz Jessie w zakłopotanie.

- Bzdura! - George uśmiechnął się po ojcowsku do dziewczyny. - Znam ją przecież od kołyski, prawda, Jessie? - Prawda - potwierdziła z westchnieniem.

- Wszyscy w dodatku wiemy, że Vincent chce przekazać jej przedsiębiorstwo.

- Niestety, mnie to specjalnie nie cieszy - mruknęła.

- Ale i tak będziesz musiała je przyjąć, bo w przeciwnym razie Vincent sprzeda firmę albo będzie ją

prowadził, dopóki nie padnie trupem na biurko - powiedział spokojnie Hatch. - W obu przypadkach rodzina straci wiele, bo przed *Benedict Fasteners* otwierają się ogromne możliwości. W ciągu najbliższych pięciu lat można pięciokrotnie zwiększyć wartość spółki.

- Pod warunkiem, że ty będziesz nią zarządzał. - George popatrzył na niego chytrze.

- Rzeczywiście, mam parę pomysłów - przyznał Hatch, wzruszając lekko ramionami.

- A cała rodzina go popiera. Wszyscy wierzą, że jeśli Hatch zachowa posadę, będziemy niedługo spać na pieniądzach - wtrąciła Jessie trochę zbyt słodko. Nikt jednak poza Hatchem nie wyczuł sarkazmu w jej głosie, a on tylko uśmiechnął się grzecznie.

- I wcale się nie mylą - powiedział.

Co za rekin - pomyślała zdenerwowana Jessie. Ten facet był zimmokrwistym potworem, a ona interesowała się nim jak jelen patrzący instynktownie prosto w pałające oczy wilka.

- Jak się poznaliście? - spytała Ethel, unosząc brwi. Jessie zdobyła się na lekki uśmiech.

- Chyba rozmawiałam z nim po raz pierwszy tego ranka, gdy wylał mnie z pracy w kadrach *Benedict Fasteners*. Prawda, Hatch?

Ethel i George popatrzyli na nią z osłupieniem. - Wylał cię? - powtórzyła Ethel.

- Tak, do dziś pozostał mi zresztą po tym pewien uraz.

- Jessie dostrzegła błysk irytacji w oczach Hacha i ożywiła się. Wzbudzenie jakichkolwiek uczuć w Samie Hatchardzie uważała za pewnego rodzaju sukces.

Bardzo rzadko jej się to udawało.

- Nie wiedziałem, że pracowałaś u ojca - powiedział George. - Myślałem, że unikałaś firmy jak ognia.

- Pracowałam tam tylko kilka tygodni.. Tata bardzo nalegał, żebym przynajmniej spróbowała.

Stwierdził, że to mój obowiązek wobec niego i rodziny. A wtedy i tak chciałam zmienić posadę.

- Co zdarza się zresztą bardzo często - mruknął Hatch.

- W końcu wyraziłam zgodę - dągnęła, patrząc na niego z niechęcią. - Prawdę mówiąc, było całkiem nieźle. Polubiłam personel i zrozumiałam, na czym właściwie polegają moje obowiązki. Niestety, dwa dni później Hatch został dyrektorem i od razu mnie wyrzucił.

- O mój Boże! - Ethel westchnęła.

- Nie sądzę jednak, by był to dla niej jakiś szok - wtrącił spokojnie Hatch. - W końcu przyzwyczyła się już do takich sytuacji. Traci wszystkie posady regularnie jak w zegarku, prawda Jessie? Wzruszyła ramionami.

- Miałam po prostu za dużo krótkowzrocznych. konserwatywnych szefów - odparła z godnością.

- Biedni dranie - przytaknął Hatch.

Jessie łypnęła na niego, próbując dociec, czy żartuje, czy też rzeczywiście współczuje wszystkim swoim poprzednikom. końcu doszła do wniosku, że Hatchard mówi poważnie. Przecież on nie miał poczucia humoru.

- Tak jak wspominałam, radziłam sobie zupełnie nieźle z personelem. Nie możesz zaprzeczyć, Hatch. Większość poleconych przeze mnie ludzi sprawdziła się doskonale na swoich stanowiskach.

- Nie na tym polegał problem.

- Dlaczego w takim razie, do cholery, wyrzuciłeś ją z firmy? - spytał George.

- Powiedzmy po prostu, że Jessie nie została stworzona do pracy w takim przedsiębiorstwie - odparł, zamykając kartę dań.

- Przekładając to na ludzki język, trzymałam stronę pracowników, a nie zarządu - wytłumaczyła

Jessie. - Nowy dyrektor nie aprobował tego rodzaju podejścia.

George Galloway stłumił śmiech. - A jak to przyjął Vincent?

- Był mi głęboko wdzięczny. Sam usiłował wymyślić jakiś sposób, żeby się jej pozbyć. Już po dwudziestu czterech godzinach doszedł do wniosku, że popełnił ogromny błąd, powierzając Jessie takie stanowisko.

- Ale w końcu wszystko obróciło się na dobre - zapewniła Jessie. - Miesiąc temu dostałam fantastyczną posadę w cudownej firmie doradczej. Czuję, że wreszcie znalazłam swoje prawdziwe powołanie. Pani Valentine obiecała, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostanę jej współpracowniczką.

- A jakiego rodzaju porad udziela pani Valentine? - spytał George kierowany naturalną ciekawością człowieka interesu.

- Lepiej, żebyś nie wiedział - ostrzegł Hatch.

- Bzdura. Jesteśmy bardzo ciekawi, prawda, Ethel? Oczywiście - potwierdziła pani Galloway. - Jessie ma tyle różnych przygód!

- Pani Valentine to medium - wyjaśniła Jessie z szerokim uśmiechem.

- O mój Boże! - Ethel przewróciła oczami.

- Nic dziwnego, że Benedict modli się, żeby ona wreszcie wyszła za ciebie za męża - szepnął George nachylając się konfidencjonalnie do Hacha. - Coraz z nią gorzej.

- Jestem przekonany, że to minie - odparł Hatch z niewzruszonym spokojem.

Dwie godziny później Jessie odetchnęła z ulgą, gdy Hatch zatrzymał srebrnego Mercedesa pod jej domem. Kiedy jednak chciał wyłączyć silnik, natychmiast chwyciła za klamkę.

- No, proszę bardzo - powiedziała ze sztucznym ożywieniem. - Kontrakt podpisany i przypieczętowany. Powiedz ojcu, że dobrze wywiązałam się z obowiązków. Ale teraz już pójdę, jeśli pozwolisz. Jutro mam masę zajęć. Chyba mnie rozumiesz?

Nawet na nią nie patrząc, Hatch wcisnął przycisk blokujący wszystkie drzwiczki auta. Jessie usłyszała charakterystyczny trzask i oparła się o siedzenie, wiedząc, że i tak nie uda się jej uniknąć rozmowy.

- Chcesz jeszcze czegoś?

Hatch obrócił się na siedzeniu i oparł rękę o kierownicę, pieszcząc swym długim palcem jej gładką powierzchnię, a Jessie zaczęła wpatrywać się jak zahipnotyzowana w ten zdumiewająco erotyczny obrazek.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać - powiedział w końcu Hatch. - Czy możesz mnie zaprosić na herbatę?

Dziewczyna oderwała wzrok od ślizgającego się po kierownicy palca i spojrzała Samowi prosto w oczy. Lampa uliczna oświetlała auto na tyle jasno, by Jessie mogła dostrzec determinację malującą się na twarzy mężczyzny. Prośba o herbatę brzmiała raczej jak żądanie. Cóż, pewnie miał rację. Rzeczywiście nadszedł czas na wyjaśnienia. Wystarczająco długo bawili się w kotka i myszkę.

- Zgoda - powiedziała w końcu.

Hatch odblokował zamki i Jessie wysiadła, zanim zdążył obejść auto i otworzyć przed nią drzwi.

Od chwili, gdy wyszli z restauracji, konwersacja nie kleiła się. Do mieszkania Jessie szli również w całkowitym milczeniu. Gdy stanęli pod drzwiami, Hatch wyjął jej klucz z ręki. i włożył go do zamka. Jessie weszła do środka, odnalazła kontakt i włączyła światło.

Pomagając dziewczynie rozebrać się z płaszcza, Hatch oparł jej na tyle mocno ręce na ramionach, by poczuła ich ciężar, a Jessie przypomniała sobie natychmiast o głębokim dekolcie na plecach.

- Czy to naprawdę byłoby takie złe? - spytał cicho. Szybko wyzwoliła się z płaszcza, zostawiając go w rękach Hacha. - O czym mówisz?

- O nas. - Rzucił prochowiec na krzesło i patrząc jej prosto w oczy, zdjął marynarkę. Jessie nie chciała udawać, że nie rozumie pytania; było to kompletnie pozbawione sensu. Ruszyła więc w stronę zacienionej kuchni.

- Owszem.

- Dlaczego? - spytał, rozluźniając krawat.

- Naprawdę nie rozumiesz? - Jessie otworzyła kredens i wyjęła z niego dwa kubki. - Ponieważ oboje ponieśliśmy klęskę.

- Przecież jeszcze nie dałaś nam szansy - odparł siadając. - Wszystkie wieczory, jakie do tej pory spędziliśmy razem, a było ich cztery czy pięć, przebiegały według tego samego schematu.

- Co masz na myśli?

- Za każdym razem zastawiam na ciebie pułapkę, odcinając wszystkie drogi ucieczki. Potem muszę cię długo prosić, szantażować lub apelować do twego sumienia, żebyś w ostatniej chwili nie zrezygnowała. A kiedy w końcu udaje mi się zaciągnąć cię do restauracji, przez cały czas mnie dręczysz. Wreszcie zabieram cię do domu, ty żegnasz się ze mną na dole i wyskakujesz z samochodu tak szybko, jakbyś spieszyła się na spotkanie z innym facetem. I ty to nazywasz szansą?

- Dlatego niektórym trudno zrozumieć, co ty właściwie we mnie widzisz. Ale my oboje doskonale znamy odpowiedź na to pytanie. Jestem przecież córką Vincenta Benedicta.

Hach nie wykazał specjalnego zainteresowania tym mało wysublimowanym szyderstwem. Uśmiechnął się tylko pytająco.

- Sądzisz, że interesuję się tobą wyłącznie z powodu firmy?

- W dużej mierze tak - odparła Jessie z westchnieniem.

- Ta firma nas tylko zbliżyła. I bardzo mi na niej zależy.

Ale nie ożeniłbym się z tobą, gdyby nie zależało mi tak bardzo również na tobie. A w to chyba nie wątpisz.

Jessie zabrakło tchu i drgnęła tak mocno, że rozsypała herbatę na ladę.

- Cholera.

- Uspokój się, Jessie.

Zawsze ci się udaje wyprowadzić mnie z równowagi. - Wiem - odparł cicho.

Chyba się nie spodziewasz, że będę traktować poważnie człowieka, przy którym czuję się jak ostatnia fajtlapa. - Jessie wsypała kolejną łyżeczkę herbaty do czajniczka i sięgnęła po gwizdzący czajnik.

- Jessie, bardzo cię proszę. Przecież wiesz, że czujemy do siebie sympatię. I oboje mamy na względzie interesy *Benedict Fasteners*. Dlaczego nie chcesz mi dać szansy?

Dziewczyna oparła się o ladę i wbiła wzrok w imbryczek.

- Dobrze. Odpowiem ci, ale wątpię, czy będziesz zadowolony.

- Możesz przecież sprawdzić.

- Przyznaję, że mnie pociągasz, ale nie zamierzam się w nic angażować. Nie będę traktować cię poważnie, a już na pewno nie wyjdę za ciebie za męża, choć tyle osób uważa, że to taki wspaniały pomysł.

- Bo?

Jessie wzięła głęboki, równy oddech. - Bo jesteś kopią mojego ojca.

Przez chwilę rozważał w milczeniu jej słowa. - Nie - powiedział w końcu. - Wcale nie.

- Rzeczywiście. Pod wieloma względami jesteś znacznie gorszy. Masz trudniejszy charakter. Praca pochłania cię w jeszcze większym stopniu niż jego. jeżeli to w ogóle możliwe. On nie bez powodu rozwodził się już dwa razy. I wcale nie dlatego, że jest kobieciarzem. Nie zamieniał również starszej żony na młodszą, bo chciał czuć się silny i wspaniały. Za każdym razem poślubiał cudowną kobietę, z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Gdyby udało mu się postawić na swoim, nadal byłby żonaty.

- Wiem.

- Connie i Lillian na pewno by ci powiedziały, że wyszły za niego za męża, bo nie mogły mu się oprzeć. Czują, że są dla niego najważniejsze. Ale potem obie od niego odeszły, bo po ślubie mój ojciec wracał do swojej prawdziwej miłości czyli do firmy.

- To niedojrzały i egoistyczny punkt widzenia, prawda? Żadna kobieta nie powinna oczekiwać, że będzie jedynym obiektem zainteresowania swego męża. Prowadzenie takiego przedsiębiorstwa jak *Benedict Fasteners* pochłania wiele czasu i energii. Sama przecież wiesz.

- Zbyt wiele czasu i energii, jeśli o mnie chodzi. Hannie i Lilian powiedziałyby ci, że miały dość rywalizowania z firmą. Nie zamierzam powielać tego błędu. Nie zwiążę swojego życia z człowiekiem, dla którego zawsze najważniejszy jest interes.

- Jessie!

- Mój ojciec jest pracoholikiem. Ty również. A tacy nie są najlepszymi ojcami rodzin. Nikt tego nie wie lepiej ode mnie.

- Nie podzielam twoich poglądów. Są zbyt ekstremalne. Hatch udawał idiotę, co doprowadziło ją do szału.

- Nie rozumiesz? Jeśli kiedykolwiek zdecyduję się na małżeństwo, to tylko z takim mężczyzną, który będzie dbał bardziej o mnie niż o budowanie firmy. Chcę, żeby mój mąż uważał występy naszych dzieci za tak samo ważne jak spotkanie z klientem. Pragnę takiego partnera, który będzie wiedział, że życie jest krótkie, a ludzie, szczególnie zaś rodzina, liczą się o wiele bardziej niż interesy.

- Spokojnie, Jessie. Nie nakręcaj się tak.

- Chciałeś pogadać. - Nie zdawała sobie sprawy, że podnosi głos. Sięgnęła po jeden z kubków. - Zadałeś mi pytanie, a ja na nie odpowiadam. Co więcej, wcale nie skończyłam. Pragnę jeszcze, żeby mój mąż miał w żyłach krew zamiast wody. Musi doznawać normalnych, ludzkich uczuć i nie bać się ich okazać. Ty jesteś zawsze taki spokojny i opanowany. A ja marzę o kimś, kto ...

- Wystarczy.

Przerwała natychmiast, gdy zobaczyła, że Hatch wstaje. Kiedy już pokonał dzielącą ich odległość, robiąc tylko dwa kroki naprzód, Jessie przestraszyła się i upuściła kubek. Hatch znalazł się tuż przy niej, gdy kubek potoczył się na blat i wpadł do zlewu. Położył jej na ramionach swoje ręce artysty i przyciągnął ją do siebie z przerażającą delikatnością.

- Myślę - powiedział zbliżając wargi do ust dziewczyny - że najbardziej nie zgadzam się z tą wodą zamiast krwi. Pocałuj mnie, Jessie. Jessie otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i stała jak słup soli, nie spuszczając z niego wzroku. Hatch nigdy przedtem jej nie przytulał. A gdyby go posłuchała, byłby to ich pierwszy pocałunek. Poczwała, że za chwilę ugnie się zupełnie pod ciężarem tej chwili.

- Chciałam ci coś wytłumaczyć.

- Pocałuj mnie - zażądał ponownie. Mówił wciąż tak samo spokojnie, choć oczy podejrzanie mu błyszczały. Sama sprawdź, co utrzymuje mnie przy życiu.

- Hatch ... - Jessie porzuciła wszelką ostrożność. Czwała, że nigdy spokojnie nie spocznie w grobie,

jeśli choć raz nie pocałuje Sama Hatcharda. Napięcie, jakie w niej narosło przez te ostatnie parę tygodni, musiało znaleźć jakieś ujście.

Z cichym, bolesnym okrzykiem zarzuciła mu ręce na szyję, po czym wspięła się na palce i przywarła ustami do jego ust. W pierwszej chwili odniosła wrażenie, że stoi na brzegu krateru i zagląda do środka. Intuicja nie na darmo ją ostrzegła, że w samym sercu wulkanu kipi rozpalona lawa. Tam wewnątrz z pewnością palił się ogień, lecz czuwał nad nim jakiś przeraźliwy stwór i otaczało go kilka warstw oblodzonych kamieni. A ona była jak ćma tańcząca wokół płomienia.

Hatch z zadziwiającą łatwością przejął kontrolę nad pocałunkiem. Jessie nie wiedziała dokładnie, kiedy to ona przestała go całować i sama zaczęła być całowana. Zaciskając dłonie na ramionach dziewczyny, przytulał ją coraz mocniej, a ona czuła napór twardych mięśni jego ud. Siła tego mężczyzny zniewoliła ją i zachwycała.

Dominującym wrażeniem Jessie była jednak świadomość, że Hatch panuje nad sobą w sposób doskonały. Do tej pory nie wiedziała, czego się spodziewać. Być może jakiegoś dowodu potwierdzającego jej przypuszczenia, że Hatch jest równie zimny seksualnie jak w innych sferach życia. Takie odkrycie z pewnością uspokoiłoby burzę sprzecznych uczuć, jakie do niego żywiła.

Rzeczywistość położyła kres wszelkim spekulacjom. Gdyby okazało się, że Hatch jest istotnie wyzuty z wszelkich emocji, Jessie nie miałyby powodów do niepokoju. Ten mężczyzna miał jednak ognisty temperament, nad którym, co gorsza, sprawował pełną kontrolę.

Dziewczyna zadygotała. Przerażona, natychmiast zaczęła go odpychać, ale Hatch nie stawiał oporu. Spojrzał na nią tylko z rozbawieniem. Wiedział wszystko, czyli o wiele za dużo. Oddychał zupełnie normalnie - spokojnie i równomiernie, jak zawsze. Jessie cofnęła się czując, że drżą jej usta. Zagryzła wargę, by odzyskać panowanie nad sobą, majestatycznym krokiem podeszła do kredensu i zdjęła z półki kolejny kubek.

- No i co, Jessie?

- Lepiej już idź. - Trzęsącymi się rękami naląła herbatę.

Czekał jeszcze chwilę, ale w końcu odwrócił się bez słowa i wyszedł z kuchni, a potem z mieszkania. Gdy wreszcie zatrzasnął za sobą drzwi, Jessie oparła się ciężko o kredens, przymknęła oczy i wypijała duszkiem gorący napar. Gdy następnego dnia Jessie przyszła do pracy, od razu zobaczyła, że po korytarzu krąży zaniehbana kobieta o zmartwionym wyrazie twarzy. Perspektywa przyjęcia prawdziwej klientki wprowadziła ją w stan takiej euforii, że o mało nie upuściła klucza.

- Bardzo przepraszam - powiedziała. - Długo pani czeka? Pani Valentine niestety nie ma, ale może ja będę w stanie pomóc.

- Nazywam się Martha Attwood. - Kobieta rozejrzała się niespokojnie. - Byłam umówiona.

- Naprawdę? - Jessie otworzyła drzwi i weszła do gabinetu. - Jestem asystentką pani Valentine. Nie pamiętam, żebym panią zapisywała.

- Przedwczoraj dzwoniłam do niej do domu. - Pani Attwood wkroczyła wolno do pokoju z taką miną, jakby spodziewała się zobaczyć kryształowe kule na stołach i grube kotary w oknach. - Mówiłam pani Valentine, że jeszcze nie wiem, czy skorzystam z jej usług. Kazała mi przyjść rano. Miałyśmy tylko porozmawiać.

- Oczywiście. Proszę usiąść. Może kawy?

- Nie, dziękuję. - Kobieta przycupnęła na krześle, ściskając w ręku torebkę. Znów powiodła wzrokiem po pokoju. - Właściwie nie wierzę w takie rzeczy. Niemądra paplanina i tyle. Ale nie wiem, do kogo się zwrócić. Jestem zrozpaczona, a policja twierdzi, że nie może mi pomóc. Niby nie

została popełniona żadna zbrodnia, ale moja córka ... - Twarz skurczyła się jej boleśnie. - Proszę mi wybaczyć.

Jessie wyskoczyła zza biurka i podsunęła jej paczkę chusteczek higienicznych.

- Nic nie szkodzi.

Martha Attwood siąknęła parę razy, wytarła nos i wrzuciła zużytą chusteczkę do torebki.

- Bardzo przepraszam. Ostatnio żyję w ciągłym napięciu.

- Rozumiem.

- Tak świetnie jej szło w college'u. Miałam naprawdę powody do dumy.

Studiowała informatykę. - Kto studiował informatykę?

- Moja córka, Susano Zawsze była bardzo dojrzała jak na swój wiek. Już jako dziecko. Taka spokojna. Pracowita. Rozsądna. Nigdy nie pakowała się w żadne tarapaty. Nawet by mi do głowy nie przyszło, że może zrobić coś podobnego. Czuję się tak, jakby ode mnie uciekła. Zupełnie jak Harry.

- Ale gdzie ona właściwie jest? - Jessie przysiadła się bliżej.

- Wstąpiła do jakiejś sekty. Oni działają na północno-wschodnim wybrzeżu. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Ostatni list wysłała stąd, z Seattle. Boże! Nie mogę w to uwierzyć! jak ona mogła się wplątać w taką historię? Martha Attwood sięgnęła po następną chusteczkę.

- Pozwoli pani, że zapytam wprost. Czy pani wie, gdzie jej szukać?

- Niezupełnie. Wiem tylko, że rzuciła college i wstąpiła do JUN.

- JUN?

- Jutrzenka Nadziei. To jakaś sekta, która wierzy, że ludzkość całkowicie zniszczy środowisko i wszyscy umrzemy. Ale ludzie z JUN potrafią nas ocalić.

- Nigdy o nich nie słyszałam.

- Susan pisała, że nie wolno jej zdradzać żadnych szczegółów, bo Fundacja JUN nie życzy sobie rozgłosu, cokolwiek by to miało oznaczać.

- A co ona właściwie robi?

- Nie mam pojęcia. - Pani Attwood jęknęła. - Na pewno ją wykorzystują. Bóg raczy wiedzieć, do czego ją zmusili. Przecież ona robiła dyplom z informatyki.

Dostałaby dobrą pracę. Czekaloby ją wspaniałe życie, nie takie jak moje. W głowie mi się to wszystko nie mieści. Przyszłam tu, bo nic mi innego nie pozostało. Nie stać mnie na prywatnego detektywa.

Jessie zmarszczyła w zamyśleniu brwi i poklepała panią Attwood po rękę.

- Nie wierzy pani przecież w zdolności pani Valentine. Dlaczego pani do niej zadzwoniła?

Kobieta znów wytarła nos.

- Ponieważ na czele JUN stoi niejaki doktor Edwin Bright. Z pewnością szarlatan. Udało mu się przekonać moją córkę i wielu innych naiwnych młodych ludzi, że potrafi przepowiadać przyszłość i w dodatku ją zmieniać.

Gdyby pani Valentine udało się zdemaskować tego człowieka, może Susan przestałaby mu ufać.

- Wierzy pani w teorię pokrewnych dusz? - spytała Jessie z przekąsem.

Pani Attwood skinęła głową i pociągnęła żałośnie nosem.

- Wydawało mi się, że ... eee ... specjalistka, taka jak pani Valentine, będzie znała wszystkie sztuczki, za pomocą których Biggles nabierał ludzi. Ona sama też z pewnością je stosuje.

- Pani Valentine ma prawdziwy talent - zjeżyła się Jessie. - Nie jest żadną oszustką.

- Ale mnie to naprawdę nie obchodzi - powiedziała pospiesznie pani Attwood. - Tak czy inaczej, rozpozna przecież szalbierza, prawda? I ukaże go we właściwym świetle. Bo Edward Biggles jest bez wątpienia oszustem.

- Nie wiem, czy możemy pani pomóc. Pani Attwood chwyciła Jessie za ramię.

- Błagam panią. To moja ostatnia szansa. Zapłacę, jeśli pani Valentine udowodni, że Biggles ich po prostu okłamał. Poprosi ją pani? Nie jestem bogata, ale zapłacę. Przysięgam.

Rozpacz kobiety udobruchała trochę Jessie. Nie potrafiła odmówić komuś, kto najwyraźniej stał nad przepaścią. Poza tym pani Attwood była przecież potencjalną klientką.

- Nie wiem, czy dokładnie panią zrozumiałam - powiedziała ostrożnie. - Nie chodzi pani o usługi prawdziwego medium. Chce pani tylko, żeby nasza firma udowodniła, że człowiek, który założył sektę Jutrzenka Nadziei, jest zwykłym kłamcą. Zgadza się?

- Tak. Dokładnie tak.

- Mhm. - Jessie uświadomiła sobie z rosnącym podnieceniem, że sama może zająć się Bigglosem. Przecież klientce nie zależało na pomocy jasnovidza. Sukces w takiej sprawie dodałby splendoru firmie i otworzył przed nią nowe możliwości. Dziewczyna uznała, że nadszedł najlepszy moment, by rozszerzyć działalność konsultacyjną o dochodzenia.

- A więc pomoże mi pani? - spytała prosząco pani Attwood.

- Zdaje pani sobie oczywiście sprawę, że nawet jeśli udaje się zdemaskować takiego fałszywego proroka, członkowie sekt nie przestają w niego wierzyć. - Jessie poczuła się zobowiązana do wyjaśnień. - Więc nawet jeśli szczęśliwie uda nam się udowodnić Bigglesowi szalbierstwo, Susan nie przyjmie tego do wiadomości. Rozumie pani, o co mi chodzi?

- Tak, oczywiście, ale trzeba spróbować. Muszę wyrwać córkę z jego szponów.

- W porządku - powiedziała Jessie pod wpływem nagłej emocji. - firma przyjmuje sprawę.

Pani Attwood nie dostrzegła zapału dziewczyny.

- Dziękuję. - Otworzyła torebkę. - Przyniosłam parę rzeczy. Zdjęcie Susano Jej ostatni list.

Niewiele. jeśli będzie potrzebowała pani czegoś jeszcze, proszę dać mi znać. Pierwsza prawdziwa sprawa. Jessie popatrzyła na fotografię dziewczyny, która nie wyglądała na więcej niż dwadzieścia lat. Nosiła okulary, a włosy miała związane w koński ogon. Susan Attwood. W jej spojrzeniu było coś niewinnego, a nawet naiwnego. Dziewczyna sprawiała wrażenie prowincjuszki zagubionej w wielkim mieście.

- Pozostaniemy w kontakcie. Proszę się nie martwić.

Zaraz się wszystkim zajmę. Zacznę od rozmowy z panią Valentine.

- A gdzie ona jest? - pani Attwood zerknęła na drzwi prowadzące do drugiego pokoju.

- Bardzo się wczoraj potłukła i musi dojść do siebie.

- O mój Boże. jest pani pewna, że będzie mogła mi pomóc?

- Proszę zostawić to mnie. jestem asystentką pani Valentine i odpowiadam teraz za firmę.

Pani Attwood zrobiła trochę przerażoną minę i odchrząknęła.

Da pani sobie radę?

- Oczywiście. Może pani być zupełnie spokojna. jestem stworzona do takich rzeczy. Mam to po prostu we krwi.

Irene Valentine zmartwiła się jeszcze bardziej niż pani Attwood. Leżała na białych poduszkach i słuchając opowieści Jessie, cały czas kręciła głową.

- Nie wiem, Jessie. Kiepsko mi to wygląda. Jessie popatrzyła na nią z radosnym zdumieniem.

- Wygląda? A więc odzyskała pani swoje zdolności?

- Nie, nie. Nie trzeba specjalnych zdolności, żeby wyczuć kłopoty na horyzoncie. Wystarczy odrobina zdrowego rozsądku. A mój wyraźnie mi podpowiada, że sekty znajdują się poza strefą naszych zainteresowań.

- Ależ proszę pani! Ta sprawa mogłaby bardzo poprawić wizerunek firmy.

- Nigdy nie miałam do czynienia z takimi sprawami.

Sama zresztą wiesz. Pomagamy ludziom, którzy mają zmartwienia. Albo takim, którzy nie bardzo wiedzą, jak powinni postąpić. Staramy się, żeby przestali się bać przyszłości i zyskali odrobinę pewności siebie. Jesteśmy raczej terapeutkami, a nie detektywami.

- Przecież mamy okazję rozwinąć interes - upierała się Jessie. - Proszę! Powiedziałam jej, że przyjmujemy sprawę. Sama się wszystkim zajmę. I wcale nie zamierzam nikogo oszukiwać. Pani Attwood nie zależało na jasnowidzu. Ona chce tylko udowodnić, że Bright to szarlatan. Nic prostszego!

- Mylisz się. Tacy ludzie są niezwykle przebiegli. - Pani Vallentine zmrużyła oczy. - Widzę, że aż się palisz do pracy.

- Będę wreszcie miała okazję, żeby się sprawdzić. Proszę mi pozwolić trochę powęszyc. Jeśli dojdę do wniosku, że nie dam rady, powiem pani Attwood, żeby zgłosiła się do kogoś innego. No jak, zgoda?

- Gdybym miała choć trochę rozumu, powiedziałabym nie.

- Proszę! Mam dobre przecucia. Wiem, że dam sobie radę.

- Tak się złożyło, że uderzyłam się w głowę i nie jestem w stanie jasno myśleć. W porządku. Pokręć się trochę. Spróbuj dowiedzieć się jak najwięcej o tej fundacji i panu Bright - powiedziała pani Valentine z westchnieniem i utkwiała w Jessie twarde spojrzenie. - Ale nie posuwaj się dalej, rozumiesz? Muszę znać każdy twój krok i proszę cię, nie rób głupstw. Nie wiemy, o co tu chodzi, i nie wolno ci ryzykować.

- Proszę się nie martwić. Będę bardzo ostrożna. - Jessie uśmiechnęła się.

- Dlaczego wyczuwam, że wisi nad nami jakieś fatum?

- Może jest pani jasnowidzem? - Jessie pożałowała swego żartu natychmiast, gdy zobaczyła łzy w oczach pani Valentine. - Boże, przepraszam. Nie chciałam pani urazić. Oczywiście że jest pani jasnowidzem i odzyska pani swe zdolności, kiedy tylko pani wyzdrowieje. Na pewno.

- Mam nadzieję. - Pani Valentine otarła łzy i uśmiechnęła się słabo. - Czuję się tak, jakby mi czegoś brakowało. Co za okropność!

- Wyobrażam sobie. Uważa pani, że ktoś panią wtedy popchnął?

- Sama już nie wiem, co myśleć. Lekarz tłumaczył mi, że po urazach głowy ludzie tracą pamięć. A policjanci byli naprawdę bardzo mili. Jeden nawet przyszedł dziś rano i zapewnił mnie, że w domu nie było nikogo obcego. Siostra twierdzi, że nic nie zginęło. Wszystko leżało na swoim miejscu. Widocznie rzeczywiście potknęłam się i upadłam.

Jessie skinęła głową.

- Szczerze mówiąc, też tak uważam. Zresztą już sarno podejrzenie, że ktoś mógł panią napaść, przygotowuje mnie o gęsią skórę.

- Wcale się nie dziwię. Najlepiej zmieńmy temat. Jak ci się udała wczorajsza randka?

- Zgodnie z przewidywaniami przeżyłam prawdziwy koszmar. - Jessie zdobyła się na uśmiech. - Widzi pani, ja też potrafię wróżyć.

- Tak - powiedziała pani Valentine ze śmiertelną powagą. - Całkiem możliwe. Już od dawna podejrzewam, że masz naturalną intuicję, której jednak nie udało ci się w pełni rozwinąć.
- Naprawdę? - spytała Jessie zdziwiona.
- Dlatego właśnie cię zatrudniłam. Problem polega na tym, że nie bardzo wiem, jakiego rodzaju zdolności posiadasz. Bez urazy, ale czasem dosyć dziwnie rozumujesz.
- Moi poprzedni pracodawcy wyrażali podobną opinię.

Rozdział 3

Jessie popatrzyła na swoją przyrodnią siostrę, która stała obok niej w recepcji *Benedict Fasteners*. Elisabeth Benedict - dziewczynka ze starannie przystrzyżonymi, ciemnymi, kręconymi włosami i poważnymi zielonymi oczyma patrzącymi zza grubych soczewek okularów - uśmiechnęła się do niej nieśmiało i pociągnęła za trzymane w ręku sznurki przywiązane do kilku wypełnionych helem balonów, które podskakiwały wesoło nad jej głową.

Jessie spojrzała na zadbaną kobietę w średnim wieku siedzącą przy biurku.

- Nie ma żadnych spotkań w czasie lunchu?
- Już ja się o to postarałam. Tak samo jak w zeszłym roku. Nawet się nie domyśla.
- Dzięki, Grace. Nie dałybyśmy sobie rady bez ciebie. Dobra, Elisabeth. Chodźmy. - Jessie podniosła wyżej ogromny kosz kwiatów i zastukała do obitych boazerią drzwi.
- O co chodzi? - wrzasnął Vincent. - Mówiłem przecież, że nikogo nie przyjmuję!

Uśmiech Elisabeth zgasł natychmiast, a jej oczy za grubymi szklami przybrały wyraz nieśmiałości. Dziewczynka zerknęła niepewnie na siostrę.

- Nie przejmuj się - poradziła Jessie. - Krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje. On jak zwykle nie pamięta o swoich urodzinach. Kiedy wreszcie pojmie, o co chodzi, na pewno się rozchmurzy.

Chodź. - Jessie pchnęła drzwi i wparadowała do pokoju.

Vincent Benedict miał żądzę mordy w oczach.

- Co jest, do diabła? Mówiłem ... Ach, to wy? Co tu robicie?
- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. - Jessie postawiła kosz na biurku. - Przyszliśmy zaprosić się na lunch.

- Dobry Boże! Iak ten czas leci! - Vincent zdjął okulary i popatrzył na całe mnóstwo kwiatów i balonów. Gdy przeniósł wzrok na córki, miał już znacznie pogodniejszy wyraz twarzy. - A ty nie powinnaś być w szkole, Elisabeth?

- Oczywiście że tak - przyznała dziewczynka poważnie. - Ale Jessie napisała do nauczycielki, że muszę pójść na bardzo ważne spotkanie. Moja wychowawczyni zawsze jej wierzy.

- Mam talent do wymyślania wykrętów. - Jessie odplątała sznurki z dłoni siostry i przymocowała je do lampy. Unoszące się nad ogromnym biurkiem balony nie pasowały zupełnie do poważnej atmosfery panującej w gabinecie Vincenta. - Fajny pomysł, prawda?

To Elisabeth postanowiła kupić ojcu balony.

- Myślałam, że nikt ci nie kupi balonów. Podobają ci się? - Elisabeth czekała z niepokojem na odpowiedź.

Jessie spojrzała ojcu prosto w oczy, ściągając na siebie jego uwagę. Zawsze zachowywała się w podobny sposób w takich sytuacjach. Od lat czuwała nad tym, by Vincent przypadkiem nie uraził uczuć dziewczynki, tak jak kiedyś ranił jej własne, gdy była jeszcze dzieckiem.

Vincent udał, że nie dostrzega jej spojrzenia. Patrzył na balony z zamyśloną miną.

- Pewnie, że fajny. Masz absolutną rację. Nikt poza tobą nie kupił mi balonów na urodziny. Kwiatów również nie dostałem. - Dotknął jednego z pąków. - Dziękuję wam, moje drogie panie. Zdaje się, że wspominałyście coś o lunchu.

- Pizza albo hamburgery. Wybieraj. - Jessie przycupnęła na brzeжку krzesła. - My stawiamy.

Vincent zerknął na kalendarz.

- Najpierw sprawdzę mój harmonogram. Wydawało mi się, że mam jakieś spotkanie.

Elisabeth wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Jessie poprosiła Grace, żeby cię z nikim na dzisiaj nie umawiała.

- Naprawdę? Znowu spiskujecie? - Vincent przeniósł pytający wzrok na Jessie.

- Każdy sposób jest dobry - mruknęła, dotykając jednego z pąków wspaniałej różowej lilii.

- Do cholery! W końcu są moje urodziny! - Vincent odwrócił się do Elisabeth.

- Pizza albo hamburgery, tak trudny wybór. Ale chyba zdecyduję się na pizzę. Jessie odprężyła się. Bitwa została wygrana. W tym roku nawet nie było tak strasznie. Dawniej toczyła z ojcem znacznie cięższe boje. Może jednak Vincent powoli dojrzywał. Spojrzała na siostrę.

- Słyszałaś? Powiedział, że pizza. Prawdziwa męska decyzja. Tata jest z całą pewnością człowiekiem czynu.

- Masz cholerną rację - zgodził się Vincent, a Elisabeth zaczęła znowu chichotać.

Drzwi gabinetu otworzyły się na oścież, zanim Benedict zdążył wstać. Wszyscy odwrócili się do stojącego w drzwiach mężczyzny.

- Ktoś umarł? - spytał Hatchard, patrząc na kolorowy bukiet.

- Jeszcze nie. - Vincent Benedict sięgnął po marynarkę.

- Na razie to tylko kolejne urodziny. Córki zaprosiły mnie na lunch. A ja, dziwnym zbiegiem okoliczności, nie jestem teraz z nikim umówiony.

- Możesz pójść z nami, jeśli chcesz - zaproponowała nieśmiało Elisabeth. Jessie uśmiechnęła się wyniośle.

- Jestem pewna, że Hatch ma inne plany. Na pewno musi osobiście dopilnować ważnych kontraktów, które przyniosą firmie ogromne zyski. Prawda? Hatch patrzył na nią w zamyśleniu, bezmyślnie uderzając folderem o framugę okna.

- Myślę, że mógłbym się urwać na jakąś godzinę. Chyba że Vincent woli zaanektować obie panie wyłącznie dla siebie. Zerknął na Benedicta.

- Oczywiście że nie. Przecież mamy aż dwie kobiety.

W sam raz dla nas. Chodź z nami. Jessie i Elisabeth fundują.

- W takiej sytuacji trudno mi odmówić.

- Idziemy na pizzę - ostrzegła Jessie, czując, że serce podchodzi jej do gardła. Oczami wyobraźni widziała, jak komputer w głowie Hatcha dokonuje zmian w jego planach na to popołudnie. Co najważniejsze, to najważniejsze. A punktem numer jeden było uwodzenie Jessie Benedict, nawet gdyby groziło to godzinną przerwą w pracy na zjedzenie pizzy.

- Będę się bardzo starał, żeby nie poplamić krawata sosem pomidorowym - powiedział poważnie Hatch. Jessie zmrużyła oczy i doszła do wniosku, że on wcale nie żartuje.

- A Jessie opowie nam o swojej klientce - oznajmiła Elisabeth. - Będzie dla niej pracować, dopóki pani Valentine nie wyjdzie ze szpitala.

- Naprawdę? - Hatch uniósł żartobliwie brwi. - Pomożesz staruszce pogadać z cieniem drogiego

męża nieboszczyka? Czy też wykurzysz złego ducha z gabinetu odnowy?

- Nie - odparła Jessie, głęboko dotknięta tym nie skrywanym sarkazmem. - Zamierzam uratować młodą dziewczynę, która została porwana przez jakąś zwariowaną sektę.

Protekcjonalny uśmieszek Hacha momentalnie ustąpił miejsca niedowierzaniu.

- Akurat!

Hatch miał w pierwszej chwili wrażenie, że Jessie jak zwykle się z nim droczy, żeby go podpuścić. Jeśli tak było w istocie, tym razem - co musiał przyznać z wielką niechęcią - udało się jej osiągnąć cel.

Ale gdy usiadł obok Elisabeth przy stoliku w pizzerii i słuchał sprawozdania Jessie, zrozumiał, że ona wcale nie żartuje. Vincent wściekł się na nią, ale zupełnie nie wiedział, jak ją powstrzymać.

Wyraził jedynie swoją głęboką dezaprobatę, lecz to nie wystarczyło. Hatch rozejrzał się cichaczem. Czuł się dziwnie nieswojo w tym lokalu o wyjątkowo krzykliwym wystroju wnętrza. Wprawdzie poza nim i Vincentem w pizzerii siedziało jeszcze paru mężczyzn w garniturach, ale pochodziły one najwyraźniej z zupełnie innych sklepów.

Hatchard wiedział, że Vincent zamierzał pracować w porze lunchu. Zwykle kazał zamawiać jedzenie do biura, chyba że planował jakieś spotkanie w interesach. W takich przypadkach zabierał swoich gości do klubu. Hatch postępował dokładnie według takiego samego schematu.

Tego dnia jednak obaj siedzieli w pizzerii i słuchali, jak Jessie przedstawia im mocno naciąganą koncepcję ocalenia jakiejś idiotki, która dała się oszukać sekciarzom. A Jessie Benedict nie miała przecież zielonego pojęcia o sektach.

Jessie i Elisabeth najwyraźniej zupełnie nie wzięły pod uwagę faktu, że - realizując swój zwariowany plan - nie mogą liczyć na wsparcie żadnego mężczyzny. Hatch przysłuchiwał się uważnie, jak dyskutują, od czego należy rozpocząć dochodzenie.

- Najlepiej od biblioteki - stwierdziła poważnie Elisabeth. - Możesz sprawdzić w katalogu, czy nie mają przypadkiem artykułów na temat jutrzeńki Nadziei i jej proroka.

- Dobry pomysł - odparła Jessie połykając pizzę i natychmiast spojrzała na ojca. - Pewnie nigdy o nich nie słyszałeś, prawda?

- Oczywiście że nie, do jasnej cholery! To jacyś rąbnięci obrońcy drzew czy coś w tym stylu.

Trzymaj się od nich z daleka. Nawet nie wiesz, w co się pakujesz.

- Zamierzam tylko zadać im kilka pytań i zobaczyć, co mi się uda ustalić.

- Miałaś być asystentką wróżki - zauważył zimno Hatch - a nie prywatnym detektywem bez licencji. Naucz się lepiej czytać z fusów i szklanych kul. Dochodzenia w sprawie sekt wykraczają poza zakres twoich obowiązków. A zwłaszcza demaskowanie hochsztaplerów, bo oni nie są szczególnie mili dla tych, którzy starają się udowodnić im oszustwo. Możesz niechcący otworzyć prawdziwą puszkę Pandory.

Jessie i Elisabeth wymieniły między sobą znaczące spojrzenia.

- Nie masz przypadkiem wrażenia, że zaprosiliśmy na lunch gderliwych nudziarzy?

Elisabeth uśmiechnęła się szeroko.

- Sama mówiłaś, że oni nie umieją cieszyć się życiem.

- No i miałam rację. - Jessie wycelowała w nich widelec z kawałkiem pizzy. - Lepiej uważajcie, bo sobie pójdziemy i zostawimy was z tym rachunkiem.

- Porozmawiamy później - odparł Hatch, widząc zagniewaną minę Vincenta.

- Naprawdę nie chciałam was nudzić - wycedziła Jessie. - Lepiej zmieńmy temat. Vincent zerknął na

Hatcha.

- To jej najdziwszy pomysł - powiedział.

- A mnie się wydaje, że bardzo zabawny - wtrąciła lojalnie Elisabeth.

Hatch popatrzył na nią w milczeniu. Dziewczynka była niewątpliwie inteligentna, choć wyjątkowo nieśmiała. Pomyślał, że Elisabeth będzie kiedyś leczyć rzadkie choroby lub podróżować po dżungli w poszukiwaniu egzotycznych roślin. Zrozumiał również, że Jessie dba, by małej udało się zbliżyć do ojca.

Hatch wiedział, jaką rolę pełni Jessie w tej rodzinie. Działała jak pośrednik - ktoś, kto usiłuje związać Vincenta z resztą klanu i odwrotnie. Zrozumiał, że misją dziewczyny stało się podtrzymywanie kontaktów rodzinnych. Praca zarobkowa była dla niej wyłącznie zajęciem dorywczym. Hatchard zastanawiał się, dlaczego nikt - z Benedictem włącznie jeszcze nie zdołał tego zauważyć.

- Nie zapomnij, że masz jutro o dziesiątej przyjechać po Elisabeth i zabrać ją na konkurs.

- Nie zapomnę. Mam to zapisane w kalendarzu .- odparł Vincent i spojrzał na swoją młodszą córkę. - Zamierzasz zdobyć pierwsze miejsce?

- Może - powiedziała Elisabeth z fałszywą skromnością i nagle zmarszczyła brwi. - Chyba że nagrodę dostanie Eric Jerkface.

- A któż to taki? - spytał Hatch z zaciekawieniem.

- Pupilek nauczycielki przedmiotów ścisłych. Wygląda jak dziecko z reklamy i strasznie się podlizuje. Wiesz, o co mi chodzi?

- Oczywiście że wie. - Jessie uśmiechnęła się szyderczo do Hatcha. - On też ma świetne podejście do ludzi. Prawda, Hatch?

- Prawda - odparł, miażdżąc ją wzrokiem. - A co przy gotował Jerkface? -zapytał dziewczynkę.

- Coś na temat istot pozaziemskich.

- Nikt nie udowodnił, że na innych planetach istnieje życie - stwierdziła Jessie z oburzeniem. - jak można wybrać taki temat?

- Eric namówił nauczycielkę, żeby się zgodziła.

- I tak z nami nie wygra. Członkowie jury pogubią skarpetki na widok twojej analizy odpadków.

Zgadzasz się ze mną, tato?

- Jasne - zagrzmiał Vincent i spojrzał groźnie na swą młodszą latorośl. - Mam nadzieję, że nie zapiszesz się do tych obrońców ekologii?

- Nie ekologii, tatusiu, tylko środowiska - powiedziała szybko Jessie. - A Elisabeth nie wybrała jeszcze kierunku studiów.

- Nie. Wciąż się nad tym zastanawiam - odparła dziewczynka i zajęła się pizzą.

- Masz czas. Tylko nie myśl tak długo jak Jessie mruknął Vincent.

- Ciekawe, czy Bright rzeczywiście zajmuje się ekologią, czy też jest po prostu zwykłym oportunistą i oszustem.

- Wszystko jedno - odparł Hatch. - To nie twój interes.

- Wręcz przeciwnie. - Jessie uśmiechnęła się promiennie. - To jest mój interes. Pracuję, żeby zarobić na życie. Powinniście być zadowoleni. już ponad miesiąc utrzymuję się na tej posiadzie.

- Oszaleję - jęknął Vincent. Jessie znów popatrzyła na siostrę.

- Coś ci powiem. Zasłużyłaś na pierwszą nagrodę, a jeśli nawet otrzyma ją Eric Jerkface, wszyscy będziemy wiedzieli, dlaczego.

Hatch sięgnął po ostatni kawałek pizzy. - Nawet nie widziałaś jego pracy.

- Nieważne. Elisabeth i tak ma lepszą.

- Odnoszę wrażenie - powiedział z lekkim uśmiechem - że jak już raz weźmiesz czyjąś stronę, nie zmienisz zdania, nawet gdyby się waliło i paliło.

- Jessie jest rzeczywiście bardzo lojalna. - Vincent spojrzał surowo na córkę.

- Czasem aż do przesady.

- Lojalność nie jest wadą - sprzeciwił się Hatch. - To naprawdę bezcenny artykuł pierwszej potrzeby.

- Czyli można ją kupić i sprzedać? - spytała Jessie z zimnym uśmiechem. Hatch zacisnął palce wokół szklanki z wodą i wytłumaczył sobie filozoficznie, że lepsze to, niż udusić Jessie.

Pół godziny później Vincent wrócił do biura i opadłszy na ogromny skórzany fotel, wycelował w Hacha oskarżycielski palec.

- Jesteś odpowiedzialny za wszystkie kłopoty z Jessie - oznajmił.

- Ja?

- Tak, ty, cholera! Gdybyś jej stąd nie wylał, nie szwendałaby się teraz po żadnych sektach.

- Daj spokój. Postawiłeś mi za to drinka, pamiętasz?

Ona działała jak bomba z opóźnionym zapłonem. Siała zamęt wśród personelu. Gdybyśmy ją zatrzymali, zrujnowałaby firmę.

- Nie przesadzaj.

- Ani mi to w głowie - odparował Hatch. - Kierownicy działów dostali szału. Plotki rozchodzą się z szybkością błyskawicy. Każdy, kto chciał dostać parę dni wolnego, szedł do Jessie z odpowiednio łzawą historyjką i było po sprawie. Załatwiała wszystko.

Wolny piątek? Proszę bardzo. Wystarczyło pójść i powiedzieć, że znowu umarła ci babcia. Uważałeś, że pominięto cię przy awansie, bo szefowi nie podobał się twój nos? Nic prostszego. Walileś do niej jak w dym. Zawsze brała stronę pokrzywdzonych.

- Niech to szlag. - Vincent skrzywił się. - Rzeczywiście mogła nam narobić kłopotów.

- Pewnie. A w dodatku nikt nie śmiał jej krytykować, bo przecież była córeczką szefa. jeszcze trochę, a doprowadziłaby do kompletnej anarchii.

- Masz rację. Ale gdyby jednak nadal pracowała w naszej firmie, przynajmniej nie zajmowałaby się sektami.

Hatch podszedł do okna i milczał chwilę. - Może niepotrzebnie panikujesz.

- Nie panikuję, naprawdę bardzo się martwię. A poza tym, przyganiał kocioł garnkowi. Ty też się o nią boisz. Szczeka ci opadła, jak Jessie zaczęła mówić o tym śledztwie. Po raz pierwszy w życiu widziałem, że się denerwujesz. Uśmiełbym się do łez, gdyby nie chodziło o moją córkę.

- Dobrze. Ale może naprawdę nie powinniśmy aż tak szaleć. - Hatch odwrócił się i spojrzał Vincentowi prosto w oczy. - W najgorszym wypadku Jessie znajdzie siedzibę tej zgrai i zapyta o Susan Attwood. Albo będzie chciała rozmawiać z Brightem, bo tak go tam chyba nazywają.

- Pomyśl logicznie. Jak ty byś się zachował na ich miejscu?

Najprawdopodobniej dadzą jej delikatnie do zrozumienia, żeby pilnowała swojego nosa. Zorientują się natychmiast, że ona nie stanowi dla nikogo żadnego zagrożenia. Potraktują ją jak wścibską reporterkę i po prostu nabiorą wody w usta.

Vincent zastanowił się przez chwilę.

- Pewnie i racja, ale chciałbym, żeby Jessie dała sobie spokój z tą sprawą. Dlaczego ona nie może

sobie znaleźć jakiejś normalnej pracy?

- Bo jest inna niż wszyscy. - Hatch podszedł do biurka i spojrzał na wielki kosz kolorowych kwiatów. - Ona zawsze kupuje ci kwiaty na urodziny?

Vincent poszedł za jego wzrokiem i natychmiast złagodniał.

- To się zaczęło, kiedy Elisabeth przyszła na świat.

Miałem już wtedy poważne problemy z Connie, która zaczęła planować wspólny interes z Lillian.

Zabierało im to mnóstwo czasu. Jessie zajmowała się Elisabeth. Kiedyś przyszła do mnie do biura.

W jednej ręce trzymała kwiaty, a drugą obejmowała małą. Powiedziała, że zabiera mnie na obiad. I tak już zostało. Hatch dotknął ostrożnie płatka czerwonej lilii. Kwiat był jedwabisty, delikatny i lśnił jak wschodzące słońce. - Dziwne. Dawać kwiaty mężczyźnie ...

- Przyzwyczailem się już.

- Ja nigdy nie dostałem kwiatów.

- Nie martw się. Ożeń się z Jessie, to ci będzie kupować. A jak tam wczoraj poszło?

- Dopiąłem transakcję z Galowayami.

- Przecież wiem, cholera! jak ci poszło z Jessie?

- Nie zamierzam cię tak dalece wtajemniczać w moje życie osobiste. Ale jedno nie ulega żadnej wątpliwości: mam kiepską sytuację.

- Dlaczego?

- Bo ona uważa, że jestem zbyt podobny do ciebie.

- Pieprzysz. już chyba sam nie wiesz, co wymyślić. Przecież ona mnie lubi.

Hatch pamiętał jeszcze drżące wargi Jessie na swoich ustach i jej ramiona oplatające mu szyję.

- Mnie również lubi. Co nie znaczy, że uważa mnie za dobrego kandydata na męża. Mówi, że nie chce wychodzić za mąż za człowieka, którego bardziej obchodzi praca niż rodzina.

- Kobiety! Nie rozumieją wymagań, jakie stawia przed nami świat interesów. Zawsze chcą być na pierwszym miejscu. Powinny przecież rozumieć, że takie firmy jak nasza nie działają samoistnie. Sądziłem, że Jessie ma więcej zdrowego rozsądku.

- Obawiam się, że rzeczywiście nie jest to największa zaleta twojej córki. Vincent spojrzał na niego krzywo.

- Świetna z niej dziewczyna. Do diabła! Dziś przy lunchu trafiłeś w dziesiątkę. Ona naprawdę jest lojalna. W końcu zawsze robi to, co uznaje za najlepsze dla rodziny. Wiesz, na czym polega problem? W dalszym ciągu ją denerwujesz. Tak niestety jest. Chcesz mojej rady? Przestań wyprowadzać ją z równowagi.

- Rady? Od faceta po dwóch rozwodach? Daj spokój!

Wolę już wybrnąć z tego po swojemu. - Hatch przestał miętosić purpurowy płatek i ruszył do drzwi.

Gdy szedł do swego biura, w głowie pobrzmiwały mu wciąż słowa Vincenta. "W końcu zawsze robi to, co uznaje za najlepsze dla rodziny". Hatch bardzo na to liczył. Jak ci się udała wczorajsza randka? - zapytała Elisabeth, kiedy Jessie odwoziła ją do szkoły.

- Mówiłam ci, że to nie żadna randka, tylko kolacja w interesach. Jessie skierowała czerwoną Toyotę na most na jeziorze Washington. Miała tak poważną minę, jakby musiała się skupić na prowadzeniu auta, choć ruch o tej porze był raczej niewielki. Elisabeth jednak wiedziała swoje.

- Jessie! już zapomniałaś, z kim rozmawiasz? To ja, twoja inteligentna siostrzyczka!

- Raczej przemądrzała smarkula.

Elisabeth wzruszyła ramionami.

- Wszystkiego nauczyłam się od ciebie.

- Na pewno nie złych manier. Widocznie koledzy mają na ciebie zły wpływ. Muszę się im dokładniej przyjrzeć.

- Od razu ich zauważysz. Noszą czarne, skórzane spodnie i agrafki w uszach. No więc jak było, Jessie?

- Dlaczego tak się dopytujesz?

- Żartujesz? Cała rodzina umiera z ciekawości. Mama mówi, że to bardzo delikatna sprawa. - Elisabeth wyglądała przez okno z zadumaną miną. Mercer Island tonęła w przepychu. - Twierdzi, że byłoby najlepiej dla wszystkich, gdybyś wyszła za mąż za Hacha.

- Nie chciałabym cię urazić, ale nie uważam tego za wystarczający powód do zawierania małżeństwa. W dodatku on wcale nie prosił mnie o rękę.

Elisabeth popatrzyła na nią chytrze.

- Mama też bardzo chciałaby wiedzieć, jak wam się udało wczorajsze spotkanie.

- Domyślam się - odparła Jessie przez zęby.

- I co im powiesz?

- Jak najmniej. Ta sprawa ich nie dotyczy. Elisabeth zmarszczyła brwi.

- Oni chyba mają inne zdanie na ten temat. Słyszałam, jak Lillian rozmawiała wczoraj przez telefon z Glenną. Mówiła, że wszyscy zainwestowali swój kapitał w wasz związek.

- Wiesz, co to znaczy?

- Chodzi o pieniądze? - zaryzykowała Elisabeth.

- Właśnie. - Jessie uśmiechnęła się smutno. - Jeśli wyjdę za mąż za Hacha, firma zostanie w rodzinie i najprawdopodobniej bardzo się rozwinie. A zdaje się, że nikt o niczym innym nie marzy. Z Hachem na czele, pomyślała.

- Mama uważa, że Hatch to prawdziwy rekin finansjery i na pewno wie, jak przekształcić *Benedict Fasteners* w prawdziwego giganta.

- Z pewnością. - Jessie wzruszyła lekceważąco ramionami. - Ale ja przecież nie mogę wyjść za mąż za rekina. One mają za dużo zębów.

- Po prostu nie pozwól się ugryźć - poradziła Elisabeth i zachichotała.

- Spróbuję.

- Jessie?

- Tak?

- A co będzie, jeśli nie dojdzie do ślubu?

Jessie zawahała się, ale w końcu postanowiła wyłożyć kawę na ławę.

- Tata może sprzedać firmę, kiedy przejdzie na emeryturę. ja jednak uważam, że on nigdy nie przestanie pracować. Dalej będzie prowadził interesy. Tak jak przez ostatnie trzydzieści lat.

- I to byłoby takie straszne? Jessie przygryzła dolną wargę.

- Według mnie nie, ale reszta rodziny sądzi inaczej.

- Tata też. Wiesz, wydaje mi się, że on się bardzo zmartwi, jeżeli nie wyjdiesz za mąż za Hacha. Tatusiowi naprawdę zależy na rozwoju firmy. Bardzo mu się podobał ten pomysł.

- Co to ma znaczyć? Chcesz we mnie obudzić poczucie winy? Ty też? Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek popychał mnie do małżeństwa.

- Przepraszam. - Elisabeth na pewien czas umilkła. jak myślisz? - spytała po chwili. - Czy jemu w ogóle na tobie zależy?

- Abstrahując od interesów? - Jessie pomyślała o pocałunku w kuchni. Przypomniała sobie ten wewnętrzny ogień pod surowym nadzorem samokontroli. - Może i zależy. Ale dla takich mężczyzn jak Hatch najważniejsza jest praca.

- Bardzo często cię gdzieś zaprasza. Dziś też wcale nie musiał iść z nami na pizzę. Myślę, że naprawdę chciał być z tobą.

- Bo akurat teraz znalazłam się u niego na liście priorytetów. To znaczy, że będzie mi poświęcał wiele uwagi, co oczywiście skończyłoby się natychmiast po ślubie.

Pewnie spędzilibyśmy miesiąc miodowy z faksem i modemem tuż obok łóżka, bo Hatch musiałby przecież utrzymywać stały kontakt z firmą. Słuchaj? Czy ty czasem nie masz dzisiaj treningu?

- Mhmm.

- Tak mi się właśnie wydawało. Nie zapomnij nasmarować się kremem.

- Jezu! Jessie! Nie jestem już dzieckiem. Będę pamiętać.

- Przepraszam. A co zamierzasz robić potem?

- Wybieram się z Jennifer na deptak. Chcemy się spotkać z przyjaciółmi.

- Idziesz sama? - spytała ostro Jessie.

- Jak to? Przecież ci mówię, że z przyjaciółmi - wyjaśniła Elisabeth z udaną cierpliwością. - Mama Jennifer zawiezie nas na miejsce, a potem do domu.

- Zupełnie mi się to nie podoba.

- Mama i Lillian twierdzą, że jesteś nadopiekuńcza - powiedziała Elisabeth, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. - Może i jestem. - Jessie westchnęła. Na chwilę zaległa cisza.

- Jessie? - zaczęła w końcu dziewczynka.

- No?

- Jak myślisz, tatuś będzie bardzo zawiedziony, jeżeli to Eric dostanie pierwszą nagrodę?

- Nie. Raczej wścieknie się na jury, bo wie, że jesteś bardzo zdolna. Uzna, że cię skrzywdzili. Ale na pewno nie zmieni o tobie zdania. Nawet jeśli nie wygrasz konkursu. Przecież wiesz, prawda?

- Chyba tak - odparła Elisabeth trochę już uspokojona. - Bardzo mu współczuję. Znowu musi się zajmować tymi szkolnymi bzdurami. Między tobą a mną jest duża różnica wieku.

- Nie martw się - powiedziała ponuro Jessie. - To dla niego zupełnie nowe doświadczenie.

O piątej po południu Jessie otworzyła drzwi z wywieszką: "Dr Glenna Ringstead, Psychologia Kliniczna" i weszła do słabo oświetlonej, pustej poczekalni. Sekretarka jej ciotki - stateczna kobieta z siwiejącymi włosami - od razu ją poznała.

- Jak się masz. Doktor Ringstead kończy właśnie przyjmować ostatniego pacjenta. Usiądź.

- Dzięki, Lauro.

. W tej samej chwili w drzwiach gabinetu stanęła kobieta około czterdziestki, ocierając chusteczką załzawione oczy. Jessie dyskretnie odwróciła wzrok i zaczęła wpatrywać się w ścianę. Atmosfera panująca w poczekalni zawsze wprawiała ją w niepokój. Przebywający tu ludzie wydawali się zawsze bardzo przygnębieni.

Pacjentka stanęła przy biurku Laury, wymamrotała coś na temat następnej wizyty, zapłaciła rachunek i skierowała się do wyjścia. Po chwili z gabinetu wyszła Glenna Ringstead.

Ciocia Glenna była siostrą Lillian Benedict, ale wszyscy już dawno o tym zapomnieli, gdyż nie było między nimi nawet śladu podobieństwa. Lillian przypominała raczej drugą żonę Vincenta - Constance.

Lloyd Ringstead- zatrudniony niegdyś jako księgowy w *Benedict Fasteners* - porzucił Glennę i ich

syna przed wieloma laty, a później nie starał się nawiązać kontaktu z rodziną. Jessie nie pamiętała już wujka George'a, a ciotka nie wyszła ponownie za mąż.

Glenna była atrakcyjną kobietą o klasycznym typie urody. Skończyła pięćdziesiąt lat; w jasnych włosach upiętych w staranny kok pojawiły się pierwsze srebrne pasma. Dzięki tej fryzurze Glenna wyglądała jak królowa Amazonek. Duże okulary w czarnej oprawie stały się jej znakiem firmowym - nosiła je od lat. Okulary znakomicie pasowały do beżowych garsonek szytych na miarę i otaczającej ją aury powagi.

- Witaj, - Glenna uśmiechnęła się do Jessie chłodno i profesjonalnie .. - Wejdz i siadaj. Chyba nie przyszedłeś tutaj po poradę. Nie zwracałaś się do mnie od czasu, gdy próbowałam ci wytłumaczyć, że nie powinnaś tak zabiegać o względy ojca.

- Miałam chyba wtedy piętnaście lat. prawda? To było zaraz po tym, jak urodziła się Elisabeth. - Jessie uśmiechnęła się pogodnie. - Nie bierz tego do siebie, ciociu. Od tamtej pory w ogóle nikogo nie słucham.

- Cała rodzina doskonale zdaje sobie sprawę z sytuacji.

- Dziękuję, że zgodziłaś się poświęcić mi trochę czasu.

Postaram się streszczać. Obiecuję. - Jessie weszła za ciotką do gabinetu i opadła na krzesło przy biurku, na którym stało ogromne pudło chusteczek higienicznych. Nonszalancko wyciągnęła przed siebie nogi i włożyła ręce do kieszeni dżinsów. Przygnębiająca atmosfera gabinetu wyzwoliła w niej buntownicze instynkty.

- Nie spiesz się, kochanie.

- Dziękuję. - Jessie zerknęła na pudło z chusteczkami.

- Twoi pacjenci pewnie często z nich korzystają.

- Terapia pomaga im wyrazić długo skrywane uczucia - wyjaśniła Glenna.

- Rozumiem. Pani Valentine też ma taki zapas. Ciekawe, że jej klienci też często płaczą. Ale przynajmniej rzadko wychodzą z gabinetu ze łzami w oczach, pomyślała, zachowując jednak to spostrzeżenie dla siebie.

- A propos, co tam słyhać w twojej firmie? - Glenna zasiadła za biurkiem i skrzyżowała ramiona, jakby zamierzała omówić szczególnie poważny przypadek nerwicy. - Wszystko świetnie. Wiem, co myślisz o pani Valentine, ale mogę cię zapewnić, że nie kradniemy ci pacjentów. - Oczywiście że nie. Ludzie, którzy wierzą jasnowidzom, nie są jeszcze gotowi, by rozwiązywać swoje problemy. Mogę poczekać.

- Bo i tak prędzej czy później wylądują u ciebie w gabinecie?

Glenna skinęła głową.

- Jeśli poważnie traktują swoje kłopoty, to tak. Jak ci się udało wczorajsza randka?

Jessie spojrzała na nią z wyrzutem. - Ty też, ciociu?

- Aż tak źle? Zdaje się, że Lillian i Konstance już ci dały do wiwatu?

- Owszem. A ja staram się złagodzić cios. Glenna spojrzała na nią uważnie.

- Więc nie podoba ci się Hatch?

- Oczywiście, że mi się podoba. Ale nie mogłabym wyjść za niego za mąż. Za bardzo przypomina mi tatę. Walenie głową o ścianę to wyjątkowo trudne zajęcie. Nie bardzo mi się udało skruszyć ojca, więc nie zamierzam się szamotać z następnym pracoholikiem.

- Takie jest twoje zdanie na temat Sama Hatcharda? spytała poważnie Glenna. - Uważasz, że jest zbyt podobny do twego ojca?

- Ma identyczny stosunek do pracy. Ale nie o tym chciałam z tobą rozmawiać.

- A o czym?

- Chcę się czegoś dowiedzieć o psychologii sekt.

- Sekt? Religijnych?

- Jakichkolwiek. - Jessie przypomniała sobie chaotyczny list Susano List zawierał bardzo mało istotnych informacji, a jedynie uroczyste obietnice zbawienia świata. Sekta, która szczególnie mnie interesuje, wmawia swoim wyznawcom, że zagraża nam katastrofa ekologiczna, ale oni wiedzą, jak jej uniknąć.

- Wszystkie sekty wierzą, że jedynie wybrani dostąpią zbawienia - powiedziała Glenna. -!ch wyznawcy uważają, że tylko oni zmierzają we właściwym kierunku. Wszyscy inni zostaną potępieni. Na miłość boską, Jessie! Mam nadzieję, że nie dostałaś świra? Chyba nie chcesz się do nich przyłączyć?

- Czy świr to fachowe określenie? - spytała Jessie z uśmiechem.

- Nie bardzo. - Glenna westchnęła ponuro.

- Nie martw się. Nie mam absolutnie takiego zamiaru. Obie wiemy, że nie toleruję dyscypliny.

- Rzeczywiście. A ci, którzy wstępują do sekt, lubią mieć jasno wytyczone zadania. Dzięki nim zyskują poczucie bezpieczeństwa. Nie muszą samodzielnie myśleć ani podejmować żadnych decyzji. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak wielu ludzi zrezygnowałoby z radością z wolności wyboru na rzecz z góry ustalonych reguł. Ale powiedz mi w takim razie, o co ci chodzi.

- Prawdę mówiąc, los się wreszcie do mnie uśmiechnął. - Jessie splotła palce na biurku i opowiedziała ciotce o swojej pierwszej klientce.

Dziesięć minut później Glenna Ringstead popatrzyła na nią ze zrezygnowanym wyrazem twarzy.

- Poprosiłabym cię, żebyś dała sobie spokój z tą sprawą, ale wiem, że mnie nie posłuchasz.

- Nie mogę, ciociu. Otwierają się przede mną ogromne możliwości.

- Kiedy zaczęłaś pracować w Exotic Catering, myślałaś tak samo.

Jessie splonęła rumieńcem.

- Skąd mogłam wiedzieć, że będę po prostu gońcem?

Chciałam się nauczyć zarządzać firmą dostarczającą potrawy dla smakoszy.

- Och, Jessie. - Glenna potrząsnęła głową.

- Ciociu. Traktuję bardzo poważnie swoją nową pracę.

Lubię panią Valentine. Ona uważa, że mam prawdziwy talent, a przynajmniej wystarczająco dużo intuicji, która jest w tym zawodzie szalenie istotna. Chciałabym udowodnić, że jestem przydatna dla firmy, więc próbuję pozyskać klientów, a także rozszerzyć dotychczasowy zakres naszych usług.

- Śmieszne. Nie możesz bez przerwy zmieniać pracy.

A co więcej, masz coraz dziksze pomysły. - Tym razem odnalazłam swoje miejsce.

- Chyba jesteś zbyt inteligentna, żeby wierzyć w takie bzdury.

- Myślę, że pani Valentine naprawdę posiadała szczególne umiejętności.

- Przestań.

- Może to po prostu intuicja i dużo zdrowego rozsądku? Kto wie? Tak czy inaczej, pani Valentine jest bardzo zdolna. Kocham swoją pracę. No i jak? Powiesz mi coś na temat psychologii sekt?

- Sama nie mogę uwierzyć, że się w coś takiego pakuję. Ta sprawa wykracza poza zasięg moich zainteresowań.

- Daj spokój. Jesteś jedynym świrolapem w rodzinie.

Będę ci wdzięczna za jakiegokolwiek informacje. Ale zanim zapomnę, powiedz, co słyhać u Davida. Przyjęli go na studia?

- Dostał się na filozofię w college'u Parkingtona - odparła Glenna, obracając w palcach złote, wieczne pióro. - Naprawdę? Za pierwszym podejściem? Wspaniale! -. On zapewne uważa, że dokonał słusznego wyboru.

Jessie pokiwała głową z przekonaniem.

- Na pewno ma rację. Czuję to przez skórę. David jest stworzony do pracy naukowej.

- Obyś się nie myliła. - Glenna ostrożnie ułożyła pióro obok notesu. - Sądziłam jednak, że mój syn podejmie pracę w *Benedict Fasteners*.

- On nawet nie brał pod uwagę takiej możliwości. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

- Vincent starał się na niego wpłynąć.

- Przecież tatuś marzył o synu i sądził, że uda mu się wtłoczyć Davida w te ramki. Ale ja mu od razu powiedziałam, że traci tylko czas.

- David był ci za to głęboko wdzięczny. On zawsze bał się trochę Vincenta, a ty wyciągnęłaś go z pułapki. Niewykluczone, że przynajmniej by spróbował, gdybyś się nie wtrąciła.

- Cieszę się, że wyrwałam go ze szponów taty.

- Pomagasz całej rodzinie. Wszyscy proszą cię o wstawiennictwo u Vincenta, ilekroć zachodzi taka potrzeba. Jessie przestała się uśmiechać i popatrzyła w zamyśleniu na ciotkę.

- Obie zdajemy sobie sprawę z tego, że David nie ma głowy do interesów, a byłby szczególnie nieszczęśliwy, gdyby musiał pracować dla mojego ojca. Tyle lat próbował zyskać Jego uznanie i do tej pory mu się nie udało. Powinien realizować swoje własne plany. Zasłużył sobie na taką szansę.

- Czas pokaże, czy masz rację. Prawda?

Następnego wieczoru, punkt wpół do ósmej, zadzwonił domofon. Jessie zamierzała właśnie wrzucić pół kilograma pierożków z serem do wrzątku, więc jęknęła, wytarła ręce w ścierkę i poszła sprawdzić, kto przyszedł.

- To ja - powiedział Hatch zmęczonym głosem. Jessie zeszywniała przy słuchawce.

- Czego chcesz?

- Powiem ci, jak mnie wpuścisz.

- Piłeś? - spytała, marszcząc brwi.

- Nie. Pracowałem.

- No oczywiście. Co tu robisz?

- Dopiero wyszedłem z biura. Nie jadłem jeszcze kolacji. A ty?

- Właśnie miałam zamiar coś przekąsić.

- Świetnie - ucieszył się Hatch. - Z przyjemnością będę ci towarzyszył.

Jessie nie potrafiła wymyślić żadnego przekonującego pretekstu, żeby mu nie otworzyć.

Ale - zganiła się w duchu - może wcale tak bardzo się nie starała. Coś w znudzonym głosie Hatcha wykrzeszło z niej niebezpieczną iskrę współczucia, którą jednak postanowiła zdusić w zarodku. Nie mogła przecież ryzykować wyciągnięcia pomocnej dłoni do takiego rekina jak Sam Hatchard.

Wcisnęła guzik domofonu, pełna wątpliwości, czy aby na pewno postępuje słusznie.

Trzy minuty później usłyszała kroki na schodach. Rozległ się dzwonek do drzwi. Jessie otworzyła, z trudem powstrzymując uczucie radości.

Hatch stał na korytarzu, opierając się niedbale o ścianę; elegancką marynarkę przewiesił przez ramię. Był najwyraźniej bardzo zmęczony. Miał zmierzwiłone włosy i rozluźniony krawat. Na widok Jessie

rozbłysły mu oczy.

- Żarty na bok - powiedziała przytrzymując ostrożnie drzwi. - Czego chcesz?

- Żarty na bok - powtórzył, nie zmieniając pozycji. Chcę się dowiedzieć, co musiałbym zrobić, żeby dostać od ciebie kwiaty.

Zamrugnęła i zebrała wszystkie siły, by nie okazać zaskoczenia.

- No cóż, na początek mógłbyś się jakoś przysłużyć mojej firmie.

- Naprawdę? Czego ode mnie oczekujesz?

- Powiedz mi, jak się zabrać do tej sekty. Przez ostatnie dwa dni bez przerwy czytam na ten temat, ale do niczego nie mogę dojść.

- Cholera jasna! W dalszym ciągu zajmujesz się tą kretyńską sprawą? Właśnie tego się obawiałem.

- Jeśli tylko tyle masz mi do powiedzenia, to dobranoc.

- Jessie zrobiła taki ruch, jakby chciała zatrzaskać mu drzwi przed nosem.

- Szukaj pieniędzy - powiedział Hatch znużonym głosem.

- Co takiego?

- Finansowanie sekt wymaga pieniędzy. To taki sam interes jak każdy inny. Musisz ustalić, w jaki sposób zdobywają forszę, i co z nią robią. Jak już się tego dowiesz, będziesz w domu. Jessie patrzyła na niego zdumiona.

- Hatch! Jesteś genialny! Absolutnie genialny. Dlaczego sama nie wpadłam na ten pomysł?

Wejdz, nalej sobie drinka, usiądź i czuj się jak u siebie w domu. Musimy poważnie porozmawiać. Nie zwracając uwagi na zdziwienie w oczach Hacha, Jessie chwyciła go za krawat i wciągnęła do środka. A on nie stawiał oporu.

Rozdział 4

Jessie usłyszała syk i natychmiast puściła krawat Hacha.

- Mój Boże! Woda! - krzyknęła, zakręciła się na pięcie i pobiegła do kuchni.

Hatch podążył wolno w jej ślady.

- Na ladzie stoi butelka wina - rzuciła przez ramię, biorąc do ręki paczkę pierożków. Otwórz. I mów.

- O czym? - Hatch położył marynarkę na krześle i wziął do ręki butelkę.

- O szukaniu pieniędzy.

- Naprawdę chciałaś sama to wszystko zjeść? - Sprawnie wyjmował korek z butelki.

- Tak, ale skoro już przyszedłeś, zdobędę się na szczodrość. - Wrzuciła pierożki do wrzątku. - Mam jeszcze trochę pieczywa i sałatkę, więc powinno nam wystarczyć. Co z tymi pieniędzmi?

- Jeśli nie wykażesz nieco więcej subtelności, mogę sobie pomyśleć, że zaproponowałaś mi kolację tylko po to, żeby mnie wykorzystać. - Korek wyskoczył z butelki z cichym puknięciem. - Gdzie są kieliszki?

- Na prawo od zlewu. - Jessie skupiła się na mieszaniu pierożków. W kuchni zrobiło się nagle bardzo ciepło. Wydawało się, że Hatch zajmuje całą wolną przestrzeń. Zgodnie z przewidywaniami poczuła, że wszystko zaczyna jej lecieć z rąk, i postanowiła zachować ostrożność. Masz rację. Zamierzam cię wykorzystać. Mów.

- Lubię być potrzebny. Mogę najpierw usiąść? - Nie czekając na pozwolenie, Hatch przysunął sobie jeden ze stołków. - Naprawdę konam ze zmęczenia. Co za piekielny dzień. - Jeszcze bardziej rozluźnił krawat i upił łyk wina.

Jessie spojrzała na niego przelotnie i zrozumiała, że mówi prawdę. Rzeczywiście miał za sobą ciężki dzień. Dziewczyna stłumiła natychmiast budzące się w niej wyrzuty sumienia. - To twoja wina. Nie powinieneś spędzać tyle czasu w biurze. Jesteś zupełnie taki sam jak...

Przerwał jej ruchem ręki.

- Nie kończ. Nie czuję się na siłach słuchać porównań między mną a twoim ojcem. Wiesz, po raz pierwszy widzę cię w roli pani domu.

- Nie mrugaj, bo zniknę.

- Będę o tym pamiętał. Ale przyjemnie na ciebie patrzeć, jak tak stoisz przy kuchence.

- Bo pewnie uważasz, że to dobre miejsce dla kobiety. Przy garach.

- Pozwolisz, że nie odpowiem. Nie interesuje cię, jak mi dzisiaj poszło w pracy?

Popatrzyła na niego podejrzliwie, bo jak zwykle nie wiedziała, czy czasem z niej nie kpi. Ale Hatch opierał się o ladę z grobowo poważną miną. Postanowiła więc go rozweselić.

- Co tam słychać w firmie? Dużo roboty?

- Tak.

- A w dodatku musiałeś wziąć nadgodziny i przyjść do mnie w konkury. To chyba było straszne.

-Chcesz mi maksymalnie wszystko utrudnić, prawda?

- Zamierzam to zdusić w zarodku - powiedziała Jessie bez ogródek. - Nie widzę dla nas przyszłości.

- Wzięła kieliszek i wypła łyk wina. - Działalibyśmy na siebie jak czerwona płachta na byka.

- Mylisz się. Sądzę, że mamy szansę - Moglibyśmy się nauczyć wspólnie żyć, gdybyś tylko chciała wykazać odrobinę dobrej woli. Uważaj na kieliszek. Zaraz spadnie. Nie zdołam go uratować, bo kompletnie straciłem energię.

Jessie zobaczyła, że kieliszek rzeczywiście stoi na samym brzeżku blatu, i ostrożnie przesunęła go na środek stołu.

- No. Mało brakowało. Obym tylko nie podpaliła przez ciebie mieszkania.

- Wiem, że cię denerwuję, ale to dobry znak. Rozmawiałem już na ten temat z twoim ojcem.

- Naprawdę? A mnie się wydaje, że wręcz przeciwnie. Chyba jednak nie jesteśmy dla siebie stworzeni. - Podniosła garnek z pierożkami i zaczęła je odcedzać. Para buchnęła aż pod sufit. Nagle Jessie poczuła, że uchwyty garnka są bardzo gorące.

- Cholera!

- Pozwól, że ci pomogę. - Hatch znalazł się przy niej trochę za szybko jak na człowieka, który narzekał przed chwilą na brak energii. - Dlaczego nie używasz rękawiczek? - zapytał, gdy już zręcznie odebrał od niej garnek i postawił go na kuchence.

- Spieszyłam się. - Jessie włożyła palce pod strumień zimnej wody. - jestem nieuważna i tyle.

Bo przy tobie czuję się jak znerwicowana ruina człowieka, pomyślała.

- Mówisz takim tonem, jakbyś miała do mnie pretensję. Ale to nie moja wina, że nie włożyłaś rękawiczek. Powinnaś chwilę pomyśleć, zanim zdejmiesz z kuchenki gorący garnek. Wzniosła oczy do nieba.

- Dobry Boże! On zna się nawet na gotowaniu! Czyż mu nie dosyć innych talentów? Powiedz mi coś jeszcze o tych pieniądzach, Hatch.

- Po kolacji. Jestem zmęczony i muszę coś zjeść, zanim zaczniesz mi wiercić dziurę w brzuchu.

- Grasz na zwłokę.

- Fakt. - Hatch znów usiadł za ladą i sięgnął po kieliszek. - Co to za wino?

- Na pestycydach. Sama pędziłam.

- Szczęściarz ze mnie. Lubisz zajmować się domem.

- Słuchaj...

- Po kolacji, dobrze? - Uśmiechnął się swoim charakterystycznym, słabym uśmiechem. - Daję ci słowo, że jak trochę odpocznę, wszystko ci powiem.

- Obiecujesz?

- Przysięgam.

Jessie uznała, że na razie musi jej to wystarczyć. Podeszła do kredensu i zdjęła z półki dwa czarne ośmiokątne talerze z chińskiej porcelany.

- Dobra - zaczęła łagodnie, gotowa na wszelkie ustępstwa, skoro udało się jej osiągnąć cel. - Opowiedz mi, co dziś robiłeś.

Hatch aż zmrużył oczy ze zdziwienia.

- Są problemy z budową w Portland. Po południu ja i twój ojciec mieliśmy odprawę z inżynierami i kierownikiem robót. Na domiar złego Vincent postanowił złożyć ofertę na prace w Spokane tylko dlatego, że firma Yorland i Young również walczy o ten kontrakt. Usiłowałem mu wytłumaczyć, że nie powinniśmy zawracać sobie głowy takimi drobiazgami wyłącznie po to, żeby przebić innych.

- A tata uważa Yorlanda i Younga za konkurencję?

- Chyba już nie. Działamy teraz w nieco innych branżach i dlatego nie powinniśmy się zajmować takimi małymi transakcjami. Twój ojciec bawi się w szczegóły i nie przywiązuje wagi do całości. Z tego właśnie powodu *Benedict Fasteners* jest wciąż małą firmą.

- Wiem. - Jessie wzruszyła ramionami. - Tata budował ją od podstaw. Nie może przestać myśleć o drobiazgach.

- Będzie musiał. Po co zatrudniać ludzi, jeśli nie pozwala się im pracować?

- Hatch rozmasował zdrętwiały kark i zerknął na talerz, który Jessie właśnie przed nim postawiła. Usiadła naprzeciwko i wbiła widelec w jeden z pierożków.

- Tatusz uznaje wyłącznie tradycyjne metody zarządzania. Jest po prostu staroświecki. Z tego samego powodu chce zatrzymać firmę w rodzinie.

- A ty nie?

- Nie mam nic przeciwko temu. Nie chcę tylko, by powierzył ją mnie. Wolałabym, żeby ją podzielił. Wtedy David, Ehsabeth i ja dostalibyśmy swoją część, a on przeszedłby spokojnie na emeryturę. Ale on nigdy się na to nie zgodzi. Hatch przymrużył oczy.

- Chciałaś, żeby rozparcelował *Benedict Fasteners*?

- Wiele razy go o to prosiłam. Tata jednak uważa, że równie dobrze mógłby spisać firmę na straty.

- I chyba się nie myli - powiedział wolno Hatch. - Żadne z was nie ma zielonego pojęcia o interesach, co znaczy, że musielibyście zatrudnić kogoś z zewnątrz. A taki ktoś dorwałby się do *Benedict Fasteners* jak mucha do miodu i to byłby początek końca.

- Zgoda. Żadne z nas nie potrafi zarządzać firmą. Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego ja mam ją przejąć.

- Bo ty zrobisz wszystko, co najlepsze dla spółki i dla rodziny, prawda? - szepnął Hatch. - I nie będziesz musiała najmować nikogo obcego. Ja się wszystkim zajmę.

- Tobie nie chodzi wyłącznie o zarządzanie. Chcesz uszczknąć kawałek dla siebie.

- To prawda. Ale chciałbym również, żebyś mnie zaadoptowała. Stałbym się członkiem waszego klanu.

- Zaadoptowała? - powtórzyła Jessie. - Zaadoptowała?

- Użyłem przenośni. - Hatch znów upił łyk wina. Jego długie, delikatne palce ześliznęły się z nóżki kieliszka, który cicho wylądował z powrotem na stole.

- Nie musisz się martwić, co się stanie, kiedy twój ojciec pozwoli mi wejść do firmy. Będę się opiekował i tobą, i *Benedict Fasteners*.

Jessie nie mogła oderwać wzroku od tych przenikliwych, niebieskich oczu. Czowała niemal, jak ręka Hacha przesuwająca się po jej kręgosłupie. Zadrżała i zaczęła się zastanawiać, czy pani Valentine miała rację dostrzegając w niej załączki talentów para psychicznych. Sama doznała wrażenia, że odbiera jakieś dziwne wibracje wysyłane przez otoczenie.

Dzwonek domofonu zepsuł cały urok tej chwili. Jessie podskoczyła nerwowo na krześle i potarła widelec, który przed chwilą odłożyła na talerz. Widelec stoczył się ze stołu i upadł z brzękiem na podłogę.

- Widzisz, co narobiłeś? - Jessie łypnęła na Hacha i pobiegła otworzyć.

Hatch zignorował zupełnie zrzucony widelec. - Kto tam? - rzuciła Jessie w słuchawkę.

- To ja, David. Mam dobre nowiny.

- Chyba już nawet wiem jakie - powiedziała z uśmiechem. - Ale wchodź na górę. - Wcisnęła guzik i odwróciła się do Hacha. - Przyszedł mój kuzyn, David. Ciocia Glenna powiedziała mi, że przyjęli go do college'u Parkingtona.

Hatch uniósł znacząco brwi.

- Ach tak, David. Ten filozof od siedmiu boleści. Jessie spojrzała na niego z wściekłością.

- Nie waz się tak o nim mówić. Tata również z niego kpi, ale ja nie pozwolę na to żadnemu z was.

- Daj spokój. Ja tylko ...

- Do szału doprowadza mnie fakt, że wy - tak zwani ludzie interesu - patrzycie z politowaniem na cały świat akademicki. Pewnie się wam wydaje, że sposób, w jaki zarabiacie na życie, jest bardziej godny, ludzki, w ogóle pod każdym względem lepszy niż na przykład nauczanie i studiowanie. Daję ci słowo, że jeśli obrazisz go pod moim dachem, to pokażę ci drzwi, niezależnie od stanu twojej wiedzy na temat sposobu finansowania sekt. Słyszysz?

- Oczywiście. Słyszają cię również najprawdopodobniej wszyscy sąsiedzi. Dla porządku; nie mam nic przeciwko studentom ani pracownikom naukowym. Chodziło mi o to, że David prosi cię o wstawiennictwo za każdym razem, gdy potrzebuje pieniędzy. Przecież nauka w college'u będzie kosztowała niezłą sumkę. A on oczywiście zwraca się do ciebie o pomoc. Tak samo jak wszyscy inni.

Jessie patrzyła na niego ze złością, czując, że płoną jej policzki. Niestety, Hatch był niedaleki od prawdy.

- Nigdy mnie o nic nie prosił - powiedziała z wyniosłą miną, modląc się w duchu, żeby David nie poruszył tego tematu.

- Jeszcze zdąży - odparł Hatch i spokojnie zabrał się do jedzenia.

Jessie obróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi, po czym otworzyła je na oścież. W progu stał jej kuzyn - silnie zbudowany dwudziestodwuletni młodzieniec.

Nawet gdyby ktoś nie znał ambicji akademickich Davida, mógłby z łatwością odgadnąć jego plany wyłącznie na podstawie aparycji. David ubierał się w dżinsy, luźne tweedowe marynarki i czarne koszule. Nosił okulary w okrągłych szylkretowych oprawkach, dzięki którym jego twarz nabierała jeszcze bardziej inteligentnego wyrazu. Z rozwianą jasną czupryną wyglądał jak uosobienie

niewinności. Glenna zawsze podkreślała fakt, że David jest niezwykle wrażliwą jednostką.

- Wejdz. Znasz Hacha, prawda?

- Tak. - Chłopak skinął lekko głową, a Hatch flegmatycznie odwzajemnił ukłon.

Żaden z nich nie wyciągnął ręki. Hatch nawet nie wstał ze stołka - z lekko znudzoną miną przeżuwał spokojnie pierożki.

- Napijesz się wina? - zaproponowała szybko Jessie. - Trzeba przecież uczcić twój sukces.

- Dzięki. - David wziął kieliszek i rozejrzał się nieśmiało w poszukiwaniu jakiegoś krzesła. -

Przepraszam za najście. Nie wiedziałem, że masz gościa.

- Nic nie szkodzi. Hacha również nie zapraszałam. Jessie uśmiechnęła się pogodnie, odwracając wzrok od kpiącego spojrzenia mężczyzny. - Omawialiśmy właśnie interesy. Prawda, Hatch?

- Interesy również.

- Rozmawialiśmy wyłącznie o interesach - powtórzyła Jessie opryskliwie. - Bo niby o czym mielibyśmy rozmawiać?

- Mógłbym wymienić wiele takich tematów. Ale jeszcze zdążymy. David przenosił wzrok z Jessie na Hacha.

- Bardzo ciekawe. Rozumiem, że realizujecie Wielki Plan? - spytał, siadając na stołku obok Jessie. -

A cóż to takiego? David wzruszył wymownie ramionami.

- Ty wychodzisz za mąż za Hacha, *Benedict Fasteners* staje się prawdziwym potentatem przemysłowym, a cała nasza rodzina żyje długo i szczęśliwie. Daj spokój. Przecież wszyscy wiedzą o Wielkim Planie. Twoja matka, moja matka i matka Elisabeth w ogóle o niczym innym nie mówią. No więc jak? Romans kwitnie? I ...

- Szczerze mówiąc, zanim przyszedłeś, mieliśmy właśnie zamiar skoczyć sobie do gardeł. Czyż nie tak właśnie było, Hatch? - Jessie wbiła zęby w kromkę chleba.

Hatch zerknął przelotnie na jej szyję.

- No, może niezupełnie, ale to całkiem kuszący pomysł. - Słyszałem, że zamierzasz studiować filozofię spytał, kierując wzrok na Davida.

Chłopak przytaknął z rezerwą.

- Parkington może się poszczycić jednym z najlepszych instytutów filozofii w całych Stanach. Właśnie tam powstały pierwsze doktoraty na temat nauki i techniki w cywilizacjach zachodnich.

- I to jest główna dziedzina twoich zainteresowań?

- Tak, istotnie. - W głos Davida wkradła się teraz obronna nuta. - Dzięki nauce i technice świat, w którym żyjemy, ulega nieustannym przeobrażeniom. Mógłby nas z łatwością zniszczyć.

Wystarczy wspomnieć o dziurze ozonowej i kwaśnych deszczach. A my podchodzimy do tych zagadnień, jakbyśmy wciąż tkwili w osiemnastym czy dziewiętnastym wieku. W erze maszyn. Musimy zmienić ten przestarzały sposób myślenia, ponieważ tak bardzo nam potrzeba perspektywicznego spojrzenia na człowieka i naturę. Taki jest cel filozofii.

- A ty uważasz, że masz szansę wpłynąć na zmianę tych przestarzałych poglądów.

- Może nie twoich - odparł sarkastycznie David. - Ale wiązę poważne nadzieje z ludźmi pokroju Jessie.

Przeczuwając katastrofę, dziewczyna postanowiła natychmiast zmienić temat.

- Glenna mówiła mi, że zostałeś przyjęty. Bardzo się cieszę.

- Parkington to zdaje się jedna z tych modnych prywatnych uczelni na Wschodzie, prawda? - Hatch nadgryzł kawałek chleba, pokazując białe, mocne zęby i oparł łokcie na stole. - Bardzo droga.

- Tak, rzeczywiście. - David rzucił niespokojne spojrzenie na Jessie, jakby prosił ją o pomoc.

- Davidzie - powiedziała poważnie. - Mam do ciebie ważne pytanie. Czy nie słyszałeś przypadkiem o sekcje jutrzienka Nadziei? jest to grupa ekstremistów zajmujących się ochroną środowiska. Zdaje się, że ostatnio udało im się zwerbować studentów z Butterfield College.

Zauważyłeś ich kiedyś na kampusie?

- Jutrzienka Nadziei? - David zamyślił się, co przychodziło mu z niezwykłą łatwością. - Tak, chyba rzeczywiście coś słyszałem. Ich przywódcą jest, zdaje się, jakiś klimatolog. Nie bardzo się tym interesowałem. Wygłosili kilka wykładów i rozmawiali trochę z ludźmi, ale nie spędzili tam chyba wiele czasu. Zresztą na terenie college'u odbywa się bardzo dużo takich imprez. A dlaczego pytasz?

- Szukam studentki z Butterfield, która wstąpiła do JUN. Nazywa się Susan Attwood. Znasz ją?

- Nie. Z którego roku?

- Chyba z drugiego.

David znów potrząsnął głową. Nigdy się na nią nie natknąłem.

- To byłoby zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. - Jessie westchnęła.

- W Butterfield jest kilka tysięcy studentów - wyjaśnił David. - Dlaczego szukasz tej dziewczyny?

- Jessie ma nową posadę. Została pogromczynią sekt.

- Co? - David zmarszczył brwi. - To jakiś żart?

- Widzisz, od razu się domyśliłeś - odparł Hatch. - Żart, który Jessie wzięła niestety poważnie. Zupełnie straciła poczucie humoru. Jessie rzuciła mu rozgniewane spojrzenie.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Sprawa jest poważna.

Próbuję dowiedzieć się czegoś o JUN dla klientki pani Valentine. jej córka uciekła z domu i stała się wyznawczynią tej sekty.

- I co chcesz zrobić? Znaleźć ją?

- Jeśli mi się uda ... Jej matka uważa, że Edwin Wright - ich przywódca - hipnotyzuje tę dziewczynę. Innych zresztą też. Wmawia im, że jest jasnowidzem, i przepowiada rychłą katastrofę. Pani Attwood chce, żeby nasza firma zdemaskowała oszusta.

- Ale to chyba nie wchodzi w zakres twoich obowiązków - zauważył David.

- Jesteś bardzo spostrzegawczy - powiedział Hatch z aprobatą. Był wyraźnie zdziwiony tym przejawem inteligencji. - Zdecydowanie nie.

- Uspokójcie się - nakazała Jessie. Wychylając się do przodu, oparła łokcie na blacie. - Chciałabym, żebyś dowiedział się czegoś o działalności Jutrzienki Nadziei w college'u. A już najbardziej zależy mi na adresie ich siedziby. W książce telefonicznej go nie ma, nie natknęłam się też na żadne wzmianki w prasie. Dostałam od twojej matki książki o różnych sektach, ale mnie interesuje tylko JUN.

- Pogadam z ludźmi. Może ktoś z nimi wtedy rozmawiał. Ale wcale nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

- Na pewno nie - wtrącił Hatch.

- Takimi sprawami zajmują się raczej prywatni detektywi - stwierdził David.

- W rzeczy samej - zgodził się skwapliwie Hatch.

- Nie słuchaj go, Davidzie - poradziła kuzynowi Jessie. - On i tata bardzo się martwią moim nowym zajęciem.

A jeszcze w ogóle nie zaczęłam działać. Mentalność biznesmena, sam rozumiesz.

- Mhmm. Wiem. Mają klapki na oczach.

- Święte słowa - powiedziała Jessie z uśmiechem, ignorując niecierpliwie spojrzenie Hacha. - No jak, pomożesz mi?

- Zrobię, co się da - obiecał David. - Ale nie oczekuj zbyt wiele. Większość znanych mi ludzi nie interesuje się sektami i podobnymi bzdurami.

- Będę wdzięczna za jakiegokolwiek informacje.

- Dobrze. - David zerknął na zegarek. - Lepiej już pójdę. Wpadłem tylko, żeby przekazać ci dobre nowiny, ale skoro wszystko wiesz, będzie lepiej, jeśli zostawię was samych. - Wstał i zerknął na Hacha, który dojadł ostatniego pierożka. - Jessie?

- Tak?

- Czy mogłabyś odprowadzić mnie na dół? Chciałbym porozmawiać z tobą w cztery oczy. - Oczywiście.

- Dlaczego sam go nie poprosisz? - spytał Hatch, patrząc na niego zimno. - Nie musisz korzystać z pośrednictwa Jessie.

- Nie rozumiem. - David splonął rumieńcem i zerknął na dziewczynę.

- Nie zwracaj na niego uwagi. To najlepsza metoda.

Pójdę z tobą na dół. - Pospieszyła do drzwi, paplając z ożywieniem na temat Parkington, żeby jakoś zatuszować niezręczną sytuację. Schodzili ze schodów w zupełnym milczeniu. - On ma rację - przyznał w końcu David.

- Kto?

- Hatchard. Rzeczywiście chciałem cię prosić, żebyś pomogła mi załatwić pożyczkę. Myślisz, że twój stary się zgodzi? Dał mi wyraźnie do zrozumienia, co sądzi o moim doktoracie. Już i tak był wściekły, kiedy zmieniłem kierunek studiów z administracji na filozofię.

- Wiem. Porozmawiam z ojcem, lecz nie mogę ci niczego obiecać. - Jessie pokiwała współczująco głową.

- Wiem. Ale ty masz na niego największy wpływ. Nikt inny nie ma szans wejść w paszczę lwa i przeżyć.

- Pewnie dlatego, że wiercę mu dziurę w brzuchu. To bardzo męczące. Oczywiście mam na myśli siebie.

- Po co w ogóle zawracasz sobie tym głowę?

- Kiedyś, jak byłem jeszcze mała, chciałam zwrócić na siebie jego uwagę. A potem jako nastolatka sądziłam naiwnie, że uda mi się go zmienić.

Myślałam, że zacznę interesować się rodziną z własnej woli.

- Mama uważa, że to jest absolutnie niemożliwe.

- Może ma rację. Wiem tylko, że kiedy urodziła się Elisabeth, byłam wściekła na ojca. Widziałam, że ignoruje ją dokładnie tak samo jak ignorował nas, i dostawałam szału. Dlatego domagałam się tak ostro, żeby Vincent zaczął wreszcie zachowywać się jak ojciec.

- I do pewnego stopnia ci się to udało. Wuj Vincent interesuje się Elisabeth o wiele bardziej niż nami.

- Bo nauczyłam się kilku sztuczek. Zawarłam tajne przymierze z Grace, jego sekretarką. Ona umożliwia mi spotkania z ojcem, a ja przychodzę i zaczynam ciosać mu kołki na głowie. Proszę. Błagam. Wrzeszczę. W połowie przypadków udaje mi się odnieść sukces. Ale równie często tata dzwoni w ostatniej chwili i mówi, że nie może pójść do szkoły, bo coś mu się wali w firmie.

- Domyślam się. - David włożył ręce do kieszeni kurtki.

- Ale on przynajmniej zawsze jest na miejscu. Nie zniknął, tak jak mój stary.

- Wiem, Davidzie. Nie powinnam narzekać. Przepraszam.

Ilekoć poruszano temat ojca Davida, Jessie ogarniało współczucie i wyrzuty sumienia.

Jej kuzyn miał rację. Vincent Benedict był w pobliżu i jego starsza córka mogła przynajmniej czasem na niego wpłynąć. A Lloyd Ringstead przepadł bez wieści, kiedy David skończył zaledwie cztery latka.

- Dajmy spokój. To nudne rodzinne historie.

- Pewnie i tak - zgodziła się Jessie. - Ale jedno muszę przyznać mojemu ojcu: ma coś, co można by nazwać poczuciem patriarchalnego obowiązku. Szczególnie jeśli chodzi o pieniądze.

- Bo dzięki temu może nami rządzić - powiedział gorzko David. - A on kocha władzę.

- Na pewno. Ale powinieneś dostrzegać również pozytywne strony takiej sytuacji. Tata na pewno zaoferuje ci kolejną pożyczkę - powiedziała Jessie z uśmiechem, wspięła się na palce i uścisnęła kuzyna. - Nie martw się. Porozmawiam z nim.

- Hatchard miał rację. Chyba nie powinienem być cię oto prosić. Już i tak mi pomogłaś, kiedy wreszcie przekonałaś wujka, że nie nadaję się zupełnie na spadkobiercę firmy. - David spojrział na nią z wdzięcznością. - Gdyby nie ty, tkwiłbym dalej w *Benedict Fasteners* i zarzywał się na śmierć, żeby go wreszcie zadowolić.

Nawet mama chciała, żebym dał z siebie wszystko.

- Byłbyś bardzo nieszczęśliwy, gdybyś do końca życia musiał zajmować się firmą. Wszyscy o tym wiedzą.

- Nie, nie wszyscy. Ty pierwsza się domyśliłaś. Dzięki Bogu za Sama Hatcharda! Gdyby nie on, wuj Vincent próbowałby zrobić rekina finansjery z ciebie albo z Elisabeth.

- Nie wiem, czy Pan Bóg zasłużył sobie na wdzięczność za zesłanie nam Hacha.

David wyszczerzył zęby w uśmiechu i otworzył drzwi. - Może i racja. Temu facetowi rzeczywiście daleko do anioła. Nie martw się, Jessie. Poradzisz sobie z nim. Stawiam na ciebie.

- To nie wyścigi konne, do cholery - zawołała za nim Jessie, gdy wyszedł już na ciemną ulicę.

Ale było za późno. David uniósł dłoń na pożegnanie, lecz już się nie odwrócił. Jessie została po drugiej stronie ciężkich, szklanych drzwi. Długo patrzyła w mrok. Potem westchnęła i powlokła się na górę. Zastanawiała się, czy będzie jej bardzo trudno wydobyć z Hacha potrzebne informacje, a potem się go pozbyć. Coś wyraźnie jej mówiło, że czekają trudna batalia.

Przecucie jej nie myliło. Zrozumiała, że jest źle, gdy tylko weszła do mieszkania i zobaczyła, że Hatch leży na kanapie i śpi. Nawet nie zdjął swych wypastowanych butów. Jessie wolno zamknęła za sobą drzwi i oparła się o futrynę.

Pomyślała, że gdyby zachowała odrobinę zdrowego rozsądku, na pewno by go obudziła i wyrzuciła za drzwi. Zdecydowanie nie powinna pozwolić mu dziś w nocy spać na kanapie. Stworzyłaby w ten sposób bardzo niebezpieczny precedens. A człowiek tego pokroju nie omieszkałby go wykorzystać. jedno pociągało za sobą drugie. Następnego dnia rano musiałaby podać mu śniadanie.

Wyglądało to bardzo groźnie. Teraz gdy już wszystko stało się jasne, nie można było przejść do porządku dziennego nad faktem, że Hatch czuł się u niej jak u siebie w domu. Jessie ostrożnie odsunęła się od drzwi, zastanawiając się, w jaki sposób go obudzić. Stała przy łóżku i patrzyła długo na Hacha. Powinien sprawiać wrażenie bezbronnego, ale nawet we śnie emanowała z niego siła. Jessie nie była zresztą pewna, czy rekiny w ogóle śpią. Wiedziała jednak, że Hatch ma prawo być zmęczony. Pracował zdecydowanie zbyt dużo.

Czternaście godzin na dobę i jeszcze konkury na zlecenie. Jessie przyjrzała się jego silnym, męskim palcom. Te kształtne, mocne ręce - spoczywające miękko na czarnej skórzanej poduszce - utożsamiała wszystko, co ją tak zniewalało i odstręczało zarazem.

Jessie westchnęła. Odwróciła się i poszła do szafy po kołdrę. Wiedziała, że nie powinna pozwalać mu nocować. Nie miała co do tego wątpliwości. Nie mogła jednak przerywać zasłużonej drzemki. Zdjęła mu buty i okryła go kołdrą, a potem poszła do kuchni i wstawiła naczynia do zlewu. Gdy już wyrzuciła pustą butelkę po winie do kosza z surowców wtórnych, który dostała w prezencie od Elisabeth, sama udała się na spoczynek.

Kilka godzin później obudził ją nagły przyływ adrenaliny. Gdy usiadła na łóżku, w drzwiach jej sypialni stał półnagi mężczyzna, a telefon na stoliku nocnym dzwonił bardzo głośno, niemal alarmująco. Każdy z tych bodźców był na tyle potężny, że mógł przerwać jej sen, więc Jessie nie była do końca pewna, dlaczego się właściwie obudziła. Przez chwilę nie była w stanie się poruszyć - siedziała tylko na łóżku, ściskając w ręku kołdrę. Znów rozległ się ostry dzwonek telefonu.

- Lepiej odbierz - poradził Hatch, opierając się o framugę. Jessie przymrużyła oczy i sięgnęła po słuchawkę.

- Jessie? Mówi Alex. Alex Robin. Telefonuję z twojego biura. Przykro mi, że cię budzę, ale doszedłem do wniosku, że może będziesz chciała tu przyjechać. Wyszedłem przed chwilą kupić coś do jedzenia, a kiedy wszedłem na górę, żeby skorzystać z toalety, zobaczyłem, że wasz lokal jest otwarty. Nie zamknęłaś drzwi na klucz?

- Zaraz ... - Jessie odgarnęła włosy z oczu i próbowała zebrać myśli. - Jestem pewna, że zamknęłam. Zawsze bardzo tego pilnuję.

- Wiem. Słuchaj. Myślę, że ktoś tam był, ale nie jestem pewien. Może lepiej sprawdzić, czy nic nie zginęło. Jeśli rzeczywiście ktoś dostał się do środka, trzeba zadzwonić na policję i zgłosić włamanie.

- Urwał na chwilę. - Tak na pierwszy rzut oka nie widzę żadnych śladów.

- Zaraz będę. Dzięki, Alex.

Jessie wolno odłożyła słuchawkę i spostrzegła, że Hatch ma na sobie tylko slipki. Widocznie obudził się w nocy i zdjął ubranie. Powiedziała, żeby się czuł jak u siebie w domu - przemknęło jej przez myśl. Daj mężczyźnie palec, chwyci całą rękę.

- Muszę jechać do biura. Mój sąsiad z dołu podejrzewa, że ktoś się tam włamał. - Jessie odrzuciła pościel i dopiero poniewczasie zdała sobie sprawę, że koszula nocna podwinęła się jej aż do pępka.

- Zgłaszasz jakieś obiekcje? - spytała lodowato, gdy dała już nura pod kołdrę.

- Nie. - Hatch ziewnął i przeczesał palcami zmierzwiłone włosy. - Jadę z tobą. Nie przypuszczałem, że masz takie fascynujące zajęcia. Pracujesz w jeszcze bardziej upiornych godzinach niż ja, moja droga.

Rozdział 5

Cholera, jest trzecia rano - mruknął Hatch, zajeżdżając Mercedesem pod siedzibę firmy pani Valentine.

Był bardzo niezadowolony, że przerwano mu tak brutalnie pierwszą noc w mieszkaniu Jessie. Nie dotarł wprawdzie jeszcze do jej łóżka, ale kiedy się obudził i stwierdził, że pozwoliła mu zostać, uznał to za wyraźny postęp.

- Co ten facet, Alex, czy jak mu tam, robił o tej porze w pracy?

- Jest programistą - wyjaśniła Jessie, naciskając klamkę. - Pracuje w dziwnych godzinach. Wskoczyła z samochodu i rzuciła się do wejścia, szukając kluczy.

- Chwileczkę. - Hatch wysiadł i zatrzasnął drzwiczki. Pomyślał, że Jessie jest stanowczo zbyt impulsywna i będzie musiał nad tym popracować. - Spokojnie.

- Na miłość boską! Zgodziłam się, żebyś mi towarzyszył, ale nie wyobrażaj sobie, że będziesz mną dyrygował. Zachowaj swoje przywódcze talenty dla *Benedict Fasteners*.

Włożyła klucz do zamka i stwierdziła, że drzwi nie są zamknięte. Zanim jednak nacisnęła klamkę, Hatch złapał ją za rękę. Drobne kości jej palców i nadgarstka wydały mu się zadziwiająco delikatne.

Popatrzyła na jego dłoń, a on zrozumiał, że dziewczyna waha się, czy sprawdzić, na ile jest silny. Spojrzała mu w oczy - w jej wzroku wyraźnie kryła się irytacja. Jessie zdała sobie sprawę, że nie da rady wyrwać się z tego uścisku.

- Do licha! Drzwi są otwarte. Widocznie Alex je tak zostawił. Wiedział, że przyjadę.

- Dobrze. W takim razie wejdę pierwszy. - Nie czekając na pozwolenie, Hatch bezpardonowo odsunął dziewczynę i pchnął drzwi. Wszedł do holu, namacał wyłącznik, przytknął ... ale nic się nie stało.

- Co się dzieje? - Jessie usiłowała wypatrzeć coś w ciemnościach.

- W holu nie ma światła. - Zły znak, pomyślał. Instykt podpowiadał mu, że najlepiej byłoby stąd wyjść.

- Nigdy go nie było. - Jessie chciała wyminąć Hatcha, ale on stał na swoim miejscu jak skała i nie zamierzał się ruszyć. - Alex! - zawołała. - Alex, jesteś tam? Wszystko w porządku?

W odpowiedzi usłyszała tylko cichy jęk.

- Alex. - Jessie wpadła w panikę i spróbowała odepchnąć Hatcha. - Natychmiast zejdz mi z drogi. On jest ranny.

- Cholera jasna. - Hatch wolno posuwał się w głąb ciemnego korytarza. -Powiniennem wrócić do auta po latarkę.

- Tuż przy drzwiach pracowni jest kontakt. Zaraz znajdę.

Gdy tylko Hatch przestał blokować drogę, Jessie rzuciła się zwinnie naprzód.

- Jessie, wracaj natychmiast!

Ale ona już biegła do drzwi, ledwie widocznych w mroku. Hatch poczuł przyływ wściekłości i strachu. Jessie była nie tylko impulsywna. Brakowało jej po prostu odrobiny zdrowego rozsądku. Pospieszył natychmiast za nią, ale nie musiał się specjalnie starać, żeby ją zatrzymać. Zanim bowiem zdołał jej dopaść, Jessie krzyknęła i potknęła się o rozciągniętą w korytarzu postać.

- Alex!

Mężczyzna na podłodze jęknął i bezskutecznie usiłował się podnieść.

- Jessie, to ty?

Hatch zmrużył oczy, jakby chciał wypatrzeć, co też się kryje za drzwiami do biura. Z pokoju nie dobiegał żaden dźwięk, ale Hatchard poczuł, że przechodzi go dreszcz. - Boże! - Jessie załamywała ręce nad leżącym. - Co się stało? Nie wolno ci się ruszać, dopóki nie sprawdzimy, jak ciężko jesteś ranny.

- Chyba wszystko w porządku. Po prostu oberwałem w łeb. Nie straciłem całkowicie przytomności, ale strasznie mnie boli.

Hatch ominął nogi Alexa i pełen niepokoju stanął w progu biura.

Z lewej strony dobiegł go nagle tupot ciężkich kroków. Ktoś rzucił się do drzwi. Hatch dostrzegł jedynie zarys szczupłej, żylastej postaci ubranej na czarno od stóp do głów. W uniesionej dłoni napastnika błysnął jakiś metalowy przedmiot.

- Niech to szlag! - Hatch już od lat nie stanął twarzą w twarz z człowiekiem uzbrojonym w nóż. A ostatnią taką okazję zachował we wspomnieniach z zadziwiającą dokładnością. Do tego pamiętnego wydarzenia doszło jak to się często zdarza w takich przypadkach - na drodze za gospodą, którą odwiedzali głównie kowboje i kierowcy ciężarówek.

Hatchowi wydawało się, że ma już za sobą czasy karczemnych burd i ulicznych bijatyk. Przypomniawsobnie, że teraz należy już do innej klasy. Nosił białe kołnierzyki, jedwabne krawaty i koszule szyte na miarę. Sam więc był zdumiony, że po tylu latach od ostatniej takiej potyczki reaguje niemal automatycznie. Odskoczył na bok i wierzgnął - trafił intruza w nogę. Kopnięcie było źle wymierzone, ale na tyle silne, że przeciwnik stracił równowagę.

Nóż błysnął złowieszczo, a włamywacz lekko się zachwiał, ale nie upadł.

- Z drogi, sukinsynu! - Głos był cienki, stłumiony maską z pończochy i wyraźnie pobrzmiwała w nim desperacja. - Zjeżdżaj, bo ci, kurwa, poderżnę gardło.

- Chryste! Hatch! - zabrzmiał w ciemnościach przerażony okrzyk Jessie. Hatch skorzystał z drobnej przewagi, jaką udało mu się zyskać. Kopnął napastnika i kantem dłoni uderzył w jego uzbrojone ramię. Nóż wypadł z osłoniętych rękawiczką palców i potoczył się po podłodze. Rozległ się głośny, ochryply jęk i kolejne soczyste przekleństwo. Potem włamywacz odwrócił się gwałtownie i rzucił się korytarzem do wyjścia, o mało nie wpadając na Jessie.

Przeskoczył przez Alexa, dopadł do drzwi i zniknął w ciemnościach.

- Hatch, nic ci się nie stało?

- Wszystko w porządku. - Hatch poczuł przyływ prymitywnej wściekłości, gdy zrozumiał, że jego niedoszła ofiara ucieka. Wybiegł więc do holu, ale gdy dotarł do drzwi wejściowych, zrozumiał, że jego wysiłki są daremne.

Zawiedziony, stanął na schodach, wpatrując się w migające cienie. Ale nie dostrzegł bodaj śladu człowieka, nie usłyszał niczyich kroków. W biurze Alexa błysnęło światło. Hatch odwrócił się niechętnie i zobaczył Jessie, która wpatrywała się w niego przerażona.

- Jesteś pewien, że dobrze się czujesz?

- Tak.

- Tu jest nóż.

- Nie miał okazji go użyć. Nic mi nie jest. Na pewno?

- Cholera jasna! Na pewno! - Natychmiast usłyszał, że w jego głosie pobrzmiwa bezsilna wściekłość. Chciał się za wszelką cenę opanować, ale nie było to łatwe. Musiał nie tylko ochłonać po bójce, lecz także stłumić swój gniew, który obrócił się teraz całkowicie przeciwko Jessie. Najwidoczniej ta mała idiotka nie zdawała sobie sprawy, że gdyby nie leżący w progu Alex, wbiegłaby do biura, gdzie napatoczyłaby się natychmiast na faceta z nożem. Hatch chciał jej to brutalnie uświadomić, ale doszedł do wniosku, że powinien poczekać.

- Co z tobą? - zwrócił się do Alexa.

- Mnie też się nic nie stało. Nie straciłem przytomności.

Przez chwilę byłem tylko trochę zamroczony. - To ty dzwoniłeś do Jessie?

- Tak. Bardzo mi przykro. - Alex podniósł z podłogi okulary w szylkretowej oprawie i natychmiast włożył je trochę krzywo na nos. Potem pomacał ostrożnie głowę.

- Gdybym wiedział, że ktoś tu jeszcze jest, wezwałbym gliny. Ale nawet nie byłem pewien tego włamania. Na górze wszystko wyglądało normalnie. Myślałem, że Jessie zapomniała po prostu zamknąć drzwi. - Zerknął pytająco na Hacha. - Trzeba chyba zawiadomić policję.

- Tak - powiedział Hatch. - To byłoby logiczne. Choć wątpię, czy uda im się cokolwiek zrobić. Jessie odwróciła się na pięcie, wyraźnie przestraszona. - Jak to? Przecież doszło tu do włamania i napadu. Hatch spojrział na nią z politowaniem.

- Bądź realistką. W wielkim mieście takie rzeczy są na porządku dziennym. Zmarszczyła brwi.

- Mnie się nigdy coś takiego nie zdarzyło.

- Bo po prostu miałaś szczęście. Gdzie telefon?

- Na biurku, koło komputera. - Przekrzywiła lekko głowę. - Hatch, jesteś zły?

- Dlaczego tak uważasz, do cholery?

Trzy godziny później Hatch otworzył lodówkę Jessie i gmerał w niej tak długo, aż znalazł karton chudego mleka. Potem przeszukał wszystkie półki kredensu i natrafił w końcu na płatki owsiane. Następnie udało mu się zlokalizować talerze i łyżki.

Sam klecił naprędce śniadanie, ponieważ Jessie - która właśnie wyłoniła się spod pryszniczicy ubrana w obcisłe legginsy i ogromny pomarańczowy sweter sięgający jej do połowy ud - nie była specjalnie pomocna. Wciąż paplała o włamaniu. Hatch nie miał wątpliwości, że traktuje to wydarzenie jak wielką przygodę.

On sam jeszcze nie doszedł do siebie. Ilekroć pomyślał o tym, co mogło się stać, robiło mu się zimno. Mimo że wciąż był wściekły na Jessie, najchętniej przewróciłby ją na kanapę i kochał się z nią do upadłego.

Pragnął jej od dawna, ale nigdy tak intensywnie jak w tym momencie. Złożył to na karb bójki z włamywaczem, podczas której hormony przypomniały mu gwałtownie o swoim istnieniu. W głębi duszy czuł jednak, że prawda wygląda zupełnie inaczej. Jakiś prymitywny instynkt podpowiadał mu, że gdyby posiadał Jessie w sensie fizycznym, może zdołałby nad nią zapanować. A gdyby ją ujarzmił, być może następnym razem, w krytycznej sytuacji, mógłby liczyć na posłuch z jej strony. Musiał zdobyć władzę nad tą dziewczyną, by ją chronić.

Posłuch? Ujarzmić Jessie Benedict? Senne marzenie. Siedziała na kuchennej ladzie, szczęśliwie nie wyczuwając jego nastroju. Odgarnęła grube pasmo czarnych włosów za ucho, a jej oczy błyszczały z podniecenia.

- Policjanci chyba mieli rację - zaczęła. - Ten facet włamał się do budynku i zaczął przeszukiwać biura na piętrze. Kiedy nie znalazł tam nic wartościowego, poszedł na dół i odkrył sprzęt Alexa. - Jessie zabębniła palcami o blat. - Ale i tak mi się to nie podoba.

- Nikt nie był zachwycony, Jessie.

- Nie rozumiesz. Wydaje mi się, że coś tu nie gra. Chyba pójdę dziś do pani Valentine i zapytam ją, co sądzi na ten temat. Może intuicja coś jej podpowie.

- Mam nadzieję - powiedział Hatch zmęczonym głosem - że nie zamierzasz wiązać tego włamania ze sprawą sekty ani niczym takim?

- Dlaczego? Nie obchodzi mnie zdanie policji. Cała ta historia jest mocno podejrzana. Facet przeszukał najpierw gabinet pani Valentine.

- Policjanci mówili również, że tacy włamywacze podchodzą bardzo metodycznie do sprawy. I rzeczywiście. Sensowniej jest zacząć od góry i skończyć na dole. Pomyśl logicznie, to nie film

kryminalny. Czego on mógł szukać u pani Valentine? Nie znalazłaś niczego na temat JUN i na pewno nie znajdziesz. A oni wiedzą o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

- Możliwe.

Nalewając mleko, dostrzegł kątem oka jej zaciśnięte usta.

- Niepotrzebnie dramatyzujesz. Daj sobie spokój.

Szkoda twojego czasu. - Ach tak?

- Tak. - Usiadł naprzeciw niej, po czym sięgnął po dzbanek z kawą. - Zjedz grzecznie śniadanko i daj mi całusa na drogę Jessie łypnęła na niego wściekle.

- Nie wyobrażaj sobie za dużo tylko dlatego, że spałeś na mojej kanapie.

- Oczywiście. - Hatch zatopił łyżkę w owsiance. W istocie puścił już wodze fantazji, ale doszedł do wniosku, że nie musi jeszcze wtajemniczać w to Jessie.

Negocjacje z tą dziewczyną były bardzo niebezpieczne, a Hatch nie miał najmniejszego zamiaru dawać jej na wyrost żadnych wskazówek. Sądził, że Jessie będzie kontynuować swój wykład, ale ona zaskoczyła go pytaniem, którego zupełnie się nie spodziewał.

- Co zrobiłeś temu facetowi?

- Wyładowałem na nim złość.

Nie, poważnie. Jak go załatwiłeś? To było karate? - Nic specjalnego. Takie stare uliczne sposoby.

- Skąd je znasz?

Z ulicy. Słuchaj, czy moglibyśmy zmienić temat? Mam za sobą trudne dzieciństwo. Wolałbym zapomnieć o przeszłości.

- Jak wolisz. W każdym razie cieszę się, że nie ja weszłam pierwsza do tego pokoju.

- W związku z czym muszę ci coś uświadomić - powiedział Hatch, doszedłszy do wniosku, że nie wolno mu zaprzepaścić tej okazji. Nie wpadłaś tam pierwsza tylko i wyłącznie dlatego, że potknęłaś się o Alexa, który szczęśliwie był łaskaw paść na podłogę.

Przecież cię ostrzegałem, żebyś zaczekała.

- Przecież wiesz, że nie słucham poleceń. Napijesz się jeszcze kawy?

- Nie zmieniaj tematu. Stąpasz po kruchym lodzie, młoda damo. A ja jestem w kiepskim humorze.

- O rany! Zamierzasz na mnie nawrzeszczyć? - Spojrzała na niego z zainteresowaniem, jakby czekała na rozpoczęcie przedstawienia.

- Już tak długo nad sobą panuję, że chyba stłamszę w sobie tę potrzebę, choć w takich okolicznościach byłbym całkowicie usprawiedliwiony. Ale lepiej mnie jednak nie prowokuj.

- Zawołowana groźba. Wspaniale. Nigdy Cię takim nie widziałam. Odśloniłeś przede mną zupełnie nowe oblicze. Zachowujesz spokój tylko dlatego, że nie chcesz stracić terytorium, jakie zaanektowałeś dla siebie ubiegłej nocy, zasypiając beztrosko na mojej kanapie.

- Naprawdę?

- Doskonale wiem, w jaki sposób rozumiesz. Zważyłeś wszelkie za i przeciw awanturom, po czym doszedłeś do wniosku, że na tym etapie nie możesz sobie jeszcze pozwolić na wrzaski.

- Uważasz, że świetnie mnie znasz, prawda?

- Wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, jakim torem płyną twoje myśli. - Upiła łyk kawy i zmarszczyła nos. Ale nie przypuszczałam, że parzysz taką świetną kawę. Smakuje zupełnie jak prawdziwa. - Pociągnęła kolejny łyk. - Może dodałeś kawałek starej opony dla poprawienia aromatu?

- Wychowałem się na ranczu. Nikt tam nie pije lury. W oczach Jessie rozblęskło zainteresowanie.

- Na ranczu? Gdzie?

- W Oregonie.

- Twoi rodzice wciąż tam mieszkają?

- Nie. - Żałował, że się wygadał, ale już było za późno. Wystarczyło spojrzeć na Jessie. Zżerała ją ciekawość. A ciekawa Jessie Benedict to niebezpieczna Jessie Benedict. Z drugiej strony cieszył się, że wreszcie udało mu się wzbudzić jej nieklamane zainteresowanie.

- Więc gdzie oni mieszkają?

- Kiedy miałem pięć lat, moja matka doszła do wniosku, że nie znieśie dłużej życia na ranczu. A może nie mogła już wytrzymać z moim ojcem. Tak czy inaczej, wniosła pozew o rozwód i wyjechała. Pojechała z powrotem na Wschód i wyszła za mąż za jakiegoś agenta ubezpieczeniowego. Jessie zmarszczyła brwi. - A co się stało z tobą?

- Zostałem z ojcem - odparł, wruszając ramionami. - Kiedy skończyłem szesnaście lat, natychmiast wyjechałem.

- Poszedłeś do college'u?

- Nie. Po prostu wcześniej opuściłem swój rodzinny dom. Bez przerwy walczyłem z tatą. Nie mogliśmy się porozumieć. - Hatch odsunął na bok wspomnienie słabego, zrzedliwego, zgorzkniałego mężczyzny, który go wychował.

- Oczywiście nie byłem wzorowym synem. Od czasu gdy skończyłem dziewięć lat, bez przerwy popadałem w tarapaty. Kiedy wyjechałem z domu, zataiłem swój prawdziwy wiek i dostałem pracę na farmie w Kalifornii. Tata zginął w wypadku samochodowym dwa lata później.

- I co było dalej? - Jessie nie odrywała od niego wzroku.

- Wróciłem do Oregonu, sprzedałem ranczo i oddałem długi, jakie zaciągnął mój ojciec. On nie miał głowy do interesów. Zresztą do niczego nie miał głowy. Po jego śmierci postanowiłem udowodnić, że się mylił.

- Co do czego?

Hatch wpatrzył się w gęstą czarną kawę.

- Zawsze mi wmawiał, że nigdy mi się nie uda niczego osiągnąć.

- W takim razie nie miał racji, prawda? - Jessie zerknęła na stalowo-złoty zegarek na ręku Hatcha. Uśmiechnął się ponuro.

- Ale można by powiedzieć, że wszystko mu zawdzięczam.

- A co z twoją matką? Ona żyje?

- Tak.

Jessie zagryzła dolną wargę. - Widujesz się z nią?

- Raczej nie. - Hatch przełknął kolejną porcję płatków. - Odwiedzam ją na Boże Narodzenie.

- Niezbyt często.

Jej karcący wzrok na nowo obudził w nim irytację.

- Na miłość boską, Jessie. Zmieńmy temat. To nie twoja sprawa, ale i tak ci powiem, że ona również za mną nie tęskni. Zbudowała sobie życie od nowa. Ma jeszcze dwóch synów, obaj są prawnikami. Jest bardzo szczęśliwa ze swoim mężem. Mój ojciec nie potrafił jej tego zapewnić.

- Ale co z tobą?

- Nie przepadałem za nią od czasu, gdy zostawiła mnie z tym sukinsynem i wyszła ponownie za mąż. - Hatch wruszył ramionami.

- Powinna była cię ze sobą zabrać.

- Tak, ale nie zabrała. Pewnie za bardzo przypominałem jej ojca. Naprawdę nie chcę już o tym rozmawiać. Jasne?

- Tak.

Hatch odetchnął głęboko i uczynił kolejny wysiłek, by się opanować. Przeszłość nie należała do jego ulubionych tematów. Zerknął na zegarek.

- Chyba już pójdę. Jestem umówiony z kierownikiem budowy w Portland. - Wstał i sprawdził machinalnie, czy ma w kieszeni klucze i portfel. - Do zobaczenia wieczorem. Będę w domu prawdopodobnie około siódmej albo wpół do ósmej.

- W domu? To znaczy tutaj?

- Właśnie.

- Zaraz, zaraz. Już coś sobie zaplanowałam. Na wieczór również. Nie możesz się tak po prostu do mnie wprowadzić.

- Przykro mi. Spieszę się. Nie mam czasu się kłócić.

Jednym susem znalazł się za ladą i zanim zdążyła zaprotestować, pocałował ją delikatnie w czoło, a potem ruszył do drzwi.

- Co ty sobie myślisz, do diabła? To, że u mnie dziś nocowałeś, nie znaczy, że tak będzie zawsze, rozumiesz? - Wstała i poszła za nim.

- Porozmawiamy później.

- Czyżby? Pamiętaj, że po ósmej nie podaję kolacji. jeśli przyjedziesz tak późno, nie spodziewaj się, że będę cię karmić.

- W porządku. - Delikatnie zamknął za sobą drzwi, nie pozwalając jej dokończyć tyrady.

Zatrzymał się na chwilę i uśmiechnął do siebie, gdy usłyszał trzask zamykanej zasuwy. Zszedł na dół raczej zadowolony. Aby wygrać wojnę, należało najpierw wyjść obronną ręką z drobnych potyczek. Na razie zyskał pewność, że Jessie zwróciła na niego uwagę.

Być może dziewczyna nie chciała się z tym pogodzić, ale fakt, że Hatch spędził noc na jej kanapie, stanowił punkt zwrotny w ich znajomości - nadał jej bardziej intymny charakter. Jessie nie obudziła go i nie wyprosiła z domu, co miało - choć zapewne wbrew jej intencjom - określoną wymowę.

Dzięki wspólnej przygodzie, jaką przeżyli o trzeciej rano, powstała między nimi dodatkowa więź, którą Hatchard z pewnością zamierzał wykorzystać, by zrealizować swój plan. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności Hatch doszedł do wniosku, że jest bliski sukcesu. Nie mógł się już doczekać skonsumowania owoców tej fuzji.

Jessie przeglądała notatki z rozmowy z Davidem, który przekazał jej informacje, jakie udało mu się zdobyć w Butterfield.

- Może ci się przyda to nazwisko. Niestety, niczego innego nie udało mi się dowiedzieć - powiedział.

- Szczerze mówiąc, tutejsi studenci nie bardzo chcieli gadać z tymi sekciarzami. Uznali ich po prostu za wariatów.

- Nic dziwnego. A co mówili nie o ich przywódcy? Wiadomo, w czym on się dokładnie specjalizuje?.

- Cóż ... Bardzo tajemniczy z niego człowiek. Dzięki stokrotne za pomoc. Jessie odłożyła słuchawkę i zerknęła na podyktowane jej przez Davida nazwisko: Nadine Willard. Wiedziała wreszcie, od czego zacząć. Zdobyła jakiś trop i poczuła się jak prawdziwy detektyw.

Nadine Willard pracowała w barku kawowym naprzeciwko college'u. Okazała się szczupłą, wyblakłą blondynką o jasnych, czujnych oczach, rzadkich włosach w mysim kolorze i fatalnej cerze.

Wyraziła zgodę na rozmowę, pod warunkiem, że Jessie zaczeka, aż będzie mogła zrobić sobie przerwę. Dla zabicia czasu Jessie zamówiła kawę z ekspresu, ale już po pierwszym łyku pożałowała swojej decyzji. Nerwy i tak miała w strzępach. Jedna filiżanka przygotowanego przez Hacha naparu wystarczyła, żeby przez cały dzień chodzić na rżęsach. Nic dziwnego, że Sam Hatchard był w stanie pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Jessie bawiła się filiżanką i patrzyła na zgromadzonych w barku studentów reprezentujących wszystkie możliwe typy psychofizyczne. Myślała jednak wyłącznie o tym, jak pani Valentine zareagowała na wiadomość o włamaniu. Rozmowa z szefową bardzo ją zresztą rozczarowała.

- O mój Boże - powiedziała pani Valentine z przerażeniem. - Mam nadzieję, że ten sympatyczny Alex Robin nie jest ciężko ranny.

- Czuje się świetnie. już wrócił do pracy - zapewniła ją Jessie. Zrozumiała od razu, że siódmy zmysł szefowej milczy w tej sprawie, i postanowiła nie sugerować, że włamanie mogłoby mieć cokolwiek wspólnego z jutrzenką Nadziei. Nie było sensu martwić chorej. Dobre sekretarki nie zawracają swoim przełożonym głowy takimi głupstwami.

Jessie zaczęła się nudzić i postanowiła zaryzykować kolejny łyk kawy, ale w tej samej chwili zobaczyła, że Nadine Willard wreszcie zmierza w jej stronę.

- Chyba jestem na razie wolna - powiedziała, siadając naprzeciwko Jessie. - Chciała się pani czegoś dowiedzieć. na temat Susan Attwood.

- Tak. Susan wstąpiła do jutrenki Nadziei, a jej matka bardzo się tym martwi. Dobrze pani znała tę dziewczynę?

- Nie bardzo. Zresztą jej chyba nikt nie znał. Nie była specjalnie towarzyska. Miała absolutnego fioła na punkcie komputerów. W semestrze zimowym chodziłyśmy razem na jeden z wykładów.

Kiedy ci ludzie z JUN pojawili się w college'u, poszłam na jedną z ich prelekcji i spotkałam tam Susano Potem trochę o nich rozmawiałyśmy.

- Zamierzała się pani do nich przyłączyć?

- Nie. Byłam po prostu ciekawa. Wszyscy w końcu mówią o zagrożeniu środowiska, ale co można zrobić? Susan wpadła w euforię. Dostała od nich zaproszenie i chciała mnie ze sobą zabrać.

- Jakiego rodzaju zaproszenie? Próbowali ją skaptować?

- Nie. Zaprosili ją do siebie. Pojechała na wyspę i zrobiło to na niej takie wrażenie, że zdecydowała się zostać. - Na wyspę? Na jaką wyspę?

- Wyspa San Juan należy do Fundacji JUN.

- Kupili wyspę?

- Tak. Ale nie widzę w tym nic dziwnego. Tam jest wiele prywatnych wysp. W każdym razie trzeba mieć zaproszenie, żeby wejść na ląd i zwiedzić ich siedzibę.

- A w jaki sposób można otrzymać takie zaproszenie? - spytała Jessie, stukając ołówkiem o blat.

- Zdaje się, że podczas prelekcji. Ale oni już dawno nie prowadzili żadnych wykładów na terenie college'u. Pewnie przenieśli się gdzie indziej. - Nadine wzruszyła chudymi, żyłastymi ramionami.

- A niech to! Nie ma pani czasem ich broszur czy ulotek? Czegoś z adresem albo przynajmniej numerem telefonu?

- Wątpię. Nie miałam zamiaru się tym zajmować, więc chyba wszystko wyrzuciłam.

- A niech to! - powtórzyła Jessie. - Szkoda.

- Ale mogę dać pani swoje zaproszenie. Nigdy z niego nie skorzystam.

- Co? - Jessie z wrażenia upuściła długopis. - Ma pani zaproszenie?

- Tak. Wszyscy przecież dostali. ja zachowałam swoje, bo Susan mnie o to prosiła. Myślała, że zmienię zdanie.

- A można je odstąpić? Każdemu wolno z niego skorzystać? - Jessie z trudem panowała nad sobą.

- Chyba tak. Nie wpisali na nim mojego nazwiska. To zaproszenie na dwie osoby. Tyle że oni żądają za zwiedzanie bardzo wysokiej opłaty. Dwieście dolarów od głowy. W charakterze datku na fundację.

- Dwieście dolarów? - Jessie była zaszokowana. - Za zwiedzanie wyspy?

- Tak. Między innymi dlatego tam nie pojechałam.

Susan tłumaczyła, że oni chcą w ten sposób odstraszyć ciekawskich. Jessie podjęła już decyzję.

- Zapłacę pani za to zaproszenie. - Sięgnęła do torebki po portfel - Ile pani żąda?

Nadine myślała chwilę.

- No ... ze dwadzieścia dolców.

- Dam pani pięćdziesiąt - powiedziała Jessie wielkodusznie. Obiecała sobie w duchu, że zaliczy tę sumę na poczet kosztów całej operacji. Nie była tylko pewna, czy może tak samo potraktować dwieście dolarów za zwiedzanie, więc postanowiła wyjaśnić ten problem z panią Attwood. Mogła się jednak założyć, że jej klientka zaaprobuje tę eskapadę. Gdy Jessie wróciła do biura, zaproszenie z adnotacją "Karta wstępu dla okaziciela i osoby towarzyszącej" spoczywało już bezpiecznie w jej torebce. Była niezwykle zadowolona z siebie, dopóki nie zobaczyła, że w holu czeka na nią Constance Benedict - matka Elisabeth.

Jessie wystarczyło tylko jedno przelotne spojrzenie na Constance, by zgadnąć, że to nie jest przypadkowa wizyta.

- Jak się masz, Connie? Co ty tu robisz?

- Urządzam apartament niedaleko stąd, więc postanowiłam do ciebie zajrzeć, zanim wrócę do domu.

- Coś się stało? - Jessie poczuła ściskanie w żołądku.

Chodzi o Elisabeth?

- Muszę z tobą o niej porozmawiać - powiedziała ponuro Constance, idąc za Jessie na górę.

Gdy znalazły się w biurze, Jessie wskazała Connie miejsce na kanapie.

- Usiądź, proszę - powiedziała.

Constance była o kilka lat młodsza od matki Jessie. Urodziła Elisabeth w wieku trzydziestu pięciu lat, dokładnie w dziewięć miesięcy po ślubie z Vincentem.

Od początku wiedziała, że Benedict nie nadaje się na męża, ale zegar biologiczny tykał niebezpiecznie szybko. Pożalowała swej decyzji już kilka miesięcy później. Wytrzymała dwa lata. Przez ten czas nawiązała bliską znajomość z Liman Benedict - jedyną kobietą na świecie, która rozumiała, co to znaczy być żoną prezesa *Benedict Fasteners*.

Constance była niezwykle przystojną kobietą. Podobnie jak matka Jessie wiedziała, jak podkreślić swój południowy typ urody. Lubiła żywe kolory i ostry makijaż. Obfite kształty dodawały jej zmysłowości, a ubierała się zawsze szykownie i elegancko. Na spotkanie z Jessie włożyła obcisłą, turkusową garsonkę z krótką spódniczką.

- A więc na czym polega problem? - Jessie rozparła się na krześle i czekała. Tak samo jak Lillian, Connie zawsze od razu przechodziła do rzeczy.

- Dziś po południu dzwonił Vincent. Zostawił dla mnie wiadomość w biurze.

Jessie znów poczuła ściskanie w żołądku. - I co dalej?

- Powiedział, że jest mu bardzo przykro, ale nie będzie mógł zabrać Elisabeth do szkoły na

rozstrzygnięcie konkursu.

Jessie zamknęła oczy. Zalała ją fala złości. Potwierdziły się jej najgorsze obawy.

- A niech go! Cholera jasna! A niech go! Wie przecież, jakie to dla niej ważne. Przecież obiecał.

- Wszyscy wiedzą, ile są warte jego obietnice. jeśli jesteś jego kontrahentem, możesz na niego liczyć w stu procentach. Zawsze dotrzymuje słowa. Jeśli jednak należysz do rodziny, musisz przesiewać wszystkie jego obietnice przez grube sito.

- Wiem. Ale czasem ... - Jessie rąbnęła otwartą dłońią w blat biurka - właściwie nawet często udaje mi się do niego dotrzeć. Myślałam, że rozumiał, ile ten konkurs znaczy dla Elisabeth.

- Może i rozumiał. - Connie wzruszyła ramionami. Powiem więcej. Vincent najprawdopodobniej bardzo żałuje, że nie może z nią pojechać. Ale interesy zawsze były dla niego najważniejsze.

Przecież sarna najlepiej o tym wiesz.

Jessie skrzywiła się boleśnie.

- Chcesz mi zasugerować, że to moja wina? Dlatego tu przyszedłaś. Wyłącznie po to?

- Jeśli mam być szczerą, to tak. - Constance westchnęła. W jej głosie pobrzmiwał wyrzut z domieszką współczucia. - Ostrzegałam cię, że skoro nie możesz ręczyć za Vincenta, lepiej żebyś nie narażała Elisabeth na rozczarowania.

- Na nic jej nie narażałam. - Jessie wiedziała jednak, że to nieprawda. Gdyby się nie wtrącała, dziewczynka nie przeżyłaby takiego zawodu. Niepotrzebnie rozbudziła w niej nadzieje. - Och, Connie. Tak mi przykro.

- Wiem. Ale chyba byłoby lepiej, gdybyś się nie starała ich zbliżyć. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. A ona da sobie radę bez Vincenta. Podobnie jak ty.

- Ale Elisabeth tak się cieszy, kiedy ojciec zabierają do miasta z okazji urodzin albo przychodzi do szkoły na imprezy. Nie chcę, żeby dorastała w mniemaniu, że tata to jakaś obca, daleka osoba, która od czasu do czasu głaszcze ją po głowie i pyta, czy nie potrzebuje pieniędzy. Nie możesz powiedzieć, że wszystkie moje wysiłki spaliły na panewce. Elisabeth ma o wiele bliższe kontakty z ojcem niż ja, kiedy byłam w jej wieku.

- Wiem. Jestem ci wdzięczna za wszystko, co osiągnęłaś. Ale teraz, kiedy ona dorasta, nie wiem, czy warto się do nich wtrącać. Nastolatki bardzo przeżywają wszelkie rozczarowania. Dziewczynki w tym wieku są bardzo uczuciowe. Ona tak bardzo się cieszyła na tę sobotę. Będzie jej przykro. Jessie zacisnęła dłoń w pięść.

- Jeszcze jej nie powiedziałas?

- Nie. Zamierzam to zrobić dziś wieczorem. - Connie skrzywiła się. - Właściwie powinnaś mnie wyręczyć, nie sądzisz?

- Tak. - Jessie przygryzła wargę. - jest dopiero czwartek. Daj mi czas do jutra. Może uda mi się go przekonać, żeby zmienił plany.

- Bezsens. Odwleczesz tylko egzekucję. Vincent powiedział, że musi załatwić pewien interes, nie rozumiesz? - Proszę cię tylko o kilka godzin.

Constance wzruszyła ramionami i sięgnęła po torebkę. - Sądzę, że to wszystko jedno, kiedy się dowie.

- Dzięki. Zrobię, co będę mogła. Obiecuję.

- Wiem, ale ... No dobrze. Zobaczymy. - Constance rozejrzała się po tandetnie urządzonej biurze. -

A więc tutaj teraz pracujesz. Kiedy wreszcie wydorosłajesz i znajdziesz sobie prawdziwą posadę? Już ją znalazłam. Dlaczego nikt nie traktuje poważnie mojego zajęcia Constance skierowała się do

drzwi.

- Prawdopodobnie z powodu twoich dotychczasowych doświadczeń. Już tyle razy cię wyrzucali...
 - Tym razem nic takiego się nie zdarzy. Na pewno mi się uda. Connie?
 - Słucham.
 - Obiecujesz, że nic jej nie powiesz, dopóki nie porozmawiam z tatą.
 - Stracisz tylko czas, ale masz moje słowo. - Constance przystała na chwilę. - A co tam słysząc u następcy tronu?
 - Nie spodziewaj się rewelacji. On jest za bardzo podobny do mojego ojca. Chyba byś nie chciała, żebym popełniła te same błędy, co ty.
- Constance zmarszczyła brwi.
- Sądziłam, że traktujesz Hacha poważnie.
 - To bezpodstawne spekulacje, plotki i pomówienia. Wszystko przez tatę. Nie wyszłabym za mąż za Sama Hatcharda, nawet gdyby był jedynym mężczyzną na świecie.
- Connie złagodniała.
- Dobrze. Widzę, że w takim razie wkrótce będzie się z czego cieszyć. Lubię Hacha, a firma bardzo go potrzebuje. Tak jak my wszyscy.
 - Do licha! Connie! Mówiłam ci przecież ...
- Ale dalsze protesty nie miały sensu. Connie już zamknęła za sobą drzwi.

Rozdział 6

O wpół do dziewiątej Jessie wciąż siedziała przy biurku w swoim biurze. W końcu musiała pogodzić się z klęską. Ojciec nie odpowiedział na żaden z jej telefonów. Grace na pewno już wyszła z biura, a on nie podnosił słuchawki. Jessie doskonale знаła ten schemat. Ojciec nie skontaktuje się z nią przez cały weekend, a później zadzwoni i powie, że wezwano go w interesach. A przecież wszyscy wiedzieli, że to świętość.

Znowu rozgorzał w niej gniew i cierpiała tak samo jak wtedy, gdy jeszcze była małą dziewczynką.

Długo tłumione uczucia zawsze dawały o sobie znać, gdy ojciec sprawiał przykrość Elisabeth.

- Łajdak - Jessie podniosła długopis i cisnęła nim o ścianę.

Patrzyła, jak długopis spada na podłogę, a potem wyjrzała przez okno.

Późnowiosenny zmierzch stopniowo przeradzał się w ciemność. Na ziemię spadły pierwsze krople deszczu - żółte chmury smogu powoli zaczynały się rozpraszać. Jessie wstała i poszła do gabinetu pani Vincent. Otworzyła dolną szufladę małego regału na akta i wyjęła z niej butelkę sherry, którą szefowa trzymała tam w celach leczniczych.

Wlała trochę alkoholu do kubka z kawą i odstawiła butelkę na miejsce. Wróciła do biura, wyłączyła światło, położyła nogi na biurku i rozparła się na skrzypiącym krześle. Sącząc wolno sherry, patrzyła w zapadający mrok. Ciemność zakradała się do pokoju jak ogromna czarna chmura, wdzierając się powoli w każdy kąt.

- Ty draniu - szepnęła, pociągając kolejny łyk sherry. Nie zwróciła uwagi na kroki na schodach. Alex na pewno szedł do toalety na górze. Nie wiedział, że Jessie jeszcze siedzi w biurze.

Czekała na odgłos kroków w głębi korytarza, ale nagle zapadła cisza. Ktoś zatrzymał się przed jej drzwiami, a Jessie zorientowała się poniewczasie, że ich nie zamknęła. Zerknęła w kierunku wejścia i za matową szybą zobaczyła zarys męskiej postaci. Wstrzymała oddech - wahała się, czy szybko

przekręcić klucz w zamku i zdradzić tym samym swoją obecność, czy też raczej siedzieć cicho i czekać, żeby intruz sobie poszedł. Niestety, myślała zbyt długo. Drzwi otworzyły się i Hatch wszedł do środka. Miał rozpięty kołnierzyk i rozluźniony krawat.

- Widzę, że zmieniłaś godziny pracy - stwierdził spokojnie.

- Nie.

- Aha. - Rozejrzał się po pokoju. - Scena jak z kiepskiego kryminału. Nasza wyalienowana bohaterka siedzi przy biurku i popija. Butelkę z pewnością trzyma w szufladzie. Pogrążyła się w rozmyślaniach o tym, jak ciężkie jest życie detektywa.

- To ty czytujesz jeszcze coś oprócz "Wall Street Journal"? - zdziwiła się Jessie. - Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Poszedłem do ciebie do domu. Byłem na miejscu przed ósmą, tak jak mi kazałaś. Ponieważ cię nie zastałem, postanowiłem sprawdzić tutaj.

- Bardzo sprytnie.

- Chyba nie jesteś w najlepszym humorze.

- Rzeczywiście. - Jessie pociągnęła kolejny łyk sherry i dalej siedziała na krześle, nie zdejmując nóg z biurka. Czasem wpadam w taki nastrój.

- Rozumiem. Nie wiem wprawdzie, co pijesz, ale chętnie bym się przyłączył.

- To taka mikstura pani Valentine. Trzyma ją w dolnej szufladzie regału. W gabinecie.

- Dzięki. Nie fatyguj się. Sam znajdę.

- Wcale nie miałam zamiaru się ruszać.

Hatch wrócił do pokoju z butelką i jeszcze jednym kubkiem.

- Ta mikstura przypomina mi doskonałą hiszpańską sherry. Czyżby pani Valentine czerpała z niej swe nadprzyrodzone siły?

- Łajdak.

- Ja czy twój ojciec?

- Tata.

- Miałem pięćdziesiąt procent szans, żeby zgadnąć. - Hatch przysunął sobie krzesło i usiadł. - A co on znowu przeskrobał?

- Nie pójdzie z Elisabeth na rozstrzygnięcie konkursu. Znalazł sobie coś ważniejszego do roboty.

- Byli umówieni na sobotę? - Upił łyk sherry i wpatrzył się w kubek. Jessie odwróciła się do niego gwałtownie.

- Tak. Co mu takiego wypadło? Dlaczego chce jej zrobić świństwo?

- Jedzie do Portland - odparł Hatch. - Mówiłem ci, że mamy problemy na budowie.

- Niech go szlag. - Jessie łupnęła kubkiem o biurko.

Znów rozgorzał w niej gniew. - Dobry Boże! Mogłabym go udusić! Elisabeth będzie taka nieszczęśliwa. A jego to kompletnie nic nie obchodzi. - W jej oczach zalśniły łzy. Zamrugowała gniewnie powiekami.

- Jesteś trochę niesprawiedliwa. Jemu naprawdę zależy na Elisabeth. Ale ta sprawa w Portland jest bardzo ważna i...

- Wiem - syknęła przez zęby. - On przecież jedzie tam w interesach, jak zwykle.

- Zainwestował w tę budowę masę forsy. Chodzi również o reputację firmy. Musimy trzymać się planu.

- Dobra, broń go. Sam jesteś niewiele lepszy. Na jego miejscu postąpiłbyś dokładnie tak samo.

Hatch ścisnął mocno ucho kubka.

- Nie wciągaj mnie w te sprawy. Załatwiał je ze swoim ojcem.

- Nie twój problem, prawda? Ale ty trzymasz jego stronę, bo ci się wydaje, że go lubisz.

Macie dokładnie tę samą hierarchię wartości. Te same priorytety. - Zmrużyła oczy. - Najważniejsze są interesy. Co znaczą uczucia dwunastoletniej dziewczynki, jeśli gra idzie o parę tysięcy dolarów?

- Cholera jasna! Jessie! To nie ja spowodowałem tę zmianę planów. Czego ty chcesz ode mnie?

Sama wszystko ustaliłaś, chociaż wiedziałaś, że Vincent nie dotrzyma słowa, jeśli mu coś wyskoczy. Miał rację, czym tylko pogorszył sytuację.

- Nie próbuj mi wmówić, że ty byś na jego miejscu postąpił inaczej.

- Chryste Panie! Uspokój się, dobrze?

- Odpowiedz mi. Nie, nie kłopotcz się, przecież oboje znamy odpowiedź, prawda? Oczywiście, że zachowałbyś się tak samo.

- Dosyć.

Jessie spojrzała na niego zdziwiona tym nagłym wybuchem. Nigdy przedtem nie widziała, żeby Hatch stracił panowanie nad sobą. Do tej pory prowokowała kłótnie, żeby nie ulegać tak łatwo jego urokowi. Teraz, gdy już się jej udało wyprowadzić go z równowagi, zdała sobie sprawę, że

popęłniła błąd. - Mam rację i doskonale o tym wiesz - mruknęła, chcąc zachować twarz.

Ale Hatch wstał i pochylił się nad nią, zaciskając dłonie na drewnianych poręczach krzesła, na którym siedziała. - Zamknij się, Jessie. Nie chcę już słyszeć ani słowa o tym, że tak bardzo

przypominam ci ojca. Nie jestem twoim ojcem, do jasnej cholery!

- Wiem. Ale z pewnością mógłbyś być synem Vincenta. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, prawda? Pojechałbyś do Portland, przyznaj się. Zrobiłbyś dokładnie to samo co on. Nie zaprzeczaj.

- Nie. Nie pojechałbym do tego pieprzonego Portland - warknął Hatch; jego oczy błyszczały gniewnie w mroku. - Gdybym obiecał małej dziewczynce, że pójdę z nią na rozdanie nagród, żadna siła nie zmusiłaby mnie do zmiany planów. Zawsze dotrzymuję słowa. I dochowuję zobowiązań.

Pamiętaj o tym.

- Odsuń się. Chcę wstać. - Poczowała, że drżą jej usta, więc odruchowo przygryzła dolną wargę.

- Dlaczego? Nie chcesz mnie słuchać? Działam ci na nerwy?

- Oczywiście że tak, do ciężkiej cholery.

- To kiepsko.

- Daj mi spokój. - Jessie zwinnie podkurczyła pod siebie nogi i stanęła na krześle. Zachwiała się, ale utrzymała równowagę, przestąpiła poręcz i weszła na biurko, po czym, gdy już poczuła się bezpieczniej - spojrzała z góry na Hacha.

- Zejdz - powiedział, wyciągając do niej rękę.

- Nie. Nie dotykaj mnie. Ani mi się waż. Słyszysz?

- Słyszę, ale nie mam ochoty z tobą dyskutować. Objął ją w talii i zdjął z blatu bez najmniejszego wysiłku.

- Hatch.

Postawił ją na podłodze, chwycił za ramiona i mocno przytulił.

- Koniec z tymi porównaniami. Mam własną osobowość i chciałbym, żebyś raczyła to zauważyć. Nie zostałem wyklonowany z Vincenta Benedicta.

Potrafię samodzielnie myśleć, a także podejmować własne decyzje oraz zobowiązania, które później traktuję bardzo poważnie.

- Wierz mi, nie myślę cię z moim ojcem. Nie o to mi chodzi. Twierdzą tylko, że uznajecie dokładnie taki sam system wartości, a mnie się on nie podoba. Przerwał jej monolog pocałunkiem, a Jessie zeszywniała z wrażenia. Natychmiast wyleciały jej z głowy wszystkie argumenty i uwiesiła się Hatchowi na szyi. Nogi jej się ugięły. Oddychała z trudem. Płonęła. Zmysłowość tego pocałunku wywołała u niej reakcję, o jaką nigdy by się sama nie posądziła. W dolnych partiach ciała wzbierało wilgotne pożądanie.

- Powiedz moje imię. Powiedz natychmiast - rozkazał ochryłym głosem, gdy oderwał na chwilę usta od jej delikatnych warg.

- Hatch, proszę cię, Hatch. - Drżąc, objęła go za szyję i poczuła, jak krew buzuje w jej żyłach. Stopy oderwały się jej od podłogi i miała przez moment wrażenie, że wpadła do wulkanu, ale w chwilę później wyczuła pod plecami miękkie poduszki. Hatch zaniósł ją na kanapę. Zdradzieckie, zwinne palce szarpnęły niecierpliwie guziki jej bluzki.

W chwilę później poczuła, jak błędzą po jej miękkiej piersi. Krzyknęła cicho. Gdy nakrył ją całym ciężarem swego ciała, instynktownie zgięła nogę w kolanie i odkryła, że Hatch już leży między jej udami. Cała udreka i niepewność ostatnich kilku tygodni przeistoczyły się w nieodparte pragnienie, by sprawdzić, co też się kryje na dnie tego wiru, w jaki przed chwilą wpadła. Usłyszała, że Hatch rzuca buty na dywan. Szybko rozpiął jej suwak od dżinsów, które natychmiast pofrunęły na podłogę wraz z majteczkami. Gdy wreszcie odnalazł to, czego szukał, Jessie chciała krzyknąć, ale zabrakło jej powietrza. Przytuliła się tylko mocniej do Hacha i - gestem zdradzającym niecierpliwą namiętność - wypchnęła do góry biodra.

- Pragniesz mnie. Powiedz, że mnie pragniesz.

- Pragnę. Od początku cię pragnęłam. - Ugryzła go mocno w ucho. - Przecież o tym wiedziałeś, ty draniu.

- Wiedziałem. Doprowadzałaś mnie do szaleństwa. Hatch wessał głęboko jej sutkę, jakby w odwecie za ugryzienie w ucho.

Znów załapała ją fala pożądania. Gdy Hatch odsunął się lekko, zaprotestowała i zaczęła przyciągać go z powrotem.

- Daj mi tylko chwilę ... - szepnął ochryłym głosem. Błyskawicznym ruchem odpiął koszulę, ale jej nie zdjął. Równie szybko pozbył się paska od spodni, a potem szarpnął suwak. Z bocznej kieszeni wyjął małą, plastikową paczuszkę, rozerwał ją zębami i opuścił rękę.

Potem znów przygwoździł Jessie do miękkich poduszek na kanapie.

- Obejmij mnie nogami. Mocno.

Wykonała ślepo rozkaz.

Wsunął się w nią delikatnie, a ona wbiła mu paznokcie w plecy i dyszała ciężko.

- Jessie, spójrz na mnie. - Gdy wchodził w nią głęboko, do końca, rozbłysły mu oczy.

Wiedziała, że popycha Hacha na skraj przepaści, ale na dnie tej świadomości kryła się dzika i potężna kobiecość, o wiele silniejsza od strachu.

Wbił się w nią mocniej, powoli pokonując opór.

- Tak ciasno - szeptał. - Tak gorąco i ciasno. Jessie. Jednym silnym pchnięciem zagłębił się całkowicie w jej wilgotnym wnętrzu.

Gdy poczuła, jak szczelnie ją wypełnia, wstrzymała oddech w oczekiwaniu. Przymknęła oczy i bała się poruszyć.

- jesteś cudowna. - Hatch jęknął. - Wiedziałem, że tak będzie ... Nie boli cię? Przesunęła językiem po

spierzchniętych wargach.

- Nie. Wszystko dobrze. - Wbiła paznokcie w jego ramiona i poruszyła prowokująco biodrami.

- Chryste.

Chciał przywołać na pomoc resztki silnej woli, ale gdy poczuł delikatny ucisk, stracił panowanie nad sobą. Przywarł do niej tak mocno, jakby już nie miał zamiaru wypuścić jej z objęć. Wchodził w nią coraz mocniej, coraz głębiej, a potem przesunął ręką po jej podbrzuszu i odnalazł maleńki, delikatny pączek: źródło kobiecej rozkoszy. Jessie nie była już cimą tańczącą wokół płomienia - sama stała się ogniem.

- Boże! Hatch! Hatch! Proszę!

- Jessie.

Zdobył się na jeszcze jedno silne pchnięcie i wydał z siebie przeciągły okrzyk. A potem przygniótł ją swym ciężkim, wilgotnym i znużonym ciałem. Drgnął, gdy poczuł, że Jessie zaczyna się kręcić. - Nie możesz leżeć spokojnie? - mruknął.

- Ciężko mi.

Pewnie nie kłamała. W porównaniu z nim była taka krucha i delikatna. Ale tak mu było dobrze leżeć na niej i wdychać zapach jej spoconego ciała, zapach miłości. Delektował się głęboką intymnością tej chwili i nie chciał się ruszać. Spojrzał na Jessie. W jej kocich zielonych oczach kryła się niepewność. Hatch wiedział, że od tej chwili dziewczyna zacznie traktować go poważnie.

Uśmiechnął się lekko. - Nie przypuszczałem, że to się stanie tak szybko - powiedział nie bez satysfakcji.

- Ale byłeś przygotowany na każdą ewentualność. W kącikach jej pięknych oczu zalśniły łzy.

Hatch był zdumiony. Przypomniawszy sobie, że Jessie jest bardzo wrażliwą istotą, i delikatnie ujął jej twarz w dłonie.

- Zawsze cię pragnąłem. Musiałaś o tym wiedzieć. Czuliśmy do siebie pociąg. To była tylko kwestia czasu.

- I ty pewnie uważasz, że wszystko się teraz zmieni. - Powstrzymała łzy, wyraźnie chcąc zmienić nastrój. Czowała się nie najlepiej. - Chyba tak. - Musnął ustami jej wargi. - Załatwię problem soboty.

Zmarszczyła brwi.

- O czym ty mówisz?

- Zadzwoń do Constance i powiedz, że Vincent pojedzie z Elisabeth do szkoły. Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- W jaki sposób zamierzasz tego dokonać?

- Jestem dyrektorem *Benedict Fasteners*, zapomniałaś? - Odparł, wzruszając ramionami.

- Tak, ale mój ojciec jest prezesem.

I nie wolno mu rozkazywać.

- Dam sobie z nim radę. - Hatch podniósł się niechętnie, nie mogąc oderwać oczu od jej szczupłego, nagiego ciała. Dostrzegł, że Jessie zarumieniła się pod jego spojrzeniem, i znów się uśmiechnął.

- Dlaczego? - spytała cicho, podnosząc bluzkę i zasłaniając się nią jak tarczą.

- Co dlaczego? - Ponieważ pozbawiła go w ten sposób widoku swych ponętnych piersi, Hatch utkwiał spojrzenie w wilgotnych włosach między jej nogami. - Przecież wiesz, o czym mówię. - Machnęła bezradnie ręką.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Głupie pytanie. Wiadomo było, że w końcu wylądujemy w łóżku. Chciałem, żeby to stało się

później, ale ty przecież nie mogłaś mnie nie sprowokować, prawda? Aja straciłem panowanie nad sobą. Sam nie wiem, dlaczego. Miałem inne plany. Kwiaty, szampan, sama rozumiesz ...

- Nie mówiłam o tym, co się stało. Pytałam, dlaczego chcesz namówić tatę, żeby zmienił zdanie.

- Aha. - Hatch wzruszył ramionami. - Może chciałbym, żebyś się czegoś o mnie dowiedziała. Bo wbrew temu, co sądzisz, wcale tak dobrze mnie nie znasz.

- Rozumiem. - Przycisnęła mocniej koszulę do piersi i wbiła w niego wzrok. W jej oczach czaił się źle skrywany niepokój. - Więc nie dlatego, że ci pozwoliłam, no wiesz ... Bo jeśli chcesz mi się tylko zrewanżować, to lepiej daj sobie spokój.

- Myślę, że jesteś całkowicie pozbawiona intuicji. Gdybyś ją posiadała, nie opowiadałabyś takich bzdur. Ubieraj się. Pójdziemy coś zjeść. - Zanim jeszcze Jessie uwolniła go od napięcia, jakie nie dawało mu spokoju od paru tygodni, Hatch wiedział, że musi się liczyć z takim oskarżeniem. Teraz jednak był zbyt rozleniwiony, żeby się obrażać.

- Nie jestem głodna.

- Ale ja jestem. Konam z głodu. - Uśmiechnął się do niej lekko, pełen szczęścia, jakiego nie zaznał od lat. Zaufaj mi. Poczujesz się o wiele lepiej, jak coś przegryziesz. Wrócisz do formy i znowu będziemy się kłócić. Na razie brakuje ci konceptu.

Miał rację. już w drodze do kawiarni Jessie zaczęła z nim rozmawiać na tysiące tematów, które posiadały jednak pewną wspólną cechę. Żaden z nich nie dotyczył ich związku. Później, gdy Hatch zaparkował auto pod jej domem, doznał nagłego olśnienia i zrozumiał podstawowe założenia przyjętej przez nią taktyki. Wyłączył silnik i przyjrzał się dziewczynie uważniej.

- Chcesz udawać, że to się wcale nie zdarzyło, prawda? - spytał z rozbawieniem. - Sprawiasz mi zawód. Nie sądziłem, że jesteś takim tchórzem.

- A czego się spodziewałeś? - wybuchnęła. - Powinam paść ci w ramiona i błagać, żebyś się ze mną ożenił?

Myślał chwilę.

- Nie, pewnie nie. Ale nie przypuszczałem, że będziesz próbowała to zignorować. jak masz zamiar się zachować, kiedy znowu będziemy się kochać? jakbyś się niczego takiego nie spodziewała?

- To był tylko głupi incydent. I już się nie powtórzy. Zarzuciła torebkę na ramię i chwyciła za klamkę.

- Mam ważniejsze rzeczy do roboty.

Wcisnął guzik, blokując drzwi.

- Na przykład?

Rozsiadła się wygodniej i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Na przykład to dochodzenie, które prowadzę. No, ale ty już oczywiście nic nie pamiętasz.

Nawet mi nie powiedziałaś, jak ustalić, skąd JUN bierze pieniądze.

- Nie miałem jeszcze okazji - powiedział. - Byliśmy zajęci czym innym. Najpierw wstaliśmy o trzeciej rano i goniliśmy włamywacza, a potem kochaliśmy się na twojej służbowej kanapie.

Popatrzyła na niego badawczo. - Więc powiedz mi teraz.

- O tych pieniądzach? Najpierw musimy się dowiedzieć czegoś więcej o Jutrzence Nadziei. Przede wszystkim, w jaki sposób oni finansują swoją działalność.

- Pewnie z dotacji. - Przygryzła dolną wargę. - Powiem ci wszystko, jak wrócę z wyspy.

Wstrząsnęła nim tak, jakby wrzuciła mu odbezpieczony granat za pazuchę.

- Jak wrócisz z wyspy? - Hatch chwycił ją za podbródek i odwrócił twarzą do siebie, by móc spojrzeć jej prosto w oczy. - O czym ty, do diabła, mówisz? Odtrąciła jego rękę i uśmiechnęła się z

zadowoleniem. - Nie zasypiam gruszek w popiele. Dotarłam do Nadine Willard - dziewczyny, która znała Susan Attwood. Nadine chodziła razem z Susan na wykłady, jakie JUN prowadziło w Butterfield. Tak się składa, że ma zaproszenie do ich siedziby. Każdy, kto je okaże, ma prawo ją zwiedzić. Sekciarze rezydują na wyspie w San Juan.

- I ty się tam wybierasz? Sama?

- A dlaczego nie?

- Oszalałaś?

- Chyba tak, bo gdyby było inaczej, nie wylądowałabym na tej cholernej biurowej kanapie. Hatch poczuł, że znów ogarnia go wściekłość. Zupełnie nie rozumiał, dlaczego ta kobieta tak na niego działa. Postanowił jednak, że tym razem zachowa całkowity spokój.

- Nie pojedziesz - powiedział cicho. - Stanowczo ci zabraniam. Jessie uśmiechnęła się chytrze, a on poczuł, że ma serce w gardle.

- Chcesz mi towarzyszyć i zbadać sprawę pieniędzy? - Spytała łagodnie. - To zaproszenie dla dwóch osób.

- Zaraz, chwileczkę - powstrzymał ją Hatch, który dostał zawrotu głowy na samą myśl o konsekwencjach takiej decyzji.

- Możesz potraktować tę wyprawę jak krótkie wakacje. Przecież od wieków nie brałeś urlopu.

- Cholera jasna. - Hatch zrozumiał, że musi zyskać na czasie. - Słuchaj. Nie ruszysz się stąd ani na krok, dopóki nie wrócę z Portland. Jasne?

- Wybierasz się do Portland? - spytała szybko.

- Ktoś musi. Mówiłem ci, że to ważne. Twój ojciec był umówiony wcześniej, więc zostaję ja. Musisz mi dać jednak słowo honoru, że w tym czasie nie pojedziesz na San Juan. - No ...

- Postawię sprawę jasno - powiedział spokojnie. - Nie wypuszczę cię z auta, dopóki mi nie obiecasz, że zaczekasz na mnie w Seattle.

- Skoro tak bardzo ci na tym zależy ... - Spojrzała na niego z triumfem. - Do poniedziałku nie ruszę się z domu, tym bardziej że chcę pójść na rozdanie nagród do Elisabeth. I jeszcze jedno. Za zwiedzanie wyspy trzeba będzie zapłacić po dwieście dolarów od łebka. W charakterze datku na fundację.

- Dwieście dolarów. Niech to jasny szlag trafi.

- Interesy wymagają inwestycji - mruknęła szyderczo.

- Nawet jasnowidze mają wydatki. Szczególnie jeśli zajmują się śledztwem.

Może ci się uda zapłacić kartą. - Cholera.

Hatch odprowadził Jessie do mieszkania. Wolał już nic nie mówić. Wciąż pełen urazy, poszedł do samochodu i pojechał do firmy.

Skoro miał w sobotę jechać do Portland, powinien przejrzeć papiery. Jessie mogła poczekać, czego nie dało się powiedzieć o jej ojcu, z którym musiał się spotkać następnego dnia rano.

Perspektywy na najbliższą przyszłość nie napawały Hacha szczególnym optymizmem. Dwieście dolarów? Tylko po to, żeby pilnować Jessie? Cholera jasna. O czym ty mówisz, u diabła? - spytał Benedict, marszcząc krzaczaste, siwe brwi.

- Słyszałeś. Zastąpię cię w Portland. - Hatch zauważył, że kwiaty na biurku już mocno przywędły, i zaczął się zastanawiać, dlaczego Vincent nie kazał ich wyrzucić.

- Obiecałeś Elisabeth, że będziesz na rozdaniu nagród. Nie pamiętasz?

- Jezu. Oczywiście że pamiętam. Ale sprawy w Portland przybrały taki obrót, że nie można ich załatwić przez telefon. Trzeba tam jak najszybciej pojechać. Sam zresztą wiesz. Co cię napadło?

Hatch oparł dłonie na biurku Vincenta.

- Przrzekłem Jessie, że zabierzesz Elisabeth na tę imprezę. jej bardzo na tym zależy. Nie wspominając już o małej.

- Trudno. Takie rzeczy się zdarzają. Moje córki doskonale to rozumieją.

- Nic do ciebie nie dociera. Skoro obiecałem Jessie, że tam będziesz, musisz dotrzymać słowa. Chcę, żeby mi wierzyła. jeśli teraz zawiodę jej zaufanie, możesz się pożegnać z nadzieją na nasz ślub.

- Ty chyba żartujesz? - Benedict miał przerażoną minę.

- Wcale nie.

Zastanów się, co jest dla ciebie ważniejsze. Doskonale wiesz, że poradzę sobie w Portland.

- Co z tego? Powinieneś zostać tutaj. Trzeba coś przedsięwziąć w sprawie Spokane'a. już nie mówię o Yorlandzie i Youngu.

- Nic się nie stanie, jeśli to trochę odwlecziemy. A jeśli chcesz znać moją opinię, uważam, że w ogóle nie warto zawracać sobie nimi głowy.

- Czyżby? A mnie zależy na tych kontraktach.

- Mogę je załatwić - powiedział Hatch zniecierpliwionym tonem. - Ale ty pojedziesz z Elisabeth do szkoły.

Vincent prychnął i rozparł się na krześle, nadal marszcząc brwi.

- Sądysz, że Jessie nie zrozumie?

- Ależ oczywiście, że zrozumie - cedził Hatch. - Zrozumie doskonale, że skoro nie potrafię dotrzymać obietnic, jestem dokładnie tym, za kogo mnie bierze.

- Czyli?

- Kimś zbyt podobnym do ciebie.

- Kobiety! Co się z nimi dzieje? Mają pochrzaniony system wartości. Nie wiedzą, jak wygląda prawdziwe życie.

- Powiem ci coś w tajemnicy. Otóż kobiety myślą zupełnie inaczej niż mężczyźni. Smutne, ale fakt. - Hatch wyprostował się i zdjął ręce z biurka.

- Życzę ci dobrej zabawy na konkursie. I nagrody dla twojej córki.

- Obyś wiedział, co robisz. - Vincent westchnął.

- Na ogół nie popełniam błędów. Dlatego mnie zatrudniłeś.

- Powiniennem był to przewidzieć - powiedział Benedict ponuro.

- Co takiego?

- Powiniennem był przewidzieć, że zaczniesz mną rządzić. Ale i tak ożenisz się z moją córką.

Słyszysz? - Słyszę.

Hatch wyjął lilię z wędnącego bukietu i zaniósł ją do swego pokoju. Usiadł przy biurku i zapatrzył się na delikatny kwiat.

Benedict miał rację. Zamienili się rolami. Hatch wydawał polecenia, a Vincent ich słuchał. Hatchard mógł być zupełnie spokojny o swoją pozycję w firmie. Jessie jednak nadal wymykała mu się z rąk.

Popatrzył na czerwony kwiat i przypomniał sobie wyraz twarzy dziewczyny, gdy przeżywała spełnienie w jego ramionach.

Rozdział 7

Eric Jerkface nie dostał pierwszej nagrody. Odebrała ją uszczęśliwiona Elisabeth Benedict. jej

ojciec stał przy niej z dumną miną i pozował do pamiątkowych zdjęć. Potem otoczyli ich reporterzy. Jessie nie mogła przyjść do siebie ze wzruszenia. Constance - ubrana w szykowną białą garsonkę podkreślającą każdą wypukłość jej pulchnego ciała - uśmiechała się z zadowoleniem.

- Zdradzisz mi, jak dokonałaś tego cudu? szepnęła do Jessie, wykorzystując kolejny wybuch aplauzu.

- Nie mogę uwierzyć, że go tu sprowadziłaś. Wydawało mi się, że ten wyjazd do Portland jest dla niego ważniejszy niż Sąd Ostateczny.

- Nie dziękuj mi. Wszystko załatwił Hatch.

- Ale zrobił to dla ciebie, prawda? - Constance spojrzała na Jessie domyślnie. - Kto? Hatch? Tak, chyba tak. - Nie słyszę entuzjazmu. A ja doceniam ten piękny gest.

- Mężczyźni pokroju Hatcha nie pomagają nikomu za darmo.

- Młode kobiety nie powinny być cyniczne. Co innego takie stare baby jak ja. My już nie możemy liczyć na bezinteresowność.

- A na co ja mogę liczyć?

- Na przykład na bezpieczny seks. Oczywiście jeśli będziesz miała szczęście. I przestaniesz tak wybrzydzać. Twoja matka bardzo się o ciebie martwi. Mówi, że nie chciała wychować zakonnicy. Dziewczyna przypominała sobie noc spędzoną z Hatchem na służbowej kanapie i jej policzki przybrały szkarłatną barwę.

- Na miłość boską, Connie.

- No, no. - Constance popatrzyła na nią z aprobatą. - Czy ten rumieniec to również zasługa Hatcha? Gratuluję! Jessie zdołała się opanować.

- Jak już mówiłam, tacy faceci nie robią niczego za darmo.

- Coś ci poradzę. Zapłać, ile zażąda. A propos. Skoro już mowa o interesach, to czy pytałaś już Vincenta o tę pożyczkę dla naszej firmy? Jessie jęknęła cicho.

- Nie. Ostatnio byłam naprawdę zajęta. Ale wspomnę mu o was przy najbliższej okazji.

- Dzięki. Same mogłybyśmy go poprosić, ale do tej pory wszystkie takie próby kończyły się awanturą. Wiesz przecież, jaki twój ojciec ma stosunek do pieniędzy: Nie da ani grosza bez gwarancji, że trzyma w ręku wszystkie sznurki. W ten sposób zdobywa władzę nad ludźmi. Tylko ty potrafisz go przekonać, żeby zachowywał się rozsądnie.

- Tylko dlatego, że mam bardziej donośny głos niż ty czy Lillian - odparła Jessie smutno.

Filmowcy nadal otaczali Elisabeth, która musiała opowiedzieć o swojej analizie odpadków w ciągu trzydziestu sekund, bo tyle mogła trwać migawka z tej imprezy. Gdy tylko skończyła, Jessie podbiegła do siostry i mocno ją przytuliła.

- Wiedziałam, że ci się uda. Byłaś cudowna, prawda, tato?

- Świetna robota, córeczko. - Vincent patrzył na swą młodszą latorośl z prawdziwą ojcowską dumą. - Ale wcale nie jestem zaskoczony. Bystra z ciebie dziewczynka. Po tatusiu. Elisabeth zarumieniła się i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Byłam pewna, że przyjdiesz. Mama ostrzegęła mnie, że coś ci może wypaść w ostatniej chwili, ale ja jej nie wierzyłam. Nie mógłbyś mi sprawić takiego zawodu. Constance Benedict przytuliła córkę, po czym wspięła się na palce i czule cmoknęła byłego męża w policzek. - Dzięki, Vince - szepnęła. Vincent pochwycił spojrzenie Jessie.

- Nie zrezygnowałbym przecież z takiej frajdy - powiedział serdecznie, a Jessie uśmiechnęła się do niego chłodno i znów zaczęła gratulować siostrze. Piętnaście minut później, gdy ceremonia rozdania nagród skończyła się i Elisabeth pobiegła oglądać prace kolegów, a Connie zaczęła gawędzić ze

znajomymi, Vincent podszedł do Jessie, która oglądała brzęczącego robota.

- W dalszym ciągu jesteś na mnie wściekła? - spytał, wpatrując się w zabawkę.

- Nie mówmy o tym, dobrze? Przyszedłeś. To wyczerpuje temat, bo tak się chyba mówi w świecie interesów.

Vincent westchnął ciężko.

- Przykro mi. Bardzo chciałem tu być. Wszystko zaplanowałem i wtedy nagle wyskoczyła mi ta historia w Portland.

- Wiem. Jak już powiedziałam, w końcu zdecydowałeś się pojawić.

- Tylko dlatego, że napuściłaś na mnie Hacha.

- Ja go nie napuszczałam. On sam chciał cię przekonać.

- Więc osiągnęłaś cel. Rozumiem, że masz prawo się na mnie gniewać, ale dlaczego nie doceniasz tego chłopaka? Mówisz o nim zupełnie bez entuzjazmu.

Jessie nie odrywała wzroku od robota, który potoczył się po stole i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zatrzymał na samym brzegu.

- Bo wiem, co on sobie myśli. Uważa, że powinnam być mu wdzięczna. - Może rzeczywiście powinnaś. Wszystko na świecie ma swoją cenę. - Vincent poszedł za wzrokiem córki utkwionym w robocie, który obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i pognał na drugi koniec stołu. - Powiedz mi prawdę. Co ty właściwie do niego czujesz?

- Moje uczucia nie są istotne. Tobie zależy wyłącznie na tym, żebym wyszła za niego za mąż, bo wtedy firma zostałaby w rodzinie, a ty mógłbyś spokojnie patrzeć, jak Hatch ją rozwija. Nie udawaj teraz ojcowskiej troski. Oboje nie wierzymy w takie bzdury.

- Do ciężkiej cholery! Wierzysz czy nie, ale ja chcę, żebyś była szczęśliwa. Po prostu uważam, że powinniście spróbować. Gdy jesteście razem w pokoju, wyraźnie widzę, jak przeskakują między wami jakieś iskry.

- Bo ostrzemy sobie noże do bitwy.

- Daj spokój. Do kogo ta mowa? Znam cię wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że Hatch wcale nie jest ci obojętny. Nie zapomnę tego dnia, kiedy cię wyrzucił. Wyglądałaś tak, jakbyś właśnie stoczyła walkę z lwem.

- Raczej z rekinem. I wcale się aż tak bardzo nie przejęłam. Nie pierwszy raz wylano mnie z pracy.

- Wiem, do diabła. Rzeczywiście masz bogate doświadczenie w tym zakresie. Tylko że przedtem wychodziłaś z takich sytuacji obronną ręką. Można było pomyśleć, że pozbyłaś się właśnie nieznośnego szefa. A wtedy, po rozmowie z Hatchem, sprawiałaś wrażenie pokonanej. Dlatego doszedłem do wniosku, że macie szansę.

Jessie zacisnęła zęby.

- Chyba nie jesteś ekspertem od udanych związków, tato.

- Nie musisz mi o tym przypominać. Wiem, że nie byłem ideałem męża i ojca. Ale kto wie, jak bym się zachowywał, gdyby Lillian i Connie postępowały ze mną tak jak ty? One położyły na mnie kreskę. Straciły cierpliwość. Ale ty nie. Nadal walczysz. Pilnujesz swoich interesów. A Hatch jest jeszcze młody i możesz go urobić na swoją modłę.

- Młody? Skończył trzydzieści siedem lat!

- Cudowny wiek. Coś ci powiem. Z mojego punktu widzenia to pełnia życia. A w dodatku on ma na tyle dużo odwagi i inteligencji, że zdoła przekształcić *Benedict Fasteners* w prawdziwe imperium.

- Skąd wiesz?

- Nie brak mi wycucia i znam przebieg jego kariery zawodowej.
 - A intuicja podpowiada ci, że zostaliście ulepieni z tej samej gliny.
 - Nie. Mylisz się. Zupełnie inaczej zarządzamy firmą, Hatch zaproponował mi koncepcje, których nigdy bym nie poparł, gdyby on mnie w końcu do nich nie przekonał. On ma wizję, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.
 - Wizję?
 - Tak. Potrafi zdobywać zagraniczne rynki zbytu. Mierzy wysoko. ja natomiast jestem dosyć ograniczony. Hatch twierdzi, że lubię bawić się w szczegóły. Żeby rozwinąć firmę, trzeba mieć trochę wyobraźni.
- Jessie popatrzyła na niego ufnie.
- Dlaczego jego dotychczasowa kariera zrobiła na tobie takie wrażenie?
 - Było mu bardzo ciężko się wybić. Do wszystkiego doszedł sam. Twardy z niego facet. Tacy się łatwo nie poddają. Jakbym się wdał w awanturę w knajpie, chciałbym mieć takiego sojusznika. Parę lat temu narobił potężnego bigosu w spółce Patterson-Finley. Jessie poczuła ściskanie w żołądku, choć nigdy przedtem o nich nie słyszała.
 - A co dokładnie zrobił?
 - Pracował jako konsultant dla małej firmy - konkurencji Pattersona. Udało mu się przejąć kontrolny pakiet akcji. Patterson i Finley nie wiedzieli, co się właściwie stało. Usiłowali się bronić, ale Hatch pożarł ich żywcem. Patterson-Finley zostało wchłonięte przez o wiele mniejszą spółkę.
 - Dlatego nazywają go rekinem.
 - Właśnie - odparł Benedict z dumą.
 - Gdybyś zaczynał wszystko od początku, czy pozwoliłbyś, żeby twoja żona wywierała na ciebie wpływ?
 - Kto wie? - Vincent popatrzył na Elisabeth i rysy twarzy wyraźnie mu złagodniały. - Czasem wydaje mi się, że umknęły mi ważne chwile z twojego życia.
 - Ach tak? Nie zawracaj sobie tym głowy. Przecież i tak nie mogłeś nic na to poradzić, prawda? - Jessie uśmiechnęła się słodko. - W końcu najważniejsza jest firma.
 - Uważaj, co mówisz. Mężczyźni nie lubią ciętych kobiet. Pamiętaj o tym, bo zostaniesz starą panną.
 - Dobry pomysł. - Jessie otworzyła szeroko oczy i spojrzała niewinnie na ojca. - Myślisz, że mogłabym w ten sposób odstraszyć Hacha?
 - Nie, ale na pewno uda ci się go wkurzyć. I chyba będziesz później tego żałować. Pociesz mnie i powiedz, że Elisabeth nie wyrośnie na jakiegoś zwariowanego obrońcę drzew.
 - Mam dla ciebie dobre nowiny, tato. Tacy jak ona zbawią świat.

Jessie obudziła się, gdy o pierwszej w nocy zadzwonił domofon. Przestraszona, zamrugwała powiekami, ale gdy dzwonek rozległ się po raz drugi, odrzuciła kołdrę i wstała. Potruchtła na bosaka do salonu i wcisnęła guzik interkomu.

- Kto tam?
 - Już dawno minęła północ. Kogo się spodziewałaś?
 - Hatch. Co ty tu robisz o tej porze?
 - Dobrze wiesz, co. Wpuść mnie. Jest strasznie zimno, a poza tym ktoś może mnie napaść.
- Jessie usiłowała bezskutecznie zebrać myśli, ale w końcu odblokowała drzwi i pobiegła do sypialni po szlafrok. Ledwo zdążyła przejechać szczotką po włosach, a już odezwał się gong przy wejściu.

Serce zabiło jej niebezpiecznie szybko i poczuła, że ogarnia ją dziwny lęk, ale natychmiast podeszła do drzwi.

Hatch stał w progu i wyglądał tak, jakby pracował cały dzień i podróżował całą noc. Był w samej koszuli, pod pachą trzymał marynarkę, a w ręku teczkę. Na widok Jessie w szlafroku i rannych pantoflach rozbliły mu oczy.

- No i jak tam konkurs? - spytał.

- Wygrałyśmy - powiedziała i uśmiechnęła się promiennie. Lęk minął. - Elisabeth była szczęśliwa.

Tata też. I Connie. Nie mówiąc już o mnie. Wszyscy pękaliśmy z dumy. Reporterzy z telewizji sfilmowali Elisabeth i tatę - Puścili z tego migawkę o wpół do szóstej. Wiem, bo oglądałam.

Elisabeth wypadła wspaniale. Pokazali, jak odbiera nagrodę, a obok niej stoi tata. Miała swój dzień. Dzięki tobie.

- To dobrze. Bardzo się cieszę.

- Dobrze? Cudownie. - Jessie przytuliła się do Hacha i pocałowała go delikatnie w usta. - Dziękuję. Naprawdę doceniam twoją pomoc.

- Nie ma za co. - Hatch postawił teczkę na podłodze i objął Jessie w talii, a potem przytulił ją mocniej i odwzajemnił pocałunek.

Jessie nie chciała, żeby Hatch sądził, że może ją odwiedzać o każdej porze dnia i nocy. Nie powinien oczekiwać tak gorącego powitania za każdym razem, gdy zdecyduje się pojawić -. myślała.

Postanowiła z nim walczyć, ale zupełnie nie miała siły. Tak wspaniale ją całował - pewnie, zmysłowo, ale z umiarem, który doprowadzał ją do szaleństwa.

Wiedziała, że jej pragnie, a ona - na swoje nieszczęście - pragnęła jego. Hatch przerwał pocałunek.

- Lepiej wejść do środka, zanim twoi sąsiedzi zobaczą, co się tutaj dzieje.

- Niechętnie uwolnił ją z objęć, podniósł teczkę i wszedł do pokoju.

Jessie zrobiła mu przejście, usiłując stłumić w sobie podniecenie wywołane pocałunkiem.

Zastanawiała się gorączkowo, co by tu powiedzieć, ale i tak wiedziała, że Hatch wyobraża sobie zbyt dużo po tym powitaniu. Czuł się zupełnie jak u siebie w domu - powiesił marynarkę w szafie, a potem wstawił teczkę na dolną półkę. Kiedy zaś usiadł na kanapie i zaczął ściągać buty, Jessie poczuła, że ogarnia ją przerażenie.

Nie panuje nad sytuacją, pomyślała. Rzeczywiście, wszystko wymykało jej się spod kontroli. Daj Hatchowi palec, chwyci całą rękę. A ona dała mu niestety więcej niż palec.

- Jak ci poszło w Portland? - spytała grzecznie, zbierając poły szlafroka na piersiach. Zupełnie nie wiedziała, co robić dalej.

Hatch popatrzył na nią spod oka, rozsznurowując drugi but.

- W porządku. Zgodnie z planem.

- To świetnie. - Zajrzała przez ramię do kuchni. - Nie napiłbyś się kawy?

- Nie. Marzę wyłącznie o łóżku. Wyjechałem o czwartej rano, o ósmej byłem na miejscu i do dziewiątej wieczorem prowadziłem rozmowy. Potem wsiadłem w samochód i przyjechałem tutaj. -

Wstał i zrobił kilka kroków w jej kierunku, rozpinając po drodze koszulę. - jestem skonany.

- Rozumiem. W takim razie pewnie chcesz jak najszybciej znaleźć się w domu i wreszcie się wyspać.

- Jessie uśmiechnęła się promiennie.

- Masz rację co do jednego. Muszę się zdrzemnąć. Wziął ją na rękę, zaniósł do sypialni i położył delikatnie na łóżku, a potem zdjął jej szlafrok i rzucił go na krzesło.

Jessie leżała z głową opartą o poduszki i patrzyła z rosnącym pożądaniem, jak Hatch zdejmuje

pozostałe części garderoby. Postanowiła stawić czoła wyzwaniu. Nie mogła go wyrzucić. Nie tej nocy.

- Rano możesz zrobić kawę - powiedział Hatch i wszedł do łóżka w samych slipkach. - Tylko pamiętaj, żeby była mocna.

Położył się na boku, twarzą do Jessie i przyciągnął ją do siebie gestem posiadacza. Dziewczyna czuła wyraźnie twarde mięśnie ocierające się o jej piersi. Czekwała w napięciu, aż jego cudowne, mocne ręce ześlizgną się z jej biodra na udo i pośladek. Nic takiego się nie stało. Jessie przyjrzała mu się uważniej i zobaczyła, że Hatch ma zamknięte oczy. Oddychał równo i spokojnie. Zasnął. Dotknęła delikatnie jego ramienia. Było jej trochę przykro, że tak się zmęczył. Przecież pojechał tam dla niej. Przypomniła sobie jednak, że nie kierował się wyłącznie altruistycznymi pobudkami. Stanowiła obecnie jeden z jego głównych celów. Sam Hatchard chciał zaspokoić jej kaprysy w ramach strategii zalotów. Zrobił jednak coś, o co by go nigdy nie podejrzewała. Dotrzymał zobowiązania. Udało mu się wpłynąć na Vincenta, by uczynił to samo. Jessie musiała przyznać, że nikt poza Hatchem nie zdołałby zmusić jej ojca do zmiany planów. Chyba nie sądzisz - szepnęła w ciemność - że możesz tu przyjść w każdej chwili i wleźć mi do łóżka? - Gdzieżbym śmiał? - odparł Hatch, nie otwierając oczu.

Obudził się następnego ranka i wciągnął w nozdrza kobiecy zapach białych prześcieradeł, po czym wypuścił powietrze z miłą świadomością, że nareszcie udało mu się dotrzeć do łóżka Jessie. Uznał ten fakt za kolejny punkt zwrotny w ich znajomości. Następne drobne zwycięstwo w tej małej wojnie, jaką ze sobą toczyli. Wyciągnął rękę, by przytulić Jessie, ale łóżko było puste.

Jęknął i otworzył oczy. Przez otwarte okiennice do pokoju sączyły się smugi światła, a z kuchni dolatywał zapach świeżej kawy. Niepełne zwycięstwo. Przespał całą noc w łóżku Jessie i nawet się z nią nie kochał. Za dużo pracy. Hatch odrzucił kołdrę i usiadł. Rozejrzał się po pokoju z dużym zainteresowaniem i doznał miłego wrażenia, że wyczuwa w nim obecność dziewczyny. Jej szlafrok wciąż leżał na krześle.

Oszklone drzwi garderoby były otwarte i odsłaniały kolorowy szereg ubrań. Na podłodze szafy stała bezładnie cała kolekcja butów: chodaków, adidasów, sandałków i szpilek. Wchodząc do łazienki, Hatch pomyślał, że Jessie z całą pewnością nie należy do fanatyczek porządku. Ale on również nie odznaczał się pedanterią.

Małe pomieszczenie wyłożone kafelkami było jeszcze zaparowane - Jessie zdążyła już wziąć prysznic. Hatch otworzył rozsuwane drzwi kabiny i spojrzał na półeczkę przy baterii prysznicowej, która ugiwała się od mydeł i butelek z szamponami. Nie zabrakło tam również szczotki z długą rączką ani depilatora. W powietrzu unosił się świeży kwiatowy zapach.

Pod prysznicem czuł się jak intruz. Uświadomił sobie tym boleśniej swoją męskość, nie pasującą zupełnie do tego kobiecego sanktuarium. Jednocześnie ogarnęła go duma posiadacza i wykrzywił usta w lekkim uśmiechu. Doznał wrażenia, że wymarzona chwila wreszcie nadeszła.

Gdy wyłonił się z łazienki dwadzieścia minut później, Jessie siedziała przy kuchennej ladzie i czytała gazetę. Podniosła głowę, w jej oczach błysnął niepokój i potrąciła filiżankę z kawą. Kawa rozlała się po ladzie. Hatch patrzył z zainteresowaniem, jak gorący płyn podpływa niebezpiecznie do krawędzi blatu i zaczyna powoli skapywać na podłogę. Zanim Jessie zdążyła zareagować, Hatch złapał toczącą się filiżankę i uchronił ją przed upadkiem.

- Może jeszcze? - spytał spokojnie i wziął do ręki dzbanek.

- Tak, proszę. - Jessie złożyła ostrożnie gazetę.

- Piszą coś ciekawego? - Usiadł naprzeciw niej i skrzywił się, upijając pierwszy łyk słabego naparu.

- Kolejny artykuł na temat niszczenia warstwy ozonowej przez truciele. - Jessie skrzywiła się. - Chyba rozumiem, dlaczego ludzie garną się do sekty, której głównym celem jest ochrona środowiska. Wizja katastrofy ekologicznej jest tak samo przerażająca jak możliwość wybuchu wojny nuklearnej. Pamiętasz jeszcze czasy, kiedy ludzie budowali sobie schrony na podwórkach?

- Skoro już o tym mowa, to chyba jednak nie zamierzasz jechać na wyspę? - spytał Hatch bez specjalnej nadziei na pozytywną odpowiedź.

- Wręcz przeciwnie. Jutro z samego rana zadzwonię do nich i ustalę szczegóły. - Spojrzała na niego niespokojnie. - W dalszym ciągu chcesz mi towarzyszyć?

- A mam inny wybór?

- Oczywiście. Możesz mnie tam puścić samą.

- Wykluczone. Nawet nie wiadomo, w co się właściwie pakujesz. Nie pojedziesz sama. Koniec, kropka.

- Ta wyprawa zajmie całe dwa dni - zauważyła. - Nie boisz się o interesy? Bez ciebie wszystko może się zawalić.

- Myślisz, że nie wiem? Ale i tak nie zmienię zdania. Nawet nie próbuj mnie przekonać. - Ale co będzie z firmą?

- Twój ojciec się nią zajmie. Dawał sobie radę sam przez trzydzieści lat, więc dwa dni nie robią tu chyba specjalnej różnicy.

- Pewnie masz rację. - Zmarszczyła brwi. - Idziesz do biura? - Jest niedziela.

- Powinienem załatwić parę spraw, skoro wyjeżdżam.

- Rozumiem. Na pewno możesz wziąć wolne?

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo - powiedział, unosząc brwi.

Przygryzła wargę.

- Musimy o tym porozmawiać.

- O wycieczce na San Juan?

- Nie. O tobie. Tutaj. O ósmej rano w mojej kuchni. - Odetchnęła głęboko. - jeśli chcemy kontynuować ten romans, trzeba ustalić pewne zasady.

- To nie jest romans. - Hatch wstał i odniósł filiżankę do zlewu.

- W takim razie jak mam rozumieć fakt, że przychodzisz tu o pierwszej w nocy i śpisz w moim łóżku?

- Przecież zamierzamy się pobrać. - Uniósł jej podbródek i pocałował ją mocno w usta, a potem podszedł do szafy, gdzie zostawił marynarkę i teczkę.

- Zaczekaj! Nawet się nie waż stąd ruszyć! Najpierw musimy porozmawiać! Hatch, wracaj! Słuchaj, przysięgam ci, że jeśli natychmiast nie wrócisz, to ... Cholera jasna!

Hatch zamknął delikatnie drzwi i wyszedł z mieszkania.

Vincent siedział u niego w biurze, co wcale go nie zdziwiło. Obaj pracowali w weekendy. Gdy Hatch uchylił drzwi, by zasygnalizować swoją obecność, Benedict uniósł głowę znad papierów i spojrzał na niego krzywo.

- Gdzie się podziewałeś, do diabła? - warknął. - Dzwonię do ciebie od wpół do ósmej. Chciałem się dowiedzieć o Portland.

- Wszystko w porządku. Następnym razem szukaj mnie u Jessie.

Benedict zamrugnął, ajego policzki przybrały niebezpiecznie szkarłatną barwę.

- Spędziłeś z nią noc? Sypiasz z moją córką?

- Powinieneś się do tego przyzwyczaić. Przecież mamy się pobrać.

- Lepiej ożeń się z nią natychmiast, bo poszukam dubeltówki! - Vincent zabębnił palcami o biurko. - Rozumiem, że wszystko jest na dobrej drodze?

- Chciałbym tak myśleć. Dopóki pamiętam: wyjeżdżamy na parę dni do San Juan. Jessie chce dowiedzieć się czegoś o tej zwariowanej sekcji. Zostaniesz sam na gospodarstwie. Nie wpakuj nas w żadną kabałę.

- Chryste Panie! Jesteś przecież dyrektorem. Nie możesz ot tak, po prostu, zniknąć.

- W takim razie wolę nie być szefem, skoro nie przysługuje mi prawo do urlopu - warknął Hatch. - Nie trać czasu na takie idiotyzmy.

- Chyba nie chcesz, żeby Jessie pojechała tam sama?

- Nie życzę sobie, żeby w ogóle zajmowała się tą sprawą.

- Ale ona nie zmieni zdania, więc zostanę jej gorylem.

- Widzę, że owinęła cię wokół palca. Nie wiem, czy będziesz dla niej dobrym mężem, jeśli nie masz na nią żadnego wpływu. Hatch zacisnął palce na krawędzi drzwi.

- Nie wtrącaj się. Poza tym, na razie ja tu rządę powiedział siląc się na uśmiech.

- Mogę w każdej chwili rozwiązać tę umowę.

- Nie zrobisz tego. Na razie nie masz powodów do narzekania. Aha. Słyszałem, że Elisabeth dostała pierwszą nagrodę. Serdecznie ci gratuluję.

- Dziękuję. Odziedziczyła wszystkie zdolności po mnie.

Jessie siedziała na krześle obok Lillian i patrzyła, jak matka przymierza po kolei dwanaście par butów. Ekspedientka nie wydawała się specjalnie przerażona perspektywą obsługiwania klientki, która przebierała wśród tylu różnych fasonów. Lillian Benedict często gościła w tym salonie i zawsze w końcu decydowała się przynajmniej na jedną parę.

- Ty naprawdę chcesz jechać na tę wyspę? - Lillian wpatrzyła się z zadumaną miną w skórzane czółenka na słupku.

- Niestety tak - odparła pogodnie Jessie. - Nie podobają mi się te buty. W tamtych wieczorowych wyglądałaś znacznie lepiej.

Mimo wszystko Jessie musiała przyznać, że Lillian zawsze prezentuje się znakomicie. Miała taką samą klasę jak Constance. Była od niej wprawdzie o kilka lat starsza, ale farbowała włosy na czarno, zostawiając tylko nieliczne srebrne pasemka. Swoją egzotyczny, wyrafinowany wygląd zawdzięczała pełnym, jędrnym kształtom i pięknej budowie kośćca, co pozwalało sądzić, że zachowa wspaniałą sylwetkę, nawet jeśli dożyje setki.

Jessie często myślała, że Lillian i Constance posiadają wiele wspólnych cech. Były do siebie podobne nie tylko z wyglądu; myślały i postępowały niemal w identyczny sposób. Właśnie Lillian, a nie Glenna, mogłaby uchodzić za siostrę Constance, a obie uważały, że to świetny temat do żartów.

- A czego się spodziewałaś? - powiedziała kiedyś Lillian w rozmowie z córką.

- Mężczyźni mają swoje przyzwyczajenia. Podobają im się kobiety w określonym typie. Drugie żony zwykle przypominają pierwsze.

Jessie patrzyła, jak matka wkłada ponownie wieczorowe pantofelki.

- Hatch się uparł, żeby mi towarzyszyć.

- To bardzo pocieszające. Kiedy ruszacie?

- Jutro rano. Zatelefonowałam pod numer podany na zaproszeniu. Osoba, która podniosła słuchawkę, była bardzo pomocna. Chyba zna się na swojej robocie. Mamy dopłynąć promem na jedną z

pobliskich wysepek. Tam będzie na nas czekał hydroplan i polecimy na Wyspę Jutrzenki.

- Na Wyspę Jutrzenki?

- Tak ja nazwali - odparła Jessie. – Mogą ją zresztą nazywać, jak chcą, skoro jest ich własnością.

- Idiotyczne - mruknęła Lillian, zerkając na czerwone szpilki.

- Zwiedzanie potrwa kilka godzin, a potem znów polecimy na tamtą pierwszą wyspę, żeby na niej zanoć. To wszystko. - Jessie pokręciła z żalem głową. - Pewnie nie zdołam się wiele dowiedzieć na temat Susan Attwood czy też pana Brighta, ale na początek musi mi to wystarczyć.

- Cóż, chyba rzeczywiście nie ma się czym martwić. Hatch powinien sobie poradzić, jeśli zajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności. On jest bardzo kompetentny, prawda?

- No, tak. W pewnym sensie.

Lillian uśmiechnęła się ukradkiem.

- Romans kwitnie. Connie twierdzi, że sypiacie ze sobą.

- Kocham was ponad życie. Nikt w naszej rodzinie nie potrafi uszanować prywatności.

- Wszyscy marzą, żebyście się dogadali. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. - Lillian zachichotała. – Ciocia Glenna również?

- Oczywiście. Przecież to jedyne wyjście. Jessie popatrzyła zadumany wzrokiem na parę włoskich, skórzanych sandałów, które właśnie przymierzała matka.

- Hatch ma trzydzieści siedem lat i wciąż jest kawalerem. Dziwne, prawda?

- Nie wiesz, że on był już żonaty? - Lillian spojrzała na córkę z niekłamanym zdziwieniem.

Jessie wytrzeszczyła oczy; oniemiała.

- Nie. Nikt nawet nie wspominał o tym drobiazgu. Rozwiódł się?

- Connie twierdzi, że owdowiał. Vincent wspominał coś na ten temat.

- Owdowiał. Rozumiem. - Jessie usiłowała przetrwać tę informację. - Ciekawe, dlaczego Hatch nigdy mi nic nie mówił o swojej pierwszej żonie.

- Ona umarła kilka lat temu. Lepiej go nie wypytuj. Sam ci powie. Jessie oparła łokcie o poręcz fotela i splótła palce.

Patrzyła bezmyślnie na wystawę z błyszczącymi, wieczorowymi pantofelkami i zastanawiała się nad podobieństwem między Lillian i Constance. Mężczyźni nie zmieniają przyzwyczajzeń. Drugie żony często przypominają pierwsze. Poczula, że przechodzi ją dreszcz.

- Może jednak wyglądam zupełnie inaczej - powiedziała na głos.

Matka spojrzała na nią ostro. - O co ci chodzi?

- Mam nadzieję, że nie jestem podobna do pierwszej żony Hacha. Nie chciałabym występować w roli ducha.

- Na miłość boską, Jessie. - Lillian zmarszczyła brwi. Nie pozwól się tak ponosić wyobraźni.

- Racja.

Przecież to tylko interes, prawda?

- Wiesz, dziwię się, że Hatch znalazł czas na ten wyjazd – powiedziała Lillian, wyraźnie chcąc zmienić temat.

Jessie zerknęła ponuro na wieczorowe pantofelki. - Dlaczego? Najważniejszy jest interes.

Rozdział 8

W poniedziałek po południu pani Valentine wypoczywała już w salonie swojej siostry. Usadowiła się wygodnie w bujanym fotelu i wyglądała znacznie lepiej. Gdy jednak Jessie zakończyła swoją relację, na pogodnej twarzy starszej pani pojawił się wyraz przerażenia.

- Zamierzasz tam jechać? Mój Boże! Nie wiem, czy to dobry pomysł.

- Proszę się nie martwić – odparła Jessie uspokajająco. - Nie będę sama. Hatch będzie mi towarzyszył. Chcemy tylko obejrzeć ich siedzibę. Nie zamierzamy ratować Susan Attwood ani nic takiego. Musimy tylko zdobyć dowody, że Edwin Bright to oszust.

- Mój Boże - powtórzyła pani Valentine, przekładając nerwowo karty do tarota. - Pani Attwood zna twoje plany?

- Oczywiście. - Jessie przypomniała sobie rozmowę z Marthą Attwood, która była bardzo zadowolona, że sprawa posuwa się naprzód. - Ona już się niecierpliwi. Chce się przede wszystkim dowiedzieć, czy Susan rzeczywiście jest na wyspie. Nie jestem pewna, czy zdołamy to ustalić, ale może będziemy mieli szczęście.

- Mój Boże - westchnęła po raz trzeci pani Valentine, a jej ręce zastygły w bezruchu. - Mam jakieś przeczucie. Naprawdę. Rozumiesz?

- Wspaniale! Pewnie odzyskuje pani swoje umiejętności. Pani Valentine z żalem potrząsnęła głową.

- Nie, niezupełnie. Przed upadkiem było zupełnie inaczej. Uważam jednak, że ta cała historia jest bardzo niebezpieczna. Czuję to. Jessie, naprawdę nie powinnaś jechać.

- Ale ja tylko zamierzam zwiedzić ich siedzibę. Obiecałam już pani Attwood, że tam pojadę.

- W takim razie mnie również musisz coś przyrzec zażądała pani Valentine i westchnęła ciężko.

- Oczywiście.

- Przysięgnij, że nie będziesz działać pochopnie. Chcę również, żebyś ani na krok nie odstępowała Sama Hatcharda. On na pewno nie jest ani porywczy, ani nieostrożny. Możemy chyba liczyć na jego zdrowy rozsądek. Pani Valentine nie była jednak całkiem pewna, czy się nie myli.

Ciocia Glenna zadzwoniła do Jessie w poniedziałek wieczorem, żeby wtrącić swoje trzy grosze.

- Podobno wyśledziłaś tę sektę i wybierasz się do nich z wizytą - powiedziała z dezaprobatą. - Na pewno wiesz, co robisz?

- Hatch jedzie ze mną. - Jessie nauczyła się już, że ta informacja czyni cuda. Wszyscy, którzy odradzali jej eskapadę na San Juan, uspokajali się natychmiast, gdy wymieniała jego imię.

- Ach tak. - Na linii zapadła wymowna cisza. - Rozumiem, że sprawy przybrały poważny obrót.

- Mhmm. - Jessie nie wiedziała, co dodać. Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że jest już po siódmej. Nie była pewna, czy Hatch wyszedł z biura. - Tylko nie wyciągaj pochopnych wniosków. On jest rzeczywiście bardzo pociągający, ale czy ty naprawdę uważasz, że do siebie pasujemy? Nic by z tego nie wyszło.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - powiedziała cicho Glenna. - Zależy mi na waszym ślubie tak samo jak innym, ale wiem, że przeżyłabyś ogromne rozczarowanie, wręcz klęskę emocjonalną.

Jessie zacisnęła mocniej palce wokół słuchawki i pomyślała, że marzyła o zupełnie innej odpowiedzi. Czyżby naprawdę miała nadzieję, że ciotka zachowa się tak samo jak inni? Czy rzeczywiście pragnęła usłyszeć, że wszystko się uda?

Cóż, muszę się pakować. Wpadnę do ciebie po powrocie. Dzięki, że poleciłaś mi te wszystkie książki o sektach. Wiele się z nich dowiedziałam.

- Nie ma za co.

Huk śmigieł hydroplanu skutecznie uniemożliwiał rozmowę. Pilot zaczął kołować nad pływającym

dokiem. Jessie wyjrzała przez okno. Jej wyobrażenia o tym, jak powinna wyglądać siedziba radykalnych obrońców środowiska, zupełnie rozminęły się z rzeczywistym wyglądem rezydencji Fundacji Jutrzenka Nadziei. Pilot, uśmiechnięty młody człowiek w wieku około dwudziestu pięciu lat, ubrany w niebiesko-biały mundur, zaśmiał się i wyłączył silniki.

- Pewnie jest pani zdziwiona. Większość naszych gości sądzi, że mieszkamy w jaskiniach i żywimy się korzonkami albo jagodami.

- W każdym razie nie oczekiwałam takich luksusów - przyznała Jessie, wpatrując się we wspaniałą posiadłość nad zatoką. - Widziałeś, Hatch? Hatch wzruszył ramionami i wyszedł na falujący trap. - Trudno było cokolwiek przewidzieć. Mogliśmy tu zastać bandę wariatów, którzy chcą zbawić świat. Jessie uśmiechnęła się przepraszająco do pilota.

- Proszę nie zwracać na niego uwagi. To urodzony sceptyk. Czuję się winna, że go tu ściągnęłam.

- Rozumiem. Wielu ludzi odnosi się do nas trochę nieufnie. Przewodnicy zaraz tu przyjdą. Życzę miłej wycieczki. - Znów uśmiechnął się czarująco. Stał na trapie na mocnych nogach obutych w oficerki, a lekki wietrzyk rozwiewał mu włosy.

Jessie pomyślała, że pilot wygląda naprawdę fantastycznie w mundurze, który leżał na nim jak ulał. Dziewczyna obrzuciła dyskretnym spojrzeniem szerokie ramiona i tors mężczyzny, po czym doszła do wniosku, że jego ulubionym zajęciem jest najprawdopodobniej podnoszenie ciężarów. Z tak wspaniałą prezencją mógł pracować w każdej firmie przewozowej. Nazwisko wypisane na identyfikatorze brzmiało: Hoffman.

- Kiedy zaczynamy zwiedzanie? - spytał Hatch, zerkając na zegarek. - Nie zamierzam tu tkwić przez cały dzień.

Jessie skrzywiła się z zażenowaniem i spojrzała przepraszająco na Hoffmana.

- Proszę cię, kochanie szepnęła, łagodnym tonem wyrozumiałej żony - nie denerwuj się. Mamy taką piękną pogodę i jestem pewna, że będziemy się świetnie bawić.

- Bawić? Chyba zwariowałaś. Gdybym chciał się zabawić, pojechałbym na ryby. Nie marnowałbym tu ani chwili.

- Oczywiście, kochanie.

Jessie ukryła uśmiech. Hatch wczuł się w rolę. Świetnie mu to wychodziło i dziewczyna pomyślała, że pewnie nie musi się specjalnie wysilać, bo istotnie uważał całą tę eskapadę za stratę czasu.

Zresztą to on wymyślił, że mają udawać małżeństwo. - Zrobimy tak jak w tym numerze z dobrym i złym gliną - tłumaczył jej w drodze. - Ty będziesz łatwowierną, naiwną kobietką, która wierzy we wszystko, co się jej powie.

- Dziękuję. A ty?

- Ja będę cynicznym, gderliwym facetem. Trudno mnie będzie o cokolwiek przekonać.

- A może by tak odwrócić role? - zaproponowała sucho Jessie.

- Żartujesz? Przecież ty świetnie pasujesz do swojej.

Kto tu nie potrafi odmawiać? Gdyby nie ja, byłabyś teraz właścicielką przynajmniej dwustu akcji tej spółki produkującej olej bez tłuszczu.

- Wiesz co? jeśli ich akcje pójdą w górę, podam cię do sądu i zażadam wysokiego odszkodowania. - A jeżeli spadną?

- Będę ci wdzięczna na wieki.

- Tak czy inaczej, jakoś przeżyję.

Jessie pomyślała, że wszystko na razie układa się nieźle, i w tej samej chwili dojrzała dwie postacie

zmierzające w ich stronę. Właściwie czuła się tak, jakby pojechała z Hatchem na wakacje. Jeszcze w Seattle, gdy wkładał ich torby podróżne do bagażnika Mercedesa, ogarnął ją nastrój radosnego podniecenia. Wyjeżdżała ze swoim kochankiem. Miała romans.

Romans był zresztą jedynym słowem, jakim potrafiłaby określić ich związek. Wbrew naleganiom Hatcha nie chciała przyjąć do wiadomości, że są zaręczeni. Z drugiej strony nie mogłaby traktować tego mężczyzny jak kochanka na jedną noc.

- Przedstawię wam teraz przewodników - powiedział pogodnie Hoffman, gdy dwoje nieznajomych weszło na trap. - Oto Rick Landis i Sherry Smith. Rick, Sherry poznajcie państwa Hatchard.

- Bardzo mi miło - powiedziała uprzejmie Jessie. Cieszymy się, że znaleźli państwo czas, by oprowadzić nas po swoich posiadłościach.

- Świetnie, że udało się państwu przyjechać - odparł Rick Landis, patrząc z szacunkiem na Hatcha. Rick pod wieloma względami przypominał Hoffmana. Był mniej więcej w tym samym wieku oraz odznaczał się takim samym urokiem osobistym i tężyzną fizyczną. Miał na sobie białą koszulę w wojskowym stylu i granatowe spodnie - strój bardzo podobny do munduru lotnika. Ciemne włosy były starannie, krótko przystrzyżone.

- A co mogłem zrobić? - mruknął Hatch, doskonale odrywając rolę zrzędliviego męża. -. Żona się uparła. Jakbym postawił na swoim, już dawno byłibyśmy na Orcas.

- Ta wyspa jest o wiele ładniejsza - powiedziała szczerze Sherry Smith. Młoda, najwyżej dziewiętnastoletnia, wydawała się o wiele bardziej spięta niż Hoffman czy Landis. Jessie zauważyła również, że dziewczyna jest bardzo atrakcyjna. Miała długie włosy barwy miodu, a niebiesko-biały strój eksponował wąską talię i kształtne biodra.

- Tu na pewno jest ślicznie - przyznała wylewnie Jessie, jakby chciała zatuszować szorstkie zachowanie męża. Ostentacyjnie objęła wzrokiem skalistą plażę, port i starą rezydencję. Zza wielkiego domu wyłaniał się sosnowo-świerkowy las. - Wprost cudownie. - Zrobiła słodkie oczy do Hatcha. - Prawda, kochanie?

Hatch spojrział na nią cierpko.

- Jako tako. Czy możemy wreszcie zacząć tę kosztowną wycieczkę? Chciałbym zdążyć do gospody na kolację.

- Ależ oczywiście - powiedział Landis. - Jestem pewien, że gdy już skończymy zwiedzanie, uzna pan, że dotacja nie poszła na marne. - Proszę za mną. Odwrócił się i poprowadził ich ścieżką w stronę posiadłości.

- Najpierw opowiem trochę o historii wyspy - zaczęła Sherry. - Kiedyś stanowiła ona własność magnata budowlanego, który dorobił się majątku na początku dziewiętnastego wieku. Wybudował ten piękny dom, by w nim odpoczywać i przyjmować gości.

- A w jaki sposób nabyła go Jutrzenka Nadziei? - zainteresował się Hatch.

- Kilka miesięcy temu otrzymaliśmy go w darze od pewnej kobiety - ostatniego żyjącego członka. Doktor Bright wykorzystał tę doskonałą okazję, by się tu przenieść. Poprzednia właścicielka należała do grona naszych zagorzałych zwolenników.

- Należała? - upewnił się Hatch, zerkając na nią spod oka.

- Była już bardzo stara - odparła smutno Sherry. - Zmarła wkrótce potem, jak uczyniła nas swoimi spadkobiercami.

- Sprawiedliwości stało się zadość - szepnęła Jessie. Majątek magnata budowlanego przechodzi na własność obrońców środowiska.

- Niezupelnie. - Landis zaśmiał się. - Ale wytłumaczę wszystko później. - Najpierw pokażę wam film prezentujący działalność naszej fundacji. - Otworzył drzwi prowadzące do ogromnego domu i wprowadził gości do rozległego, wyłożonego boazerią holu. - Będziecie państwo mogli się zorientować, czym się zajmujemy.

- Bez urazy - mruknął Hatch - ale myślałem, że tacy radykałowie wybiorą coś bardziej przyjaznego dla środowiska niż ta kupa gruzu. Wyobrażam sobie, ile tu kosztuje ogrzewanie.

Sherry potrząsnęła smutno głową i wręczyła mu plastikową filiżankę z kawą.

- Obawiam się, że pan, podobnie jak większość ludzi, nie bardzo się orientuje, jakie są nasze cele. Ale zaraz to nadrobimy.

Jessie spojrzała na filiżankę.

- Nie sądziłam, że ktokolwiek z was używa plastikowych naczyń. Landis skinął głową, a jego wyrazista twarz spoważniała.

- Rozumiem, co możecie sobie myśleć. Siadajcie i obejrzyjcie film. Zobaczycie, czym się naprawdę zajmujemy. Jessie usiadła obok Hacha na jednym z pluszowych foteli, a gdy światła zgasły, rozejrzała się ostrożnie.

- Wiesz, co mi to przypomina? - spytał Hatch, gdy rozległa się już muzyką zapowiadająca rozpoczęcie filmu. - Takie kosztowne prezentacje, jakie zwykle urządzają handlarze nieruchomości, chcąc zwabić w ten sposób swoje przyszłe ofiary.

Jessie skrzywiła się w ciemnościach. - Cicho, bo cię usłyszą. Hatch wzruszył ramionami i rozsiadł się wygodniej. Męski, głęboki, zatroskany głos wypełnił nagle cały pokój.

Większość naukowców zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że środowisku grozi całkowita katastrofa. Będzie to katastrofa równie straszna jak skutki wojny nuklearnej. Codziennie w naszych oceanach przybywa odpadów radioaktywnych. Kwaśne deszcze niszczą obszary uprawne. Zagłada puszczy tropikalnych zagraża jakości powietrza, którym oddychamy.

Los naszej planety nie podlega dyskusji. Można się tylko zastanawiać, kiedy nastąpi ostateczna klęska i jak jej przeciwdziałać.

- Dobra czołówka - zauważył Hatch, gdy rozległa się muzyka. - Zatrudnili pierwszorzędnych fachowców.

Znów przemówił narrator. Jego głos brzmiał teraz śmiało i przekonywająco. Pewien człowiek, ekspert w zakresie programów komputerowych, klimatologii i ekologii, zna te problemy lepiej niż inni. Nazywa się doktor Edwin Bright. Jest on również założycielem jutrzenki Nadziei. Poznajcie tego, dzięki któremu możecie przetrwać zbliżającą się nieuchronnie katastrofę.

Kamera pokazała fragment wyspy oraz zatokę, po czym zrobiła najazd na mężczyznę w dobrze skrojonych granatowych spodniach i białej koszuli. Mężczyzna stał w porcie i patrzył gdzieś w dal, jakby widział tam coś niedostrzegalnego dla innych.

Jessie wbiła wzrok w ekran. Doktor Bright zbliżał się do pięćdziesiątki i był niewątpliwie fotogeniczny. Robił wrażenie. Miał nieregularne rysy twarzy, krótko przystryżone ciemne włosy i żywe niebieskie oczy. Okulary w metalowej oprawce w lotniczym stylu nadawały jego twarzy inteligentny, zdecydowany wyraz. Mógł z powodzeniem uchodzić za wysokiego rangą wojskowego. Odznaczał się zniewalającym, wręcz hipnotyzującym spojrzeniem. Jessie przypominała sobie, że David uznał Brighta za przywódcę z prawdziwą charyzmą.

- Wygląda jak jeden z tych facetów z telewizji, którzy obiecują, że sprzedadzą ci duszę, jeśli im wyślesz aktualny stan konta - mruknął Hatch.

- Prosiłam cię już, żebyś siedział cicho. Mogą cię usłyszeć.

Doktor Bright zgadza się w wielu punktach z ekspertami, ale sporządził prognozy komputerowe w oparciu o własne wyliczenia. Nie ma wątpliwości, że zagłada jest nieuchronna, i wedle doktora Brighta nastąpi ona znacznie wcześniej, niż wynikałoby to z ocen innych naukowców. Ostateczna katastrofa zagraża nam w ciągu następnych dziesięciu, najwyżej piętnastu lat. Edwin Bright ma również nieco odmienne poglądy co do możliwości jej przetrwania.

Edwin Bright spojrzął po raz pierwszy w oko kamery i wreszcie przemówił. W jego głębokim, pełnym głosem kryła się prawdziwie hipnotyczna siła, gdy stwierdził poważnie: technika wpakowała nas w tę całą kabałę i ona również nas ocali. Obawiam się., że jest już za późno na stosowanie zwykłych środków zapobiegawczych, jak to sugerują liberałowie. Wymiana torebek z plastikowych na papierowe przypomina mi zalepianie plastrem zerwanej tamy. Tak czy inaczej nie możemy się cofnąć do czasów sprzed wynalezienia elektryczności i antybiotyków. Gdybyśmy postąpili w ten sposób, wyparlibyśmy się. tej właśnie cechy, która czyni z nas istoty ludzkie, tej, która może nas ocalić: inteligencji. Taki powrót do przeszłości wydaje się nie do pomyślenia. Mówiąc bez ogródek: jest już za późno, byśmy zaczęli żyć tak, jak nasi przodkowie, którzy cierpieli głód i umierali w kwiecie wieku. Nie mamy czasu, by zahamować rozwój gospodarki czy też zmienić styl życia na tyle drastycznie, żeby zapobiec rozwojowi wypadków, Jessie zerknęła na trzymaną w rękę filiżankę.

- Już teraz rozumiem, skąd się wziął ten plastik. Po co sobie zawracać głowę przetwarzaniem odpadków, skoro i tak wszystko jest zniszczone i nie można tego odwrócić? - Bardzo wygodna teoria - mruknął Hatch. - Na pewno przemawia do wielu ludzi.

Mogą jednocześnie mieć ciastko i zjeść ciastko. . Bright ciągnął silnym, pewnym głosem: Wciąż jednak istnieje nadzieja, a tą nadzieją jest praca dla Fundacji Jutrzenka Nadziei. Tu przystępujemy do rozwiązania problemu w tradycyjny, amerykański sposób, czyli wykorzystując rozwój nauki i techniki. Przyjaciele! Naprawdę czynimy postępy. Z waszą pomocą będziemy kontynuować nasze prace. Ale ostrzegam: czasu zostało niewiele. Usilnie was zachęcam, byście już dziś poświęcili się dla sprawy. Bez waszego wsparcia nie możemy działać zbyt wiele. Ale razem zbawimy świat. Kamera pokazała panoramiczne ujęcie wyspy filmowanej z lotu ptaka, a Brighta zastąpił narrator: Będziecie bardzo zdziwieni, gdy się dowiedziecie, że wystarczy niewielki wysiłek, by zdobyć większość środków niezbędnych dla ratowania naszej planety. Część prac fundacji polega na skorelowaniu danych na temat istniejących technologii z możliwością ich wykorzystania. Nie wolno nam czekać, aż tym problemem zajmą się rządy. Politycy są zbyt uwikłani w biurokrację. A więc co nam pozostaje? Szansę na przezwyciężenie kryzysu stwarzają nam tylko aktywne jednostki.

Dalekowzroczni Amerykanie zawsze popierali prywatne inicjatywy, ponieważ wierzyli w ich skuteczność. Mamy nadzieję, że nam pomożecie. Jessie słuchała wykładu i zdała sobie sprawę, że sama chciałaby im zaufać. Myśl, że można ocalić świat od zagłady za pomocą istniejących środków, wydała się jej niezwykle twórcza i pokrzepiająca. Aby ostudzić swój zapal, musiała natychmiast sobie przypomnieć, że Edwin Bright jest najprawdopodobniej zwykłym akwizytorem o wybitnym talencie krasomówczym. Gdy film dobiegł końca, znów rozległa się muzyka. W sali zapaliły się światła.

- Przypuszczam, że mają państwo wiele pytań - powiedział Landis i wstał.

- Owszem - odezwał się Hatch. - Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, w jaki sposób ten cały Bright obliczył termin katastrofy. Dziesięć czy nawet piętnaście lat to bardzo pesymistyczna prognoza. Wszystkie inne źródła sugerują, że zostało nam o wiele więcej czasu na rozwiązanie

problemu.

- Dobrze pytanie - pochwalił ponuro Landis. - Chodźmy na dół do sali komputerowej, a pokażę wam, jak zostały dokonane te wyliczenia.

Poszli ciemnym długim korytarzem. W pewnej chwili Landis stanął i uchylił drzwi prowadzące do jednego z pokoi na parterze, a Jessie zajrzała ciekawie do środka. W pomieszczeniu, które musiało kiedyś służyć jako jadalnia, było rojno i gwarno. Na kilku rzędach biurk stały telefony obsługiwane przez grupę młodych ludzi. Jessie wsłuchiwała się w głos telefonistki siedzącej najbliżej drzwi, próbując jednocześnie wypatrzyć kogokolwiek podobnego do Susan Attwood.

- Tak, oczywiście, panie Williamson. Poczyniliśmy wielkie postępy i teraz usiłujemy przygotować kontrakt na masową produkcję, która ruszy najprawdopodobniej w przyszłym miesiącu. Sprzedaż rozpocznie się najpóźniej za półtora roku. Potencjalny zysk jest wprost niewyobrażalny. Nasz towar ma dość niską cenę. W ciągu osiemnastu miesięcy potroi pan włożony kapitał. Czy możemy liczyć na pańską dotację?

Telefonistka do złudzenia przypominała Alison. Jessie pochwyciła ironiczne spojrzenie Hacha i zrozumiała, że myślą dokładnie o tym samym. Młoda, energiczna dziewczyna siedząca obok koleżanki przeprowadzała inną transakcję.

- Jak już wyjaśniałam – mówiła - odparowywacz oczyszczający eliminuje całkowicie wszelkie śmieci. Produktem końcowym tego procesu jest czysty tlen. Dzięki niemu będziemy mogli zrezygnować z innych form utylizacji i niszczenia. Potrzebujemy tylko pańskiej pomocy. Jeśli zdecyduje się pan zainwestować minimum pięć tysięcy dolarów, stanie się pan potencjalnym akcjonariuszem. Gwarantujemy udziały w zyskach, które będą się zwiększać cyklicznie co pół roku. Landis zamknął cicho drzwi i poszedł korytarzem w stronę marmurowych schodów.

- Właściciel rezydencji miał tu piwnicę - wyjaśnił, powoli schodząc w dół. - My urządziliśmy tu pracownię komputerową. Doktor Bright uruchamia w niej swoje programy, które są stale wzbogacane o nowe informacje, na przykład raporty o przypadkowych wyciekach toksycznych czy nadmiernym promieniowaniu radioaktywnym.

- Te programy są strasznie skomplikowane - wyznała Sherry. - Codziennie wprowadzamy do komputera dane o aktualnym stanie puszczy tropikalnych, ilości substancji zanieczyszczających wprowadzonych do atmosfery przez fabryki na całym świecie, a także informacje na temat koncentracji gazów naturalnych pochodzących na przykład z wulkanów. Potem opracowujemy te dane w kontekście zmian klimatycznych, jakie zachodziły na ziemi w ciągu ostatnich kilku tysięcy lat.

- A przecież to tylko wierzchołek góry lodowej - powiedział z uśmiechem Landis, gdy znalazł się już na samym dole i otworzył drzwi pracowni. - Prowadzimy cały kompleks badań, dzięki którym możemy zestawiać informacje na temat istniejących technologii, łącznie z eksperymentami prowadzonymi przez inwestorów z całego świata oraz laboratoria w naszym kraju.

Jessie usłyszała charakterystyczny pisk komputera. Podeszła do drzwi i zajrzała do pokoju bez okien. Hatch stanął za nią i wsadził głowę do środka ponad jej ramieniem.

- Kawał roboty - przyznał z niekłamanym podziwem. Jessie uważała jednak, że to zbyt mało. Na długim stole stał rząd stacji komputerowych. Trójka młodych ludzi, przypominających do złudzenia Alexa Robina, wpatrywała się w skupieniu w ekrany. Byli tak pochłonięci pracą, że nawet nie zerknęli w stronę drzwi.

Faksy, drukarki i modemy wypełniały cały pokój. Szare, betonowe ściany były niemal całkowicie przysłonięte mapami świata. Wszędzie wałały się tabele i wydruki. Oprócz młodych ludzi

obsługujących komputer, w pokoju znajdowały się jeszcze dwie młode kobiety w wieku Susan Attwood. Żadna z nich nie była jednak do niej podobna.

- Wejdźcie i przyjrzyjcie się dokładnie - zapraszała Sherry.

Hatch przytaknął ochoczo i wszedł do pokoju, po czym zatrzymał się przed jednym z komputerów, by popatrzeć na ekran, na którym widniało kilka rzędów cyfr.

- A cóż to takiego? - spytał mężczyznę pochylonego nad klawiaturą.

- Dane dotyczące klimatu, jaki panował w północnej Europie dwieście lat temu. Na ich podstawie formułuję prognozy na przyszłość. - Młodzieniec nawet nie oderwał wzroku od klawiatury. Nacisnął tylko guzik, a cyferki na ekranie błysnęły i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zostały zastąpione przez inne. - Widać, że tendencja do ocieplania się gwałtownie rośnie.

Hatch skinął głową i przeszedł do kolejnego komputera rejestrującego - jak wyjaśnił operator - aktywność sejsmiczną.

- Doktor Bright uważa, że zwiększona aktywność wulkanów spowoduje przemieszczenie obszarów tektonicznych - powiedział chłopak. - Wulkany wywierają niezwykle wpływ na klimat.

Jessie zerknęła na ekran i przypomniało jej się coś, co mówiła Elisabeth.

- A co z niszczeniem puszc tropikalnych?

- To główny problem. Doktor Bright bardzo dokładnie się nad nim zastanawiał i znalazł pewne interesujące rozwiązania. Zajmował się głównie zagadnieniami związanymi z klimatologią.

Rozumiecie, warstwa ozonu, tendencje do ocieplania się, tego rodzaju rzeczy. Doktor dzwonił do nas godzinę temu i prosił, żeby porównać najnowsze dane. Dotarły do niego pewne informacje nasuwające obawy, że zostało nam jeszcze mniej czasu, niż sądziliśmy.

- Rozumiem - powiedziała Jessie i poczuła, że ogarnia ją niepokój. Odnosiła wrażenie, że wszystko, co oni mówią, brzmi nadspodziewanie wiarygodnie. - Gdzie jest Edwin Bright?

- Chyba w Texasie - odparł młody człowiek. - Rozmawia z pewnym naukowcem, który przyszedł do niego z pomysłem na nasycenie chmur pewną substancją chemiczną, która mogłaby zneutralizować kwaśne deszcze. Bright chce mu pomóc w opatentowaniu tego wynalazku.

- Tak mało mamy czasu - szepnęła Sherry.

- Mhm. - Hatch cisnął pustą filiżankę po kawie do najbliższego pojemnika na śmieci, z którego wystawały zgniecione wydruki komputerowe. - Czy ktoś mógłby mi wskazać drogę do toalety?

- To tam, w korytarzu - odparła z uśmiechem Sherry. Pokażę panu.

- Będę wdzięczny. - Hatch zignorował rozgniewane spojrzenie Jessie i poszedł za dziewczyną we wskazanym przez nią kierunku.

Jessie popatrzyła na Landisa z niewinnym i - jak sądziła - zaciekawionym wyrazem twarzy.

- Muszę przyznać, że wasze komputery, metody badawcze i tak dalej zrobiły na mnie piorunujące wrażenie, ale wydawało mi się, że doktor Bright jest nie tylko wybitnym naukowcem. Osoba, która odstąpiła mi zaproszenie, twierdziła, że posiada on pewne wyjątkowe zdolności.

Landis skinął głową i popatrzył na nią z zadumą.

- Ma pani na myśli plotkę, że to jasnowidz, prawda? - Czyżby cała rzecz sprowadzała się do plotki? Landis wyprowadził ją z pracowni i - odprowadzany piskiem komputerów - zamknął cicho drzwi.

- Wszystko zależy od podejścia. Doktor jest niezwykle zdolnym człowiekiem, posiadającym rzadką umiejętność wyciągania wniosków na podstawie ogromnej ilości zgromadzonych wcześniej informacji. Ma w głowie komputer. Dlatego właśnie niektórzy podejrzewają go o zdolność przewidywania przyszłości. Ale on sam nigdy czegoś takiego nie sugerował.

- W takim razie zostałam wprowadzona w błąd. - Jessie przypomniała sobie rozmowę z panią Attwood, która twierdziła, że Bright podaje się za jasnowidza, by wpłynąć w ten sposób na ludzi pokroju jej córki.

- A poza tym, gdzie właściwie leży granica między intuicją, którą szczytą się przecież wszyscy ludzie, a jasnowidzeniem? Gdy ktoś posiada ten dar w nadmiarze, musi się liczyć z posiadaniem o zdolności nadprzyrodzone.

- Słusznie. Rozumiem, o co panu chodzi. - Jessie zaczęła się zastanawiać, czy umiejętności pani Valentine również sprowadzają się wyłącznie do wyjątkowo rozwiniętej umiejętności przewidywania. - Zdaje się, że pracuje tu wielu ludzi.

- Tylko piętnaście osób. Przychodzą do nas, bo niepokoi ich zagłada środowiska, a przy tym wierzą, że nasz naród potrafi rozwiązać wszelkie problemy z pomocą nauki i techniki. Zostają, bo są przekonani, że doktor Bright jest bliski znalezienia takich rozwiązań. Mamy nadzieję, że państwo udzielą nam swego wsparcia.

Jessie chciała coś powiedzieć, ale szybko zamknęła usta, ponieważ zobaczyła, że Hatch wraca już ze swej wyprawy do toalety. Sherry Smith opowiadała mu coś z przejęciem, a Hatch słuchał jej w skupieniu. Otaczała ich pewna aura intymności, co bardzo zirytowało Jessie. Odwróciła się do Landisa z uśmiechem.

- Nigdy nie podejmuję tego rodzaju decyzji bez konsultacji z mężem - powiedziała, uciekając się do wykrętu starego jak świat.

- Ależ oczywiście, proszę pani. - Landis uśmiechnął się czarująco i ruszył w stronę schodów. - Możemy kontynuować zwiedzanie?

Przyjemnie było wiedzieć, że oboje wspominają wspólną przygodę.

Dzięki tej wyprawie wytworzyła się między nimi nowa więź. Teraz łączyło ich już więcej niż tylko wzajemny pociąg seksualny, co nie miało nic wspólnego z *Benedict Fasteners*, a Jessie po raz pierwszy dostrzegła iskierkę nadziei na przyszłość z Samem Hatchardem.

Rozdział 9

Hatch myślał na pewno o prowadzonym przez nią dochodzeniu, co uznała za wyjątkowo dobry Znak. Wykazał przecież niekłamanie zainteresowanie jej pracą. Chyba jednak nie miał kłapek na oczach i nie zajmował się wyłącznie swoją karierą. Może chciał, by ktoś czasem odciągnął go od biurka. Przy jej pomocy potrafiłby nauczyć się bawić i odpoczywać. Pewnie w końcu zapragnąłby czasem zatrzymać się w marszu, by powąchać róże.

Jessie otaksowała spojrzeniem swego towarzysza, który właśnie podpisywał rachunek i chował do kieszeni kartę kredytową. Hatch był, jak na siebie, bardzo Jessie pochyliła głowę nad kieliszkiem i wciągnęła w nozdrza przyjemny zapach. W przytulnej restauracji było ciepło i bezpiecznie, a za oknami padał deszcz. Kolacja bardzo im smakowała. Na kominku buzował ogień; goście zebrani w do połowy wypełnionej sali rozmawiali cicho i najwyraźniej bawili się znakomicie.

Po zakończeniu zwiedzania Jessie i Hatch wrócili do gospody, przebrali się i poszli do restauracji. Wtedy jeszcze nie padało, choć zanosilo się na deszcz. W trakcie posiłku Hatch mówił niewiele - pogrążył się w zadumie.

Tym razem Jessie nie miała ochoty prowokować go do sprzeczki. Delektowała się nie znanym jej dotąd poczuciem bliskości - swobodnie ubrany. Innymi słowy, nie włożył po prostu garnitur, tylko czarne spodnie, białą koszulę i wełnianą marynarkę w kolorze marengo. Na jego krawacie - zamiast nieśmiertelnych dyskretnych pasków - widniały wesołe kropki. Gdy pakował się na tę wycieczkę, najwyraźniej opuściła go rozwaga.

Hatch pochwycił jej spojrzenie. Jessie uśmiechnęła się do niego ciepło i czekała, aż rzuci parę uwag na temat Jutrzenki Nadziei, powie, do jakich wniosków doszedł, bądź po prostu podziękuj jej za wyjątkowo miły wieczór.

- Cholera - mruknął Hatch, marszcząc lekko brwi ciekawe, czy Gresham dostarczył sprawozdanie Vincentowi. Jeśli nie, po powrocie porachuję mu kości. Mam już dosyć tego faceta. Rozmowy w Portland wkroczyły w decydującą fazę. Nikt nie może sobie teraz pozwolić na zawalanie terminów.

- Nigdy nie słyszałem czegoś bardziej romantycznego.

Szczególnie po intymnej kolacji przy kominku. Chyba zemdleję z wrażenia. Spojrzał na nią tępo i dopiero po chwili zrozumiał, co powiedziała.

- Jeśli nie czujesz się dobrze, chodźmy do gospody zaproponował wstając.

- Nie martw się. Nic mi nie będzie. - Zmarszczyła nos, ale już się nie odezwała. Koniec złudzeń.

Uwaga Hacha skupiona była wyłącznie na *Benedict Fasteners*.

Gdy ruszyli w milczeniu do gospody, wciąż zacinął deszcz. Hatch otworzył parasol, a Jessie wzięła go pod rękę. Szli opustoszałą, słabo oświetloną uliczką przecinającą maleńką osadę. Jessie pomyślała, że na miejscu czeka ich ciepłe łóżko. Być może nie istniała dla nich nadzieja na wspólną przyszłość, ale romans trwał nadal.

- Hatch?

- Tak?

- Czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Zależy jakie.

Jessie wciągnęła głęboko powietrze. - Czy ja jestem do niej podobna?

- Do kogo?

- Do twojej żony.

Zacisnął palce na jej ramieniu. - Ależ skąd.

- Napewno?
- Oczywiście. Co ci w ogóle przyszło do głowy? I kto ci powiedział, że byłem żonaty? Ojciec?
- Nie. Przepraszam. Nie powinnam była poruszać tego tematu.
- Ale skoro już zaczęłaś, równie dobrze możesz skończyć.

Popatrzyła przed siebie na mokry chodnik.

- Rozmawiałam z matką. To ona mi powiedziała, że straciłeś żonę. Zaczęliśmy dyskutować i doszliśmy do wniosku, że mężczyźni szukają w swoich drugich żonach tych samych cech, jakie podobały im się w pierwszych. Stwierdziłyśmy również, że Connie jest bardzo podobna do mojej matki. Mama twierdzi, że mężczyźni niechętnie zmieniają przyzwyczajenia. Pociąga ich zawsze ten sam typ kobiet, jeśli wiesz, co mam na myśli.

I... - Wystarczy.

Szybko zamknęła usta z poczuciem, że zaczyna odbiegać od tematu.

- Przepraszam.
- Wcale nie jesteś do niej podobna.
- Ach tak? - Jessie poczuła ogromną ulgę.
- Ona miała jasne włosy i niebieskie oczy.
- Pewnie była ładna.
- Ale zupełnie inna niż ty. - Zamilkł na chwilę. - O wiele wyższa.
- Mhmm.
- I tyle - zakończył Hatch, wzruszając ramionami. - Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?
- Nic.
- To świetnie - westchnął z zadowoleniem.
- Jaka ona była?
- Co to ma znaczyć?
- Miła?
- Do diabła, Jessie ...

- Bardzo ją kochałeś? - Wiedziała, że powinna przestać, ale nie potrafiła się powstrzymać. Pytania same cisnęły się jej na usta i kategorycznie domagały się odpowiedzi.

Hatch stanął w miejscu i obrócił Jessie twarzą do siebie. W skropionym deszczem świetle sączącym się z pobliskiego okna widać było wyraźnie, że spochmurniał. Dziewczyna zaczęła żałować, że nie trzymała buzi na kłódkę.

- Jessie ...

- Przepraszam - szepnęła. - Zapomnijmy o wszystkim, dobrze? Przecież wiem, że nie powinnam wściubiać nosa w nie swoje sprawy.

- Ale ja za dobrze cię znam - odparł, kręcąc wolno głową. - Skoro w ogóle zaczęłaś się nad tym zastanawiać, nie będziesz mogła przestać. Zadręczysz siebie i mnie.

Przymknęła oczy, wiedząc, że ma rację. - Nic już nie powiem. Słowo.

- Dobra, dobra. - Westchnął. - Kiedy braliśmy ślub, wydawało mi się, że ją kocham. Była uosobieniem wszystkich moich nadziei i pragnień związanych z małżeństwem. Miała w stosunku do mnie ogromne ambicje. Była piękna, wyrozumiała, pomocna. Urodziła się w świecie, w którym ja tak bardzo pragnąłem żyć, i potrafiła funkcjonować w tym środowisku. Wspinała się razem ze mną po szczeblach kariery. Idealna żona dla biznesmena.

- Hatch, przestań.

- Pracowała równie ciężko jak ja. Potrafiła od ręki przygotować przyjęcie. Zapisła nas do odpowiedniego klubu. Nigdy nie narzekała, gdy musiałem nagle wyjechać w interesach. Nie robiła też żadnych uwag, kiedy spóźniałem się na kolację albo nie miałem siły się z nią kochać.

- Hatch, naprawdę nie chcę już o tym rozmawiać.

- Ja również nie. Ale ty zaczęłaś, a ja skończę. Nie wdając się w szczegóły: byliśmy szczęśliwi przez cztery lata. Ja miałem dobrą posadę w rozwijającej się firmie. Rysowały się przed nami wspaniałe perspektywy na przyszłość. Choć ja uważałem, że najwyższy czas pomyśleć o dzieciach, ona postanowiła jeszcze poczekać. I wtedy wydarzyło się kilka rzeczy naraz.

- To znaczy?

- Firma, w której pracowałem, została wchłonięta przez pewien koncern. Podobnie jak inni członkowie zarządu, zostałem bez pracy. Olivia nie mogła tego znieść. Wydawało się jej, że zaczynamy wszystko od początku.

- I nie chciała się z tym pogodzić?

- Nie miała ochoty startować od zera, co zresztą nie było wcale dziwne. Sam też przeżywałem trudne chwile, ale wierzyłem, że mi się uda. A ona nie. Zaczęliśmy się kłócić. Olivia uważała, że jestem wszystkiemu winien. A potem zginęła w wypadku drogowym. Jessie poczuła, że ma łzy w oczach. - Hatch, tak mi przykro.

- Było ciężko. Po pogrzebie zupełnie nie mogłem przyjść do siebie. Pewnie dlatego tak długo nie znalazłem kartki, którą mi zostawiła, zanim wsiadła do samochodu. Jessie zrozumiała, co się święci, i zamarła.

- Co napisała?

- Napisała, że nie może żyć z nieudacznikiem i występuje o rozwód. Chciała wyjść za mąż za mojego przyjaciela. Pracowaliśmy razem, darzyłem go zaufaniem. Jemu udało się jakoś spaść na cztery łapy. W nowej firmie otrzymał stanowisko wiceprezesa.

- Och, Hatch.

- Okazało się, że ich romans zaczął się pół roku przed wypadkiem. Olivia zginęła dokładnie tego samego dnia, kiedy zdecydowała się u niego zamieszkać.

Prosiła mnie w liście, żebym zrozumiał.

- Boże! - Jessie już dawno nie czuła się tak fatalnie. Przepraszam - powiedziała, bo nic innego nie przyszło jej do głowy. - Tak mi przykro, Hatch.

- Potem zrozumiałem bardzo wiele rzeczy. Na przykład to, dlaczego nie chciała na razie mieć dzieci. Musiała się najpierw zastanowić, czy w ogóle chce ze mną zostać.

Jessie poczuła, że Hatch wbija jej palce w ramię. Podniosła rękę i dotknęła czule jego policzka.

- Proszę cię, nie mów nic więcej. Nie powinnam była cię wypytywać. Zaciśnął usta.

- Mokniesz. Co za kretyński pomysł, żeby tak stać na deszczu.

- Tak.

Znów wziął ją pod ramię i ruszyli naprzód.

- Co jeszcze chcesz o mnie wiedzieć? Chciałbym już mieć za sobą etap pytań i odpowiedzi.

Jessie paliła się z ciekawości, ale wiedziała, że na razie musi poczekać.

- Zdaje się, że nie bardzo mi to wychodzi.

- Być może - powiedział i wykrzywił usta. - Ale nie brak ci wytrwałości. Zastanów się. Może powinienem ci coś jeszcze wyjaśnić.

- Nie. - Otuliła się szczelniej płaszczem. - Chyba robi się zimno, prawda?

- Raczej nie. Po prostu zmokłaś.
- Nie, nie o to chodzi. Jest chłodniej. Tak jakoś inaczej. - Nagle doznała przebłysku świadomości i instynktownie zerknęła za siebie. Nie zobaczyła jednak nic poza ciemną, moką ulicą. Gdzieś za nimi mignęły światła auta, ale natychmiast zniknęły w mroku.
- Coś nie tak, Jessie?
- Nie, przez chwilę miałam wrażenie, że ktoś tu jest. Hatch zerknął za siebie.
- Chyba nie. Ale nawet gdyby rzeczywiście ktoś tędy szedł, nie widziałbym powodów do niepokoju. Nie jesteśmy w centrum Seattle.
- To prawda. - Odpędziła od siebie lęk. - Co sądzisz o naszej popołudniowej wyprawie? Nie wspominałeś nic na ten temat.
- Jeszcze nie wiem, co myśleć. Chciałbym się najpierw przyjrzeć czemuś, co znalazłem w rezydencji
- powiedział Hatch. - Może nawet zdecydowałbym się to pokazać jeszcze komuś.
- Jessie popatrzyła na niego pytająco.
- A cóż takiego znalazłeś? Nie zauważyłam, żebyś coś niósł.
- Pokażę ci w pokoju.
- Sądzisz, że jutrzienka Nadziei to prawdziwa fundacja?
- Nie - odparł spokojnie Hatch. - Oglądaliśmy pierwszorzędną inscenizację dla naiwniaków.
- Tego się właśnie obawiałam. Wiesz, w pewnym sensie chciałabym, żeby oni robili to wszystko naprawdę.
- Nie można tak łatwo rozwiązać problemów związanych z ochroną środowiska. Zapytaj Elisabeth albo Davida.
- Wiem, ale miło by było im wierzyć. Musisz zresztą przyznać, że te komputery i programy klimatyczne wyglądały bardzo przekonująco. Kiedy poszedłeś do toalety, rozmawiałam z Landisem.
- Na pewno prosił cię o dotację.
- Tak, ale co ważniejsze, ja usiłowałam go zmusić, żeby mi powiedział, czy Bright uważa się za jasnowidza. Landis przyznał, że być może niektórzy interpretują w ten sposób to połączenie inteligencji z intuicją. Zaprzeczył natomiast, jakoby Bright sugerował komukolwiek, że posiada nadprzyrodzone zdolności.
- Sprytnie. Pozwala naiwniakom, żeby myśleli, co chcą, i zachowuje się zgodnie z ich oczekiwaniami. Zresztą wcale nie jestem pewien, czy on rzeczywiście musi udawać jasnowidza, żeby zdobyć sobie zaufanie tych młodych ludzi, których widzieliśmy w rezydencji. Ich przekonują raczej obietnice rychłego rozwiązania problemu, jakie słyszeliśmy na filmie. A także perspektywa szybkiego zysku z produkcji tych wszystkich urządzeń.
- Tak. Bright wpadł na doskonały pomysł. Ocalając świat, zbijesz majątek. Któż mógłby się temu oprzeć?
- Głupcy rodzą się na kamieniu. Przypomnij sobie, jak trudno ci było odmówić tej znajomej maklerce.
- Nie mieszajmy do tego Alison. Sądzisz, że pracownicy Brighta są rzeczywiście oddani sprawie?
- Niektórzy na pewno na tyle, by oferować swe usługi seksualne w zamian za szczerą dotację.
- Co? Nie. Ona tego nie zrobiła! - Jessie wpadła w szal. - Mów, proponowała ci coś takiego?
- Mhmm.
- Mów wyraźniej! Próbowwała cię uwieść? I co ty właściwie robiłeś w tej toalecie? - Jessie

domagała się bardziej szczegółowych wyjaśnień, ale znów poczuła mrówki na plecach i zerknęła za siebie przez ramię.

- Co się dzieje? - spytał Hatch.

- Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale chyba ktoś nam towarzyszy.

- Już niedaleko - powiedział Hatch uspokajająco. jeszcze tylko jedna przecznica.

- Nigdy nie miałeś wrażenia, że ktoś cię śledzi? - Jessie przyspieszyła kroku i wytrzymała wzrok, chcąc dojrzeć światła gospody.

- Jestem biznesmenem, pamiętasz? Za każdym razem, gdy oglądam się za siebie, ktoś zyskuje nademną przewagę - ja nie żartuję. Naprawdę zaczynam się denerwować.

Tam ktoś jest. Wiem to.

- Pewnie jakiś tubylec wraca do domu z tej samej restauracji. Hatch mówił spokojnie, ale Jessie wyraźnie wyczuła napięcie w jego głosie, a później spostrzegła, że przyspieszył kroku.

Po chwili znaleźli się w ciepłym korytarzu gospody, w której zarezerwowali pokój. Kiedy ruszyli na górę, dwoje pensjonariuszy grających w warcaby przed kominkiem wymieniło znaczące spojrzenia. Jessie odetchnęła z ulgą, gdy weszła do sypialni i zobaczyła, jak Hatch zamyka drzwi. Strząsnęła deszcz z płaszcza i powiesiła go w małej szafie.

- Chyba ta wizyta na wyspie wytrąciła mnie z równowagi bardziej, niż się spodziewałam. Pokaż mi lepiej, co znalazłeś.

- Mam to tutaj. - Hatch wyciągnął kawałek papieru z wewnętrznej kieszeni marynarki.

Kiedy Hatch się rozbierał, Jessie rozłożyła ostrożnie kartkę i zobaczyła, że to wydruk komputerowy z ogromną ilością wyliczeń.

- Skąd to masz?

- Z kosza w męskiej toalecie. Komputery zużywają ogromne ilości papieru. Trudno jest pilnować śmieci, nawet przy zachowaniu nadzwyczajnych środków ostrożności. Ktoś zawsze wrzuca coś przez przypadek do kubła. - Hatch usiadł na jednym z krzeseł i wyciągnął przed siebie nogi.

Jessie osunęła się na łóżko.

- Zaglądałeś do śmieci w toalecie? Ach, to dlatego kazałeś się tam zaprowadzić. Na miłość boską! Co ci przyszło do głowy?

- Chciałem zdobyć fragment wydruku. Byłem ciekaw, czy rzeczywiście zawiera te same dane, które widziałem na ekranie.

- No i co? - Jessie wpatrywała się w szeregi cyfr.

- Nie. Patrzysz na programy finansowe, a nie prognozy pogody.

- Programy finansowe? Mamy więc do czynienia z oszustami.

- Niekoniecznie. Takie dane o niczym nie świadczą. Prawdziwa fundacja prowadzi przecież rozliczenia finansowe, jak każda inna spółka. Potrzeba nam więcej informacji, zanim będziemy mogli wyciągać jakieś ostateczne wnioski.

- W jaki sposób zdobyć te szczegóły? Hatch patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- Na początek proponowałbym, żeby obejrzał ten wydruk ktoś, kto zna się na komputerach i programach komputerowych.

- Dlaczego?

Sądysz, że zrozumiałby z tego więcej niż ty? Hatch znowu zaczął się wahać, zanim zdecydował się powiedzieć coś więcej.

- Gdyby jakiś prawdziwy ekspert zerknął na ten wydruk, mógłby, podkreślam, mógłby skorzystać z

pewnych zawartych w nim informacji, by przeprowadzić dyskretny wywiad.

Jessie spojrzała na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem i nagle doznała olśnienia.

- Ależ tak. Oczywiście! Co za wspaniały pomysł! Gdyby ktoś włamał się do tych komputerów, wiedzielibyśmy, czym oni się naprawdę zajmują. A przynajmniej zyskalibyśmy pewność, że te badania służą im jedynie za przykrywkę.

- Niewykluczone. Przy odrobinie szczęścia całkiem prawdopodobne. Oczywiście pod warunkiem, że znalazłbyśmy kogoś, komu można by było powierzyć takie zadanie.

- Znamy! Alex Robin jest idealny do takiej roli. Rozpaczliwie poszukuje pracy. I zachowa dyskrecję. Hatch bez przekonania pokiwał głową i spojrzał na nią z zadumą.

- Jessie. Wkraczamy na śliski grunt. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. - Jeśli Jutrzenka Nadziei okaże się uczciwą instytucją, natychmiast się wycofamy. Powiem pani Attwood, że trudno im cokolwiek zarzucić, i poradzę, żeby spróbowała jakoś inaczej odzyskać córkę. Ale jeśli to banda naciągaczy, moja klientka zyska cenne informacje. Będzie mogła pójść na policję albo pogadać z dziennikarzami i zdemaskować Brighta dokładnie tak, jak sobie życzy.

- Moim zdaniem powinna zatrudnić prywatnego detektywa, a nie asystentkę wróżki.

- Postaraj się zmienić nastawienie. Nie możemy jeszcze powierzyć tej sprawy komukolwiek innemu.

- Jessie rozwinęła ostrożnie wydruk i wrzuciła go do torebki. Najpierw trzeba się dowiedzieć czegoś więcej. Kiedy będziemy już mieli dowody w ręku, zostawimy decyzję w rękach pani Attwood. Jestem ci bardzo wdzięczna. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Tak?

Skinęła poważnie głową.

- Oczywiście. Nie byłam pewna, czy cię zabrać, ale okazałeś się naprawdę bardzo pomocny.

- Nawet nie wiesz, co ten komplement dla mnie oznacza. Jessie spojrzała na niego krzywo, zastanawiając się, czy przypadkiem nie żartuje, i po raz kolejny doszła do wniosku, że Hatch mówi śmiertelnie poważnie.

- Bez ciebie nie zdobyłabym tak cennej informacji.

Trafiłeś na pierwszy ważny ślad, odkąd udało mi się dostać zaproszenie.

- Właśnie miałem zamiar porozmawiać z tobą na ten temat.

- O zaproszeniu? - Nie rozumiem. Hatch spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie odniosłaś czasem wrażenia, że zdobyłaś je zbyt łatwo? Nawet trochę zbyt łatwo?

- Wcale nie. Doszłam po nitce do kłęбка. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, David studiuje w Butterfield i odnalazł Nadine Williams.

- Jako cyniczny biznesmen nie wierzę w szczęśliwe zbiegi okoliczności. Zastanawiam się, dlaczego oni włożyli tyle energii w zorganizowanie tego całego przedstawienia i nie zadali nam żadnych pytań.

- Nie widzę w tym nic dziwnego. Przecież zależy im na dotacjach.

- Dlaczego nie organizują tych wycieczek dla całych grup takich naiwniaków? Dlaczego dostosowują się do podanych przez nas terminów? Ten przelot musiał słono kosztować.

Jessie zamilkła z wrażenia.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Pewnie sądzisz, że nas o coś podejrzewają?

- Jeszcze nie wiem, co myśleć. Ale na pewno coś mi tutaj nie gra. To wszystko zupełnie mi się nie podoba. - Sprawy zaczynają się komplikować.

- Istotnie.

- Przynajmniej coś się dzieje. Moje poprzednie zajęcie nie było nawet w połowie tak interesujące.

- A gdzie ty ostatnio pracowałaś? Zaraz ... chyba dla *Benedict Fasteners* ...

- Nie rób takiej miny. Mogło być gorzej. W innych okolicznościach na pewno utrzymałabym posadę w waszej firmie.

- Wiem, że powinienem dostrzegać dobre strony tej sytuacji, ale jakoś nie potrafię. Jessie spojrzała na niego uważnie. - Czy to miał być żart?

- Sądziś, że nie mam poczucia humoru?

- Jeszcze nie wiem.

- W każdym razie zupełnie poważnie chcę iść z tobą do łóżka.

Jessie podskoczyła na równe nogi i strąciła ze stolika mały talerzyk na cukierki.

- O, cholera - mruknęła i schyliła się, by go podnieść.

Przynajmniej się nie rozbił. Jessie była wdzięczna losowi choć za to. Stawiając naczynie na stole, wyjrzała przez okno.

- Dlaczego tak się zawsze denerwujesz w moim towarzystwie?

- Nie wiem - Bezmyślnie mięta zasłonę, wpatrując się w deszczową ciemność za oknem. - Skąd wiesz, że mamy szansę na naprawdę poważny, długotrwały związek?

- Nigdy nie myślałem o poważnym, długotrwałym związku. Chcę się z tobą ożenić.

- Widzisz? Właśnie dlatego nigdy nie wiem, czy żartujesz, czy mówisz poważnie. To mnie bardzo niepokoi. Dlaczego po prostu nie odpowiesz mi na pytanie? Skąd ta pewność, że powinniśmy spróbować?

- Z tobą jest dobrze - powiedział po dłuższym namyśle.

- Co to znaczy?

- Myślę, że nam się uda - odparł, wzruszając ramionami.

Ścisnęła mocniej zasłonę.

- Ale czego oczekujesz od ... takiego związku? - Słowo „małżeństwo” nie chciało jej przejść przez gardło.

- Tego co wszyscy. Lojalnej żony. Mam trzydzieści siedem lat. Pragnę dzieci. Chcę się odciąć od przeszłości. Wychowałem się na ranczo, pamiętasz? I w jakimś sensie wciąż tam tkwię. Kiedy założę własną rodzinę, będę wreszcie czuł, że mam prawdziwy dom.

- Czyżby zegar biologiczny tykał ci zbyt głośno?

- Sądziś, że tylko kobiety słuchają takich zegarów? - spytał, wykrzywiając usta w lekkim uśmiechu.

- Przyznam, że się nad tym nie zastanawiałam. - Westchnęła. - Ale na pewno nie byłabym dobrą, pomocną żoną dla biznesmena. Przecież o tym wiesz, prawda? Ciosałabym ci kołki na głowie, gdybyś się spóźniał na posiłki. A gdybyś odwołał jakieś wyjście z dziećmi z powodu interesów, przysłałabym do biura i zrobiłabym potworną awanturę

- Wiem.

Obróciła się na pięcie.

- W takim razie co ci, na miłość boską, przyszło do głowy? Tak bardzo ci zależy na *Benedict Fasteners*?

- Nie.

- Więc podaj mi choć jeden dobry powód - zażądała, doprowadzona do ostateczności. - Dlaczego akurat ja? Dlaczego nie ktoś, kto pozwoliłby ci spokojnie pracować?

Zbliżył się, ujął jej twarz w dłonie i delikatnie musnął wargami usta dziewczyny.

- Bo wiem, że mogę ci ufać.

Jessie otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. - Ufać mi?

- Będiesz pewnie na mnie wrzeszczeć, wyprowadzać mnie z równowagi, dokuczać mi. Ale jestem absolutnie przekonany, że nigdy mnie nie okłamiesz. I wiem, że będę mógł liczyć na twoją lojalność, bo związę się z *Benedict Fasteners* i twoją rodziną. Stanę się częścią twojego świata. A ty nigdy nie sprawiasz zawodu swoim bliskim.

Podniosła na niego oczy.

- Lojalność jest dla ciebie taka ważna?

- Nie sądzę, żebyś zdecydowała się na romans z moim najlepszym przyjacielem. Nie przypuszczam, że odeszłabyś ode mnie zostawiając list, w którym wyraziłabyś nadzieję, że zrozumiem. Gdybyś była zła, urażona czy nawet nieszczęśliwa, złożyłabyś skargę bezpośrednio w dyrekcji, a nie wyplakiwała się za moimi plecami na cudzym ramieniu.

- Złożyłabyś skargę w dyrekcji. - Jessie roześmiała się. - Och, Hatch. Co ja mam z tobą zrobić?

- Na razie wystarczy, jeśli pójdziesz ze mną do łóżka.

Rozdział 10

Zanim Hatch odwrócił się, żeby zgasić światło, dostrzegł w oczach Jessie słodką tęsknotę. Ta dziewczyna go pragnęła. Ale o tym wiedział już przecież od samego początku i głównie dlatego zdecydował się próbować dalej. Można pozwolić sobie na cierpliwość, jeśli wiadomo, że w korku się uda. A na razie Hatch postanowił nie zmuszać jej do małżeństwa.

Ponieważ jednak już raz zakosztował smaku tej kobiety, nie mógł dłużej czekać na ponowne zbliżenie. W końcu był tylko człowiekiem. Objął ją mocno, rozkoszując się delikatnym dotykiem jej ciała. Nie odsunęła się. Napotkał wzrok dziewczyny i, jak zwykle, został wciągnięty w otchłań tego przepastnego, świetlistego spojrzenia.

Przesunął ręce w dół i zaczął rozpinąć guziki jedwabnej bluzki. Bluzka rozchyliła się natychmiast, a on tymczasem wsunął palce za pasek spódnicy i wyczuł ciepłą, pachnącą miękkość kobiecej skóry. Odnalazł kciukiem zapięcie koronkowej bardotki i uwolnił Jessie z biustonosza. Oddychała ciężko, a gdy Hatch zamknął dłonie na jej miękkich piersiach, wydała cichy jęk rozkoszy. Objęła go lekko w talii i położyła mu głowę na ramieniu.

- Pomyślałam, że moglibyśmy zaryzykować romans wyszeptaną niewyraźnie wtulona w jego koszulę. Omal nie wyśmiał tego idiotycznego pomysłu, ale zdołał nad sobą zapanować i zaczął rozpinąć jej spódnice.

- Tak sądzisz?

- No cóż, jesteśmy dwojgiem wolnych ludzi, którzy czują do siebie pociąg. A żadne z nas nie przepada za przygodami. - Uniosła głowę i zmarszczyła brwi. - Prawda?

- Nie, nigdy tego nie lubiłem - zapewnił. - Ryzyko bywa niewspółmiernie duże w stosunku do potencjalnych zysków. Uważałem, że nie warto w nie inwestować. Usłyszał, że tłumi śmiech.

- Hatch, jesteś niemożliwy - powiedziała, przytulając się do niego mocniej.

- A ty po prostu cudowna - szepnął, gdy jej spódnica opadła już z szelestem na podłogę.

Przesuwał dłońmi po ciele Jessie, oszołomiony delikatną linią jej pleców i bioder. Wsunął rękę pod koronkowe majteczki i pociągnął je w dół. Gdy znalazły się już na podłodze, położył dłonie na pośladkach dziewczyny i ścisnął je delikatnie. Zadrzała. Ta nieomylna oznaka pożądania odebrała mu rozum. Nie mógł czekać dłużej. Pochylił się i ściągnął kapę z łóżka, a potem delikatnie unióś Jessie i

położył na kołdrze.

Rozbierał się niecierpliwie, nie odrywając od niej oczu. Zafascynował go ciemny zarys jej sutek, mały otworek pępka i trójkątny gąszcz włosów, skrywających najgłębsze kobiece sekrety. Gdy zrzucił z siebie resztę ubrania, był już podniecony. Czuł, że jest silny i gotowy. Pomyślał z przerażeniem, że to zasługa Jessie. Zaprzagnął zanurzyć się natychmiast w jej ciasnym, wilgotnym wnętrzu.

- Obiecałem sobie, że tym razem nie będziemy się spieszyć - powiedział, kładąc się na łóżku i przyciągając dziewczynę do siebie.

- Naprawdę? - Oczy lśniły jej z ciekawości i podniecenia. Poglądziła Hacha po ramieniu i dotknęła lekko, przelotnie jego uda.

- Ostatnim razem za bardzo mnie ponaglałaś. - Pochylił głowę, by ją pocałować.

Oczy rozszerzyły się jej z oburzenia.

- Zaraz, chwileczkę. Ja cię do niczego nie zmuszałam. To ty chciałeś się kochać zaraz, natychmiast, w dodatku na kanapie mojej szefowej. Wsunął palce w błyszczący trójkąt jej włosów.

- Musisz spojrzeć prawdzie w oczy, kochanie. Potrafisz doprowadzić mnie do szaleństwa.

- Nie wierzę.

- Ja również nie mogłem uwierzyć. Dopóki nie wziąłem cię na tej biurowej sofie. - Musnął wargami stwardniałą sutkę. - Masz niebezpieczną moc. Powinnaś jej używać z wielką rozwagą. Aż strach pomyśleć, gdzie moglibyśmy wylądować następnym razem. Rozsunął kolanem nogi dziewczyny i przesunął ręką po jej podbrzuszu, a potem sięgnął niżej. Natychmiast poczuł, że już jest mokra. Wciągnął głęboko powietrze i przyzwał na pomoc resztki silnej woli.

- Jessie, kochanie, dotknij mnie.

Ucałowała jego pierś i obiegła delikatnie palcami wzwiedziony członek. Hatch pomyślał, że natychmiast wybuchnie.

- Koniec z nadzieją na brak pośpiechu - mruknął. Przetoczył się na plecy i posadził Jessie na sobie. Klęczała nad jego biodrami; jej usta rozchyliły się w zmysłowym zaciekawieniu. Pieściła go obiema rękami, nie potrafiąc ukryć zachwytu.

- Co w tym zabawnego? - zapytała ochryłym głosem, gdy dojrzała wyraz jego twarzy. Hatch zdał sobie sprawę, że uśmiecha się szeroko. - Coś w twoim spojrzeniu... - Nigdy dotąd nie widział takiego zachwytu na twarzy kobiety. Jessie patrzyła na niego z miną odkrywcy. Żadna kobieta nie pragnęła go tak bardzo. Dodało mu to animuszu. Przyptyw szalonej radości i satysfakcji podziałał na niego jak zastrzyk adrenaliny.

- Hatch - szepnęła. - Nic z tego nie rozumiem.

- Nie martw się. Wszystko jest wspaniale. - Ułożył się tak, by wyczuła, jak bardzo jest podniecony.

- Nie o to mi chodzi. - Dotknęła go pieszczotliwie i uśmiechnęła się z zadowoleniem, gdy Hatch wstrzymał oddech z rozkoszy. - Może to zabrzmie trywialnie, ale nie jesteś w moim typie, więc nie wiem, dlaczego akurat ty tak na mnie działasz.

- Przestań się nad tym zastanawiać, tylko pomóż mi znaleźć się tam, gdzie oboje możemy to odczuć. - Wsunął dłoń między jej uda i przesunął palcem po mokrym, śliskim wnętrzu. A potem powoli w nią wszedł. Gdy przepychał się coraz dalej w wąskim przejściu, usłyszał, że Jessie zaczyna głęboko oddychać.

Kiedy był już w połowie drogi, chwycił ją mocno w talii i pociągnął silnie w dół.

- Hatch!

- Tak świetnie do mnie pasujesz. Tak cudownie. - Czuł, jak do niego przywiera, wciąga go głębiej, więzi. Znow musiał oprzeć się pokusie przedwczesnego spełnienia. Mógł tylko czekać bez ruchu i doprowadzić ją palcami do orgazmu. Zaczęła wolno wznosić się i opadać. Zmrużył oczy i obserwował w zachwycie jej reakcje.

Żadna kobieta nie oddała mu się tak całkowicie. Dzięki niej miał wrażenie, że jest najpotężniejszym mężczyzną na ziemi. Jej dotyk podniecał go do szaleństwa. Pozwolił Jessie nadawać tempo, ale gdy poczuł, jak zaciska się wokół niego coraz mocniej, stracił resztki silnej woli. Musiał albo zakończyć tę słodką torturę, albo oszaleć.

Próbował wsunąć w nią palec wzdłuż nabrzmiałego członka. Nie było miejsca. Dokładnie tak, jak się spodziewał. Wypełnił ją całkowicie. Ale gdy wzmościł nacisk przy wrażliwym wejściu, Jessie jęknęła głośno, otworzyła szeroko oczy, zadrżała i spadła prosto w przepaść.

- Hatch, mój Boże, Hatch!

Zamknął ją w swoich ramionach, wchłaniając jej ciche okrzyki rozkoszy, i wszedł w nią głęboko, do końca.

- Tak. Trzymaj mnie! Trzymaj!

W tamtej chwili nie wiedział dokładnie, czego właściwie od niej oczekuje, ale z pewnością było to coś, czego potrzebował najbardziej na świecie. A gdy poczuł na sobie jej miękkie ciało, zrozumiał, że ma wszystko, o co prosił. Przynajmniej na razie.

Hatch nie wiedział, jak długo spał. Ale obudził się, ponieważ siódmy zmysł podpowiedział mu, że Jessie wstała z łóżka. Odwrócił się więc na drugi bok i otworzył oczy.

- Jessie?

Wciąż naga, stała przyoknie. W bladym, wodnistym świetle księżycy ledwo było widać zarys jej piersi. Dziewczyna przysunęła twarz bliżej do szyby i zaczęła wypatrywać czegoś na parkingu przed gospodą.

- Hatch, tam ktoś jest. Ziewnął.

- Pewnie jakiś spóźniony gość hotelowy. Zasiedział się w knajpie, a teraz zdąża do pokoju. Wracaj do łóżka, kochanie.

- Nie, on chyba próbuje włamać się do twojego samochodu.

- Co? - Hatch odrzucił kołdrę i jednym szybkim ruchem wyskoczył z łóżka. W sekundę później stał już przy oknie. Jessie miała rację. jakaś postać majstrowała wyraźnie przy drzwiczkach Mercedesa. Słaba latarka rzucała wystarczająco dużo światła, by można było dostrzec jakiś przedmiot w ręku włamywacza. Mężczyzna podniósł rękę.

- On chce wybić szybę - szepnęła Jessie z przerażeniem.

- Sukinsyn. - Hatch otworzył okno i wyszedł na zewnętrzny parapet.

- Zaczekaj, co ty robisz? Wracaj! Jesteś w samych majtkach. Zadzwoń na policję.

Człowiek stojący przy samochodzie podniósł głowę, a Hatch zaklął cicho. Włamywacz miał na głowie maskę z pończochy.

- Cholera jasna, słyszał cię. Ucieknie.

Natychmiast wszedł na dach nad gankiem i dwoma susami znalazł się na krawędzi. Przykucnął, chwycił drewniany słup i zjechał po nim w dół. Dotykając bosymi stopami gładkiej powierzchni, błogosławił los za to, że kolumna nie miała drzazg.

Ale było za późno. Na parkingu rozległ się tupot lekkich, szybkich kroków. Zeskakując z balustrady na ziemię Hatch wiedział już, że jego przeciwnik uciekł. Skrzywił się, bo ostry kamyk ukłuł go w

stopę. Ubrana na czarno postać zniknęła za węglem.

- Jasny gwint!

Hatch rzucił się w pogoń, ale natychmiast poniechał tego zamiaru, gdy zdał sobie sprawę, że biegnie po żwirze. Pościg nie miał sensu - pokaleczyłby sobie stopy do krwi. Miał szanse zaskoczyć włamywacza, ale niestety Jessie skutecznie mu ją odebrała.

Zaklął i pokuśtykał obejrzyć samochód. Obejrzał dokładnie okna i przejechał ręką po srebrnoszarym zderzaku. Uspokoił się trochę dopiero wówczas, gdy stwierdził, że nic się nie stało.

Sprzedawca powiedział mu, że na system alarmowy nowej generacji trzeba poczekać do końca miesiąca. Hatch postanowił, że zatelefonuje do niego natychmiast po powrocie do Seattle i poprosi, żeby to przyspieszyć. W tych czasach nigdzie nie jest bezpiecznie. To hańba, że nie można zaparkować samochodu na cichej, małej wysepce.

- Hatch, Hatch! Na miłość boską, Hatch!

Zerknął w górę i zobaczył, że Jessie wychyla się z okna, ściskając w garści jego spodnie. Chciał powiedzieć jej coś do słuchu, ale przypomniał sobie, że stoi w samych gatkach na parkingu.

- Niech to szlag. - Niechętnie wyciągnął rękę. Jessie zwinęła spodnie i zrzuciła je na dół.

Kiedy Hatch zapinał rozporek, w pokoju sąsiadującym z ich sypialnią zapaliło się światło. Pulchny, łysy facet wychylił się przez okno i spojrzał na Hacha.

- Co tam się, u diabła, dzieje? Chcemy spać. Jak chcesz się upijać i robić awantury, to idź sobie gdzie indziej, menelu.

- Zaraz to zrobię - odparł Hatch.

Stanął na ganku, w kieszeni spodni odnalazł klucze i wszedł do ciemnego korytarza.

Jessie czekała na niego niecierpliwie w pokoju. Włożyła szlafrok, ale nie zdążyła się uczesać. Jej troska wynagrodziła mu wszystkie krzywdy i prawie zapomniał, że to przez nią nie udało mu się złapać włamywacza.

- Nic się nie stało? - spytała czule, gdy Hatch już opadł na krzesło.

- Owszem, stało się.

Zmarszczyła brwi i usiadła na łóżku. - Coś nie w porządku?

- Do jasnej cholery! Prawie go miałem. Gdybyś nie zaczęła wrzeszczeć, na pewno bym go złapał. -

Hatch, przecież to tylko samochód.

- Tylko samochód? Tylko samochód? Wiesz, ile kosztuje ten model? Wiesz, jak długo na niego czekałem? Ty pewnie pochodzisz z rodziny, w której tak piękne rzeczy nie są niczym nie zwykłym, ale ja nie.

- Uspokój się. Zdaję sobie sprawę z wartości tego auta.

Ale ty jesteś dla mnie ważniejszy niż Mercedes. Bądź rozsądny. W dzisiejszych czasach nie można tak po prostu uganiać się za przestępcami. To bardzo niebezpieczne. On na pewno miał rewolwer.

- Urwała. - Albo nóż. Tak jak wtedy.

Hatch zamarł. O czym ty, do diabła, mówisz?

Zawahała się.

- Nie wiem, czy powinnam o tym wspominać, bo cię tylko zirytuję, a jak się wkurzysz, znowu zaczniesz mnie pouczać. Nie chcę wszystkiego popsuć, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Hatch wstał z krzesła, zrobił krok w stronę łóżka i postawił Jessie na równe nogi.

- O co ci chodzi, do jasnej cholery?! Końcem języka dotknęła kącika ust. - No ...

- Jessie!

- Dobrze, już dobrze. Powiem ci, ale obiecaj mi, że się nie zmartwisz, bo przecież mogą się mylić.

- Co do czego? - Złapał ją mocniej za ramię.

- Wydawało mi się, że ten facet z parkingu to ten sam łajdak, który się włamał do biura pani Valentine i próbował ukraść sprzęt Alexa.

Hatch poczuł, że przechodzi go dreszcz. - Chryste Panie! jesteś pewna?

Szybko potrząsnęła głową.

- Nie, skąd? Przecież za każdym razem nosił maskę.

Ale dostrzegłam coś charakterystycznego w jego sylwetce. Sama nie wiem. Coś dziwnego. A dziś miałam przecucie. Usłyszałam taki dzwonek alarmowy, który kazał mi wyjść z łóżka i wyrzucić przez okno.

- To załatwia sprawę. - Hatch wypuścił ją i podszedł do drzwi, żeby sprawdzić, czy są zamknięte.

- O co ci chodzi?

- Koniec z tym dochodzeniem. Ta cała historia jest bardziej skomplikowana, niż sądziłem, i wcale mi się nie podoba. Dostyc.

Jessie otworzyła szeroko usta ze zdziwienia i spojrzała na Hacha z urazą.

- Nie możesz. To moja sprawa. Mam klientkę. I tyle nowych tropów. Nie przerwę dochodzenia tylko dlatego, że ty zmieniłeś zdanie.

- Zabawa się skończyła. Nie rozumiesz? Chciałem spełnić twój kaprys, bo wydawało mi się, że tak będzie bezpieczniej.

- Spełnić mój kaprys? - Patrzyła na niego z rosnącą furią. - Tego się właśnie obawiałam, ale postanowiłam rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości na twoją korzyść, bo znalazłeś dla mnie ten wydruk.

Prawie mnie przekonałeś, że traktujesz moją pracę poważnie.

- Oczywiście, że traktuję ją poważnie. Właśnie dlatego uważam, że trzeba się wycofać.

- Nie zmusisz mnie do przerwania dochodzenia. Westchnął ciężko i potarł dłonią kark, zastanawiając się gorączkowo, jak ją udobruchać.

- Bądź rozsądna. Zyskałaś już pewność, że nie masz tu do czynienia z szalbierzem. Edwin Bright robi jakiś grubszy numer, ale nie wmawia swoim wyznawcom, że jest jasnowidzem. Musisz powiedzieć o tym pani Attwood i po sprawie. jeśli będzie chciała kontynuować dochodzenie, zatrudni prywatnego detektywa.

- Przy kolacji mówiłeś, że mi pomożesz - przypomniała przez zaciśnięte zęby.

- Tak, bo jeszcze wtedy myślałem, że ta zabawa sprawi ci przyjemność. Ale teraz widzę, że jakiś facet cię śledzi, więc żarty na bok.

- Nie wiemy, czy to ten facet. Najprawdopodobniej nie. Wiedziałałam, że nie powinnam była nic mówić. - Ale powiedziałaś i kropka.

- Nie pozwolę ci na takie protekcjonalne traktowanie. Doprowadziła go do szału tą uwagą.

- Nie traktuję cię protekcjonalnie. Chcę tylko zachować ostrożność. Ktoś z nas dwojga musi wykazać odrobinę zdrowego rozsądku, a ty na pewno nie będziesz tą osobą, prawda?

- Wobec powyższego wyłączam cię ze sprawy. Wzniósł błagalnie oczy do sufitu.

- Jakiej sprawy? To nie jest sprawa. Ty po prostu znowu chcesz doprowadzić do obłędu swego pracodawcę. Serdecznie współczuję pani Valentine. już sobie wyobrażam, co sobie pomyśli, kiedy się dowie, co ty wyprawiasz.

Zrozumie, że działasz jak bomba z opóźnionym zapłonem. Twoi poprzedni szefowie już się o tym

przekonali. Zresztą ona sama chyba też jest oszustką. Przecież gdyby rzeczywiście miała siódmy zmysł, nigdy w życiu by cię nie zatrudniła.

- Bomba z opóźnionym zapłonem.

Hatch zrozumiał, że posunął się za daleko. Jessie była naprawdę wściekła.

- Nie chciałem tego powiedzieć. Bardzo mi przykro. Słuchaj, po prostu chcę postawić na swoim.

Uciszyło go głośnie walenie w ścianę. Poczul, że krew uderza mu do głowy, gdy usłyszał głos łysego tłuściocha.

- Jak się natychmiast, kurwa, nie zamkniecie, zawołam właściciela. jasne? Jessie spojrzała na Hatcha z satysfakcją.

- Właśnie. Uspokój się. Zakłócasz ludziom spokój. Przez ciebie mogą nas stąd wyrzucić.

- Nie do wiary! - Zburzył palcami włosy, nie wierząc, że pozwolił się do tego stopnia wyprowadzić z równowagi, a potem wstał i zaczął spacerować po pokoju. - jestem w hotelu i o pierwszej w nocy wdaję się w awanturę z kobietą, która sądzi, że jest detektywem-jasnowidzem. Powinienem chyba pójść do psychiatry.

- Ciocia Glenna z pewnością udzieli ci rabatu.

Obrócił się na pięcie i wycelował w nią oskarżycielski palec.

- Do rana nie chcę słyszeć ani słowa na ten temat.

Rozumiesz?

Wysunęła wojowniczo podbródek, a jej oczy rozbłysły w oczekiwaniu kolejnego starcia.

- Przysięgam ci, że jeżeli znowu mnie rozwścieczysz, nie będę się przejmował sąsiadami - powiedział bardzo cicho Hatch.

- To groźba?

- Nie, tylko obietnica. Zamknij buzię i wracaj do łóżka.

- A jak nie? - Spojrzała na niego wyczekująco.

- Chryste! Ty naprawdę nie wiesz, kiedy przestać. A jak nie, sam cię zapakuję pod kołdrę. I nie będę zwracał uwagi na twoje wrzaski. Ten idiota na pewno od razu zawoła dyrektora. Będziesz musiała gęsto się tłumaczyć.

- No, wiesz!

- Tak, wiem. Wracaj do łóżka.

Posłuchała go bez słowa.

Hatch zdjął spodnie i zajął miejsce obok, nawet jej nie dotykając. Wiedział jednak, że Jessie leży sztywno jak kłoda i gapi się w sufit. Mijały minuty.

Hatch? - Tak?

- Nie mieliśmy szans - powiedziała raczej smutno niż gniewnie.

- Doprowadzić do końca tego śledztwa? Od początku tak uważałem.

- Nie, chodzi mi o nas. O ciebie i o mnie. Nie moglibyśmy ze sobą żyć w udanym, trwałym związku. Porozrywalibyśmy się na strzępy - Będzie dobrze - mruknął, zbyt rozgniewany, by rozwijać temat. Mógł tylko dolać oliwy do ognia.

Na razie udało mu się odzyskać panowanie nad sobą i chciał pozostać w tym stanie.

- Ale, Hatch ...

- Śpij.

Westchnęła, odwróciła się do niego plecami i zwinęła we wzruszającą małą kulkę. Kilka chwil później Hatchowi zaczęło się wydawać, że słyszy podejrzanę pociąganie nosem. Przewrócił się na

bok i przyciągnął Jessie do siebie. Najpierw lekko się opierała, ale potem bez słowa protestu poddała się uściskowi. Kilka minut później zasnęła.

Hatch leżał jeszcze z otwartymi oczami i zastanawiał się nad tym, że Jessie jest pierwszą kobietą, której udało się wyprowadzić go z równowagi. Najpierw się kochali, a w chwilę później wrzeszczeli na siebie tak, że obudzili sąsiadów. Nie mógł wyobrazić sobie podobnej sceny z udziałem Olivii. Uśmiechnął się i przytulił Jessie mocniej.

Osad po nocnej awanturze nie zniknął, dopóki Jessie nie wyszła z łazienki następnego poranka. Zatrzymała się na środku pokoju i spojrzała na Hacha, który właśnie zapinał pasek od spodni.

- Mój Boże. Tutaj przecież podają śniadania. - Odezwała się do niego po raz pierwszy po przebudzeniu.

Sprawdzając zawartość portfela, Hatch uniósł pytająco brwi.

- No to co?

- Przecież nie możemy zejść na śniadanie.

- Zapłaciliśmy za nie.

- Nie. Nie możemy. Będzie tam na pewno nasz sąsiad z żoną. A ci ludzie z przeciwka? Nie potrafiłabym im spojrzeć prosto w oczy. Nie po tym, jak się zachowaliśmy.

- My?

- Ty też brałeś udział w tej awanturze. Nie próbuj się wykręcać. Nie byłabym w stanie przełknąć ani kęsa, wiedząc, że oni nas słyszeli.

Patrzył na nią w milczeniu, nie dając po sobie poznać, o czym myśli.

- Narozrabialiśmy oboje. - Hatch uśmiechnął się ponuro. - Dajmy nogę, zanim się na nich napatoczymy.

Ucieczka leżała w ich wspólnym interesie, więc ponownie nawiązała się między nimi nic porozumienia. Nie mieli ochoty się kłócić. W drodze do Seattle nie mówili wiele, ale panujące w aucie milczenie nie było wrogie, tylko ostrożne.

Jessie próbowała dwukrotnie wrócić do kwestii dalszego śledztwa, lecz za każdym razem napotykała na taki opór ze strony Hacha, że zrezygnowała z dalszych perswazji.

Dopiero gdy znaleźli się u niej w domu, on sam zaczął rozmowę na ten temat.

- Wczoraj wieczorem mówiłem śmiertelnie poważnie.

Musisz zapomnieć o tej idiotycznej historii. Powiedz pani Attwood, że zrobiłaś, co w twojej mocy. Niech zatrudni kogo innego.

Nawet nie pozwolił jej podjąć dyskusji. Odwrócił się na pięcie i podszedł do drzwi.

- Hatch, mówiłam ci ... - Urwała i pobiegła za nim, bo zdążył już wyjść na klatkę schodową. - Dokąd się wybierasz?

- Do biura. Jest jeszcze wcześnie. Muszę popracować.

- Tak myślałam - mruknęła. Skrzyżowała dłonie na piersiach i oparła się o framugę.

Hatch zerknął na nią przez ramię.

- Do zobaczenia na kolacji. Pewnie się trochę spóźnię.

- Zaraz, nie mam najmniejszego zamiaru zmieniać dla ciebie swego trybu życia.

- Przecież to ja stosuję się do ciebie.

Zniknął jej z oczu, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Jessie jęknęła z oburzeniem, opuściła ręce, zamknęła drzwi i poszła do telefonu. Musiała porozumieć się z matką Susan Attwood.

Nie przebrzmiał jeszcze do końca pierwszy dzwonek, a już ktoś podniósł słuchawkę.

- Tak? - powiedziała niespokojnie pani Attwood.
- Pani Attwood?
- Tak. Czy to pani pracuje dla tej firmy psychotronicznej?
- Zgadza się. Tu Jessie Benedict. Chcę pani zdać sprawozdanie ze swojej wyprawy do siedziby Jutrzenki Nadziei.
- Dzięki Bogu, że pani zadzwoniła. Usiłowałam się z panią porozumieć. Histeryczna nuta w jej głosie mocno zaniepokoiła Jessie.
- Czy coś się stało?
- Nie, to znaczy tak. Zmieniłam zdanie. Nie będę mieszać do tej sprawy żadnych głupawych wróżek. Proszę już nic nie robić. Nie wiem, po co w ogóle z panią rozmawiałam. Słyszysz pani?
- Tak, ale nie bardzo rozumiem. Nie chce pani znaleźć córki?
- Wszystko jest w porządku. Po prostu zaszła pomyłka. Wpadłam w panikę i tyle. A teraz proszę, żeby pani zakończyła to całe dochodzenie. Nie będę pani za nic płacić. jasne?
- Oczywiście - powiedziała Jessie bardzo spokojnie. - Tylko że jeszcze musimy rozliczyć te czterysta dolarów i koszty podróży. Wyraziła pani zgodę na refundację wydatków, pamięta pani?
- Nie, nie dam ani centa. Nie powinna była pani tam jechać. Nie jest pani prawdziwym detektywem. - Ale, pani Attwood ...
- Proszę się trzymać od tego z daleka.
- Pani Attwood tak mocno trzasnęła słuchawką, że Jessie musiała odsunąć mikrofon od ucha.

Rozdział 11

- Jak sądzisz? Czy te informacje wystarczą, żeby się włamać do ich komputerów? - Jessie wręczyła Alexowi wydruk znaleziony przez Hacha w męskiej toalecie.
- Niewykluczone. - Alex oglądał papiery w przyćmionym świetle. Była wprawdzie dopiero czwarta, ale chłopak zaciągnął jak zwykle kotary i siedział prawie po ciemku, tak jak lubił.
- W jego pracowni panował nieopisany bałagan. Wszędzie tam, gdzie nie leżały dyskietki i wydruki, walały się papierki od cukierków, puszki po wodzie mineralnej i otwarte torebki po chipsach.
- Wydaje mi się, że mógłbym spróbować - powiedział. - Mówiłaś, że mają w tych komputerach dane na temat klimatu. Prawdopodobnie uzyskali otwarty dostęp do kilku standardowych baz danych. jeśli tak, łatwo ich rozgryźć. Czego chcesz się dowiedzieć?
- Nie jestem pewna. Interesują mnie finanse.
- Miałam nadzieję, że Hatch mi pomoże. Zna się na takich sprawach i na pewno by nam coś doradził, ale wściekł się po naszej małej przygodzie na San Juan.
- Jak małej?
- Ktoś próbował się włamać do jego Mercedesa. Strasznie go to rąbnęło.
- Poważnie? Do tego Mercedesa? Wcale mu się nie dziwię - powiedział Alex z uczuciem.
- Wiesz, ile jest wart taki model?
- To tylko samochód.
- Nie. Nie tylko. To przepiękna maszyna.
- Tak czy inaczej, nic się nie stało, ale my musimy obyć się bez Hacha. Ja chcę tylko sprawdzić, czy JUN nie jest przypadkiem bandą oszustów.
- Co za różnica? - Alex znów zerknął na wydruk. - jeśli twoja klientka cofnęła zlecenie, dlaczego

miałabyś się tym zajmować?

Jessie postukała delikatnie paznokciem o blat zagraconego biurka.

- Właściwie nie wiem. Mam jakieś przeczucie.

- Jakie przeczucie?

- Sądzę, że matka Susan nie myliła się. Ta dziewczyna rzeczywiście wpadła w tarapaty. - Intuicja?

- Można to i tak określić.

Alex ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Dobra, zobaczę, co mi się uda zrobić.

- Nie sprawiam ci kłopotu?

Uśmiechnął się, a oczy rozblęły mu z radości.

- No jasne, że nie. Przecież zanosisz się na wspaniałą zabawę.

- Zapłacę ci.

- Niby w jaki sposób? Pani Attwood zrezygnowała z twoich usług.

- Coś wymyślimy. Na pewno nie powinieneś pracować za darmo. Mogę popatrzeć?

- Tak, ale to zajmie trochę czasu.

Jessie westchnęła na myśl, że Hatch jest na nią zły i najprawdopodobniej spędzi cały wieczór w biurze. Nawet nie była pewna, czy w ogóle się u niej pojawi.

- Nie mam na dziś żadnych planów.

- No to ruszamy. - Alex zasiadł przy komputerze i zabrał się do pracy.

Hatch kartkował bezmyślnie stare pismo, które znalazł w poczekalni Glenny Ringstead, i zaczynał właśnie żałować, że zgodził się na spotkanie z ciotką Jessie. Kiedy jednak zadzwoniła do niego sekretarka Glenny, uznał, że nie powinien robić trudności.

Spojrzał na zegarek po raz trzeci w ciągu ostatniego kwadransa, a sekretarka zrobiła niezadowoloną minę.

- Doktor Ringstead już kończy. Zaraz pana przyjmie. Hatch przytaknął, postanawiając sobie w duchu, że zaczeka jeszcze pięć minut i ani chwili dłużej. Miał lepsze rzeczy do roboty niż wysiadanie przed gabinetem świrołapa. Dziwnie się tutaj czuł. Odłożył pismo i wstał.

- Czy mogę skorzystać z telefonu? Sekretarka szybko skinęła głową.

- Oczywiście, proszę bardzo.

Hatch przysunął sobie aparat i wystukał numer Jessie. W dalszym ciągu nie odpowiadała.

Wcześniej dzwonił do biura i również nikogo tam nie zastał. Właśnie zaczął się zastanawiać, czy nie skontaktować się z Elisabeth, kiedy otworzyły się drzwi gabinetu.

- Cześć, Hatch. Przykro mi, że kazałam ci czekać.

Cieszę się, że znalazłeś czas, żeby się ze mną spotkać. Glenna cofnęła się o krok i obdarzyła Hacha swym chłodnym, nieobecnym uśmiechem.

- Co się stało? - Hatch wszedł za nią do środka i rozejrzał się po słabo oświetlonym pokoju, gdzie przyjmowała pacjentów. Gabinet nie podobał mu się jeszcze bardziej niż poczekalnia.

- Chciałam przyjść do ciebie do biura, ale bałam się, że nie uda mi się uniknąć spotkania z Vincentem. Natychmiast zacząłby mnie wypytywać, a ja wolałabym nie udzielać mu żadnych wyjaśnień, ponieważ sprawa dotyczy Jessie.

- Jessie? - Hatch zaniepokoił się jeszcze bardziej.

- Niestety tak. Usiądź, proszę.

Zerknął na krzesło stojące przy stole, gdzie piętrzyły się pudełka z chusteczkami.

Nie zrobiło to na nim dobrego wrażenia.

- Nie, dziękuję. Nie mam zbyt dużo czasu.

- Oczywiście. Jesteś bardzo zajęty. Tak samo jak Vincent. - Uśmiechnęła się do niego z wyższością i usadowiła się wygodnie za biurkiem. Skrzyżowała ręce przed sobą na wypolerowanym blacie. - Nie będzie mi łatwo z tobą rozmawiać. Z góry proszę o usprawiedliwienie.

Hatch postanowił uzbroić się w cierpliwość. Glenna wyraźnie nie wiedziała, jak zacząć.

- Mówiłaś, że sprawa dotyczy Jessie.

- Tak. - Glenna urwała i zapatrzyła się w subtelną akwarelkę na ścianie. - Przepadam za tą dziewczyną. Znam ją przecież od urodzenia.

- Wiem.

- Ona zajmuje w naszej rodzinie szczególne miejsce.

Bardzo często kłóci się z ojcem, a z drugiej strony jest jedyną osobą, jaka potrafi się z nim porozumieć. Ten człowiek ma bardzo trudny charakter. Rozumiesz?

- Oczywiście. Ona nigdy się nie waha stawić mu czoła, a innym bardzo często brakuje do tego odwagi. Wszyscy proszą ją o wstawiennictwo. Jessie zawsze się zgadza, bo jest lojalna zarówno w stosunku do was, jak i w stosunku do Vincenta.

- Mocno powiedziane - przyznała Glenna z westchnieniem - ale w zasadzie tak jest. Vincent lubi mieć poczucie władzy. Osiąga je, ponieważ skupia w swoim ręku sznurki do naszych portfeli.

- Najciekawsze jest jednak to - powiedział Hatch znacząco - że Jessie nigdy nie prosi o nic dla siebie, prawda?

- Mylisz się. Odgrywa tę rolę właśnie dlatego, że oczekiwała czegoś od ojca. Jako młoda dziewczyna pragnęła uczucia i miłości. Sam Pan Bóg wie, że Vincent nie potrafił zbyt wiele z siebie dać. Był dla niej kimś dalekim, nawet obcym. Tak więc przyjmując na siebie taką a nie inną rolę, zmusiła go, żeby poświęcił jej więcej uwagi. Zresztą nie miała innego wyboru.

- A więc ona patronuje wam wszystkim, żeby ojciec ją zauważył? - Hatch popatrzył na Glennę z zainteresowaniem.

- Tak. Postępuje w ten sposób od niepamiętnych czasów. To jej po prostu weszło w krew. Nawet nie umiałyby zachowywać się inaczej.

- Ale rezultat jest taki, że udało się jej jakoś scalić waszą rodzinę. Dlaczego właściwie poruszyłaś ten temat?

- Usiłuję ci wyjaśnić, w jaki sposób ona wpadła w tę pułapkę. - Glenna zawahała się. - Stosunki z ojcem przysparzają jej wiele stresów. A rozmawiam z tobą, bo chcę ci uświadomić, że ona nie powinna funkcjonować na takich samych zasadach w związku małżeńskim.

Hatch wreszcie zrozumiał. Z trudnością opanował przyпіływ wściekłości.

- Czyli po ślubie ze mną?

- Tak. Nie powinno się jej nakłaniać, żeby za ciebie wyszła. Ale ona jest tak skłonna do poświęceń, że pewnie zdecyduje się to zrobić. W rezultacie dla dobra rodziny kompletnie zniszczy sobie życie.

- Powiedz mi, jaki mężczyzna byłby dla niej odpowiedni.

- Taki, który byłby całkowitym przeciwieństwem jej ojca.

Delikatny, przyjacielski, pomocny, zdolny do miłości. Mężczyzna, dla którego najważniejsza byłaby rodzina, a nie praca. Przykro mi bardzo, ale ty się zupełnie dla niej nie nadajesz. Przy tobie powielalaby tylko ten sam destruktywny model, jaki stworzyła sobie na użytek Vincenta. Proszę cię, żebyś o tym pomyślał, zanim będzie za późno. Jeśli naprawdę zależy ci na tej dziewczynie, daj jej

spokój.

- Mam zrezygnować z Jessie? Daruj sobie. - Hatch aż zatrzęsł się ze złości. Opanował się jedynie na tyle, że nie rzucił pierwszym lepszym przedmiotem o ścianę. Wstał z kamienną twarzą i ruszył do drzwi. - Coś pani powiem, pani doktor. Może i jest pani psychiatrą, ale nie ma pani pojęcia, o czym pani właściwie mówi. Będę dla niej wspaniałym mężem.

Wyszedł nie trzasnąwszy drzwiami, choć kosztowało go to wiele wysiłku. Dać spokój Jessie? Ta kobieta była szalona. Hatch wiedział, że niczego w życiu tak nie pragnął jak właśnie Jessie Benedict. W kilka chwil później był już na dole. Dochodziło wpół do szóstej, a na ulice wyległy tłumy ludzi spieszących do domu lub do najbliższego baru. Hatch znalazł automat telefoniczny w supermarkecie i jeszcze raz zatelefonował do Jessie.

Ale znów nikt nie odebrał, a Hatch zaklął cicho, odkładając słuchawkę. Doktor Ringstead myliła się. Hatch był stworzony dla Jessie. Do licha, przecież ta dziewczyna weszłaby na głowę takiemu łagodnemu, słodkiemu barankowi. Być może jej ciotce wydawało się, że ktoś taki byłby ideałem, ale przecież Jessie doznałaby srogiego zawodu, gdyby w ciągu paru tygodni okręciła sobie swego mężulka dookoła palca. Potrzebowała kogoś silnego, podobnego do niej, kogoś, kogo mogłaby szanować. Kogoś, kto potrafiłby ją ustrzec przed szalonymi pomysłami i jej własną rodziną. I nie potrzeba mieć doktoratu z psychologii, żeby to wiedzieć, pomyślał ponuro Hatch. Wystarczyło elementarne pojęcie o sprawach męsko-damskich.

Gdy wrócił do biura, Vincent już na niego czekał. Stał pod drzwiami gabinetu Hacha, łypał na niego groźnie i wymachiwał aktami.

- Gdzie byłeś, do cholery? Co się tu dzieje? Ostatnio dosyć rzadko można cię zastać przy biurku.

Jak ty będziesz zarządzał spółką, skoro uganiaasz się za kobietami, zamiast pracować?

- Daj mi spokój, dobra? Nie jestem w nastroju do żartów. - Hatch stanowczo odsunął starszego pana i wszedł do gabinetu.

Vincent ruszył w ślad za nim, nadal wymachując dokumentami.

Wiesz, co to jest? To sprawozdanie firmy, która buduje nam magazyn. Dziś dostali drzwi, ale one oczywiście nie pasują. Nie do wiary. Trzeba wszystko odesłać.

- Nie powinieneś się zajmować takimi drobiazgami. już ci mówiłem, żebyś nie wchodził w szczegóły. Skup się na całości.

- Partia drzwi, które się do niczego nie nadają, to niezbyt interesująca całość. I jest jeszcze coś.

Kontrakt ze Spokane'em. jeśli nie będziemy uważać, Yorland i Young na pewno nas wyrolują.

- Niewielka strata.

- Niewielka strata? Ale mnie zależy na tym kontrakcie! Mówiłeś, że wszystko będzie w porządku.

- Bo będzie, jeśli się uprzesz. Ja jednak uważam, że to gra niewarta świeczki. Przecież zajmujemy się o wiele poważniejszymi sprawami. Zostaw taką drobnicę innym. Na przykład Yorlandowi i Youngowi.

Benedict protestował jeszcze przez chwilę, ale nagle się opamiętał.

- Jezu, ty naprawdę jesteś wkurzony.

- Nie da się ukryć. Benedict przymrużył oczy.

- W dalszym ciągu masz problemy z moją córką?

- Poradzę sobie.

- Więc o co tu chodzi? Gdzie ty właściwie byłeś?

- Rozmawiałem z Glenną Ringstead.

- O rany! - Vincent opadł na krzesło i westchnął. - Nic dziwnego, że się wściekasz. Ona potrafi dopiec. - W jego głosie pobrzmiewała wyraźnie nuta zrozumienia. Hatch zerknął na niego spod oka.

- Miałeś okazję przekonać się o tym na własnej skórze?

- Raz czy dwa.

- Robiła ci wykłady na temat Jessie.

- Owszem. Też.

Hatch stracił resztki cierpliwości.

- Mam dość tych półsłówki. Mów jak człowiek. Vincent rozmasował sobie skronie i westchnął.

Kiedyś coś nas łączyło.

- Łączyło? - Hatchowi nie udało się ukryć zdziwienia. - Co? Romans? Trudno uwierzyć.

- Pewnie. Ale to było dawno temu. Zaraz po moim rozwodzie z Lillian. Lloyd Ringstead zmył się jakiś czas przedtem. Taka typowa sytuacja. Oboje nie czuliśmy się najlepiej. Pewnego wieczoru poszliśmy do knajpy i zaczęliśmy się nad sobą litować.

Wypiliśmy o wiele za dużo. Potem wylądowaliśmy w łóżku. Spotkaliśmy się jeszcze kilka razy, aż w końcu doszliśmy do wniosku, że zachowujemy się jak idioci.

- Niesamowite.

Zupełnie was sobie razem nie wyobrażam.

- Nas również ogarnęły wątpliwości, gdy odzyskaliśmy rozum. - Benedict poruszył się niespokojnie na krześle. Nigdy nie wspominałem o tym Lillian ani nikomu innemu. O ile wiem, Glenna również nie. Wstydziliśmy się.

- Ona wtedy robiła doktorat?

- Nie, ale rozmawialiśmy na ten temat. Radziłem jej, żeby zajęła się pracą naukową, i zaoferowałem pomoc. David był jeszcze mały, a jego ojciec odszedł. Lloyd pracował w mojej firmie. Znał się świetnie na swojej robocie. Wiedziałem, że Glenna nie ma forsy. I w dodatku z nią spałem. Kurczę, wydawało mi się, że jestem jej coś winien.

- Niesamowite - powtórzył Hatch.

- Coś ci jeszcze powiem. Podobała mi się o wiele bardziej przed tym doktoratem - wyznał Vincent. - Pomagałem trochę Davidowi. Ale teraz wydaje mi się, że kiepsko to wszystko wyszło.

- Przecież on kończy szkołę i jeszcze nie trafił do więzienia. Mało? Znałem gorszych ojców.

Vincent uniósł brwi. - Tak? Na przykład?

- Na przykład mojego starego. Prawdziwy sukinkot.

Vincent popatrzył na niego z zadumą.

- Ale mój mógłby go z pewnością wiele nauczyć. Odszedł, gdy miałem osiem lat.

Nigdy go już więcej nie widziałem.

Hatch przytaknął.

- Czasem tak jest nawet lepiej.

Fakt, ale chciałbym, żeby ten skurwiel zobaczył, że doszedłem do czegoś w życiu.

Wiesz, o co mi chodzi?

- Chyba tak - odparł Hatch.

Kiedy o ósmej wieczorem wcisnął guzik domofonu Jessie i nikt mu nie otworzył, nie wiedział, czy ma się martwić, czy wściekać. Nie odrywał palca od guzika przez dłuższą chwilę, ale na nic się to nie zdało. Nawet jeśli była w domu, nie chciała go wpuścić.

Podszedł do samochodu i długo patrzył w zaciemnione okno sypialni. Wiedziony przecuciem

postanowił pojechać do biura pani Valentine. Dziesięć minut później był już na miejscu. W pokojach na górze nie paliły się światła. Przyszło mu do głowy, że Jessie go unika. Usiłował przebiec w myślach listę miejsc, gdzie mógłby jej szukać, ale w tej samej chwili przypomniał sobie o Alexie Robinie i doszedł do wniosku, że musi go zapytać, czy się z nią widział. Wysiadł więc z Mercedesa i podszedł do drzwi wejściowych.

Drzwi były zamknięte, ale Hatch stał wystarczająco blisko, by dostrzec słabą zieloną poświatę przebijającą się przez okiennice. Uniósł dłoń i zabębnił do drzwi.

W chwilę później w progu stanęła Jessie. - Co za cholera ... a, to ty, Hatch.

Mierząc ją spojrzeniem od stóp do głów, zauważył, że ma na sobie džinsy i bawełnianą bluzę wyszywaną w srebrne gwiazdki. Na jego widok nerwowo odsunęła włosy za uszy. - Nie zastałem cię w domu - powiedział w końcu. Cofnęła się o krok.

- Jesteśmy zajęci. Jeśli chcesz, żeby ktoś cię zabawiał, musisz pójść gdzie indziej.

- Cholera jasna! Ale ze mnie ciemniak! Dałaś wydruk Robinowi, prawda? - Hatch wszedł zdecydowanie do holu i ruszył w kierunku pracowni komputerowej. Jessie pospieszyła za nim.

Alex nawet się nie pofatygował, żeby podnieść wzrok znad ekranu.

- Witam pana. Przykro mi, że o mało nie rozbili panu samochodu.

- Rzeczywiście niewiele brakowało.

- Rozumiem pańskie uczucia. Należałoby chyba założyć alarm.

- Już zamówiłem. Alex skinął głową.

- Cieszę się, że pana widzę. Chciałbym panu coś pokazać.

- Ale jego to z pewnością nie zainteresuje - powiedziała sztywno Jessie.

- Może się założymy? - spytał Hatch, łypiąc na nią ponuro. - No, co tam macie?

- Jutrzemka Nadziei dysponuje dwiema bazami danych. jedna to program finansowy, druga dotyczy badań nad Idimatem. - Alex wcisnął przycisk na klawiaturze. - Proszę spojrzeć.

Hatch popatrzył na rzędy liczb na ekranie.

- Arkusz kalkulacyjny. Wszedł pan do bazy finansowej.

- Do jednego z programów. Znalazłem bardzo wiele ciekawych informacji - powiedział wolno Alex.

- Może moglibyśmy się nawet dowiedzieć, co się właściwie dzieje z tymi pieniędzmi. Chciałbym prosić pana o pomoc.

- Nie zamierzam nawet kiwnąć palcem w tej sprawie. Do diabła! Przecież prosiłem Jessie, żeby się trzymała od tego z daleka. Alex skrzywił usta w ponurym uśmiechu.

- Jej klientka również wyraziła takie życzenie.

- Co? - Hatch odwrócił się gwałtownie do Jessie. - Rozmawiałaś z panią Attwood?

- Tak. - Jessie przełknęła trochę sałatki ziemniaczanej. - Powiedziała, żeby przerwać dochodzenie.

Hatch uniósł brwi.

- Ciekawe. Ale ty oczywiście pracujesz dalej pełną parą? Jessie zerknęła na niego spod oka i ponownie skupiła całą uwagę na jedzeniu.

- Wydaje mi się, że coś ją przestraszyło.

- Więc powinna udać się na policję - powiedział cicho Hatch.

- Może. Ale sądzę, że nie ma takiego zamiaru. Ona się boi. Czulał to. Najprawdopodobniej postawili jej jakieś ultimatum. Twierdziła, że zaszło nieporozumienie. Oczywiście nie wierzę w ani jedno słowo.

- Chryste! - Hatch potrząsnął głową. Wiedział, że niczego tu nie wskóra. -Więc co wy właściwie

robicie?

- Usiłujemy coś wywęszyć. Przekonać się, czym oni się tak naprawdę zajmują. Teraz skupiliśmy się głównie na sprawie pieniędzy. Interesują mnie jednak również programy dotyczące zmian klimatu. - Wcisnął kilka guzików.

- Dlaczego?

- Mam kumpla na uniwerku, który też się tym interesuje. Jego badania nie potwierdzają tezy o katastrofie. Ciekaw jestem, co powie na temat koncepcji Brighta. Chcę przepisać te programy na dyskietki i poprosić go o opinię.

- Dowiemy się, czy Bright prowadzi rzetelne badania naukowe - wtrąciła Jessie - czy tylko nabiera naiwnych inwestorów.

- A jeśli uda się wam udowodnić, że to lipa? - spytał Hatch.

- Sądzę, że powinniśmy powiadomić władze - powiedziała wolno Jessie. - W końcu oszustwo jest oszustwem. Przynajmniej będą musieli zamknąć budę.

- Nie wiem tylko, czy pomożecie w ten sposób Susan Attwood. jeśli ona dla nich pracuje, również popełniła przestępstwo. Naprawdę chcecie się posunąć aż tak daleko? Jessie spojrzała na niego twardo.

- Muszę wiedzieć, czy pracuje dla nich z własnej woli, czy też padła ofiarą oszustwa. Spróbuj mnie zrozumieć. Zaszłam już tak daleko. Mam przeczucie, że coś tu śmierdzi, a córka mojej klientki narobiła sobie kłopotów.

- Za długo bawisz się w detektywa.- Hatch obrócił się do Alexa. - Potrafi pan działać dyskretnie?

- Tak mi się wydaje - odparł Alex z przekonaniem.

- I nie zostawi pan śladów, które mogłyby ich zaprowadzić do pana lub Jessie? - uściślił IlaJch, chcąc zyskać absolutną pewność w tym względzie.

- Oczywiście że nie. Słowo. - Alex ;;cdmął przelotnie na Hacha. - Czyżby jednak zamierzał pan nam pomóc?

- Chyba nie mam specjalnego wyboru, prawda?

Coś zleciało na podłogę. Hatch odwrócił się na tyle szybko, by dostrzec, że Jessie podnosi widelec.

- Może zjesz trochę sałatki? - spytała pogodnie.

Dużo później Jessie przeciągnęła się na łóżku, wysunęła bosą stopę i dotknęła nogi Hacha. - Śpisz?

- Nie.

- Myślałam - powiedziała cicho.

- O czym?

- O tobie. jeszcze nie zdążyłam ci podziękować.

Wiem, że nie jesteś specjalnie zachwycony moją nową posadą.

- Masz skłonności do eufemizmów.

- Cóż, w każdym razie dziękuję - wymamrotała.

- Jessie?

- Mhmm?

- Twoja ciotka zaprosiła mnie dziś na rozmowę.

- Dobry Boże! Czego chciała?

- Udowodnić mi, że nie powinniśmy brać ślubu. Mimo że byłoby to bardzo wygodne dla wszystkich. Ku swemu ogromnemu zdziwieniu Jessie poczuła, że ogarnia ją złość.

- Tak powiedziała?

- Tak.
- Ona ma dobre chęci, ale czasem się jej wydaje, że jest ekspertem od cudzych problemów, ponieważ zrobiła doktorat z psychologii. Doprowadza mnie tym do szału.
- Ale zgadzasz się z nią, prawda? Sama mi mówiłaś, że nie nadaję się na męża.
- Dajmy spokój, dobrze? Dochodzi trzecia w nocy. Chrząknął tylko w odpowiedzi.
- Wiedziałaś, że twój ojciec miał z nią romans?
- Naprawdę? - Jessie rozbudziła się na dobre. - Jesteś pewien?
- Vincent sam mi się przyznał. Właśnie dlatego pomógł jej w studiach. Czuł się w obowiązku tak postąpić.
- Niesamowite - powiedziała, oparła się o poduszki i objęła kolana ramionami. - Wydawało mi się, że ci dwoje nie dogadaliby się nawet na bezludnej wyspie.
- Dlaczego?
- No cóż, po pierwsze ojciec woli chyba kobiety pokroju Constance i Lillian: reprezentacyjne, towarzyskie, eleganckie, wyrafinowane. Glenna nie interesuje się sztuką czy architekturą wewnątrz. Zawsze jest śmiertelnie poważna. I taka wzorowa, jeżeli rozumiesz, o co mi chodzi.
- Ich związek nie trwał długo. Twój ojciec mówił, że oboje czuli się samotni. On rozwiódł się właśnie z Lillian, a Glennę opuścił mąż. Bardzo szybko jednak odzyskali zdrowy rozsądek. Jessie myślała chwilę.
- Chyba już rozumiem, jak do tego doszło. Ale i tak jestem zdziwiona. - ja też.
- Ciekawe, czy mama coś podejrzewa.
- Wątpię. Vincent nikomu o tym nie mówił i twierdzi, że Glenna również nie. Pewnie było im wstyd.
- Tak mało o nich wiem ... Dziwne. - Jessie westchnęła.
- Twoja ciotka rozmawiała ze mną o tobie - powiedział Hatch z twarzą ukrytą w cieniu. - Tak? Ona twierdzi, że pośredniczysz między ojcem a resztą rodziny, ponieważ tylko ty jedna nie boisz się z nim walczyć.
- Ty również tak uważasz - odparła, wzruszając ramionami.
- Tak. Ale nie mam doktoratu z psychologii. A teraz moją diagnozę potwierdziła profesjonalistka.
- Na miłość boską, Hatch! Mówisz o mnie, jakbym była świrnięta, wyłącznie dlatego, że tylko ja nauczyłam się postępować z Vincentem.
- Nie. Nie tylko ty. Ja też opanowałem tę sztukę.
- Rzeczywiście. - Jessie skinęła głową. - Pewnie dlatego, że jesteście tacy podobni. Łatwiej ci go przejrzeć. - Ta uwaga dotyczy również ciebie.
- Różnimy się od siebie jak dzień i noc - zaprotestowała.
- Upór odziedziczyłaś po nim. Sam przekonałem się o tym na własnej skórze.
- To nie ma znaczenia - zirytowała się.
- W porządku. Ja też potrafię być uparty. Ale zamierzałem ci powiedzieć zupełnie co innego. - Co takiego?
- Po rozmowie z twoją ciotką dużo myślałem i chciałbym postawić pewne sprawy jasno. Musisz mi przysiąc, że w żadnym wypadku nie pozwolisz się zmusić do małżeństwa ze mną. Nie wyjdiesz za mnie tylko po to, żeby chronić lub uszczęśliwić swoją rodzinę. Rozumiesz?
- Już ci mówiłam, że nie mam zamiaru za ciebie wychodzić.
- Wiem, ale chyba w końcu tak się stanie. Chcę się tylko upewnić, że jak już mnie poślubisz, to z właściwego powodu, a nie ze względu na dobro rodziny.

- Poczuła, jak zalewa ją fala ciepła. Wydawało się jej, że Hatch ma bardzo poważną minę.
- Należysz do tych, którzy dochodzą do celu nie przebierając w środkach - zaczęła ostrożnie.
 - W tym przypadku środki również są ważne - powiedział i wziął ją w ramiona.
 - Co masz na myśli? - spytała szeptem.
 - Że chcę się z tobą ożenić, bo nie potrafisz mi się oprzeć - mruknął, wodząc ustami po jej szyi. - Chcę się z tobą ożenić, bo wykonałem kawał dobrej roboty, uwodząc cię i rozkochując w sobie. Jasne? Wstrzymała oddech i poczuła, jak twardnieją mu wszystkie mięśnie.
 - Tak, tak. Rozumiem. - Czekala, żeby wyznał, że ją kocha, ale on nic nie mówił, a Jessie bała się pytać.
 - Przysięgasz?
 - Przysięgam. jeśli wyjdę za ciebie za męża, to na pewno z miłości. Ale ...
 - Tak? - Dotknął wargami jej ucha.
 - W dalszym ciągu nie mam takiego zamiaru.
 - Bo jeszcze nie skończyłem się do ciebie zalecać.

Rozdział 12

Vincent Benedict gotował się ze złości. Najpierw wybuchnął, potem kipiał, a teraz przechodził stopniowo w stan wrzenia. Jessie znała doskonale ten mechanizm. Stykała się z nim przez całe życie. jej ojciec miał poważne problemy związane z pieniędzmi, szczególnie gdy musiał się z nimi rozstawać.

A przy tym wcale nie był skąpy. Wręcz odwrotnie. Przez te wszystkie lata rozdał swojej rodzinie grube tysiące dolarów. Ale Lillian i Constance trafnie go oceniły - Vincent lubił trzymać w ręku sznurki do wszystkich portfeli. Chciał wiedzieć, że obdarowani są wdzięczni i będą go informować, jak spożytkowali otrzymaną od niego gotówkę. Uważał, że ma prawo do wyrażania opinii na temat poczynionych wydatków. Krytykował, aprobował lub narzekał, ale zawsze przypominał swojej rodzinie, jakie jest źródło tych pieniędzy. A Jessie rutynowo wysłuchiwała skarg obu stron.

Rany boskie! - ryknął Vincent - Tym babom jest zawsze mało. - Rąbnął pięścią w biurko i popatrzył na Jessie z udręczoną miną. - Są jak gąbki, które potrafią wchłonąć każdą ilość mojej forsy.

- Tato, przecież wiesz, że to nieprawda. - Jessie rozparła się na krześle naprzeciwko ojca. Wyciągnęła przed siebie nogi i zaczepiła kciuki o kieszenie spodni. Do dzinsów włożyła obcisłe, czarne body z długim rękawem, a włosy spięła dużą, srebrną klamrą.

- Akurat! Nieprawda! A co się stało z pieniędzmi, które im dałem, żeby w ogóle mogły otworzyć ten sklep z meblami?

- To nie jest sklep z meblarni. Raczej salon wystawowy, gdzie zapraszają swoich klientów. Teraz chcą go powiększyć i przekształcić w studio projektowe. Zamierzają się specjalizować w awangardowych meblach w europejskim stylu.

- A co brakuje naszym? - Vincent wskazał szerokie mahoniowe biurko, za którym siedział. - Nie ma nic złego w solidnych amerykańskich meblach.

- Connie i Lillian nie mogą znaleźć na nie nabywców.

- Coś ci powiem. Te europejskie wymysły nadają się dla ptaszków. Przez parę tygodni miałem tu taką włoską lampę. Oczywiście natychmiast się zepsuła.

- Bo wyginałeś ją w przeciwnym kierunku. - Jessie przypominała sobie lampę, która od początku

- wydawała się jej za delikatna dla Vincenta. - Zresztą twoja opinia na temat włoskich mebli niczego tu nie zmienia. Są modne. Connie i Lillian muszą sprostać wymaganiom klientów.
- Pewnie tych samych, którzy obżerają się sushi i chodzą na zagraniczne filmy - marudził Vincent.
 - Płacą za to, co lubią. Tato, przecież jesteś człowiekiem interesu. Wiesz, że należy wychodzić naprzeciw gustom nabywcy. A obie mamuśki właśnie to robią. Do tej pory osiągały sukcesy i byłeś z nich bardzo dumny. Dlaczego nie miałbyś im pomóc w rozwoju firmy?
 - Traktują mnie, jakbym był bankiem.

- Chcesz, żeby się zwróciły do prawdziwego banku?
-. Do diabła! Nie! - Vincent aż zaczerwienił się ze złości.
- Odsetki znowu wzrosły. Po co wyrzucać pieniądze w błoto? A poza tym bankierom nie można ufać. Na pewno nikomu nie pomogą. Niech tylko zaczną się drobne kłopoty, a od razu zażądamy zwrotu pożyczki. Jessie wyszczerzyła zęby w uśmiechu.
- A poza tym, gdyby mama poszła do banku, nie miałbyś powodu do narzekania? Przyznaj się, lubisz trzymać wszystkich w garści, prawda?
- Ktoś musi. Ale sam pan Bóg widzi, że pieniądze przeciekają wam przez palce jak woda. Wykazujecie kompletny brak rozsądku. Nie cenicie własnej pracy.
- Nieprawda.
Może tylko nie jesteście tak oszczędni jak ty.
- Bo nigdy nie musieliście obywać się bez kasy. A faceci tacy jak Hatch i ja zdajemy sobie sprawę, co znaczy jej brak. - Vincent przymrużył oczy. - Dlaczego ty nigdy mnie nie prosisz o pieniądze? - zapytał nagle.
Jessie otworzyła oczy w zdumieniu.
- Oszalałeś? Przecież nie miałabym chwili spokoju. Bez przerwy byś mnie pytał, co z nimi zrobiłam, jak je zainwestowałam i co za nie kupiłam. Zażyłabyś cotygodniowych lub comiesięcznych sprawozdań. Nie, wielkie dzięki.
- Wiesz, na czym polega twój problem? Jesteś stanowczo zbyt niezależna. I za bardzo uparta. Kiedy wyjdiesz za męża za Hatcha?
Jessie zamrugła oczami. - Nie podniecaj się tak.
- Sypiasz z tym facetem, do cholery! Powiedział mi o tym! Dlaczego w takim razie nie bierzecie ślubu?
- Będę musiała z nim poważnie porozmawiać. Dżentelmeni nie powinni plotkować na takie tematy. Otworzyły się drzwi i usłyszeli głos Hatcha. - O co chodzi, moi drodzy?
Jessie zerknęła na niego przez ramię.
- Zdaje się, że masz za długi język. Ojciec powiedział mi, że gawędziliście sobie o moim życiu seksualnym. Prawdziwy dżentelmen w ten sposób nie postępuje.
Wspomniałem coś na ten temat tylko na marginesie - odparł Hatch, wchodząc do pokoju i zamykając drzwi. Mimo że udało mu się wykręcić, na jego policzkach pojawiły się szkarłatne rumieńce. - Prosiłem go, żeby się: nie wtrącał w nasze życie prywatne. Prawda, Benedict?
Vincent łypnął tylko na niego i odwrócił się do Jessie. - Dajmy już spokój. A co właściwie jest między wami?
- Jeśli się dogadamy, usłyszysz o tym pierwszy. - Hatch oparł się o biurko Vincenta, skrzyżował ręce i popatrzył na Jessie badawczo. Przyjrzał się uważnie seksownemu body opinającemu jej ciało jak skóra i zmarszczył brwi z dezaprobatą. - Co ty tu robisz?
- Przyszłam na pogaduszki - szepnęła.
- Usiłuje mnie zrobić w pożyczkę dla Connie i Lillian. Chcą rozwinąć interes.
- Rozumiem. - Hatch nie spuszczał oczu z Jessie. Zdołałaś już coś ustalić?
- Tak - odparła. - Tata zmienił temat, więc rozumiem, że się zgadza.
- Chyba będę musiał. W przeciwnym wypadku wylądują w szponach jakiegoś bankiera i wpadną po uszy w odsetki. Jessie oparła się o poręcz krzesła i zerwała na równe nogi.
- Dzięki, tato. Przekażę im tę dobrą nowinę. Jestem przekonana, że wyrażą wdzięczność i będą pilnie

zapisywać wydatki. - Uśmiechnęła się do Hatcha wyzywająco. Pewnie znów wrócisz dziś późno do domu, prawda?

Spojrzał na nią poirytowanym wzrokiem. - Raczej tak. Muszę przejrzeć kalkulacje.

- Nie martw się. Sama zamierzam pracować, do późna. Alex i ja posuwamy się naprzód w dochodzeniu.

Vincent znowu spochmurniał.

- W dochodzeniu? Nadal wtykasz nos w nie swoje sprawy? Myślałem, że skończyłaś z tą kretyńską sektą! Hatch mówił, że ich szef zajmuje się jakimiś oszustwami, a nie środowiskiem.

Wspominał również, że twoja klientka cofnęła zlecenie.

- Wszystko się zmieniło - powiedziała Jessie.

- Co to znaczy, do cholery?

- Później ci wytłumaczę. - Hatch odsunął się od biurka i podszedł do Jessie.

- Chciałbym zamienić z tobą parę słów, zanim wyjdiesz.

- Oczywiście. Pa, tato.

Skrzywiła się, gdy ścisnął ją mocno za ramię, ale pozwoliła się wyprowadzić na korytarz.

Hatch zatrzymał się w miejscu, gdzie znajdowali się już poza zasięgiem słuchu sekretarek, i stanął obok rosnącej w doniczce palmy. Oparł się spokojnie jedną ręką o ścianę nad głową dziewczyny i pochylił się nad nią nisko. Wyglądał tak, że można się było przestraszyć. - Dostyc tego - powiedział cicho.

- Przecież już wszystko ustaliliśmy. - jęknęła. - Nie zostawię tej sprawy, dopóki się nie upewnię, że Susan Attwood jest zdrowa i cała.

- Nie chodzi mi o tę przeklętą sektę - warknął Hatch. Nawiązuję do twojej wizyty w biurze.

Musisz zrezygnować z roli pośrednika. jeśli ktoś czegoś od niego potrzebuje, niech sam o to poprosi. jasne?

- Ty nic nie rozumiesz. - Westchnęła.

- Rzeczywiście. Wystarczy powiedzieć nie. Już zapomniałaś?

- Dla ciebie to żaden problem.

- A ty się nauczysz. Potrzeba ci tylko trochę doświadczenia. Oni nie mają prawa tak cię wykorzystywać. Nie pozwolę na to. Nie życzę sobie, żebyś im wyświadczała tego rodzaju przysługi. Dość.

- Ale ja potrafię z nim postępować. Nie widzisz? Zawsze załatwiałam ich sprawy. Wiem, co robić.

- Niech się nauczą, jeśli to dla nich takie ważne. Potrząsnęła smutno głową.

- Właśnie. Mogą dojść do wniosku, że to nie jest dość ważne.

Hatch wytrzeszczył oczy.

- O czym ty, u diabła, mówisz? Jessie bardzo chciała, żeby zrozumiał.

- Obawiam się, że zrezygnują, jeśli będą musieli walczyć z Vincentem o własnych siłach. W końcu Connie i Lillian poniechały wszelkich prób i wołały się z nim rozstać, niż o czymkolwiek go przekonać.

David musiał bez przerwy wylażać ze skóry, żeby go zadowolić, i tak się w końcu do niego zraził, że przestał z nim rozmawiać. Ciocia Glenna mówi, że budowanie jakichkolwiek związków z moim ojcem nie ma sensu. Ale ona się myli. Przynajmniej do pewnego stopnia.

- A ty sądzisz, że udało ci się scalić klan Benedictów?

Nieprawda.

- Czyżby? Vincent poczuwa się do związków z rodziną. Nie zerwał z nikim kontaktem. Mógł przecież postąpić tak jak ojciec Davida i zniknąć na dobre. Dzięki mnie nadal trzymamy się razem, choć nikt oczywiście nie uważa taty za wzór doskonałości.

- Boże, co za pomylenie z poplątaniem. - Hatchowi błyszczały oczy. - Nie chcę, żebyś brała na siebie obowiązek zbierania wszystkiego do kupy. Przecież twoja rodzina składa się wyłącznie z dorosłych ludzi. Pomijając oczywiście Elisabeth. Ale reszta na pewno potrafi doskonale się o siebie zatroszczyć.

- A ja powinnam zejść ze sceny, tak?

- Tak. Właśnie tak.

- To moja rodzina. Podaj mi choć jeden powód, dla którego miałabym postąpić zgodnie z twoim życzeniem. - Myślałem, że jasno się wyraziłem. Chcę być pewien, że gdy zdecydujesz się mnie poślubić, nie zrobisz tego dla ich dobra.

- A ja ci mówiłam, że za ciebie nie wyjdę.

Protest zabrzmiał tak słabo, że nawet Jessie to czuła.

- Odłóżmy tę dyskusję na kiedy indziej. Teraz chcę, żebyś przyjęła do wiadomości, że nie jesteś już pośrednikiem. Niech Benedictowie i Ringsteadowie sami walczą o swoje.

- Ale ja już obiecałam Davidowi, że poproszę tatę o pieniądze na jego studia.

- Porozmawiam z Davidem.

- Ty? Przecież ty go prawie nie znasz. On jest naprawdę bardzo wrażliwy.

- Ja również - burknął Hatch, opierając się o ścianę drugą ręką. - Tylko że ty, niestety, nie raczyłaś tego zauważyć. - Byłaś zbyt zajęta innymi subtelnymi duszami. Powtarzam ci ostatni raz: chcę się przekonać na sto procent, że nie żenię się po to, żeby uszczęśliwić Davida, jego matkę, mamuski i twoją siostrę. Rozumiesz?

- Jesteś wrażliwy jak hipopotam. I przestań głądzić o małżeństwie. Mamy romans i tyle. Nic ponadto.

- Jessie spróbowała się prześliznąć pod jego ramieniem i wpadła prosto na palmę. Obie przechyliły się niebezpiecznie na bok.

Klnąc przez zęby na czym świat stoi, Hatch chwycił zarówno Jessie, jak i palmę, zanim zdążyły wylądować na podłodze. Potem osadził roślinę z powrotem na miejscu i podtrzymał ramię dziewczyny, a ona wypluła zielony liść.

- Musisz mi dać słowo. Poważnie.

- Słuchaj ...

- Żądam, żebyś przestała pełnić rolę pośrednika, przynajmniej do czasu, aż sfinalizujemy nasze sprawy.

- Sfinalizujemy? - Przez ułamek sekundy była kompletnie dezorientowana. Podświadomie wyczuwała, że Hatch naprawdę jej potrzebuje.

- Wiesz, o czym mówię. - Znów oparł ręce o ścianę i pochylił się nad Jessie.

- Chcesz mnie zastraszyć? - Brakło jej tchu i przestała rozumieć cokolwiek.

- Tak jest. Daj już spokój. Szkoda naszego czasu. - Dobrze. Obiecuję - powiedziała bez zastanowienia. Hatch przytaknął usatysfakcjonowany.

- Do zobaczenia na kolacji. - Zdjął rękę ze ściany, rzucił jej ostatnie ostrzegawcze spojrzenie, obrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do pokoju Benedicta.

Jessie poszła do windy na chwiejnych nogach, w mniemaniu, że na chwilę odebrało jej rozum. Stawiła opór, gdy Hatch żądał, żeby zrezygnowała ze śledztwa, a załamała się zupełnie, kiedy

nakazał jej zaprzestać mediacji rodzinnych. To zupełnie nie miało sensu. Łudziła się jednak, że Hatch nie określił jej sobie jeszcze dookoła palca.

Czterdzieści pięć minut później Jessie zaparkowała samochód pod niskim nowoczesnym budynkiem, w którym mieściły się biura firmy *ExTra Mieszkanie*. Otworzyła drzwiczki od samochodu i wysiadła, nie zbyt uradowana perspektywą spotkania, jakie ją właśnie czekało. Na Bellevue było jak zwykle rojno i gwarno. Elegancko ubrani mieszkańcy przedmieść udawali się tu na zakupy.

Jadąc mostem łączącym Eastside i Seattle Jessie zawsze miała wrażenie, że przekracza granicę międzypaństwową. W Eastside wszystko było klinicznie czyste i ekskluzywne, podczas gdy w Seattle wytworne sklepy i restauracje walczyły o klientów z poślednią konkurencją.

Gdy Jessie stanęła w drzwiach biura, Connie oderwała wzrok od projektu. Uśmiechnęła się.

- Jak się masz? Dobre czy złe nowiny?

- I jedno, i drugie. Connie skrzywiła się.

- W takim razie lepiej zaczekajmy na twoją matkę. Poszła po coś do picia. O, właśnie idzie.

- Cześć, Jessie. - Lillian Benedict weszła do pokoju, niosąc dwie filiżanki kawy. - Co za niespodzianka! Pewnie masz dla nas jakieś wiadomości.

- Tata da wam pieniądze na firmę - powiedziała Jessie, siadając na oryginalnym zamszowym fotelu.

- Wspaniale.

Wiedziała, że go przekonasz. Postawił jakieś warunki?

- Nie, ale miałam pewne kłopoty z Hatchem.

- Z Hatchem? - Constance spojrzała na nią ze zdziwieniem. A cóż on ma z tym wspólnego?

- Właściwie nic. Ale sądzi inaczej. Wściekł się, gdy zaczęłam rozmawiać z tatą na temat pożyczki.

Nie życzy sobie, żebym prosiła go o protekcję.

- Ale przecież to sprawa między nami a Vincem. Lillian zmarszczyła brwi. - Czy jemu się wydaje, że ojciec zabiera te pieniądze z firmy?

- Nie. - Jessie wierciła się na niewygodnym fotelu.

Ojciec miał rację. Te europejskie modele wyglądały ładnie, ale nie nadawały się do użytku. - Nie chce, żebym występowała w takiej roli. Wy tłumaczyłam mu, że potrafię postępować z tatą, ale Hatch nie bardzo wie, na czym to wszystko polega. Lillian i Constance wymieniły spojrzenia.

- Chyba rozumiemy - powiedziała sucho Lillian. Constance westchnęła i długimi, wymanikiurowanymi paznokciami musnęła brzeg filiżanki.

- On ma rację. Wszyscy prosiliśmy cię o protekcję u Vincenta. Masz smykałkę do takich rozmów.

- Tak, to prawda. - Lillian uważnie przyjrzała się córce. Zastanawiam się tylko, dlaczego Hatchard interesuje się tą sprawą.

- Chyba uważa, że mnie wykorzystujecie - powiedziała ostrożnie Jessie.

Lillian zrobiła bardzo zmartwioną minę.

- Rzeczywiście w ten sposób to odbierasz, kochanie? Jessie wyjrzała przez okno.

- Nie. Pomagałam wam z własnej woli. Tak się po prostu wszystko ułożyło. Ciocia Glenna powiedziała, że przyjęłam pewien model postępowania. Załatwiając te wszystkie sprawy czułam, że istnieje między nami jakaś więź. Miałam wrażenie, że nadal jesteśmy rodziną.

- I w pewnym sensie byliśmy - szepnęła Constance. Mieszkamy nadal w tej samej okolicy i rozmawiamy ze sobą. Jedynym wyjątkiem jest David. Vincent ma trudny charakter, ale w sprawach finansowych zawsze postępował bardzo fair. Gdyby nie ty, Elisabeth nie utrzymywałaby z nim tak ścisłych kontaktów. Myślę, że odsunąłby się od niej, a tym bardziej od pozostałych. Lillian

przytaknęła.

- Vincent przypomina mi muła. Musisz walić go kijem po głowie, żeby raczył zwrócić na ciebie uwagę. Ale jeśli już cię dostrzeże, zachowuje się zupełnie przyzwoicie.

- A ja byłam tym kijem - powiedziała Jessie.

- Niestety tak - zgodziła się matka. - Glenna nazywa takie osoby jak ty stróżami rodziny.

- Ona użyła chyba jakiegoś bardziej wyszukanego określenia.

- Nie podoba mi się to modne psychologiczne słownictwo. Umniejsza znaczenie talentów wychowawczych. Jak go zwał, tak go zwał. Hatch nie życzy sobie po prostu, żebyś pełniła tę rolę.

- Nie chce, żebym wyszła za niego za mąż pod wpływem presji - powiedziała wolno Jessie.

- A więc prosił cię o rękę? - podchwyciła żywo Constance.

- Nie, niezupełnie. On zakłada, że się pobierzemy.

Wiecie przecież, jak rozumują mężczyźni. Są jak generałowie. Wyznaczają sobie cel i dążą do jego realizacji, dopóki nie postawią na swoim. Lillian przyjrzała się jej uważnie.

- Czy ta dziwna mina oznacza, że zastanawiasz się nad tym samym co Hatch? Może macie podobne cele? Myślisz poważnie o małżeństwie?

- Nie, cholera, oczywiście że nie. Zaangażowałam się w romans, ale na nic więcej nie mogę sobie pozwolić.

- Ale dlaczego? Dlaczego? - Constance patrzyła na nią zaskoczona. - Jeśli podoba ci się na tyle, żeby z nim romansować, dlaczego właściwie nie chcesz za niego wyjść?

Jessie odwróciła wzrok i rozplakała się.

- Nie zamierzam walczyć do końca życia o miłość mężczyzny. Nie chcę powielić wzoru z dzieciństwa.

- Ależ, kochanie! - Lillian zerwała się na równe nogi, obeszła biurko i przykucnęła obok Jessie.

Przytuliła ją mocno i zakołysała, tak jak wówczas, kiedy córka była jeszcze małą dziewczynką, a Vincent odwołał kolejne spotkanie z powodu pilnych spraw do załatwienia. - Już wszystko dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Jessie sięgnęła po chusteczkę. Czowała do siebie wstręt za ten brak opanowania, a jednocześnie ogarnął ją strach, ponieważ łzy świadczyły wystarczająco wymownie o sile jej uczuć.

Na chwilę w biurze zapadła cisza. Jessie uspokoiła się, wytarła nos i niewyraźnie uśmiechnęła się.

- Przepraszam. Żyłam ostatnio w ciągłym napięciu. Tak to bywa, gdy się jest zakochanym - zauważyła łagodnie Constance. - Nic się nie stało. Doskonale cię rozumiemy. Też jesteśmy kobietami.

- Nie zamierzam go poślubić. - Jessie wytarła oczy, zmięła chusteczkę i wrzuciła ją do cylindra, który służył jako wiadro na śmieci. - Kiedy już skończy się ten romans, po prostu odejdę. Albo on weźmie nogi za pas, kiedy zrozumie, że nie dostanie tego, o co mu chodzi.

- Naprawdę wierzysz, że Hatchard chce cię poślubić wyłącznie ze względu na *Benedict Fasteners*?

- Nie - przyznała Jessie. - Ta sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana. On podziwia tatę.

Chce, żeby ojciec był z niego zadowolony. A jeśli chodzi o aspekt finansowy zagadnienia, to wszyscy wiemy, że ślub byłby dla Hacha wspianym rozwiązaniem. Poza tym nie przeczę, że czujemy do siebie pociąg. To jest transakcja wiązana.

- Wydaje mi się, że on darzy cię jednak głębszym uczuciem. Na pewno nie jest aż tak powierzchowny. Nawet ja znam go na tyle, żeby to wiedzieć - powiedziała twardo Lillian.

- Ale nigdy nie mówił, że mnie kocha. - Jessie westchnęła. - Stwierdził tylko, że może mi ufać.

Wie, że będę w stosunku do niego lojalna. Jego pierwsza żona zginęła w wypadku samochodowym, jadąc na spotkanie z kochankiem. Matka Hacha uciekła z domu, kiedy on miał zaledwie pięć lat.

Lojalność jest dla niego najważniejsza. Wątpię, czy kiedykolwiek uwierzy w miłość.

- Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że wasz związek będzie się opierał na poważnych podstawach - stwierdziła Connie.

- Zaufanie, pociąg seksualny i wspólne interesy wystarczą z pewnością Hatchowi. Ale nie mnie. Lillian w zamyśleniu zagryzła wargę; wstała.

- Nie uważasz, że podchodzisz do tej sprawy nieco zbyt romantycznie? Masz w końcu dwadzieścia siedem lat, nie siedemnaście. Czego tak naprawdę możesz oczekiwać od mężczyzny?

- Racja - przytaknęła Constance. - Jesteś za stara na taki idealizm. Nie chciałabym być brutalna, ale zaufanie i pociąg seksualny to wspaniałe zadanie na udane małżeństwo. Wiele kobiet nigdy czegoś takiego nie zaznało. O co ci właściwie chodzi?

- Nie wiem - szepnęła Jessie.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła Elisabeth. Miała lekko przekrzywione okulary na nosie i kolorowe spinki we włosach.

- Cześć! Co się dzieje?

- Cześć, mała. - Jessie przełknęła resztę łez. - Siedzę tu i wypłakuję przed nimi swoje smutki, choć nie mam powodu się martwić.

- Syndrom przedmiesiączkowy, co?

- Takie są rezultaty wprowadzenia wychowania seksualnego do szkół. - Constance jęknęła.

- Przecież wiem to od ciebie - powiedziała Elisabeth i obróciła się do Jessie. - Założę się, że płaczesz z powodu Hacha, prawda?

- Niestety tak - przyznała Jessie.

- Lepiej daj mu w nos.

- Tak by rzeczywiście było rozsądniej, ale on jest niestety silniejszy.

- Nie odda ci - odparła z namysłem Elisabeth. - A już na pewno nie mocno.

- Wiem, że nie. Właśnie dlatego nie mogę z nim zacząć - tłumaczyła cierpliwie Jessie. - To nie byłoby fair. Nie mógłby mi się odplacić.

- W takim razie co ci zostaje?

- Jeszcze nic nie wymyśliłam.

- Najwłaściwiej będzie - wtrąciła Lillian - zachować zdrowy rozsądek.

- Na pewno postąpisz słusznie. - Constance uśmiechnęła się. - Jak zawsze.

Gdy Jessie znalazła się w połowie mostu, wiedziała już, czego oczekuje od Sama Hatcharda.

Chciała być dla niego ważniejsza niż *Benedict Fasteners*. Gdyby w sytuacji wyboru między nią a firmą postawił Jessie na pierwszym miejscu, udowodniłby, że ją kocha.

Ale Constance i Lillian miały rację. Samo zakładanie takiej możliwości świadczyło o zupełnym braku realizmu. Cóż więc mogła zrobić? Wyrazić zgodę na ślub pod warunkiem, że Hatchard zrezygnuje z interesów z Vincentem? To byłby szantaż. Nawet gdyby Hatch wyraził zgodę, na pewno czułby do niej wstręt za postawienie ultimatum, które nie znajdowało przecież żadnego rozsądnego uzasadnienia. A ona nie mogłaby na siebie patrzeć.

Tak jak tłumaczyła siostrze, kobieta powinna walczyć uczciwymi metodami.

Nagle ogarnął ją lęk. Podświadomie czuła, że czyha na nią jakieś niebezpieczeństwo.

Jessie doszła do wniosku, że jeśli na tym polega dar przewidywania przyszłości, wolałaby go jednak

nie posiadać.

Hatch wszedł do mieszkania Jessie o ósmej wieczorem z bardzo nie pewną miną. Nie wiedział, jakiego powitania ma oczekiwać po awanturze pod gabinetem Vincenta. Domyślił się, co się święci, kiedy Jessie nawet nie wstała z kanapy na jego widok.

- Cześć - powiedziała, ledwo zerkając na niego znad książki.

- Jak się masz? - Hatch zamknął drzwi i postawił teczkę na podłodze. Zauważył natychmiast, że w kuchni nie palą się światła. - Chcesz zjeść coś na mieście?

- Już jadłam. Mówiłam ci chyba, że nie serwuję posiłków o tak późnej porze.

- Rozumiem. - Hatch miał wrażenie, że za chwilę umrze z głodu. - Coś może zostało?

- Znowu ugotowałam pierożki. Ponieważ cię nie było, zjadłam całą paczkę. Nie możesz wymagać, żebym czekała na ciebie z kolacją. Przecież nawet nie raczyłeś zadzwonić i uprzedzić, że się spóźnisz.

Hatchowi zrobiło się przykro.

- Dla mnie ósma to jeszcze zupełnie przyzwoita pora.

- I tu się różnimy.

- Już dawno nie dzwoniłem do domu, żeby uprzedzić, że się spóźnię.

Pewnie wyszedłem z wprawy.

- Mhmm. Daruj sobie. - Jessie przewróciła stronę w książce. - Nie musisz się wcale przede mną tłumaczyć. Po prostu ze sobą sypiamy i tyle. Nie jesteśmy małżeństwem ani nic z tych rzeczy.

- Widzę, że naprawdę się wkurzyłaś.

- Skądże. Staram się tylko być realistką.

Hatch poczuł niemiłe ukłucie w sercu. Podszedł bliżej do kanapy i popatrzył z góry na Jessie.

- A gdybym ci obiecał, że taka sytuacja już się więcej nie powtórzy?

Rzuciła mu niepewne spojrzenie.

- Czy mam to traktować poważnie? Przycupnął przy niej.

- Jak najbardziej, kochanie.

Przygryzła wargę, a Hatch wiedział, że przypomina sobie właśnie te wszystkie, nie dotrzymywane obietnice, które przez tyle lat składał jej ojciec.

- Zrobię ci kanapkę z masłem orzechowym - powiedziała, odrzucając książkę. Wstała i ruszyła do kuchni.

Hatch odetchnął z ulgą. Poszedł za nią. Wiedział, że tym razem katastrofa wisiała w powietrzu. I wszystko z powodu małego spóźnienia na kolację.

- Dla porządku przypomnę: naprawdę nie jestem kopia twojego ojca. Nie łamię obietnic.

Popatrzyła na niego znad drzwi lodówki.

- Wiem.

Hatch zrozumiał, że właśnie zrobili milowy krok do przodu.

- Powtórz to - poprosił, uśmiechając się jak półgłupek.

- Mam powtórzyć, że wiem?

- Wolałbym całe zdanie. Powiedz tak: Wiem, że nie jesteś podobny do mojego ojca i że dotrzymujesz słowa.

- Wiem, że nie jesteś podobny do mojego ojca i że dotrzymujesz słowa.

- Słusznie. Cieszę się, że jakoś to sobie wyjaśniliśmy.

Jest tu może gdzieś jakieś pieczywo czy mam wyjadać masło prosto ze słoika?

Rozdział 13

Telefon zadzwonił w chwili, gdy Jessie sięgała po koszulę nocną.

- Halo?

- Jessie? Tu Alex. Pewnie nigdy mi nie uwierzysz, ale chyba znalazłem Susan Attwood.

- Co takiego? - Jessie usiadła gwałtownie na krawędzi łóżka, ściskając w rękę koszulę. Hatch wyszedł z łazienki, zerkając na nią pytająco.

- Naprawdę. - W głosie Robina wyraźnie pobrzmiwało napięcie. - Szukałem kodów i haseł, które pozwalają na wejście do poszczególnych plików - ciągnął. - jeden z tych kodów pasuje do nazwiska Attwood. Susan zajmuje się uaktualnianiem programów. W tej chwili wpisuje dane dotyczące temperatur. jest jeszcze jedna sprawa. Pół godziny temu odezwał się do mnie kumpel z uniwerku.

- I co?

- Po pierwsze powiedział, że Edwin Bright należy do tego typu facetów, którzy zawsze głoszą kontrowersyjne teorie. Już od wielu lat o nim nie słyszał. Poglądy i wyliczenia Brighta nie znajdują zwolenników wśród szanujących się naukowców.

- Mhmm.

- Stwierdził ponadto, że niektóre dane są na pewno sfalszowane. Uważa, że Bright sam je wymyślił. Dodał, że nie byłby to pierwszy raz.

- Sądzisz, że Susan pomaga mu w konstruowaniu tych fikcyjnych danych?

- Nie. Ona wprowadza do programu informacje, które podaje jej Bright.

Hatch podszedł do łóżka. Miał zaciekawioną minę. - Czy to Robin?

- Chwileczkę. - Jessie spojrzała na Hacha. - Chyba znalazł Susan. Ona w tej chwili pracuje na komputerze. Wprowadza do programu nowe dane.

- Spytaj go, czy może się z nią skontaktować przez komputer.

- Słyszałem - powiedział Alex. - Powiedz mu, że tak. Chcesz, żebym to zrobił od razu? Jessie ścisnęła mocniej słuchawkę.

- Mówi, że tak. Hatch, jakie to podniecające! Niech spróbuje! Hatch potrząsnął głową.

- Nie. Niech zaczeka, aż przyjedziemy do biura. Chciałbym chwilę pomyśleć.

- Słyszałem. Do zobaczenia - powiedział Alex prosto do ucha Jessie i natychmiast si ę rozłączył.

- Nie do wiary! - Jessie zerwała się z łóżka, cisnęła koszulę na podłogę i złapała dzinsy. - Co za ulga! Możemy porozmawiać z nią osobiście! Szybciej, Hatch! jedziemy. - Mam nadzieję, że Robin kupił coś do zarcia. już prawie zapomniałem o tej kanapce.

Dwadzieścia minut później cała trójka wpatrywała się w ekran komputera. Hatch przejął całkowitą kontrolę nad sytuacją, co ogromnie zirytowało Jessie, która zupełnie nie mogła zrozumieć, jak to się właściwie stało. Podejrzewała, że jego wrodzony talent przywódczy dał natychmiast o sobie znać, a Alex, jako mężczyzna, niejako automatycznie wołał wypełniać polecenia przedstawiciela tej samej płci. Niestety nie mogła na razie temu zaradzić.

Najważniejsze było nawiązanie kontaktu z Susan Attwood.

- Tylko nie dawaj jej do zrozumienia, kim jesteś ani gdzie jesteś - powiedział Hatch. - Niech myśli, że interesujesz się zagrożeniem środowiska, i niech uważa cię za hackera.

Kogoś, kto słyszał o kalkulacjach Brighta, a teraz chce się z nimi bliżej zapoznać. Nie zostaw jej,

broń Boże żadnego śladu, po którym mogłaby do nas dotrzeć. Rozumiesz?

- Oczywiście. - Alex gorliwie zabrał się do pracy. - Najpierw zakwestionuję dane, które ona chce wprowadzić. Nie przestraszy się. Będzie tylko zdumiona. Pomyśli, że to komputer ma jakieś wątpliwości. Kiedy zaczniesz odpowiadać, dam jej do zrozumienia, że rozmawia z człowiekiem. U dołu ekranu pojawiło się pierwsze pytanie Alexa. Nowe dane dla koła podbiegunowego niezgodne z przewidywaniami. Podaj źródło.

A co będzie, jak to się wyświetli u kogoś innego? - spytała Jessie.

- Nie ma nikogo na linii. W końcu jest środek nocy. Susan pracuje sama na tej zmianie.

Źródło to wyliczenia Brighta. - Odpowiedź pojawiła się w górnej części ekranu.

Wyliczenia nieprawidłowe - napisał Alex. Wyjaśnij - poprosiła Susan.

- Ona nie rozumie, co się dzieje. Nic dziwnego. Program, nad którym pracuje, nie jest interaktywny na tym poziomie. Do tej pory wprowadzała bez kłopotów wszystkie dane.

- Dobrze - powiedział wolno Hatch. - Daj jej znać o swoim istnieniu.

Interesują mnie prognozy uzyskane na podstawie tego programu. Nie zgadzają się z moimi - wystukał Robin.

Kim jesteś?

Green - odpowiedział po chwili wahania. Jesteś członkiem Jutrzenki Nadziei?

Nie. Ale pracuję nad tym samym zagadnieniem. Nieprawdziwe dane bardzo niebezpieczne - napisał Alex. Na czym polega różnica w wyliczeniach?

- Mamy szczęście - powiedział pewnie Rabin. - Ona zalicza się do ciekawskich, tak jak wszyscy maniacy komputerowi. Przede wszystkim chce teraz rozwiązać tę zagadkę. Ja na jej miejscu postąpiłbym tak samo, szczególnie w środku nocy, kiedy nie ma nic innego do roboty. Wy chyba też należycie do klubu. - Pochylił się nad klawiaturą i zaczął wściekle pisać.

Jessie zerknęła na Hacha i uśmiechnęła się ponuro. Hatch wzruszył ramionami i sięgnął po torebkę z chipsami ziemniaczanymi leżącą na biurku obok komputera. Oboje pogrążyli się w zadumie.

Tymczasem Alex wciągał Susan Attwood do dalszej rozmowy na temat pomyłek w danych i złych prognozach.

Sama się ostatnio nad tym zastanawiałam - przyznała Susan parę minut później.

Hatch odstawił torebkę z chrupkami. - Bingo – powiedział cicho.

- Mówiłem ci, że to inteligentna dziewczyna - oświadczył Alex z tak dumną miną, jakby Susan była jego protegowaną. - I na tyle mądra, żeby się domyślić, że coś tu nie gra.

- Zapytaj ją, czy zajmowała się również programami finansowymi – zażądał Hatch.

- Jeśli to zrobię, Susan zorientuje się, że interesują nas pieniądze, a nie klimat - ostrzegł Alex.

- Powiedz jej, że natknąłeś się na ten program przypadkiem i jesteś ciekaw, jakie badania są sponsorowane przez ich fundację. - Jessie wreszcie udało się przejąć pałeczkę.

- Dodaj, że z tej forsy finansuje się nie tylko badania.

Zapytaj, czy nigdy nie odniosła takiego wrażenia - wtrącił szybko Hatch.

Jessie przekręciła się na krześle i spojrzała ze zdziwieniem na Hacha.

- Nigdy nie mówiłeś, że coś podejrzewasz. Znowu wzruszył ramionami.

- Bo nie mogę nic udowodnić. Widzę tylko, że to nie jest zwykły program finansowy. - Mogłeś coś wspomnieć na ten temat.

- Podzieliłem się z tobą wrażeniami na temat Brighta i tej całej fundacji. Teraz tylko muszę udowodnić tę teorię.

- Gdybyście przestali się kłócić - wtrącił szybko Alex może udałoby się nam uzyskać jakąś odpowiedź od Susan. W porządku, Hatch. Chcesz, żebym zapytał ją bezpośrednio o lewe pieniądze?
- Chyba powinniśmy wykazać nieco więcej subtelności - mruknęła Jessie.
- Jessie ma rację. Napisz tylko, że nie bardzo ci się podoba program finansowy, i spytaj Susan, co o nim sądzi.

Alex posłusznie wystukał pytanie. Odpowiedź ukazała się na ekranie dopiero po dłuższej chwili. Kim jesteś? Proszę, napisz.

- Zaczyna się denerwować - syknęła Jessie, - Trzeba wyjść z ukrycia.

- Też tak uważam - poparł ją Alex.

- Może się przestraszyć - ostrzegł Hatch.

Jessie potrząsnęła głową i wbiła wzrok w ekran. Teraz kierowała się wyłącznie intuicją.

- Nie, ona już się boi. I to wcale nie nas. Musimy się dowiedzieć, o co tu chodzi. Zapytaj ją, czy ta praca jest bezpieczna.

- Ot tak, po prostu?

- Tak. Szybciej. - Jessie czuła, że nie mają ani chwili do stracenia. Pochyliła się do przodu i patrzyła niespokojnie na ekran.

- Dobra, pisz - powiedział wolno Hatch. - Zwróć się do niej po imieniu.

Jessie wstrzymała oddech. Alex był równie zdenerwowany. Jedynie Hatch zachował kamienny spokój.

Nie jestem pewna. Zaczynam się bać. Proszę, powiedz, kim jesteś.

- Przyznaj się, że jej szukamy. Dodaj, że jeśli chce się stamtąd wyrwać, możemy jej pomóc.

- Napisz koniecznie, że jej matka bardzo się o nią martwi i że też się czegoś boi. To powinno podziałać. Jessie skinęła głową.

- Dobry pomysł. Susan pewnie nie wie, że oni grożą jej matce.

- A grożą? - spytał Alex ze zdziwieniem. Jessie przytaknęła ponuro.

- Jestem tego pewna.

Jak ona się czuje? Powiedzieli, że dopóki nie zakończę stażu, nie wolno mi się z nią kontaktować - zareagowała błyskawicznie Susan.

- Napisz, że pani Attwood nie chce ze mną rozmawiać i że bardzo się o nią niepokoję.

Zanim jednak Alex dokończył zdanie, Susan przerwała korespondencję. Wyłącz się. Ktoś idzie.

Alex natychmiast wyszedł z programu i wyprostował się na krześle z jękiem zawodu.

- Ona ma kłopoty.

- Chyba tak - zgodził się Hatch. - Ale nie wiemy, czy naprawdę coś jej grozi. Może po prostu wpadła w panikę. Chciałaby wrócić do domu, a nie chce się przyznać do błędu.

- Obawiam się - powiedziała wolno Jessie - że to o wiele poważniejsza sprawa. Susan znalazła się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Hatch i Alex popatrzyli na nią niespokojnie. - Skąd wiesz? - spytał w końcu Hatch.

Jessie potrząsnęła głową. Nie potrafiła tego wytłumaczyć. Z sekundy na sekundę nabierała większej pewności, że należy działać natychmiast. Zerwała się na równe nogi. - Jadę do pani Valentine. Może odzyskała swoje zdolności i powie mi, czy tej dziewczynie naprawdę coś zagraża.

- Jessie, dochodzi północ - przypomniał Hatch.

- Pani Valentine zrozumie. jedziesz ze mną?

- A mam jakiś wybór? - mruknął, wstając niechętnie z krzesła.

- Zostanę na posterunku - obiecał Alex. - Nie będę próbował nawiązać kontaktu z Susan, ale jeśli ona odezwie się pierwsza, natychmiast jej odpowiem.

Jessie zerknęła na niego od drzwi. Alex wpatrywał się z posępną miną w połyskujący na zielono monitor.

W salonie siostry pani Valentine świecił się inny ekran. Był to ekran telewizora.

Pani Valentine - w starym szlafroku i kapciach - otworzyła drzwi już po pierwszym dzwonku.

- O, jesteś, kochanie. Spodziewałam się ciebie. Dzień dobry panu.

Bardzo mi miło pana widzieć.

- Dobry wieczór. Przepraszamy za niefortunną porę. - Proszę się nie martwić. Czekałam na was.

Jessie uściśnęła mocno swoją szefową.

- Wiedziała pani, że przyjdziemy? Czy to znaczy, że wszystko wróciło do normy?

- Mam wrażenie, że tak. Siadajcie. Moja siostra już się położyła. Przed waszym przyjściem oglądałam telewizję. - Wspaniale! - Jessie usiadła na starej kanapie.

- Prawda, Hatch?

- Ciekawe - stwierdził spokojnie.

- Proszę nie zwracać na niego uwagi. Zawsze był sceptykiem. Wyjaśnię pani powody, dla których musiałam panią niepokoić.

- Na pewno w związku ze sprawą Susan Attwood, prawda? - Pani Valentine miała mocno zrezygnowaną minę.

- Naprawdę odzyskuje pani siły. fantastycznie! jakże się cieszę!

- Tym razem to była zwykła dedukcja - odparła pani Valentine z uśmiechem. - Cóż innego mogłoby cię doprowadzić do takiego stanu? Mów od razu, co się stało.

- Oczywiście.

Jessie opowiedziała jej o wszystkim, nie pomijając żadnych szczegółów. Hatch zrobił parę chaotycznych uwag na temat podejrzanej działalności finansowej fundacji.

- Zaczynam się martwić o jej bezpieczeństwo - powiedziała Jessie kilka minut później. - Chciałam przede wszystkim skonsultować się z panią.

Pani Valentine długo nie odrywała wzroku od świecącego ekranu; potem odwróciła głowę i napotkała stroskane spojrzenie dziewczyny.

- Obawiam się, kochanie, że masz powody do obaw.

- Tak też sądziłam. Trzeba natychmiast coś zrobić.

- Może powinnaś zawiadomić policję? - zaproponowała pani Valentine. - W końcu to oni zajmują się tego rodzaju sprawami.

- Dobry pomysł - zgodził się Hatch.

- Nie jestem pewna - powiedziała wolno Jessie. - Przede wszystkim nie mamy żadnego dowodu.

Susan nie prosiła o ratunek. Powinniśmy ją chyba zapytać, czego od nas oczekuje. - Wstała gwałtownie. - Idziemy, Hatch. Pani Valentine powinna się położyć. I tak już potwierdziła moje najgorsze przypuszczenia.

- Naprawdę uważam, że należałoby się zwrócić do odpowiednich władz. - Na twarzy pani Valentine malował się niepokój.

- Problem w tym, że nie bardzo wiem, do kogo. W każdym razie jeszcze nie. Nie możemy dowieść, że naprawdę zostało popełnione przestępstwo ani też, że tej dziewczynie rzeczywiście coś grozi. Proszę się nie martwić. Na pewno sobie poradzimy.

- Problem w tym, że nie bardzo wiem, do kogo. W każdym razie jeszcze nie. Nie możemy dowieść, że naprawdę zostało popełnione przestępstwo ani też, że tej dziewczynie rzeczywiście coś grozi. Proszę się nie martwić. Na pewno sobie poradzimy.

- O mój Boże. - Pani Valentine odprowadziła ich do drzwi. Gdy Jessie stała już na staroświeckim ganku, gospodyni popatrzyła na nią ze zmarszczonymi brwiami. Kochanie ...

- Tak?

- Przrzeknij mi, że zachowasz ostrożność.

- Oczywiście. Ale to nie ja jestem zagrożona, tylko Susan.

- Mam wątpliwości. - Pani Valentine zerknęła na Hacha. - Będzie pan jej pilnował, prawda? - bardziej stwierdziła, niż zapytała.

- Oczywiście - odparł cicho Hatch. Pani Valentine odetchnęła z ulgą.

- Cóż, w takim razie może wszystko będzie dobrze. Ale wcale nie jestem przekonana, że podoba mi się ta nowa forma działalności naszej firmy. Wcale a wcale.

- Nic dziwnego - powiedział Hatch. Tak, czy inaczej Psychotroniczne Konsultacje Pani Valentine zmieniły profil, prawda?

- O mój Boże - powtórzyła pani Valentine.

Zanim Jessie wreszcie położyła się do łóżka, zatelefonowała do Alexa. Robin natychmiast podniósł słuchawkę. - Odezwała się?

- Nie. Pewnie poszła spać.

- Kiedy wypada jej następny dyżur?

- Jutro wieczorem. Jeżeli oczywiście będzie pracować zgodnie z planem.

- Może spróbuje się z nami skontaktować?

- Jeżeli oni nie nabrali podejrzeń i nie wylali jej z roboty - powiedział ponuro Alex.

Jessie odłożyła słuchawkę i spojrzała na Hacha, który opierał się o poduszki z rękami pod głową. Kołdra sięgała mu zaledwie do bioder, odsłaniając szeroki, muskularny tors.

- Bardzo się martwię

- Wiem - powiedział z wymuszonym uśmiechem. Kładź się. Powinnaś się przespać. Na razie nic więcej nie możesz zrobić.

Jessie wdrapała się do łóżka i położyła obok Hacha, a on wziął ją w ramiona.

Czuła bijące od niego ciepło. - Hatch?

- Mhmm?

- Cieszę się, że mi pomagasz. To wszystko zaczyna mnie przerastać.

- Ach tak? Mam nadzieję, że zdołasz przynajmniej zapłacić rachunek, jaki zamierzam ci wystawić.

212

- Mówisz poważnie?

- Jak zawsze.

Następnego dnia o pierwszej po południu Hatch przewiesił marynarkę przez ramię i skierował się do drzwi.

- Nie będzie mnie przez kilka godzin - rzucił, mijając biurko sekretarki.

- Dobrze, proszę pana.

Dwadzieścia pięć minut później Hatch stał już przed jedną z sal wykładowych w Butterfield College.

David Ringstead wyszedł z auli na końcu piętnastoosobowej grupy studentów. Na widok Hacha zrobił bardzo zdziwioną minę.

- Co pan tu robi? - zapytał i nagle na jego twarzy pojawiło się przerażenie. - Coś się stało? Mama zachorowała?

- Nie. Wszystko w porządku. Po prostu muszę z tobą pogadać i uznałem, że tak będzie najzręczniej.

Możemy pójść gdzieś na kawę?

- Po co?

- Już ci mówiłem. Chcę porozmawiać.

- Dobrze. - David wzruszył ramionami. - Po drugiej stronie ulicy jest barek.

- Świetnie.

- Może mi pan zdradzić, o co chodzi?

- O pieniądze - odparł gładko Hatch.

- Niech to szlag. - David włożył ręce do kieszeni džinsów. - Pewnie ten stary drań nie chce mi dać forsy na studia. Dlaczego Jessie nie przysła?

- Wyciągasz zbyt pochopne wnioski, nie znając faktów.

Ale właśnie tak zwykle postępują filozofowie, prawda? Nic dziwnego, że na ogół nie mogą znaleźć posady poza uczelnią.

- Cholera by to wzięła.

Hatch otworzył drzwi barku i westchnął.

- Zauważ pozytywną stronę zagadnienia. ja stawiam. Młoda, blada kobieta stojąca za kontuarem uśmiechnęła się słabo do Davida. Jak leci?

Wszystko w porządku. A u ciebie? Chyba też. Co wam podać?

- Capuccino - powiedział David. Barmanka popatrzyła pytająco na Hacha. - Kawę. Czarną.

Dziewczyna podeszła do ekspresu, a oni stali w milczeniu przy barze. Kiedy wręczyła im filiżanki, Hatch poprowadził Davida do jednego ze stolików w końcu prawie pustej sali.

- Znajoma? - spytał, wskazując głową kościstą barmankę, która zaczęła właśnie czyścić ekspres.

Wyblakłe, cienkie włosy opadły jej na twarz, zasłaniając brzydką cerę. - Niezupełnie.

Poznałem ją, gdy zacząłem się interesować Jutrzenką Nadziei. Hatch zerknął ponownie na dziewczynę. - To Nadine Willard?

- Tak. - David spijał piankę z capuccino. - Może byś jednak przystąpił od razu do rzeczy.

Oczywiście. Sprawa jest prosta. Nie życzę sobie, żeby Jessie prosiła ojca o pieniądze na twoje studia. jasne?

- O co ci chodzi? Dlaczego interesują cię nasze układy?

- Bo chcę przerwać to błędne koło.

- Błędne koło?

- Tak. Od tej pory każdy, kto będzie potrzebował pomocy Vincenta, musi załatwiać swoje sprawy sam. Nie pozwolę wam wykorzystywać Jessie.

David zrobił ponurą minę. Rozparł się na krześle i wsunął nogi pod stolik.

- Jessie nigdy nie miała nic przeciwko temu.

- Ale ja mam.

- Bez urazy, ale gównu mnie to obchodzi. Hatch upi łyk kawy.

- Postaram się ująć to inaczej. Jeśli jeszcze raz spróbujesz prosić Jessie o protekcję, nie dopuszczę do tego, żeby Vincent pożyczył ci pieniądze, A wiem doskonale, jak go przekonać, bo mamy podobny sposób myślenia. Nie dostaniesz od niego ani centa.

- Czyżbyś był aż takim sukinsynem?

- Niewykluczone - zgodził się Hatch.

- Mama obawiała się, że może dojść do takiej sytuacji.

- Jakiej? - Hatch spojrział na niego ciekawie. David z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Mówiła, że wszystko się zmieni. Wiedziała, że Vincent chce znaleźć sobie syna poprzez małżeństwo Jessie. Prorokowała, że jeśli się mu uda, reszta rodziny dostanie po tyłku. Jak widać, nie bardzo się pomyliła.

- Chyba mnie nie rozumiesz. Nie powiedziałem, że tobie nie wolno prosić Benedicta o cokolwiek. Zabroniłem ci tylko wysługiwać się Jessie.

- Ale tylko ona daje sobie z nim radę. Cała rodzina o tym wie.

- Próbowaleś kiedykolwiek z nim rozmawiać?

- Tak, do cholery. - David trzasnął pustą filiżanką o blat stolika i popatrzył gniewnie na Hacha. - Sądziś, że nie starałem mu się przypodobać? Przez większość życia próbowałem być dla niego synem, którego tak podobno pragnął. Już od dziecka udawałem wielkiego macho na jego użytek.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. - David nachylił się do Hacha i ścisnął mocniej filiżankę. - Dla niego zacząłem grać w piłkę. Dwa miesiące leżałem w gipsie, bo jakiś idiota mnie przewrócił. Któregoś lata nająłem się do pracy na łodzi rybackiej, ponieważ Benedict stwierdził, że jestem słabeuszem i muszę okrzepnąć. Na widok tych stosów zdychających i martwych ryb zbierało mi się na torsje. Do dziś nie mogę patrzeć na ryby.

- Davidzie ...

- Całymi latami trenowałem karate tylko po to, żeby mu udowodnić, jaki ze mnie gość. Mama i ten stary skurwiel ustalili, że powinienem się zapoznać z rodzinnym interesem, więc pracowałem podczas jednych wakacji na budowie.

David pokręcił głową na to wspomnienie. - Szkoda, że nie widział pan moich kolegów. Wolny czas spędzali wyłącznie w gospodzie. W ramach rozrywki intelektualnej rozprawiali o cyckach dziewczyny z okładki ostatniego „Playboya”.

- Znam takich - powiedział sucho Hatch, sięgając pamięcią do czasów swojej młodości.

- A potem, chyba w akcie desperacji, mama przekonała wuja Vincenta, żeby dał mi pracę w zarządzie.

- Rozumiem, że z tego również nic dobrego nie wyszło.

- No jasne, że nie. Nie potrafiłem nic zrobić. A stary bez przerwy się na mnie wydierał. Wrzeszczał, że nie mam nosa do interesów i nie nadaję się do prowadzenia takiej firmy jak *Benedict Fasteners*. Zapisalem się na kursy biznesu i administracji, ale on mnie po prostu wyśmiał. Stwierdził, że żadne wymyślne szkoły nie nauczą mnie tego, co powinienem umieć. Powiedział, że nie jestem dość twardy, żeby go zastąpić. I wie pan co? Miał rację.

- Benedict rzeczywiście postępuje z ludźmi dosyć ostro - przyznał Hatch. Przestał się dziwić, że Jessie próbowała podtrzymać jakoś stosunki między ojcem a Davidem. Miała zbyt miękkie serce, żeby patrzeć spokojnie, jak ten związek się rozpada.

- No cóż, to była dla mnie ostatnia kropla. Odszedłem z *Benedict Fasteners* nie oglądając się za siebie. Powiedziałem mamie, że nie chcę dłużej odgrywać syna tego starego osła. Do ciężkiej cholery! Przecież we mnie nie płynie nawet ich krew. Nazywam się Ringstead. Nie zrezygnuję ze swoich planów tylko po to, żeby sprawić Vincentowi przyjemność. Jessie miała rację.

- Co do czego?

- Powiedziała mi, że nie nadaję się do życia w świecie interesów. Radziła, żebym poszedł własną drogą. Nigdy nie zapomnę tej rozmowy. Dzięki Jessie poczułem się tak, jakbym odzyskał wolność. Potem już wszystko stało się proste.

- Zrezygnowałaś z biznesu na rzecz filozofii.
- Tak jest. - David przełknął ostatnie krople cappuccino.
- I już nie chcesz podlizywać się Benedictowi – powiedział wolno Hatch. - Ale mimo wszystko bardzo chętnie wyciągnąłbyś z niego pieniądze na naukę.
- Jasne. Ten skurwiel jest mi to winien.

- Skąd ten pomysł?

David spojrział na Hacha ze wstrętem.

- Nie wie pan? Przecież mój ojciec pomógł mu stworzyć tę firmę.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Mój stary pracował dla niego. Był księgowym. Postawił cały ten interes na nogi. W zasadzie to on zbudował imperium, którym teraz zarządza Vincent. - W głosie Davida wyraźnie pobrzmiwała teraz nutka dumy. - Mama mówi, że gdyby nie on, Vincent poszedłby na dno. Był specem od budowy, nic więcej. Nie znał się wtedy zupełnie na interesach.

- Ale teraz zna się na nich bardzo dobrze - zauważył Hatch.

- Bo się nauczył. Głównie od mojego ojca. Wykorzystał go. A potem, kiedy stary już zrobił swoje, Vincent po prostu go wylał.

- Wylał? Jesteś pewien?

David spojrział na niego niechętnie.

- Oczywiście że tak. Mama powiedziała mi wszystko na ten temat. Benedict pozbył się taty, zamiast zrobić go swoim wspólnikiem. Mój ojciec był zupełnie innym człowiekiem niż Vincent. Raczej intelektualistą, a nie rekinem finansjery. Kompletnie się załamał.

- Pamiętasz tę całą historię? Przecież byłeś bardzo mały.

- Oczywiście że nie. Pozbierałem wszystko do kupy na podstawie różnych uwag mamy, Benedicta i Connie. I wychodzi na to, że wujaszek musi bulić.

- Jezu! - jęknął Hatch. - Zawsze marzyłem, żeby poznać wasze tajemnice rodzinne. - Siedział przez chwilę w milczeniu.

- Skończył pan już tę męską pogawędkę w cztery oczy? - spytał David. - Za kwadrans zaczyna się wykład.

- Jeszcze jedno.

- Tak?

- Wydaje mi się, że jesteś o wiele twardszy niż twój ojciec. Gdyby było inaczej, nie podjąłbyś takiej decyzji. - Więc?

- A więc sądzę, że masz to, co należy mieć, żeby pójść i prosić Benedicta o pożyczkę. - Hatch przełknął ostatni łyk kawy i wstał. - Chcesz, żeby drań zapłacił za krzywdę wyrządzoną twojemu ojcu? Nic prostszego. Niech buli. Wyciągnij od niego ostatniego centa i zrób doktorat z filozofii. Trudno sobie wymarzyć lepszą zemstę - Wierz mi.

- Tak mi się właśnie wydawało. Benedict dostaje szału na samą myśl o moich studiach - zgodził się David z goryczą w głosie.

- Tylko pamiętaj o jednym. Weź ten odwet osobiście podsumował spokojnie Hatch. - Nie mieszaj do tego Jessie.

David szybko podniósł głowę.

- Mama zawsze mówiła, że tylko ona potrafi naciągnąć starego.

- Skończyło się. Wszedłem wam w paradę. Ale uwierz mi: zemsta jest o wiele słodsza, jeśli

dokonujesz jej sam, bez niczyjej pomocy, Oto moja filozofia na dziś. A opieram się głównie na doświadczeniu. Zastanów się nad tym.

Hatch wyszedł z baru i pospieszył do samochodu.

Rozdział 14

Mam nadzieję, że postąpiłaś słusznie. Ale nie jestem pewna. Po prostu nie wiem. - Jessie grzebała widelcem w makaronie z sosem pomidorowym i patrzyła niespokojnie na Hacha.

- Nie martw się. Już po wszystkim. Koniec kropka. - Hatch oderwał kawałek chleba od leżącego w koszyku bochenka i zatopił w nim zęby.

Zewsząd dochodziły do nich pomruki zadowolonych gości, którzy wybrali tę samą restaurację. Serwowano tu północno-wschodnią kuchnię odznaczającą się intrygującymi połączeniami ryb z makaronem i najróżniejszymi warzywami.

- Naprawdę nie jestem przekonana. - Jessie patrzyła w talerz z makaronem jak w czarodziejską kulę o wyjątkowo mętnej strukturze kryształu. - Może nie powinieneś być postępować z nim tak ostro.

Mówiłam ci przecież, że David to bardzo wrażliwy chłopak.

- Guzik mnie to obchodzi - mruknął Hatch.

- Chcę tylko, żeby od dziś sam pilnował swoich brudnych sprawek.

- Ale on ma kiepskie układy z tatą. Prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiają.

- Ty sama wiesz najlepiej, że wcale nie trzeba przyjaźnić się z Vincentem, żeby dojść z nim do porozumienia. Wystarczy tylko wytrwale próbować. Wszystko zależy teraz od Davida. Chce forsy na studia, niech sam o nią prosi. Ty się do nich nie wtrącaj. Dostyc już tych interwencji w nagłych wypadkach.

- Wymyślasz dla mnie nowe zasady postępowania bazując wyłącznie na swojej własnej opinii. Tak nie wolno postępować. My działamy nieco inaczej.

- Nie wiem, jak wy działacie, i nic mnie to nie obchodzi. Chcę cię tylko wyrwać z zaklętego kręgu. Przynajmniej na jakiś czas.

- Kto cię upoważnił do mieszania się w moje sprawy?

- Ja się w nic nie mieszam. Przycinam tylko węzły, których sama nie potrafisz odplątać. Jessie zaniemówiła na chwilę.

- Nie brakuje ci tupetu! Przycinasz węzły! Rzeczywiście! Tak jakbyś wiedział, co robisz. Nie pełnisz przecież roli przyjaciela rodziny.

- Nie. Ale już dawno się nauczyłem, że łatwiej jest przeciąć niektóre węzły, niż je rozplątać.

- Daj już spokój z tymi węzłami - warknęła.

- Dobrze. O czym chciałabyś porozmawiać? O zbliżających się zaręczynach?

Natychmiast zeszytniała, jak zawsze gdy wspominał o małżeństwie.

- Nie planowaliśmy żadnych zaręczyn.

- Najwyższy czas naprawić ten błąd. Chyba już za długo się wygłupiamy. Jessie zawrzała gniewem.

- A może ja lubię się wygłupiać? Zastanawiałaś się nad tym? Odpowiada mi taka sytuacja.

Świetnie się w niej czuję. Czerpię wszelkie możliwe korzyści z romansu, unikając niedogodności, jakie niesie ze sobą małżeństwo.

- Wykorzystujesz mnie, tak? - Popatrzył na nią z namysłem. - W takim razie przestanę z tobą sypiać.

Może w ten sposób zmuszę cię do ślubu.

Jessie splonęła rumieńcem i rozejrzała się w obawie, że ktoś słyszał ostatnią uwagę Hatcha.

- To miał być żart?

- Nie. Nie mam przecież poczucia humoru, już zapomniałaś?

Jessie przestała bawić się widelcem, sięgnęła po nóż i zaczęła nim kreślić trójkąty na obrusie.

- Nie jestem całkiem pewna.

- Czyżby? - Hatch przeżuwał krewetkę. - Co się skłoniło do zmiany zdania?

- Nie zmieniałam zdania. W każdym razie jeszcze nie. Ale rozważę ponownie tę kwestię.

- A może zajęlibyśmy się czymś bardziej produktywnym?

- Na przykład? - spytała.

- Chociażby ustaleniem daty ślubu.

- Bo musisz ją zaznaczyć w kalendarzu, żeby nie zapomnieć? - odpaliła. - jakoś upchnąć ten dzień wśród tylu innych spraw do załatwienia? A jesteś na sto procent przekonany, że znajdziesz czas na miesiąc miodowy? Mówimy o dwóch tygodniach, Hatch. Na tyle zwykle wyjeżdżają nowożeńcy. Na pewno możesz wziąć tak długi urlop?

- Zdziwiłabyś się, gdybyś usłyszała, ile można zrobić w pokoju hotelowym, jeśli się zabierze odpowiedni sprzęt - odparł z całą powagą Hatch. - Dzięki modemom, faksom i laptopom można ani na chwilę nie rozstać się z biurem.

- Nie będzie żadnego ślubu! - Nóż, którym Jessie kreśliła trójkąty na obrusie, wypadł jej z ręki i potoczył się na krawędź stołu, po czym bezszelestnie spadł na dywan. Gdy Jessie zerknęła na Hatcha, była pewna, że dostrzega w jego oczach zimną satysfakcję. - Nie widzę w tym nic śmiesznego - mruknęła.

- Wiem.

- Głowę daję, że się świetnie bawisz.

- Nie. Przecież nie mam poczucia humoru - powiedział poważnie. - Nie martw się tym nożem.

Kelner zaraz przyniesie następny. Powiedz mi coś.

- Co?

- Czy nadal uważasz, że nie poświęcałbym naszemu małżeństwu wystarczająco dużo uwagi?

- A co mogę myśleć, skoro już się wygadałeś, że nie wyobrażasz sobie podróży poślubnej bez modemu i faksu?

- Daję ci słowo, że nie będą nam w niczym przeszkadzać - powiedział z rozbrajającą szczerością. - Ja bardzo wydajnie pracuję.

Jessie wybałuszyła na niego oczy. Hatch naprawdę z niej kpił. Była tego niemal pewna. A ona chwyciła przynętę jak wytresowana rybka. Postanowiła się uspokoić, zanim znowu zrzuci coś na podłogę.

- No, przyznaj się. Nie jestem dokładnie taki sam jak twój ojciec, prawda?

- Dobrze. Zgoda. Rzeczywiście nie, choć też kochasz pracę. Wiem jednak, że mój ojciec nigdy nie pomógłby mi wyjaśnić, co się dzieje z Susan Attwood. - A także, myślała, nie zrezygnowałby ze swoich planów tylko po to, żeby nie sprawić przykrości dwunastoletniej dziewczynce. I nie zastanawiałby się nawet, dlaczego za ciebie wychodzę. Chociaż nie ma o tym mowy, poprawiła się szybko.

- Więc nie jestem taki straszny? Myślę, że zrobiliśmy postęp!

- Być może. Muszę ci coś powiedzieć. Nie wiem, czy postępujesz słusznie, zakazując mi występowania w roli przedstawiciela rodziny, ale nikt nigdy nie usiłował mnie przed niczym

uchronić, więc jest to dla mnie zupełnie nowe doświadczenie.

Hatch uśmiechnął się. Chciał coś powiedzieć, ale w tej samej chwili przy stoliku pojawiła się kobieta o ptasiej twarzy, z kręconymi włosami, w maleńkich okularach na czubku nosa.

- Jessie. Jessie Benedict. A więc to jednak ty. Tak mi się właśnie wydawało, ale siedziałam tam - ciągnęła, wskazując głową stolik po przeciwnej stronie zatłoczonej restauracji - i nie byłam pewna. Dawno cię nie widziałam. Co słyhać? Znalazłaś jakieś nowe zajęcie? Jessie poznała ją od razu. Trudno jest zapomnieć kogoś, kto wylał cię z pracy.

- Cześć, Mavis. Miło cię widzieć. Pozwól, że ci przedstawię Sama Hatcharda. Hatch, poznaj Mavis Firley. Macie ze sobą wiele wspólnego.

- Naprawdę? - Hatch wstał i uklonił się uprzejmie.

- Czyżby? - zawtórowała pogodnie Mavis i wdzięcznym gestem pokazała mu, by usiadł. - Ciekawe, co nas łączy. Zajmuje się pan przypadkiem zdrową żywnością? - Nie, pracuję w branży metalowej.

- Hatch jest dyrektorem w *Benedict Fasteners* - wyjaśniła Jessie. - I oboje wyrzuciliście mnie z roboty.

- O mój Boże. - Mavis zrobiła zatroskaną minę. Czyżby znowu ci się nie powiodło? - Niestety tak.

- Jessie chciała doprowadzić przedsiębiorstwo ojca do ruiny - wyjaśnił rzeczowo Hatch. - A w jaki sposób zaszkodziła pani firmie?

- Brutalnie rzecz ujmując, odstraszała klientów. Przez jakiś czas pracowała w jednym z moich sklepów w centrum. Jak już wspominałam, zajmuję się zdrową żywnością. Sprzedaż zaczęła gwałtownie spadać. Jessie była zbyt bezpośrednia, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

- Chyba tak. - Hatch uniósł brwi. - Rozmawiałaś z nimi bardzo szczerze, prawda?

- Mówiłam im prawdę o produktach, jakie zamierzali kupić, a kilka osób wysłałam do lekarza. Wydawało mi się, że potrzebują pomocy. Nic ponadto - odparła Jessie.

- W ciągu miesiąca znalazłam się pod kreską - zwierzyła się Mavis. - Przy tym ona była taka miła, pełna entuzjazmu. Naprawdę nie chciałam jej zwalniać, ale interes jest najważniejszy.

Hatch skinął głową ze zrozumieniem. - Przeżyłem podobne rozterki.

Rozbawił tym Jessie do tego stopnia, że wybuchnęła głośnym śmiechem, a Hatch poczuł, że zalewa go fala radości.

Gdy następnego ranka Jessie wchodziła do małego budynku, w którym mieściło się biuro pani Valentine, towarzyszyło jej przecucie zagrażającej klęski. Już w korytarzu zobaczyła, że przez szparę w drzwiach pracowni Alexa sączy się zielona smuga światła, więc natychmiast zajrzała do środka.

W pokoju panował tradycyjny bałagan. Alex spał z głową opartą na skrzyżowanych ramionach w otoczeniu pustych puszek po wodzie sodowej i pudełek po pizzy. Ocknął się jednak natychmiast, gdy Jessie weszła do pracowni.

- Spędziłeś tu całą noc?

- Cześć. - Ziewnął, przetarł oczy i sięgnął po szklanę. - Tak, nie ruszyłem się stąd ani na krok. Rozmawiałem z Susan, a potem, kiedy się wyłączyła, natychmiast zasnąłem.

- Połączyłeś się z Susan? Wszystko u niej w porządku?

- Ona naprawdę się boi. Chyba ją śledzą. Obiecałem, że pomogę jej wydostać się z wyspy, kiedy tylko zechce.

- Naprawdę? - Jessie usiadła obok niego na krześle.

- I co?

Wpadła w panikę. Błagała, żeby nie zawiadamiał policji.

- Mhmm.

Jessie zerknęła na ekran i zobaczyła, że górna część jest zapisana.

- To ostatnia wiadomość od Susan? Alex zmarszczył brwi.

- Nie, wszystko skasowałem. - Przerażony pochylił się nad komputerem. - Widocznie wysłała nowy list, kiedy spałem. Jessie wbiła wzrok w ekran.

Zaczynam się denerwować. Chyba dotarłam do pewnych informacji, które nie były dla mnie przeznaczone. Zabierz mnie stąd. Spotkamy się w zatoczce po wschodniej stronie wyspy. Jest oznaczona bojami. Przy płyn tam o północy. Green? Mam nadzieję, że odbierzesz tę wiadomość. Muszę się stąd wydostać. Do zobaczenia. Nie zawiadamiaj policji. Tak się boję. Chcę uciec. Pomóż mi.

- Cholera jasna! - krzyknął Alex i zerwał się z krzesła.

- Musimy ją ratować.

- Oczywiście. - Jessie spojrzała na zegarek. - Ruszmy się stąd. Trzeba jakoś dotrzeć na wyspę i wynająć łódź. Pływałeś kiedyś łodzią?

- Nie. Szlag by to trafił. Powinniśmy poszukać kogoś, kto się na tym zna i w dodatku niczego nie wypaple. Jessie myślała chwilę.

- Mój kuzyn spędził kilka miesięcy na kutrze rybackim. Dałby sobie radę.

- Sądysz, że zechce nam pomóc?

- Tak mi się wydaje. Zaraz do niego zadzwonię.

- A potem zawiadam Hatcha - poprosił Alex.

- Dostanie szau, jak mu powiem, co planujemy. - Jessie skrzywiła się.

Nie pomyliła się.

Nie wiem, jak wam się udało wpakować mnie w taką kabałę - wściekał się Hatch. - Chyba całkiem mi odbiło pomstował.

David stał u steru i płynął z prądem w kierunku boi oznaczającej zatokę. Gęsto zalesiona wyspa wyglądała na tle gwiazdzistego nieba jak czarny kleks. Zbliżała się północ. Świecił księżyc, powietrze było rześkie, widoczność znakomita. Gdy podpłynęli do wyspy, David zwolnił przepustnicę. W siedzibie fundacji wciąż paliły się światła, a boja znajdowała się w miejscu wskazanym przez Susan. Od rezydencji dzielił ich dwudziestominutowy marsz. Może nawet dłuższy, biorąc pod uwagę ukształtowanie terenu.

Poranna rozmowa z Jessie wprawiła Hatcha w stan ogromnego niepokoju. Gdyby nie udało mu się zachować trzeźwości umysłu, pomyślałby, że sam posiadał nadzwyczajną umiejętność przewidywania przyszłości. Ale tak naprawdę tylko zdrowy rozsądek gwałtownie przypominał mu o swoim istnieniu.

- Nie mogliśmy wezwać policji - powiedział Alex, który siedział z tyłu, obok Jessie. - Obiecałem Susan dyskrecję. - Alex ma rację. Ona miała chyba powody sądzić, że to jeszcze pogorszy sprawę - wtrąciła Jessie. - Chciała tylko wydostać się z wyspy.

- W czym problem? - spytał spokojnie David, wpatrzony w wejście do zatoki.

- Cumujemy, zabieramy Susan i odpływamy. Małe piwo.

- Jeszcze się nie nauczyłeś, że jeśli cokolwiek może się nie udać, to na pewno się nie uda? - Hatch jęknął, słysząc nutkę podniecenia w jego głosie.

- Daj spokój - pocieszała Jessie. - Nie kracz. Załatwimy wszystko w minutę.

- Będę o tym pamiętał. - Hatch przyjrzał się jej uważniej. Cała czwórka miała na sobie ciemne

ubrania, ale ten strój prezentował się najlepiej na Jessie, która w czarnym swetrze i obcisłych dżinsach wyglądała jak seksowna mała włamywaczka. Hatchard zapragnął nagle, by dziewczyna znalazła się gdzieś daleko od wyspy, gdzieś, gdzie byłaby bezpieczna.

- Gotowi? - spytał David. - No to jazda!

- Nie. - Hatch wyteżył wzrok, usiłując wypatrzyć coś w ciemnościach. Przeczucie zbliżającego się niebezpieczeństwa dawało mu o sobie znać silniej niż kiedykolwiek. - Nie tutaj. To byłoby zbyt oczywiste. Przycumujmy gdzie indziej.

- Ale umówiliśmy się właśnie w tym miejscu - zaprotestował David.

- Wiem. - Hatch skinął głową. - Chciałbym jednak poszukać innej możliwości. Pójdziemy piechotą nad zatoczkę i sprawdzimy, czy ona rzeczywiście na nas czeka. - Tracimy tylko czas - zaproponował Alex wstając. Susan będzie zziębnięta i wystraszona. Musimy ją stąd wyciągnąć.

- Jeśli rzeczywiście tu przyjdzie, na pewno ją znajdziemy - zapewnił go Hatch. - Siadaj.

David wzruszył ramionami i łódź ruszyła gładko po czarnych wodach zatoki.

- Może tutaj? - zaproponował, wskazując ledwo widoczne zagłębienie. - Przycumujemy do skał i wrócimy pieszo nad zatokę. Łodzi stamtąd nie widać. Hatch przyjrzał się naturalnemu falochronowi utworzonemu przez kamienie.

- Dobra.

Spróbujmy.

Niedługo później łódź podskakiwała lekko nie opodal skał. Alex przycumował ją do brzegu.

- Gotowe, szefie - zameldował David Hatchowi.

Hatch zacisnął zęby. Najtrudniejszą część zadania mieli nadal przed sobą.

- Alex, David i ja pójdziemy po Susan. Ty przypilnujesz łodzi - powiedział do Jessie.

- W żadnym wypadku - zaprotestowała zgodnie z jego przewidywaniami. - Idziemy razem.

- Musisz tu czekać - przekonywał Hatch. - jeśli zdarzy się coś nieoczekiwanego, wezwiesz pomoc.

- Nic takiego nie nastąpi. Zabierzemy Susan i odpłyniemy.

- Według planu B ty zostajesz na łodzi - powiedział Hatch.

- Ale ja opracowałam plan A. Mam prawo uczestniczyć w jego realizacji. - Jessie spojrzała na pozostałych. - Idę z wami.

David zerknął przelotnie na Hacha i pokręcił głową. - On ma rację. Ktoś powinien tutaj czuwać.

- Fakt - zgodził się Alex. - Tak byłoby znacznie sensowniej.

- W takim razie niech któryś z was tu siedzi - odparła. - Nie chcecie mnie zabrać, bo jestem jedyną kobietą w towarzystwie. Nie przyjmuję tego do wiadomości. Haich wysiadł z łodzi.

- Tracimy tylko czas. Zostajesz. jeśli nie wrócimy za kwadrans, wezwiesz pomoc przez radio. - Nie potrafię obsługiwać radia.

- Naucz ją, Davidzie.

David udzielił Jessie zwięzłych instrukcji. Słuchała go z wyraźnym zniecierpliwieniem. Kiedy w końcu mruknęła, że rozumie, chłopak wyskoczył z łódki. Cała trójka stała w milczeniu na brzegu, wpatrując się w Jessie. Położyła ręce na biodrach i łypnęła na nich spod oka. - Przejęliście moje dochodzenie. To nie fair.

Hatch odczuwał wyrzuty sumienia nie dłużej niż dwie sekundy.

- Błogosławieni, którzy siedzą spokojnie i czekają - oświadczył, trawestując Biblię.

- Zmywajcie się stąd, zanim was wszystkich wyleję.

- Jasne. Już idziemy. - Hatch ruszył szybko naprzód, a pozostała dwójka natychmiast podążyła w jego

ślady.

Nocny wietrzyk szumiał im nad głową w gałęziach drzew. Fale odbijały się z pluskiem o skalisty brzeg. Te ciche odgłosy tłumiły ich kroki. Hatch zerknął za siebie, żeby się upewnić, czy Jessie pozostała na swoim miejscu. Niedługo później weszli na gęsto zalesiony teren, a łódź zniknęła im z oczu.

Droga nad zatoczkę nie zajęła im wiele czasu. Hatch wyciągnął rękę i nakazał pozostałym, by przystanęli w miejscu, gdzie las zaczynał się przerzedzać, po czym wskazał im kryjówkę wśród osłoniętych drzewami skał. Przykucnęli i - niewidoczni zza gałęzi i kamieni - zaczęli obserwować plażę.

Tuż przy brzegu zatrzymała się jakaś jasnowłosa postać ubrana w dżinsy i sweter, z teczką na wydruki pod pachą. Dziewczyna stała plecami do ukrytych za skałami mężczyzn i wpatrywała się w czarną toń.

- To ona - szepnął triumfalnie Alex. - Susani Chodź tutaj!

- Zamknij się - warknął Hatch i chciał złapać go za ramię, lecz Alex wymknął się zręcznie i podbiegł do dziewczyny.

Blondynka obróciła się. Na nosie miała okulary. Susan Attwood we własnej osobie. - Green? Czy to ty?

- Tak, ja. Green ... chciałem powiedzieć Alex.

- Robin, wracaj tu natychmiast do ciężkiej cholery - mruknął pod nosem Hatch, wiedząc, że i tak jest już za późno, żeby go powstrzymać.

- Chyba się zakochał - mruknął David. - Co za wzruszająca historia, prawda?

- Raczej czysty kretynizm. - Hatch zobaczył właśnie, że młodzi padają sobie w ramiona. - Obrazek jak z reklamy telewizyjnej. Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że Susan nie przyszła tu w towarzystwie.

- Zaraz, chyba nie sądzisz, że wpadliśmy w pułapkę?

- Skąd mam niby wiedzieć? Pracuję w branży metalowej. Nie jestem ekspertem od tego rodzaju spraw. - Hatch widział jednak wystarczająco dużo bójek, by wiedzieć, że ostrożność nigdy nie zawadzi.

Para na plaży zaczęła się całować. Hatch nie słyszał ich rozmowy, ale odczuł ogromną ulgę, gdy zobaczył, że Alex zaczyna prowadzić Susan w stronę drzew.

- Idą - szepnął David, chowając się głębiej za gałęziami. - Zaraz stąd zjeżdżamy.

W tej samej chwili zza drzew po drugiej stronie zatoki wychyłała jakaś postać. Trudno było się nie domyślić, jaki przedmiot kryje przybysz w wyciągniętej ręce. Rewolwer połyskiwał groźnie w świetle księżyca.

- Dosyć tego - oznajmił Rick Landis. - Ani kroku dalej.

- Cholera - szepnął Hatch. David zamarł z przerażenia.

- Chryste! Kto to jest? - spytał najciszej, jak potrafił.

- jeden z ludzi Brighta. Nazywa się Landis. Czuję, że to jakiś podejrzany typ. Dlaczego pozwoliłem wpakować się w taką kabałę?

- Pozbądź się wyrzutów sumienia. Jessie potrafi być bardzo przekonywująca.

- Tak, wiem. Chodź.

- Co zrobimy? Wezwiemy pomoc? - David poszedł w ślady Hacza, który tymczasem schronił się w lesie.

- Mam niemiłe przeczucie, że zanim sprowadzimy policję, nie zostanie tu ani śladu po Susan i Robinie.

- Więc co zamierzasz?

Hatch natychmiast podjął decyzję.

Pomysł jest prosty. To najkrótsza droga do rezydencji. Zaczekamy, aż tędy przejdą, a potem jeden z nas pobiegnie za Landisem i walnie go w łeb. David rozważał przez chwilę tę propozycję. - Który?

Hatch zmierzył swego towarzysza od stóp do głów i podjął kolejną decyzję.

- Ty trenowałeś karate.

- Kurczę! - David był jednocześnie podniecony i przerażony. - Ale nigdy z nikim naprawdę nie walczyłem.

- Umiesz wystarczająco dużo, żeby zwalić go z nóg?

- No ... tak. Oczywiście teoretycznie. W pewnych okolicznościach ... jak już mówiłem, nigdy nie miałem okazji walczyć.

- Tym razem też nie będziesz musiał. jeśli nie popełnimy błędu, Landis nawet się nie zorientuje, że chcesz go załatwić.

- A co ty będziesz robił?

- To, co umiem najlepiej. Przejmę nadzór nad akcją. Poza tym zamierzam wypatrywać Hoffmana. - Hoffmana?

- Hoffman w zasadzie nie różni się niczym od Landisa. Cicho.

- Chodźcie - mówił głośno Landis. - Ruszajcie się stąd. Nie mamy czasu do stracenia.

- Puść nas - prosiła Susan przez łzy. - Nic nikomu nie powiem. Przyrzekam. Chcę się tylko stąd wydostać.

- Trochę za późno, ty głupia suko. Powinnaś była zajmować się wprowadzaniem danych,- a nie węszyć po kątach.

- Proszę jej nie straszyć - powiedział gniewnie Alex, zasłaniając dziewczynę własną pierś.

- Nazywasz się Green, prawda? To ty jesteś tym hackerem. Nikt inny nie dostałby się do bazy danych. Bright martwił się, że narobisz kłopotów. Ale kiedy Susan zaczęła snuć plany ucieczki, domyśliliśmy się, że mamy do czynienia z amatorem.

Hatch modlił się w duchu, żeby Alex nie wspomniał o nich ani słowem.

- Co zamierzasz z nami zrobić? - spytał Robin.

Szef chce wam zadać kilka pytań. Najbezpieczniej byłoby powiedzieć, że nie będziemy już was potrzebować.

- Ani się waż tknąć Alexa - zawyła Susan. - On chciał mi tylko pomóc.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział uspokajająco Alex. - On nie zrobi krzywdy żadnemu z nas.

- Nie rozśmieszaj mnie - parsknął Landis. - Oboje macie przechlapane. Myślisz, dziecinko, że Bright zostawi cię przy życiu, po tym, co odkryłaś?

- Mówiłam ci, że nic nikomu nie powiem. Proszę cię, puść nas.

- Przestań pieprzyć i ruszaj się! Wracamy do domu! Hatch zerknął na Davida, podpowiadając mu bezgłośnie, żeby się przygotował. Robin, Susan i Landis zmierzali wolnym krokiem w stronę skał. Hatch zauważył, że Landis trzyma się blisko brzegu. Idąc w ten sposób, musieli przejść dokładnie pod ich kryjówką.

Hatch skinął na Davida i zniknął za drzewami. Wyczuwał, że chłopak się boi, ale jest jednocześnie całkowicie zdecydowany walczyć. David zamierzał wykonać zadanie, żeby się waliło i paliło. Kuzyn

Jessie nie był słabeuszem. David zaczekał, aż miną go Susan i Alex. W następnej chwili tuż pod nim znalazł się Landis, który - klnąc na czym świat stoi - odpychał od siebie kołyszące się gałęzie. Ringstead nie wahał się ani chwili dłużej. Skoczył ze skały. Rewolwer Landisa wypalił natychmiast. Strzał huknął donośniej niż grzmot. Po nim nastąpił głuchy odgłos upadku i zduszony krzyk. Zapadła cisza.

Hatch poczuł, że ma gęsią skórkę. Zerknął na prawo i zobaczył, że zza ciężkiej kotary gałęzi wyłania się jakaś postać. Hoffman. Pilot zachowywał się ostrożnie. Chciał najpierw zobaczyć, co się stało, a dopiero potem wkroczyć do akcji.

- Hatch!- zawołał David, a w jego głosie pobrzmiewała wyraźnie euforia zwycięskiego samca. - Mam go! Wszystko w porządku. Wyłaź! Załatwiłem sukinsyna!

Hoffman zamarł, ale nadal mierzył z rewolweru w stronę, z której dochodziły odgłosy. Najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że w lesie ktoś jest. Odwrócił się powoli i zaczął badać wzrokiem poszycie. Hatch zrozumiał natychmiast, że to jego jedyna szansa.

Hoffman patrzył bowiem w przeciwnym kierunku. Rzucił się zatem naprzód, natarł na umięśnione cielsko pilota i zadał mu potężny cios. Mężczyzna jęknął, upuścił broń i zrobił chwiejny krok do przodu, a wtedy Hatch uderzył go drugi raz. Hoffman zwalił się jak kłoda na wilgotną ziemię.

- Hatch? - David wychylił się zza drzew. - Nic ci się nie stało? Co się tu dzieje? - Na widok leżącego stanął jak wryty.

- Ten facet nazywa się Hoffman i jest kumplem Landisa. Prawdopodobnie obaj pracowali dla Brighta jako ochroniarze.

- Co z nimi zrobimy? - Spytał David, ostrożnie zerkając za siebie przez ramię.

- Zostawimy ich tutaj. Nie będę ich włókł do łodzi.

Szkoda fatygi. - Hatch podniósł rewolwer upuszczony przez Hoffmana. - Na dole wszystko gra?

- Tak. - W głosie Davida znów pojawiła się nutka podniecenia. - Załatwiłem go na amen.

Cholera, nie przypuszczałem, że to całe karate zdaje egzamin. - Chłopak napawał się wyraźnie własnym sukcesem.

Kiedy ruszyli w drogę powrotną, Hatch zdobył się na słaby uśmiech.

- Dobra robota. Możesz zawsze mnie osłaniać.

- Dzięki. - David uśmiechnął się od ucha do ucha. - W porządku. Umowa stoi. jestem w każdej chwili do dyspozycji.

- Wszystko gra? - spytał Alex, kiedy Hatch i David znaleźli się nad zatoką. Robin obejmował czule Susan, która szlochała cicho.

- Jasne. - Hatch wsadził sobie pistolet Hoffmana za pasek i wręczył broń Landisa Alexowi, który zrobił to samo. - Teraz wracamy na łódź. Szybko.

- Nie wiedziałam, że przyprowadziłeś przyjaciół - szepnęła Susan.

- Nie było czasu na rozmowy. Ten łajdak z bronią wyrósł zupełnie jak spod ziemi – odparł Alex.

- Powinnam się była domyślać, że wszystko zaplanowałeś – powiedziała Susan z podziwem. - Jesteś genialny. - Nic innego nie przyszło mi do głowy - wyjaśnił skromnie Robin.

David spojrział znacząco na Hatcha.

- Ten facet naprawdę się zakochał - mruknął.

- Znasz się na takich sprawach. Ale teraz chodu. - Hatch zdał sobie sprawę, że uczucie niepokoju wcale go nie opuściło. Przeciwnie, w ciągu ostatnich paru minut nawet się wzmogło.

Przysiągł sobie w duchu, że nigdy więcej nie ulegnie żadnym namowom Jessie. Ta kobieta stanowiła zagrożenie dla siebie i innych. Należało ją naprawdę krótko trzymać i Hatch zamierzał tak właśnie postąpić.

Gdy szedł wraz z innymi w stronę łodzi, to postanowienie wciąż mu towarzyszyło. W niecałe pięć minut później, gdy wyszli zza drzew na kamienistą plażę, znajomy kobiecy głos wdarł się nagle w ciszę nocy.

- Nie podchodźcie! - wrzasnęła Jessie. - On ma broń! Ale było za późno. Alex, Susan i David wyszli już na otwartą przestrzeń. jedynie Hatch wciąż chronił się za drzewami i stamtąd obserwował scenę rozgrywającą się właśnie na brzegu.

Jessie stała bezradnie na pokładzie kołyszącej się łodzi, a Edwin Bright trzymał ją jedną ręką za gardło. Drugą przystawiał jej lufę do skroni.

- Wolałbym, żeby twoi przyjaciele zbliżyli się nieco, kochanie - powiedział głośno Bright.

Rozdział 15

Gdzie jest Landis i Hoffman? - zawołał.

- Zostawiliśmy ich w lesie - zadziwiająco spokojnie odparł David.

- Kim jesteś? - spytał niecierpliwie Bright.

- Przyjacielem Jessie.

- Nazywasz się Hatchard? David nie odpowiedział.

- Gadaj! - ryknął Bright - bo rozwalę jej łeb.

- Nie - odparł w końcu David, rezygnując z dalszych wyjaśnień.

- Do jasnej cholery, gdzie jest Hatchard? ryknął Bright. - Wiem, że on to wszystko wymyślił.

Gdzie on, u diabła, jest?

- Nie żyje - powiedział szybko David. - Landis go załatwił. Nie słyszeliście strzału?

- Nie żyje? - Krzyk Jessie przeszył powietrze.

- Nie, to nieprawda! Wiedziałabym, gdyby nie żył!

- Dziewczyna szarpnęła się szaleńczo do przodu, a potem w bok, co przy kołyszącej się łodzi całkowicie wystarczyło, by zarówno ona sama, jak i Bright, stracili równowagę.

- Uważaj, suko! - wrzasnął Bright, ale było już za późno. Ratując się przed wypadnięciem za burtę, wypuścił Jessie z uścisku.

Dziewczyna straciła równowagę i upadła do tyłu z szeroko rozłożonymi ramionami. Bright chciał ją chwycić za rękę, ale nie zdołał. Wypadając za burtę, Jessie zahaczyła go za szyję i pociągnęła za sobą.

Gdy wpadli do lodowato zimnej wody, Jessie krzyknęła głośno, a Bright zaczął kłąć, na czym świat stoi. Hatch wybiegł jak szalony zza drzew, mijając pozostałych, którzy patrzyli z niedowierzaniem na rozgrywającą się przed nimi scenę. Popędził na złamanie karku skalistym nabrzeżem, dopadł do łodzi i wychylił się przez burtę.

- Jessie!

Jessie podskakiwała na falach, mokre włosy przykleiły się jej do czaszki jak plaster. Odgarnęła grzywkę z czoła i popatrzyła na Hacha z promiennym uśmiechem.

- Wiedziałam, że żyjesz.

Bright, zanurzony po uszy w wodzie, z trudem chwycił powietrze, ale Hatch zignorował go całkowicie. Nachylił się, pochwycił Jessie za rękę i wciągnął ją do łodzi.

- Ta woda jest cholernie zimna - powiedział Alex, wchodząc na pokład. - Zabiłaby człowieka w czasie krótszym niż pół godziny. Okryjcie ją czymś.

- On ma rację. - David wskoczył do łódki i otworzył szafkę. Wyciągnął z niej koce. - Jessie, ściągnij ubranie i opatul się dokładnie. Wszystko będzie dobrze. Byłaś w morzu zaledwie parę minut.

Jessie przytaknęła i zadrżała gwałtownie.

- Boże, umieram z zimna. - Chwyciła koc, owinęła się nim i zaczęła ściągać dzinsy.

- Do jasnej cholery, pomóżcie mi - wrzasnął Bright, ale ponieważ nikt nie reagował, zaczął płynąć do brzegu.

Plusk zwrócił uwagę Hacha.

- Odcumuj łódź, Davidzie. Płynmy między Brightem a plażą. Chcę z nim pogadać.

David uniósł brwi, ale się nie odezwał. Przy pomocy Alexa natychmiast odwiązał łódź i zaczął dryfować wzdłuż brzegu, blokując Brightowi ucieczkę z lodowato zimnej wody.

- Nie wolno wam tego robić! - ryknął Bright. - Wyciągnijcie mnie stąd, bo zamarznę! Hatch oparł rękę o burtę i zerknął na Brighta. - Właściwie nie widzę w tym nic złego.

- Zwariowałeś? Chcesz mnie zabić? Ty wiesz, ilu ludzi umarło tu na hipotermię? - wrzasnął Bright.

- On ma rację - potwierdziła Jessie. - Aż trudno uwierzyć, jak to szybko idzie. Wystarczy parę minut w wodzie, potem chwila na tym zimnie i koniec. A on już dosyć długo tu tkwi.

Hatch zerknął na Alexa.

- Sądysz, że mógłby sam bezpiecznie wrócić do domu? Alex zrobił zatroskaną minę.

- Wątpię. Temperatura nie przekracza pięciu stopni, a droga do rezydencji zabiera jakieś dwadzieścia minut. On przebywa w wodzie na tyle długo, że proces hipotermii na pewno już się rozpoczął. Tak, myślę, że ma niewielkie szanse.

- Nie możecie ... - Bright jęknął w panice.

- Płyn do brzegu - rozkazał Hatch. - Będę tam czekał na ciebie z kocem. Jeśli odpowiesz mi na parę pytań, zostawię ci koc. jeżeli nie, zabiorę go i odejdę.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że byłby to właściwie wyrok śmierci. Bright również zdawał sobie sprawę z sytuacji, więc zaczął płynąć w kierunku brzegu.

Hatch wziął koc i zeskoczył z łodzi na skały. - Zaczekajcie tutaj - nakazał pozostałym.

Nie pospieszył jednak od razu Brightowi na ratunek. Gdy dotarł na miejsce, Bright był już na plaży - kurczył się z zimna i wstrząsały nim dreszcze.

Wypadając z łódki, zgubił okulary i przyglądał się Hatchowi przymrużonymi oczami. - Dawaj koc! - syknął Bright.

Hatch cofnął się o parę kroków.

- Najpierw opowiedz mi trochę o swoich interesach. Bright otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Kim ty właściwie jesteś? Gliną? Co się stało z Hoffmanem i Landisem?

- Wypadli z gry. Gadaj! Bez tego koca nie dasz rady wrócić do domu.

- Odpieprz się!

- Z największą przyjemnością. - Hatch odwrócił się i ruszył w stronę łodzi.

- Zaczekaj, draniu - wyjąkał Bright, szczękając zębami. - Nie możesz mnie tak zostawić.

Hatch zerknął na niego przez ramię. - Niby dlaczego?

- Bo mogę tu zdechnąć, do cholery!

- To twój problem.

Bright wybałuszył na niego oczy.

- Kurwa! Co się dzieje? Ty musisz być łapsem. Wynajęła cię matka dziewczyny, prawda? - Nie. Jestem biznesmenem.

- Biznesmen. Akurat! Kto cię wynajął?

- Pamiętasz kobietę, której przystawiałeś przed chwilą lufę do skroni?

- Co z nią? - warknął Bright.

- Można powiedzieć, że zrobiłem to dla niej. Mam zamiar się z nią ożenić. - Niech to szlag!

- Teraz być może rozumiesz, dlaczego nie odczuwam żadnych skrupułów moralnych z powodu twojego ewentualnego zamknięcia. - Hatch odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę łodzi.

- Stój! Zabierz mnie! - Bright pokuśtykał naprzód. - Musisz mi pomóc. Zamarnę na śmierć.

Hatchard przystanął i namyślał się przez chwilę, ale w końcu pokręcił głową.

- Nie, nie warto. Gdybym miał gwarancję, że porozmawiasz z odpowiednimi władzami, pewnie bym się zgodził. Ale głowę daję, że nabierzesz wody w usta.

- Zaczekaj, draniu. Będę zeznawał. Hatch pomachał mu kocem przed nosem.

- Udowodnij. Opowiedz mi coś naprawdę ciekawego.

- Na przykład?

- Na przykład coś o tym banku, z którego usług korzystasz. Zdradź, co się dzieje z forszą. Wy tłumacz, jak robisz te przekręty. Chodzi o właśnie takie drobiazgi. Przekonaj mnie. I dostarcz mi dowodów.

Edwin Bright łypał na niego ponuro w świetle księżyca. Nagle wstrząsnął nim jeszcze jeden gwałtowny dreszcz.

Bez słowa sięgnął do kieszeni, wyjął z niej ociekający wodą portfel i wręczył go Hatchowi.

- Tu są numery kont - wyjąkał, szczękając zębami. I klucz do sejfu w rezydencji.

- To brzmi obiecująco. - Hatch podał mu koc i zaczął przeglądać portfel. Bright okrył się kocem.

Zaczął ściągać ubranie.

- Miałem rację, prawda? Jesteś zawodowcem. Pracujesz dla rządu czy prywatnie?
- Prywatnie. jak najbardziej prywatnie. - Hatch znalazł listę, klucz i jeszcze parę interesujących rzeczy.
- Powiedz mi coś jeszcze. Czy to któryś z was włamał się do biura pani Valentine?

Bright zdjął spodnie.

- Tak. Wiedzieliśmy, że matka Susan wynajęła tę cholerną wróżkę, żeby znalazła jej córkę. Chcieliśmy się przekonać, co ona wie.
- Jeden z twoich goryli włamał się również do samochodu, kiedy skończyliśmy zwiedzanie.
- Nie wiedzieliśmy, jaką rolę odgrywasz w tej sprawie. Musieliśmy to ustalić. Dlatego przeszukaliśmy Mercedesa. Słuchaj. Narznęliśmy tylko paru frajerów. Nikomu nie stała się krzywda.
- Na pewno?
- Oczywiście. Staralem się unikać zbędnych kłopotów. Zainwestowałem masę forsy w to przedsięwzięcie. już zresztą wyciąłem podobny numer na Wschodzie i zbiłem majątek. Należy tylko szybko działać. Najpierw trzeba znaleźć odpowiednie miejsce, zwabić paru studentów do obsługi komputerów i telefonów, a potem od razu zacząć przedstawienie.

Zabieramy się energicznie do pracy i czekamy na forszę. Nigdzie nie zagrzewam długo miejsca. Dwa czy trzy miesiące to wystarczająco długo, żeby się ustawić i zlizać śmietankę.

- Dlaczego próbowaliście tutaj?
- Przecież każde dziecko wie, że Północny Wschód ma świra na punkcie środowiska. Poza tym pewna staruszka, która ofiarowała naszej fundacji sto tysięcy dolarów, zmarła i dołożyła nam w spadku tę wyspę. Trudno było przegapić taką okazję. Chciałem wszystko sprzedać, wyrzucić te dzieciaki i poszukać sobie innej mety.

Hatch skinął głową. - Cóż, rozumiem.

- Zaczekaj. Musisz mnie zabrać. Nie dojdę sam do domu. Mimo tego koca przemarzłem na kość. Powinienem się napić czegoś gorącego.
- Dobrze. jeśli uda ci się dojść do łódki, możesz płynąć z nami. Ale nie radzę ci straszyć Susan, bo wylądujesz za burtą. Ryby nawet nie zauważą kolejnej dawki odpadków toksycznych.
- To miał być dowcip? - spytał Bright przez zaciśnięte zęby.
- Nie, nie mam poczucia humoru. Zapytaj, kogo chcesz.
- Cholera, wiedziałem, że jesteś łapsem.

Jessie wpadła w euforię. Cała przygoda zakończyła się ogromnym sukcesem i dziewczyna chciała koniecznie opowiedzieć wszystko pani Valentine.

Policja spisała zeznania i wysłała na wyspę łódź patrolową. Bright przebywał pod strażą w lokalnym szpitalu. Miał lekkie objawy hipotermii. Żądał rozmowy z prawnikiem. Wydruk komputerowy, jaki zabrała ze sobą Susan Attwood, oraz lista kont i klucz znalazły się w rękach policji. Susan zatelefonowała z komisariatu do swojej matki. Pani Attwood tonęła we łzach ulgi. Wyjaśniła, że mężczyzna, którego opis pasował do Hoffmana, zagroził jej, że Susan zniknie na zawsze, jeśli nie odwoła dochodzenia.

Jessie przygotowała się już psychicznie do rozmowy z panią Valentine. Wiedziała, że szefowa będzie zachwycona takim obrotem sprawy. A Psychotroniczne Konsultacje Pani Valentine zdobędą rozgłos, sławę ... i wielu klientów, kiedy tylko ta historia przedostanie się na pierwsze strony gazet.

Ale teraz należało świętować. Jessie usiadła po turecku na środku łóżka i patrzyła rozjaśnionym z

radości wzrokiem na swoich współników. Był to ten sam pokój, w którym Jessie nocowała z Hatchem podczas ich pierwszej wizyty na wyspie. Z kilku otwartych puszek tryskały bąbelki; z rąk do rąk podawano sobie torebki z chipsami. Zabawa trwała na całego.

- Chciałabym wam bardzo podziękować za wszystko, co zrobiliście - powiedziała Jessie. - Nasza firma jest wam niezmiernie zobowiązana. - Uniosła szklanę z colą w stronę Robina. - Najpierw wypijemy zdrowie Alexa, który włamał się do komputera i nawiązał kontakt z Susan.

- Zdrowie Alexa! - powiedział uroczyście David.

- Zdrowie Alexa! - Susan Attwood zerknęła na Robina i zarumieniła się, jakby ujrzała przed sobą drugie wcielenie Alberta Einsteina. Hatch rozsiadł się na krześle przyoknie, pociągnął łyk coli i skinął głową.

- Świetna robota, chłopie.

- Dzięki. Nie zrobiłem nic nadzwyczajnego. - Alex zaczerwienił się trochę ze wstydu, trochę z dumy. Wpatrywał się nieustannie w zachwycone oczy Susan. - Jeśli jeszcze kiedyś będziesz potrzebowała pomocy, Jessie, chętnie służyć.

- Wielkie dzięki. - Jessie uśmiechnęła się do niego z sympatią i uniosła szklanę w kierunku Davida.

- Zdrowie Davida, który udowodnił, że jest niezwykle rzadko spotykanym osobnikiem: filozofem oraz człowiekiem czynu w jednej osobie. Zupełnie jak ludzie Renesansu.

- Nie przesadzaj - mruknął David i spłonił się równie mocno jak Alex. Uśmiechał się jednak od ucha do ucha.

- Zdrowie Davida - powtórzył Alex. - Jestem ci winien jednego za to, co zrobiłeś temu facetowi, który trzymał Susan na muszce.

- Tak - odparła Susan wstydliwie. - Dziękuję ci. Byłeś prawie tak wspaniały jak Alex.

Hatch wypił kolejny łyk coli.

- Mówiłem ci, Ringstead, że nie potrzebujesz pomocników. Sam nadajesz się świetnie do brudnej roboty.

David spojrzał na niego uważnie. - Ty również.

- Zdrowie Susan - ciągnęła Jessie - która uciekła bohatersko z wyspy wraz z dowodami obciążającymi Brighta. - Za Susan. - David podniósł szklanę.

Hatch schrupał chipsa i spojrzał na dziewczynę z aprobatą.

- Zabranie tego wydruku było naprawdę genialnym pomysłem. Dostarczyłaś policji niezbitych dowodów. - Szkoda tylko, że tak łatwo dałam się nabrać.

Alex dotknął jej ręki.

- Nie powinnaś robić sobie wyrzutów. Miałaś najlepsze intencje.

- Inni też byli niewinni. - Susan rozejrzała się trwożliwie po pokoju. - Oni tylko obsługiwali telefony i komputery. Wszyscy wierzyliśmy Brightowi. Sądziliśmy, że nie zyskał poparcia władz, bo jego prognozy są zbyt alarmistyczne. A wiecie przecież, w jaki sposób rząd traktuje złe wiadomości.

- Nikt nie chce słuchać złowieszczych przepowiedni - zgodził się David. - Łatwiej zabić zwiastuna kłęski, niż zaradzić niebezpieczeństwu. Susan skinęła smutno głową.

- Byliśmy pewni, że mamy do czynienia z prawdziwym problemem. Nie wątpiliśmy w oceny Brighta i uważaliśmy, że pieniądze są niezbędne, by zrealizować jego plan. Ja nabrałam pewnych obiekcji dopiero wtedy, gdy zadzwonił Alex i wskazał mi pewne anomalie w danych. Zaczęłam szperać, natknęłam się na wzmianki dotyczące działalności Brighta na Wschodzie, a wtedy od razu się domyśliłam, że coś nie gra.

- Nie martw się o innych - powiedział Hatch. - Policja zainteresuje się najprawdopodobniej tylko Brightem. Na szczęście ludzie, których udało mu się zwerbować, przywiązują największą wagę do wiarygodności danych. Jeśli wskaże im się jakaś nieścisłość, będą potrafili dotrzeć do prawdy. Nie będą ślepo słuchać Brighta, jakby był jakimś guru. Dla nich najistotniejsze są fakty.

Susan skinęła głową.

- Sądzę, że to prawda. Edwin Bright posiada charyzmę, ale ci członkowie JUN, których znam, potrzebują dowodów, by uwierzyć w jakąkolwiek teorię.

- Nie wszyscy jednak zostali nabrani - powiedział Hatch. Niektórzy pracowali dla niego dla pieniędzy. Ot, choćby Landis czy Hoffman. Trudno byłoby ich zaliczyć do grona niewiniątek. David spojrzał na niego ostro.

- Sądziś, że Bright zatrudnia więcej takich goryli? Hatch wzruszył ramionami.

- Skąd niby mam wiedzieć? Jestem biznesmenem, a nie detektywem. Ale szło o dużą stawkę. Jeśli Bright miał tych dwóch na liście płac, niewykluczone, że byli i inni. Susan zmarszczyła brwi.

- Ja w każdym razie nikogo takiego nie widziałam.

- To bardzo pokrzepiająca wiadomość - powiedział Hatch, przełknąwszy kolejny łyk coli.

- Jestem pewien, że policja da sobie świetnie radę odezwała się Jessie, nie patrząc mu w oczy. - A teraz proszę o chwilę uwagi - ciągnęła, stukając paznokciem o brzeg szklanki. - Zanim zakończymy naszą uroczystość, pragnę wnieść jeszcze jeden toast Wypijmy zdrowie Hacha. Bez jego nie słabnącego zapału oraz imponujących talentów przywódczych nigdy nie zdołalibyśmy uwieńczyć sukcesem naszej szlachetnej misji.

W pokoju zagrzmiało od oklasków i wiwatów.

- Nie zapomnij o mojej karcie kredytowej - dodał Hatch. - Bo tylko dzięki niej udało ci się wynająć łódkę w środku nocy.

- Za kartę kredytową Hacha - powiedziała posłusznie Jessie. Hatch żartował. Była pewna, że żartuje. To musiał być żart.

- Za kartę kredytową Hacha.

- Za złotą kartę Hacha.

Hatch spojrzał prosto w jej rozradowane oczy i uśmiechnął się spokojnie.

- Jeszcze jeden toast - zaproponował cicho. - Za Jessie, która zgodzi się mnie poślubić. Prawda, Jessie?

W pokoju zapanowała cisza jak makiem zasiał. Jessie zamarła w bezruchu ze szklanką coli w ręku. Nie mogła oderwać wzroku od Hacha. Kochała go. A on naraził się dla niej na takie niebezpieczeństwo. Nie zrobiłby tego, gdyby tak mu na niej nie zależało. Wzięła głęboki oddech.

- Prawda - odparła.

Tym razem aplauz był tak gorący, że zatrzęsły się obrazki na ścianach i brzęknęły szklanki. Alex i David wiwatowali głośno, a Hatch spojrzał na dziewczynę z ogromną satysfakcją.

- Najwyższy czas - powiedział cicho. Nagle usłyszeli głośne walenie w ścianę.

- Rany boskie! - wrzasnął ktoś z pokoju obok. - Uspokójcie się wreszcie! Chcemy spać!

Hatch jęknął, przymknął oczy i zagłębił się w fotelu. Jessie uśmiechnęła się.

- Hatch już kiedyś o mało co stąd nie wyleciał - wyjaśniła pozostałym. - Chyba nie przyjedziemy tu na miesiąc miodowy, prawda? Przypuszczam, że byłoby to dla ciebie zbyt krepujące.

- Nigdy nie brałem pod uwagę takiej możliwości - mruknął Hatch, nie otwierając oczu. - Przecież tu nawet nie ma telefonu! Nie mógłbym prowadzić interesów, podłączyć modemu, obsługiwać faksu.

Więc jak bym tu funkcjonował?

Jessie rzuciła w niego poduszką, a inni wybuchnęli gromkim śmiechem. Dużo później Jessie wyszła z łazienki i zobaczyła, że Hatch już się położył i zgasił światło. Widziała, że czeka na nią w półmroku - jego szeroki, opalony tors odcinał się wyraźnie od bieli poduszki. W oczach mężczyzny kryło się oczekiwanie przyprawiające ją o dreszcz. Zaczęła iść nieśmiało w jego kierunku. Zostali sami po raz pierwszy od chwili, gdy Jessie zgodziła się go poślubić.

- Co się stało? - zapytał głębokim, niskim głosem. Strach cię obleciał?

- Oczywiście że nie. Czego miałabym się bać? - W tej samej chwili Jessie zahaczyła dużym palcem od nogi o krzesło, potknęła się i upadła na łóżko. Boleśnie upokorzona, ukryła twarz w poduszce. -

Dobry Boże! jak mogę poślubić człowieka, przy którym staję się chodzącą katastrofą?

- Tak samo jak ja mogę ożenić się z kobietą, przez którą latam w nocy po lesie i bawię się w chowanego ze snajperami.

Jessie usiłowała bezskutecznie powstrzymać uśmiech. - Żartujesz. Wiem, że żartujesz.

- Ależ skąd. Mówię całkiem poważnie. Właściwie nigdy w życiu nie powiedziałem nic bardziej serio. - Hatch przyciągnął ją bliżej do siebie. - Jesteśmy oficjalnie zaręczeni - powiedział, gładząc jej włosy.

- Tak - wyszeptała drżącymi wargami. Ogarnęła ją nagła silna emocja. - Kocham cię, Hatch.

- Cieszę się. - Zakrył wargami jej usta i wgniótł ją w pościel. - Chcę, żebyś mnie kochała.

Bardzo, bardzo chcę - wyszeptał między pocałunkami. Po raz drugi tej nocy Jessie czuła, że wpada w głęboką toń. Ale tym razem woda była ciepła. Dziewczyna objęła mocno Hacha i uległa czarowi miłości - niezdolna myśleć o przeszłości ani o przyszłości. Pragnęła jedynie dawać rozkosz i otrzymywać ją w zamian. Na chwilę uchyliła powieki, gdy poczuła, że Hatch przesuwając dłoń w dół jej ciała i unosi skraj koszuli nocnej. W chwilę potem jego palce znalazły bez trudu owe miejsce po wewnętrznej stronie ud dziewczyny, a ona wstrzymała oddech. Hatch powędrował dłoń wyżej i wsunął palce w wilgotne wnętrze. Jessie uniosła się lekko, wydając cichy okrzyk rozkoszy.

- Dotknij mnie. - Jęknął. - Tak, tutaj. Pieść mnie. Tak. Obiegła palcami jego członek i poczuła, jak bardzo jest podniecony.

- Zaczekaj. - Westchnął głęboko, odsunął się od niej i sięgnął po coś leżącego na stoliku nocnym. - Chwileczkę. Gdzieś to mam.

Otworzyła na chwilę oczy - na twarzy Hacha malowała się nieposkromiona żądza.

- Mówiłeś, że pragniesz dzieci? - spytała, gładząc delikatnie jego policzek.

- Tak, a niech mnie ... tak. Jesteś pewna?

- Najzupełniej. Sądzę, że z czasem staniesz się bardzo dobrym ojcem.

Przestał szukać prezerwatywy i popchnął Jessie na łóżko. Rozgniół ustami jej wargi i wszedł gwałtownie w jej gorące wnętrze.

Hatch czuwał jeszcze długo potem, gdy Jessie zasnęła w jego ramionach. Z ręką pod głową studiował plamy na suficie i myślał o przyszłości.

Sytuacja nie wydawała mu się jeszcze całkiem jasna, choć Jessie sądziła, że sprawy zostały zapięte na ostatni guzik. Ale on rozumiał, że nadal grozi mu pewne niebezpieczeństwo. Potrafił jednak dokonywać bilansu zysków i strat. Wiedział, kiedy należy podjąć ryzyko. Nauczył się stosować tę zasadę zarówno w interesach, jak i w życiu prywatnym.

Związek z *Benedict Fasteners* cementował jego przyszłość z Jessie. Hatch niczego w tej sprawie nie zaniedbał. Jessie była szalenie oddana rodzinie, a on wkrótce miał wejść w jej skład. Mógł być

pewien, że panuje nad sytuacją, dopóki dziewczyna nie będzie musiała wybierać pomiędzy nim a resztą klanu Benedictów.

Nie chciał, by znalazła się kiedykolwiek w takiej sytuacji. Nawet nie próbował się oszukiwać. Zdawał sobie sprawę, że w razie czego wybór nie byłby dla niego korzystny. Jessie zawsze stawiała rodzinę na pierwszym miejscu. Rodzinę scalała firma. Kluczem do sukcesu stało się zatem przejęcie kontroli nad przedsiębiorstwem.

Hatch długo rozważał wszystkie możliwe aspekty tego problemu. Nie znosił życia w nieustannym zawieszaniu. Nie po raz pierwszy zresztą zastanawiał się, jak uwolnić dziewczynę od odpowiedzialności. A on nie czuł się bezpieczny, dopóki na Jessie spoczywał obowiązek pilnowania interesów rodziny.

Jeszcze raz przemyślał plan, nad którym pracował przez ostatnie parę dni. Nadszedł czas, by wprowadzić go w życie. Oczywiście pociągało to za sobą pewne ryzyko, ale Hatch sądził, że nie jest ono zbyt duże. Z każdym dniem przejmował coraz pełniejszą kontrolę nad przedsiębiorstwem i swym związkiem z Jessie. Był coraz bardziej przekonany, że Vincent Benedict darzy go pełnym zaufaniem. Wiedział, że nadszedł czas, by zrobić ostateczny ruch w tej grze o wielką stawkę, którą stała się cała jego przyszłość. Kiedy Jessie poruszyła się po raz pierwszy w zmiętej pościeli, już prawie świtało. Prostując ramię, uderzyła w coś twardego.

- Auuu - jęknął Hatch.

- Przepraszam. - Jessie usiadła na łóżku i popatrzyła na niego troskliwie. - Boli?

- Chyba przeżyję. Cholera. już jest rano?

- Niestety tak. Ale nie martw się. Zostało nam jeszcze sporo czasu.

Tamci nieprędko zwloką się z łóżek.

- To dobrze. Bardzo potrzebuję snu. Miałem ciężką noc. Zaśmiała się.

- Tak, wiem.

- Mówiłem dosłownie - odparł z obrażoną miną.

- Ja również.

- Dla porządku chciałbym jeszcze dodać, że nikt nie zlecił mi do tej pory równie upiornej roboty.

Dobrze by było, gdybyś o tym pamiętała, zanim następnym razem zaczniesz narzekać, że spóźniam się do domu.

- Zaraz, chwileczkę ...

- Daj spokój. Nie chcę ciągnąć tej rozmowy. Zmieńmy temat.

- Na jaki?

- Pogadajmy o naszych zaręczynach.

- A tak konkretniej?

- Wydaje mi się, że zaangażowałaś się w tę sprawę całym sercem - powiedział ostrożnie. - Nawet nie chciałaś żadnego zabezpieczenia.

- Masz mi to za złe?

- Och, nie. Dobry Boże, nie. - Przyciągnął ją do piersi. - Wiem, że miałaś wątpliwości co do naszego małżeństwa, ale obiecuję ci, że nie pożałujesz. - Już ja cię dopilnuję.

- Tak. Będiesz mi ciosać kołki na głowie - powiedział z ponurym uśmiechem.

- No pewnie. - Ułożyła się wygodniej. - Hatch?

- Tak? - Odgarnął jej włosy za uszy.

- Myślałam o Davidzie.

- I co?
 - On jest jakiś inny. Czuję to.
 - Twoja słynna intuicja znów dała o sobie znać? – Hatch uśmiechnął się przelotnie.
 - Tak mi się wydaje - odparła zupełnie poważnie. - Masz w tym swój udział, prawda? - Ja?
 - Przydzieliłeś mu bardzo ważne zadanie.
 - Nie. David wykonał bardzo ważne zadanie.
 - Przecież nie on jeden w tym towarzystwie umie się bić - powiedziała łagodnie Jessie.
 - David musiał się sprawdzić. Od dziecka bezustannie popisывał się przed Vincentem. Ale człowiek dorasta dopiero wówczas, gdy zdaje sobie sprawę, że jedyną osobą, której powinien coś udowodnić, jest on sam. Ja tylko stworzyłem mu taką sytuację. I dobrze się stało, bo odkrylibyśmy obecność Hoffmana o wiele za późno.
 - Zdaje się, że dużo o tym myślałeś.
 - Więc chyba jesteś zadowolona, prawda? Ale myślałem o czymś jeszcze o wiele poważniej.
 - Tak? - Jessie przekrzywiła głowę z zainteresowaniem, ponieważ w głosie Hacha pojawiła się jakaś zupełnie nowa nuta.
 - Uważam, że powinnaś zrezygnować z tej pracy.
 - Co? - Jessie zerwała się z łóżka i spojrzała z góry na Hacha. - Oszalałeś? Nigdy nie dostanę lepszej posady.
 - Nie chcę, żebyś się angażowała w takie akcje. - Hatch usiadł i postawił nogi na podłodze. - Kiedy cała ta historia przedostanie się do prasy, ludzie zaczną walić do was stadami. A ty będziesz chciała uratować wszystkich. Co do jednego. Nie życzę sobie, żebyś się narażała na takie niebezpieczeństwo.
 - To była wyjątkowa sprawa. Zupełny fuks.
 - Dobra, dobra. Z czasem przekonasz się, że całe życie składa się z fuksów. Naprawdę nie chcę już o tym dyskutować.
 - Wspaniale się składa, bo ja również nie mam ochoty. - Obróciwszy się na pięcie, wparowała do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi.
- Pół godziny później zeszli na dół, aby dołączyć do reszty towarzystwa. W jadalni pachniało kawą, naleśnikami i jajkami na bekonie. Alex, Susan i David zajęli już jeden z największych stolików.
- Mhmm... - mruknął David, nie odrywając oczu od twarzy Jessie. - Wyczuwam jakąś wojnę na górze.
 - Jessie nigdy się nie liczyła ze swoimi zwierzchnikami - powiedział Hatch. Usiadł i zaczął przeglądać kartę.
 - Jemu chodzi o to, że nie znoszę, gdy ktoś mi rozkazuje - odparła, patrząc na niego krzywo.
 - Przyzwyczaj się - skostatował pogodnie Hatch.

Rozdział 16

Więc kochasz go czy nie? - Elisabeth przechyliła się przez barierkę, wpatrując się w ciemnozieloną toń zatoki. Na falach podskakiwały mewy, wybierając frytki i inne resztki jedzenia z pływających na wodzie plastikowych talerzyków i tacek.

Tego popołudnia w sklepach, restauracjach i akwarium na nabrzeżu nie było tłumów. Oprócz Elisabeth i Jessie po promenadzie spacerowało zaledwie kilku turystów, a w stronę parku biegło paru amatorów joggingu.

- Oczywiście że tak. Nie wyszłabym za niego za męża, gdybym go nie kochała.

- Jessie popatrzyła ze zmarszczonymi brwiami na śmieci szpecące piękną zatokę.

- Mogłabyś tak zrobić, ponieważ wszyscy w rodzinie bardzo pragną waszego małżeństwa. - To byłoby jednak zbyt duże poświęcenie, nie sądzisz?

- Ciocia Glenna twierdzi, że czasem ludzie są skłonni popełnić szaleństwo, byle tylko zadowolić swoich bliskich.

- Ja nie - zapewniła ją Jessie. - Nie martw się o mnie.

Nie podjęłam tej decyzji ze względu na mamę czy ciebie. Brałam pod uwagę tylko swoje uczucia. W szklach Elisabeth zabłysło słońce. Na jej delikatnej buzi malował się wyraz prawdziwej troski. - Na pewno?

- Oczywiście.

- Dlaczego zmieniłaś zdanie na temat Hatcha? Mówiłaś, że nigdy za niego nie wyjdiesz. - Nie znałam go wtedy tak dobrze. Elisabeth skinęła głową.

- Doszłaś do wniosku, że jednak nie jest podobny do taty?

Jessie uśmiechnęła się do siebie.

- Na pewno nie jest. Nigdy nie znałam nikogo takiego.

- Cóż, jeśli rzeczywiście wiesz, co robisz, myślę, że nie muszę się martwić. - Elisabeth odsunęła się od barierki. Chcesz teraz pooglądać ryby?

- Pewnie!

- Nie tęsknisz za pracą w akwarium?

- Zupełnie nie. Było mi przykro, że zabija się zwyczajne ryby tylko po to, żeby nakarmić nimi te wszystkie egzotyczne cudaki. Co za straszna niesprawiedliwość, prawda?

- Wyrzucili cię, bo chciałaś ratować te pospolite rybki przed śmiercią, prawda?

- Wybrałam sobie po prostu zupełnie niewłaściwe zajęcie.

- I sądzisz, że teraz znalazłaś coś lepszego? Mama ma nadzieję, że po ślubie z Hatchem wreszcie się ustatkujesz i dostaniesz naprawdę odpowiednią posadę.

Jessie natychmiast przypomniała się kłótnia z Hatchem. Po powrocie z San Juan nie wspomnieli już ani słowem na ten temat, ale ona i tak wiedziała, że Hatch nie da jej spokoju.

- Nie wiem, dlaczego wszyscy mają mi za złe pracę u pani Valentine - mruknęła Jessie. - Przecież wreszcie mogę zrobić karierę. Kiedy sprawa Susan trafi do prasy, interes ruszy pełną parą.

- Skończyłaś już sprawozdanie?

- Nie. Wciąż nad nim pracuję. Chcę, żeby naprawdę robiło wrażenie. Dzięki tej aferze z sektą firma zacznie świetnie prosperować. Muszę zyskać uznanie w oczach szefowej, a także zwrócić jej uwagę na nowe możliwości działania.

Elisabeth zachichotała, a potem znów przechyliła się przez barierkę, spojrzała na wodę i umilkła.

- Ciekawa jestem, jak wyglądała Zatoka Elliotta, zanim ludzie zaczęli wrzucać do niej śmieci.

- Pięknie. Zresztą w dalszym ciągu robi wrażenie. Trzeba ją tylko oczyścić, a to niestety wymaga pracy i pieniędzy. W dalszym ciągu wiemy bardzo mało o ekologii i środowisku.

- Chyba rozumiem, dlaczego pomysły Brighta cieszyły się tak ogromnym zainteresowaniem.

- Ja również - powiedziała Jessie. - I bardzo żałuję, że to wszystko okazało się oszustwem.

Późnym popołudniem Jessie weszła do budynku, w którym mieściło się jej biuro. Jak zwykle przez uchylone drzwi pokoju Alexa sączyło się zielone światło. Jessie zajrzała do środka i uśmiechnęła się na widok Susan i Robina pochylonych nad ekranem komputera.

- Nad czym pracujecie? - spytała.

- Cześć, Jessie - nieśmiało odezwała się Susan. Alex odwrócił głowę i - oślepiiony światłem z korytarza - zmrużył powieki.

- Jak się masz. Badamy jeszcze niektóre pliki. Chcemy przekazać swoje wnioski policji. A ty masz gościa. Czeka na ciebie na gorze.

- Co - nowy klient? Tak szybko? już zaczynają o nas mówić!

- Nie zapalaj się tak. Przyszła twoja ciotka, Glenna.

- Pewnie chce mnie zapytać, czy zdaję sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji, jakie pociągają za sobą moje zaręczyny z Hatchem. Myślę, że zdołam ją uspokoić. Dobrze, że nie wezwała mnie do gabinetu na sesję psychoterapeutyczną.

Alex wzruszył ramionami i odwrócił się do komputera. - W razie czego Haich na pewno sobie z nią poradzi. On potrafi wszystko załatwić.

Susan pokiwała poważnie głową.

- Dziękuję bardzo, ale umiem się chyba dogadać z własną rodziną – powiedziała Jessie obrażonym tonem i zamknęła za sobą drzwi.

Idąc po schodach na górę skonstatowała z przykrością, że nikt już nie pamięta, kto właściwie uratował Susan Attwood. Zbyt pochopnie dopuściła Hacha do akcji. Sam Hatchard miał wrodzone zdolności przywódcze i ludzie bez wahania wykonywali jego rozkazy. A teraz przypisywano mu całą zasługę za uwolnienie Susano Oczywiście wszyscy dawno już zapomnieli, że to Jessie była prawdziwym mózgiem tej operacji.

W chwili gdy Jessie weszła do gabinetu, ciotka Glenna stała w oknie i wyglądała na ulicę. Miała na sobie błyszczącą szarą garsonkę, jasnoniebieską bluzkę i eleganckie pantofle na płaskim obcasie. Gdy odwróciła głowę, Jessie zauważyła natychmiast, że ciotka patrzy na nią poważniej niż zwykle. - O, jesteś. Wpuścił mnie twój przyjaciel z dołu. Glenna zerknęła na zegarek. -Nie mam zbyt wiele czasu. - Siadaj, ciociu. - Jessie opadła na krzesło stojące za biurkiem i przeszła do ofensywy. - Pewnie chcesz złożyć mi gratulacje z okazji zaręczyn.

Ciotka nie opuściła swego stanowiska przyoknie. - Nie musisz ze mnie kpić - powiedziała łagodnie.

- Przepraszam.

- Chciałabym się tylko upewnić, że wiesz, co robisz. Cała rodzina namawiała cię do tego małżeństwa.

Jessie rozparła się z uśmiechem na trzeszczącym krześle. Sięgnęła po ołówek i zaczęła stukać nim o blat.

- W porządku. Przysięgam ci, że sama podjęłam tę decyzję. Ze wszystkiego w pełni zdaję sobie sprawę. Nie wychodzę za mąż po to, by sprawić przyjemność rodzinie. Ale mimo wszystko jestem ci bardzo wdzięczna za troskę.

Glenna skinęła wolno głową.

- Właśnie tego się obawiałam. Robisz to z pobudek osobistych?

- Tak.

- Potwierdzasz w ten sposób moje podejrzenia.

- Podejrzenia? - Jessie skrzywiła się.

- Dziwne. Nigdy nie sądziłam, że tak obsesyjnie wczujesz się w rolę spadkobierczyni fortuny Vincentów. Uważałam, że przyjął ją na siebie z najwyższą niechęcią. Od dziecka miałaś tendencję do scalania rodziny, co mogło stanowić dla ciebie motywację, by postępować zgodnie z

oczekiwaniami twoich bliskich. Przypuszczałam jednak, że działasz niejako wbrew sobie, a tak naprawdę władza i pieniądze nic dla ciebie nie znaczą.

- Władza i pieniądze? O czym ty mówisz?

- Było mi cię żal. Chciałam uwolnić cię z potrzasku. Ale teraz rozumiem już wszystko. Tobie odpowiada taka sytuacja. Jessie pochyliła się do niej zaszokowana.

- Ciociu, o co ci chodzi, na miłość boską?! Nie wychodzę za Hatcha, żeby przejąć kontrolę nad *Benedict Fasteners*. To ostatnia rzecz, na jaką miałabym ochotę.

- Naprawdę przeanalizowałaś dogłębnie swoją decyzję? Zadałaś sobie pytanie, dlaczego decydujesz się na to małżeństwo? Czy nie zanadto wczułaś się w rolę? Może najpierw udało ci się zmusić Vincenta, by nie zrywał związków z rodziną, a teraz próbujesz zdobyć władzę absolutną?

- Zwariowałaś - powiedziała Jessie z oczyma rozszerzonymi z przerażenia i natychmiast zarumieniła się ze wstydu. - Przepraszam. Nie mówiłam dosłownie.

- Czy aby na pewno nie chcesz poślubić Hatcha, żeby przejąć pełną kontrolę nad przedsiębiorstwem? Zyskujesz na tym podwójnie. Firma należy do ciebie, a ty nie musisz się o nic martwić, bo zarządza nią twój mąż.

- Chryste Panie! - Jessie cisnęła ołówek na biurko. Nawet gdybym wychodziła za mąż po to, by otrzymać w spadku majątek taty, na pewno nie uważałabym, że uda mi się zarządzać firmą poprzez Hatcha. On jest zbyt niezależny.

- Pewnie masz rację. Ale może tobie się wydaje, że będziesz nim manipulować, bo wypróbowałaś już te umiejętności na swoim ojcu.

- Nigdy nie manipulowałam tatą.

- Ależ oczywiście że tak. Nikt inny nie potrafiłby tego zrobić. Dlatego cała reszta klanu prosiła cię o wstawiennictwo - ciągnęła Glenna dalekim, obcym głosem. Rodzinny ekspert od spraw psychologii dokonał profesjonalnej oceny sytuacji.

- Czasem rzeczywiście tata mnie słucha. Ale tylko dlatego, że nie odpuszczam mu tak łatwo. Walczę z nim jak równy z równym. I wcale nie zawsze mi się udaje.

- Ale w większości wypadków stawiasz na swoim. Naprawdę zyskałaś władzę. Jesteś jego jedyną spadkobierczynią. Wszyscy zwracają się do Vincenta za twoim pośrednictwem. Aby zachować tę pozycję, musisz tylko poślubić mężczyznę, którego wybrał dla ciebie ojciec. Powinnam była się domyślić, że zmierzasz prostą drogą do celu - zakończyła Glenna i ruszyła do drzwi.

- Zaczekaj. Nie wiem, o co ci chodzi. Dlaczego tak się denerwujesz moim ślubem? Dzięki niemu firma zostaje w rodzinie i ma szansę na szybki rozwój. Przecież i ty, i mama zawsze tego chciałyście.

- Nie bądź śmieszna. Wcale się nie denerwuję.

- Owszem. Czuję to. - Jessie zerwała się na równe nogi.

- Chcę tylko przeanalizować motywy twojej decyzji.

- Wychodzę za mąż za Hatcha, bo go kocham.

- Bzdura. Nie bądź trywialna. Nie istnieją małżeństwa z miłości. To tylko przykrywką. Tak naprawdę ludzie chcą jedynie zaspokoić swoje podstawowe potrzeby. A pragną władzy, pieniędzy, bezpieczeństwa, seksu, więzów rodzinnych. Dla własnego dobra powinnaś zrozumieć, co jest dla ciebie najważniejsze.

- Kocham Hatcha.

- A naprawdę? - Glenna sprawiała wrażenie ubawionej.

Jessie zamarła.

- Tak mi się wydaje. Tak. Oczywiście że tak.

- Powiedział ci to kiedyś?

Dziewczyna uniosła buńczucznie podbródek.

- Nie muszę odpowiadać na pytania tak osobiste.

- Oczywiście że nie. A już na pewno nie mnie. Udzielę ci jednak pewnej rady. Bądź czujna.

Mężczyzna pokroju Sama Hatcharda robi wszystko, byle tylko osiągnąć cel. jeśli mu na czymś zależy, będzie dążył po trupach do celu. A on chce zdobyć *Benedict Fasteners* i wykorzysta cię bez skrpułów.

- Nieprawda!

- Prawda. Vincentowi udało się wprowadzić zamiar w czyn, co jest rzeczywiście niefortunne dla nas wszystkich. Teraz już nikt cię nie zmusi do zmiany planów. Ale jak długo pozwolisz się ponosić fantazji? Kiedy wreszcie zrozumiesz, że Hatchard żeni się z tobą wyłącznie dla posagu?

- To nie fair.

- Przykro mi. Jestem jednak lekarzem, a nie wróżką, która zagląda w kryształową kulę i mówi swoim klientom to, co chcieliby usłyszeć. Posiadam odpowiednie kwalifikacje, by rozumieć i oceniać motywy, jakimi kierują się ludzie przy podejmowaniu decyzji. Potrafię dojść do prawdy nawet wtedy, gdy moi rozmówcy okłamują siebie i innych. Glenna wyszła i cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Zaczekaj! - Jessie rzuciła się pogoń za ciotką. Błyskawicznie znalazła się na schodach i wyjrzała przez balustradkę.

- O co ci właściwie chodzi? - krzyknęła. - Dlaczego tak się wściekasz?

- Nie chciałam, żeby do tego doszło - odparła Glenna, nie zwalniając nawet kroku.

- Dlaczego? Uważałaś, że firma powinna zostać w rodzinie. Tak mi przynajmniej mówiłaś.

Glenna zatrzymała się i odwróciła. Patrzyła z gniewem, usta miała wykrzywione ze złości.

- Tak, chcę, żeby przedsiębiorstwo zostało w rodzinie.

Benedict Fasteners ma przed sobą ogromne możliwości. Ale powinno należeć do prawowitego spadkobiercy, a nie do ciebie.

- Do prawowitego spadkobiercy? - Jessie cofnęła się instynktownie, przerażona wybuchem zwykle tak bardzo opanowanej ciotki. - O kim mówisz?

- O Davidzie, do jasnej cholery! To on powinien odziedziczyć firmę. Vincent jest mi winien choć tyle.

Glenna obróciła się na pięcie i ruszyła szybko do wyjścia. Zatrzasnęła za sobą drzwi z taką siłą, że o mało nie wyleciały z nich szyby.

Jessie znalazła w końcu matkę w stylowym apartamencie na nabrzeżu, gdzie Lillian nadzorowała właśnie prace wykończeniowe.

- Nie, nie. Trzeba zrezygnować z tego oświetlenia.

W małym pokoju ma być biblioteka. - Lillian pochyliła się w skupieniu nad projektem, a elektryk czekał cierpliwie. - Przyniósł pan lampy do kuchni?

- Są na dole w samochodzie - odparł mężczyzna. - Ale najpierw trzeba zainstalować ten podnośnik na suficie.

- Dobrze. Pamiętajcie, że chcę je obejrzeć przed montażem.

- W porządku.

Lillian podeszła do Jessie, nie odrywając oczu od elektryka, który zaczął rozkładać narzędzia. Z sypialni dolatywał zapach świeżej farby.

- Muszę nad nimi stać jak kat nad dobrą duszą. Wystarczy, że się na chwilę odwrócę, a już malują ścianę na biało zamiast na szaro albo instalują zupełnie inne lampy.

A potem próbują cię przekonać, że nie trzeba nic poprawiać.

- Mamo, chcę z tobą pogadać.

- Ale chyba nie zamierzasz zostać dekoratorem wnętrz? O co chodzi? Już się martwisz o wesele? Obiecałam ci przecież, że się wszystkim zajmę.

Connie mi pomoże. Tonacja kremowo-koralowa byłaby chyba odpowiednia, nie sądzisz?

- Tak, o ile nie chcesz wtłoczyć Hacha w koralowy smoking. Słuchaj, mam naprawdę ważną sprawę. Ciocia Glenna złożyła mi dziwną wizytę.

- Naprawdę? - Liman przeniosła wzrok na elektryka. Proszę nie rozpoczynać żadnych prac, dopóki nie zabezpieczycie podłogi. Mój klient kupił tę wykładzinę dopiero parę tygodni temu. Kosztowała go majątek. Nie może się poplamieć.

Elektryk zaczął posłusznie przykrywać podłogę folią, a Lillian zerknęła na Jessie.

- Co mówiłaś o Glennie?

- Była bardzo zdenerwowana. Przyszła do mnie do biura.

- To do niej zupełnie niepodobne, prawda? A czego właściwie chciała?

- Odniosłam wrażenie, że stara się nie dopuścić do ślubu. Lillian popatrzyła na córkę z wyraźnym zainteresowaniem.

- Oszalała?

- Sama się nad tym zastanawiałam. Ale ona chyba po prostu jest wściekła.

- Z jakiego powodu? Przecież wszyscy marzą o waszym małżeństwie.

- Ciotka twierdzi, że ojciec powinien zapisać firmę Davidowi.

Lillian patrzyła na elektryka, ale najwyraźniej nie myślała wcale o oświetleniu.

- Ciekawe - powiedziała wreszcie. - David absolutnie nie potrafi zarządzać taką firmą jak *Benedict Fasteners*.

- Ja również nie.

- Niezupełnie się z tobą zgadzam. Udało ci się przecież wzbudzić zainteresowanie Hacha, który jest stworzony do interesów.

- Dzięki, mamo. Umiesz prawić komplementy. Dlaczego po prostu nie powiesz, że tata wykorzystał mnie, żeby kupić sobie syna, którego tak zawsze pragnął? Syna, który przejąłby firmę i uczynił z niej giganta przemysłowego?

- Nie opowiadaj głupstw, kochanie.

- A ty nigdy nie myślałaś, że Hatch poprosił mnie o rękę, bo chce przejąć kontrolę nad *Benedict Fasteners*? - Nie. Absolutnie nie. Firma jest przywiązana do ciebie, a ty do rodziny. Żeniąc się z tobą, Hatch poślubia zarówno przedsiębiorstwo, jak i nasz klan, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. I wszystko świetnie się ułoży. W każdym razie ja bardzo lubię Hacha. A ty powinnaś wreszcie wyjść za mąż. Dlaczego nie za niego?

Jessie uznała, że będzie lepiej nie kontynuować tego wątku rozmowy.

- Czemu ciotka uważa, że David ma prawo do *Benedict Fasteners*?

- Dawne dzieje ... Kiedy zniknął Lloyd, ciotka i ojciec mieli przelotny romans.

- A więc o tym wiesz?

- Przecież nie jestem idiotką. Zresztą to nie trwało długo z oczywistych względów. Nie pasowali do siebie. A ja nic nie mówiłam. Zresztą po co? Byliśmy tuż po rozwodzie. Glenna lizała wtedy rany po

tym, jak Lloyd rozplątał się w powietrzu. Myślę, że próbowali się wzajemnie pocieszyć.

- Czy to możliwe, że David jest... no, nie tylko moim kuzynem? – spytała Jessie z wahaniem w głosie. Lillian zamrugnęła oczami ze zdziwienia. - Pytasz mnie, czy on mógłby okazać się synem Vincenta?

- No tak. Ciotka wyraźnie podkreśla, że tatuś jest jej coś winien.

- Moja odpowiedź brzmi: nie - odparła stanowczo Lillian i zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

- Przynajmniej tak mi się wydaje. Gdyby on był twoim przyrodnym bratem, znaczyłoby to, że Glenna i Vincent mieli dwa romanse - jeden po odejściu Lloyda, a drugi parę lat wcześniej. Przecież David był już czteroletnim chłopcem, kiedy jego ojciec dał nogę, pamiętasz?

- Tak. Ale mimo wszystko należy wziąć pod uwagę taką możliwość. Skoro w ogóle byli kochankami, niewykluczone, że spali też ze sobą wcześniej.

- Szczerze mówiąc wydaje mi się, że gdyby Glenna chciała zrobić Vincenta w ojcostwo, nie czekałaby z tym do dziś. Poza tym nie musiałaby się wcale wysilać.

- Bo tata chętnie uznałby Davida za swoje własne dziecko?

- Oczywiście. Przecie z wiesz, że zawsze pragnął syna.

- Chyba masz rację - powiedziała wolno Jessie. - Dlaczego w takim razie rości sobie takie pretensje w stosunku do taty?

- Pewnie z powodu tej przygody. Niektóre kobiety nie potrafią odpuścić.

Jessie obudziła się w środku nocy z poczuciem, że coś jest nie w porządku. Hatcha nie było w łóżku. Leżała przez chwilę z zamkniętymi oczami nasłuchując, ale ani z łazienki, ani z kuchni nie dochodziły do niej żadne odgłosy. Gdy złowroga cisza zaczęła dawać się jej we znaki, zdecydowała się uchylić powieki.

Natychmiast dostrzegła cienką strugę światła dochodzącą z salonu. Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że jest parę minut po drugiej. Wstała, włożyła szlafrok i podreptała do drzwi. Dręczyło ją pewne podejrzenie. Wyszła na korytarz i zatrzymała się, bo zobaczyła, że Hatch siedzi przy kuchennej ladzie w samych spodniach, opierając bosc stopy o podstawkę taboretu. Tuż obok leżała jego otwarta teczka.

Na ladzie walały się dokumenty i wydruki komputerowe. Hatch liczył coś zawzięcie na małym kalkulatorze. Jessie oparła się o ścianę; skrzyżowała ręce na piersiach.

- Cierpisz na bezsenność?

Popatrzył na nią czujnie spod przymrużonych powiek.

- Nie wiedziałem, że się obudziłaś.

- Jasne. - Oderwała się od ściany i okrążyła wolno ladę. - Ale nic się nie stało. Mogłeś mi tylko powiedzieć, że musisz popracować po kolacji. Nie podchodzę zbyt rygorystycznie do twego rozkładu zajęć.

- Wręcz przeciwnie.

Łypnęła na niego sponad drzwi lodówki, otworzyła ją i zaczęła gwałtownie szukać czegoś w środku.

- Nieprawda. Rozumiem, że w wyjątkowych przypadkach będziesz musiał poświęcić więcej czasu na sprawy zawodowe. Jestem skłonna tolerować taką sytuację w pewnym ograniczonym zakresie. W końcu, jak słusznie zauważyłeś, ja również czasem pracuję w niezwykłych godzinach. Muszę na przykład biegać o północy po San Juan. - Zamknęła lodówkę i postawiła na ladzie talerzyk z serkiem topionym.

- Nie porównuj swojej pracy z moją. - Hatch popatrzył na serek.

- Co robisz?

- Przygotowuję przekąskę. Skoro już wstałam, równo dobrze mogę coś zjeść. Chcesz zapiekankę? - Kręciła się obok tosterka z bagietką w ręku.

Pochyliła się pokornie i włożyła bagietki do opiekacza.

- A teraz może mi wyjaśnisz, z jakiego to ważnego powodu musiałeś wymknąć się z łóżka i ślęczeć po nocy nad papierami. - Najpierw się przyznaj, czy jesteś bardzo wściekła.

Spojrzała na niego niewinnie. - Ani trochę.

Hatch nie wydawał się przekonany. - Wpadłem na pewien pomysł. Wiesz, że twój ojciec chce przebić ofertę Yorlanda i Younga? Chciałem coś policzyć.

- Tacie naprawdę zależy na tym kontrakcie ze Spokane'em. - Tak.

- Wiesz, że dla niego to kwestia ambicji?

- Nie. - Hatch popatrzył na nią z zainteresowaniem. - Ale zacząłem się właśnie zastanawiać, o co mu chodzi, bo jeśli w grę nie wchodzi jakieś nadzwyczajne okoliczności, w ogóle nie warto zwracać sobie głowy tą sprawą.

Jessie sprawdziła bagietki i stwierdziła, że są gotowe. Uchyliła drzwiczki tosterka.

- Dwa lata temu Yorland i Young wyrolowali *Benedict Fasteners*. Podpisali kontrakt, który powinien być przypisać w udziale tacie. A teraz on chce się zemścić, i tyle. Hatch skinął głową w zamyśleniu.

- Świetnie go rozumiem.

- Tak przypuszczałam. - Jessie położyła zapiekanki na talerzyku i usiadła naprzeciwko Hacha. - Postaram się nie poplamić serem twoich dokumentów.

- Byłbym wdzięczny.

- W jaki sposób stałeś się takim autorytetem w sprawach zemsty?

Kto nauczył cię rozumieć ludzi pokroju taty?

- Nieważne - odparł cicho Hatch. - Dawne dzieje.

- Ach tak? - Popatrzyła na niego z zainteresowaniem.

- Z jaką firmą walczyłeś? Kogo zmiotłeś z powierzchni ziemi?

- Pattersona i Finleya. Prowadzili przedsiębiorstwo robót inżynierskich. Jessie nie spuszczała z niego wzroku. Przypomniała sobie dzień rozstrzygnięcia konkursu, kiedy to jej ojciec chwalił się, że Hatch wykończył pewną firmę, przejmując większość jej akcji.

- W takim razie dokonałeś aktu osobistej zemsty. Co im zrobiłeś? A raczej oni tobie?

- To chyba niezbyt odpowiednia pora na tę rozmowę.

- Mam dla ciebie nowinę. Nie będzie lepszej pory. Chcę się natychmiast wszystkiego dowiedzieć.

Hatch położył łokcie na stole.

- Będiesz naprawdę wymagającą żoną, prawda? Zachichotała.

- Musisz się przyzwyczajać. No, więc?

Hatch milczał długo, aż w końcu wzruszył ramionami. - Pamiętasz, mówiłem ci, że Olivia zginęła w wypadku, jadąc na spotkanie z pewnym facetem. - Tak.

- On się nazywał Roy Patterson.

Jessie o mało nie zakrztusiła się bagietką. - Ten od Patterson-Finnley?

- Ten sam. jeśli nie masz już więcej pytań, skończę rozliczenia i pójdę spać.

- Opłaciło się?

- Zniszczyć tę firmę? Tak. - Hatch nie odrywał wzroku od kalkulatora.

- A on był twoim najlepszym przyjacielem, prawda? - szepnęła Jessie. - I zabrał ci żonę. Musiałeś ją

bardzo kochać, skoro zdecydowałaś się wziąć na nim taki odwet.

- Wszystkie moje uczucia umarły tego dnia, gdy znalazłem list, w którym Olivia pisała, że mnie opuszcza, bo jestem nieudacznikiem, a ona potrzebuje silnego mężczyzny. Jessie myślała chwilę. - Nikt nie odczuwa takiej żądzy zemsty, jeśli nie darzył utraconej kobiety naprawdę gorącym uczuciem.

- Nie rozumiesz. Zemsta najlepiej smakuje na zimno. Nie ma nic wspólnego z namiętnością. Przynajmniej dla mnie. - To tylko taki interes do załatwienia?

Hatch skinął wolno głową.

- Tak, coś w tym rodzaju.

- Guzik prawda. - Wstała i ruszyła do korytarzyka prowadzącego do łazienki. - Kochałeś Olivię, a kiedy ją straciłeś, miałeś rozdarte serce. Włożyłeś w tę zemstę wszystkie swoje uczucia. -

Przystanęła na chwilę. - Ciekawa jestem, czy podejmiesz jeszcze kiedykolwiek takie ryzyko. Czy pozwolisz sobie na miłość? Czy też mogę liczyć wyłącznie na długotrwały, solidny związek zwany małżeństwem?

- Jessie! - warknął ostrzegawczo.

- Co? - spytała, nie odwracając się.

- Przecież wiesz, że to coś więcej.

- Nie - odparła. - Wcale nie. Czasem tylko tak się łudzę.

Ale równie często budzę się w środku nocy i wpadam w panikę. Bo niczego nie jestem pewna.

Kocham cię, ale nie wiem, czy z wzajemnością.

- Do diabła! Przestań!

- Dobranoc.

Wróciła do sypialni i zwinęła się w kłębek na łóżku. - Jessie. Odwróciła głowę na tyle, by kątem oka zauważyć, że Hatch stoi w drzwiach. W milczeniu patrzyła, jak podchodzi do łóżka i rozpina spodnie.

- Wiesz, że to coś więcej - powtórzył, kładąc się przy niej. Był już bardzo podniecony.

- Nie.

- Tak. - Wziął ją w ramiona, rozgniatając wargami jej usta. - Tak, do cholery. O wiele więcej.

- Tak - szepnęła. Hatch musiał żywić do niej jakieś głębsze uczucie. Cała jej przyszłość zależała od tego, czy kiedykolwiek usłyszy od niego wyznanie miłości.

Rozdział 17

Jessie doszła do wniosku, że nic nie może się równać z poczuciem dumy i satysfakcji z dobrze wykonanego obowiązku. Zerknęła jeszcze raz na starannie przepisane pięciostronicowe sprawozdanie leżące na biurku. Było to prawdziwe dzieło sztuki, które musiało wywrzeć odpowiednie wrażenie na pani Valentine. Alex użyczył Jessie komputera, by mogła nadać sprawozdaniu odpowiedni kształt. Oba marginesy zostały wyrównane, pisownia sprawdzona, wszystko zostało napisane stylem urzędowym.

W drodze do pracy Jessie wstąpiła po odpowiedni skoroszyt, w którym dokument prezentowałby się jeszcze bardziej profesjonalnie. Firma bez wątpienia zmieniła swój profil i wkroczyła w nową erę. Poranne gazety rozpisywały się na temat jutrzeńki Nadziei, a Jessie była pewna, że za chwilę rozdzwoni się telefon.

Na dźwięk znajomych kroków na schodach uniosła głowę. W chwilę później drzwi otworzyły się i

do biura wkroczyła pani Valentine w swoim stroju roboczym. Miała na sobie turban, kolorową bluzkę z szerokimi rękawami i długą, zieloną spódnicę. Korale i łańcuszki na jej piersi pobrzękiwały radośnie. Pod pachą trzymała gazetę.

- Cudownie pani wygląda! jak się pani czuje?

- Świetnie, kochanie. Naprawdę świetnie. Znowu widzę. Rozumiesz, co mam na myśli? Co za ulga!

- Tak się cieszę. Proszę wejść do biura. Herbata jest prawie gotowa. Zaraz ją przyniosę.

- Dziękuję. Z przyjemnością się napiję. - W drodze do swego pokoju zaczęła rozkładać gazetę.

Jessie natychmiast wsypała esencję do imbryczka. Sięgając po czajnik z wrzątkiem, nuciła radośnie.

Kiedy zaparzyła już herbatę, ustawiła na tacy dzbanek oraz dwie delikatne filiżanki, dołożyła cukiernicę i łyżeczki, po czym ruszyła do gabinetu. W drodze przystanąła przy biurku, umieściła na tacce prześlicznie oprawione sprawozdanie, po czym weszła rażnym krokiem do pokoju szefowej.

Pani Valentine siedziała przy biurku, na którym rozłożyła poranną prasę. Na czubku nosa miała okulary i czytała uważnie artykuł na pierwszej stronie. Stawiając tacę na biurku, Jessie zerknęła na nagłówek i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Medium z Seattle demaskuje aferzystów.

- O mój Boże! - Pani Valentine doczytała do końca ostatni akapit i przewróciła stronę. - O Boże!

Jessie z trudnością ukrywała podniecenie. Kręciła się niespokojnie wokół biurka, czekając, by pani Valentine doczytała artykuł do końca. Gdy chlebodawczyni zamknęła w końcu gazetę, dziewczyna nie wytrzymała.

- No i co? Co pani o tym sądzi? Firma będzie sławna.

Ludzie zaczną się do nas dobijać. Będziemy musiały zapisywać ich na wizytę z tygodniowym wyprzedzeniem. Staniemy się najszlachetniejszą agencją w mieście, może nawet w całym stanie.

- Jessie, kochanie ...

- Porobiłam trochę planów. Trzeba przyjąć kilka osób do roboty papierkowej, ale to nic nie szkodzi. Mam doświadczenie w pracy w kadrach i mogę się wszystkim zająć.

Jessie w zamyśleniu przemierzała gabinet. Będziemy miały masę pracy i chyba nie powinniśmy polegać na moich zdolnościach. Bo, co muszę z przykrością stwierdzić, nie posiadam żadnego nadzwyczajnego daru, choć tak mi się wcześniej wydawało. O wiele lepiej radzę sobie z zarządzaniem.

- Chcę ci coś powiedzieć ...

- Poproszę mamę i Connie o projekt nowej dekoracji wnętrza ...

- ... coś ważnego ...

- Biuro powinno wyglądać solidnie, a jednocześnie większy lokal. Ale chyba nie od razu, prawda?

- Jessie, będę chyba musiała cię zwolnić.

- Myślałam też, że dobrze by było ... Co takiego? - Jessie stanęła jak wryta i wbiła wzrok w panią Valentine. - Chyba się przesłyszałam.

Uroczo, trochę jak nie z tego świata. Bogato, ale niezbyt wyzywająco.

Pani Valentine westchnęła ciężko.

- Tak mi przykro, kochanie. Przecież wiesz, że bardzo cię lubię. I dobrze jest mieć cię przy sobie. Ale moja firma jest za mała, żeby pozwolić sobie na asystentkę.

Jessie chwyciła obiema rękami krawędź biurka.

- Ale teraz, po tych artykułach, wszystko się zmieni. Telefon zacznie się po prostu urywać. Zrobimy furorę.

- Właśnie tego się obawiam. Nie chciałam prowadzić interesów na wielką skalę. Lubiłam swoją firmę w dawnej postaci. Dawałam sobie radę sama. Miałam nawet wątpliwości, czy cię zatrudnić, ale bardzo mi się podobałaś. Zignorowałam wszelkie sygnały alarmowe. A wydawałoby się, że właśnie ja nie powinnam popełniać takich błędów.

Przecież sama widzisz, co się stało. Zniszczyłaś firmę. Być może będę musiała na razie zamknąć interes, dopóki nie ucichnie ta cała wrzawa.

- Czy pani mnie wyrzuca?

- Obawiam się, że tak. Ale nie martw się. Dam ci wspaniałe referencje.

W tej samej chwili rozdzwonił się telefon.

Przed wejściem do gabinetu Vincenta Hatch zatrzymał się na chwilę przy biurku Grace.

- Nie łącz go z nikim, dopóki nie wyjdę. Nie chcę, żeby ktokolwiek nam przeszkadzał.

- Oczywiście, proszę pana - powiedziała z uśmiechem Grace. - Czytałam dziś artykuł o panu i Jessie.

Co za niesamowita przygoda!

- Mógłbym to inaczej określić. - Hatch minął biurko i wszedł do sanktuarium Vincenta.

Benedict zerknął na niego z dezaprobatą. Nie znosił nie zapowiedzianych wizyt.

- Jestem strasznie zajęty. Masz coś ważnego?

- Nawet bardzo. - Hatch położył papiery i podszedł do kredensu, żeby nalać sobie kawy. Z filiżanką w ręku oparł się o masywne biurko Benedicta. - Czytałeś już gazety? - Owszem, cholera. - Vincent rzucił długopis na blat i rozparł się w fotelu. - Kiedy opowiadałeś mi o wyprawie na San Juan, zapomniałeś chyba o paru szczegółach.

- Zdaje się, że rzeczywiście przeoczyłem parę drobiazgów - odparł Hatch, wzruszając ramionami.

- Cieszę się, że to już koniec tej idiotycznej historii.

- Ja również.

Vincent popatrzył na Hacha z namysłem. - David naprawdę załatwił tego faceta?

- Zwalił go z nóg ciosem karate. Dzięki temu uszliśmy z życiem.

- A niech mnie! - Vincent skinął głową z zadowoleniem. - Może ten chłopak jednak wyjdzie na ludzi i nie okaże się podobny do ojca.

- Powinieneś mu wreszcie zaufać.

- Tak, pewnie masz rację. - Vincent znów sięgnął po długopis. - Jak mówiłem, cieszę się, że już po wszystkim. Ale czynię cię osobiście odpowiedzialnym za to, żeby Jessie znów nie wpakowała się w taką aferę.

- Zrobię, co w mojej mocy. Vincent popatrzył na niego uważnie.

- Skoro już mowa o Jessie, chciałbym wiedzieć, czy ustaliliście datę ślubu?

- Nie. Ale ogłosimy oficjalnie nasze zaręczyny w piątek wieczorem. Ona chce zamówić stół w swojej ulubionej restauracji - tej niedaleko rynku. Zaprosiła całą rodzinę - Nawet ciebie.

- Chyba uda mi się wyrwać. - Vincent uśmiechnął się - Przysunął do siebie kalendarz i zrobił odpowiednią notatkę. - Chcesz sobie po prostu pogadać, czy rzeczywiście masz do mnie interes?

- Mam interes. - Hatch pił kawę w zamyśleniu. - Musimy wyjaśnić sobie parę spraw przed piątkiem.

- Pewnie o twoich udziałach w firmie? Rozumiem, że powinniśmy ustalić konkrety. Czekaleś wystarczająco długo.

Sprawa jest nieco bardziej skomplikowana. Dotyczy paru innych osób. - O co ci chodzi, do diabła? - spytał Vincent, patrząc na niego krzywo.

- Wyłożę ci wszystko najprościej, jak potrafię. Potem omówimy szczegóły. Chcę, żebyś podzielił firmę na równe części między Davida, Jessie i Elisabeth. Ja wykupię czwartą i poprowadzę interes. Vincentowi szczęka opadła. Przez chwilę nie był w stanie dobyć z siebie głosu. Gdy jednak wróciła mu mowa, rozległ się ryk rannego nosorożca.

- Czyś ty oszalał? Poszatkować firmę? Przecież wypruwałem sobie dla niej flaki.

- Nie chcę, żeby firma się rozpadła. Niech zostanie w rodzinie. Takie w końcu miałeś intencje. Ale w ten sposób każdy z zainteresowanych otrzyma swój udział w przedsiębiorstwie.

Vincent rąbnął pięścią w stos papierów. - Oni nie mają pojęcia o zarządzaniu.

- Dlatego właśnie zdecydowałeś się mnie zatrudnić, prawda?

- Chryste, człowieku. Nie wiesz, co mówisz. Nie zdajesz sobie sprawy, co się stanie, jak David dostanie swoją część. Narobi kłopotów. Zawsze winił mnie o odejście Lloyda. I brak mu bodaj odrobiny zdrowego rozsądku. Przecież zamierza studiować filozofię, prawda? To zagorzały liberał o radykalnych poglądach na temat ochrony środowiska i innych spraw.

- Poradzę sobie z nim. - Hatch upił kolejny łyk kawy.

Był całkowicie przygotowany na tę burzę. Niczego innego się nie spodziewał. Wiedział jednak, że Benedict zaraz się uspokoi i przyzna mu rację.

- Tak sądzisz? No, a co z jego matką? Glenna to żelazna dziewica, mój drogi. Zgorzkniała i zwariowana. Nawet sobie nie wyobrażasz, co może wymyślić, jak położy łapę na jego udziałach!

- David już nie jest dzieckiem. Potrafi przeciwstawić się matce. Najlepszy dowód, że zdecydował się na studia, chociaż ona wołała, żeby został w firmie.

- Mylisz się. Ringsteadowie są zupełnie nieodpowiedzialni. A co z Elisabeth? Przecież ona ma dopiero dwanaście lat. Nie możesz powierzyć czwartej części przedsiębiorstwa takiemu dziecku. Co się stanie, jeśli Connie wyjdzie ponownie za męża? Taki facet zainteresuje się firmą i zechce skorzystać z udziałów Elisabeth.

- Jesteś jej ojcem. Masz prawo kontrolować jej część, dopóki nie osiągnie pełnoletniości. Albo powierzyć Jessie zarząd nad majątkiem siostry.

- A potem co? To niecałe dziesięć lat. Przy twoich założeniach, firma stanie się trzykrotnie większa. Może nawet więcej. Elisabeth zamierza się utrzymywać krojąc szczury lub coś innego w tym rodzaju. Chyba nie sądzisz, że zwariowany naukowiec będzie w stanie podjąć jakiegokolwiek decyzje w sprawach finansowych? Przecież ona nie ma o tym bladego pojęcia!

- Sądzę, że Elisabeth odda swoje sprawy w ręce Jessie. - Jessie? Chyba żartujesz? Ona zna się na interesach jak kura na pieprzu.

Hatch uśmiechnął się słabo.

- Ale zostanie moją żoną. I powierzy mi wszelkie decyzje. Będę prowadził przedsiębiorstwo dokładnie tak, jak chciałeś.

- Tylko że połowa znajdzie się w cudzych rękach. Nie, nie pozwolę rozerwać firmy na strzępy.

- Nie na strzępy. Mówimy o czterech dużych kawałkach, które będę mógł kontrolować bezpośrednio lub pośrednio.

- Skąd ta pewność? Ta trójka może cię zawsze przegłosować, jeśli zbierze się do kupy i podejmie jakąś idiotyczną decyzję. - Takie ryzyko istnieje. Ale znam twoją rodzinę i wiem, że nie jest ono zbyt wielkie. Poradzę sobie.

- Nie masz żadnej gwarancji, do cholery. - Benedict walnął pięścią w stół i zerwał się na równe nogi. - Jeśli rozparcelujesz firmę między cztery osoby, możesz bardzo łatwo stracić nad nią kontrolę.

- Spróbuję.

- Ale ja nie! - wrzasnął Vincent. - Widziałem już takie poszatkiwane interesy i nigdy się na coś podobnego nie zgodzę.

Hatch wpatrzył się w filiżankę. - Nie masz innego wyboru.

- A cóż to znaczy, do jasnej cholery? Oczywiście że mam. Nie wyrażę zgody na podział i tyle.

- Niezupełnie, jeśli chcesz, żebym ożenił się z Jessie i zarządzał firmą.

Nagle w biurze zapadła cisza. Przez chwilę Vincent gapił się na Hacha z otwartymi ustami, a potem nagle usiadł, jakby dostał zawrotu głowy.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie ożenisz się z Jessie, jeśli nie zgodzę się podzielić *Benedict Fasteners*? - spytał Vincent, jakby chciał się upewnić, czy dobrze zrozumiał.

- Nic podobnego nie powiedziałem. Oczywiście że się pobierzemy. Ale nie wykupię udziałów w twoim przedsiębiorstwie i nie będę go prowadził.

Wyjadę stąd razem z twoją córką. Zacznę od nowa. Może w Oregonie?.

- Przestań pieprzyć. Nie dam jej złamanego szeląga.

- Nie szkodzi. Gdybyś zostawił jej firmę, namówiłbym ją na podział.

- Akurat - powiedział Benedict bardzo cicho, za cicho; z oczu biła mu wściekłość. - Blefujesz.

- Czy kiedykolwiek usiłowałem cię nabrać? Albo wyrazisz zgodę na mój pomysł, albo musisz zapomnieć o całej umowie. Zabieram Jessie i znikam.

- Ona nigdzie z tobą nie pojedzie, ty sukinsynu. Hatch wiedział, że wkracza na śliski grunt. Teraz blefował już na całego. Wszystko zależało od tej jednej pokerowej zagrywki. Zacisnął palce na uszku filiżanki.

- Wiesz, że pojedzie. Ona mnie kocha.

- Działasz jej na nerwy. Sama mi o tym mówiła. - Nie szkodzi.

Posłucha mnie.

- Bzdura. Na pewno nie, jeśli się dowie, że odchodzisz z *Benedict Fasteners* - warknął Vincent. - Ona bywa lekkomyślna, ale wie, co to jest rodzinny obowiązek. Nie zostawi swoich bliskich. Zdaje sobie sprawę, że wszyscy na niej polegają.

- W takim razie niech lepiej poszukają innego adwokata, bo tutaj zajdą poważne zmiany.

- Niewątpliwie. - Vincent przymrużył złośliwie oczy. Zrywam z tobą kontrakt. Od zaraz. Wyrzucam cię, ty skurwielu. Wynocha! Masz godzinę na uprzątnięcie biurka. Przez chwilę Hatch sądził, że się przesłyszał. Nie przewidział takiego obrotu sprawy. Starając się ukryć bezbrzeżne zdumienie, wstał i odstawił wolno filiżankę na biurko, po czym bez słowa ruszył do drzwi.

- Jak ci wróci rozum, wiesz, gdzie mnie szukać! wrzasnął za nim Benedict.

- Nie zmienię zdania. Zostawiłem ci na biurku projekt kontraktu ze Spokane'em. Wykończysz Yorlanda i jeszcze na tym zyskasz. Ale ja całkowicie odradzam ci tę transakcję. Nie warto się szarpać dla paru groszy.

- Niech cię jasny szlag trafi!

Hatch wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę stał zupełnie bez ruchu, próbując przystosować się do tej drastycznej zmiany, jaka właśnie nastąpiła w jego życiu.

- Proszę pana? - W głosie Grace wyraźnie pobrzmiwała troska. - Wszystko w porządku? Hatch zmusił się do koncentracji.

- Zadzwoń do mojej sekretarki, dobrze? - Oczywiście. Co mam jej powiedzieć?

- Niech spakuje moje rzeczy. Nie wrócę już do biura. Grace popatrzyła na niego zdziwiona.

- Chce pan nas opuścić?

- Tak jakoś wyszło. - W drodze do windy uśmiechnął się ponuro. - Właśnie zostałem wylany.

- Panie Hatchard ... - Słuchawka wysunęła się z ręki Grace i upadła z łoskotem na biurko.

Hatch stał w oknie swego mieszkania na jednym z górnych pięter wieżowca, podziwiając Zatokę Elliotta. Widok był naprawdę cudowny i Hatchard zaczął się zastanawiać, dlaczego nie spędził w tym pokoju więcej czasu. Ale odpowiedź okazała się prosta. Mieszkanie Jessie wydawało mu się znacznie bardziej przytulne i ciepłe. Właśnie u niej czuł się jak w domu.

Oderwał wzrok od zatoki i rozejrzał się po apartamencie, który wynajął zaraz po przeprowadzce do Seattle. Panował w nim wzorowy porządek. Wszystko leżało dokładnie na swoim miejscu. Nigdzie nie było ani odrobiny kurzu. Ekipa porządkowa, którą zatrudnił, wywiązywała się skrupulatnie z obowiązków. Ten przeklęty apartament wyglądał tak, jakby nikt w nim nie mieszkał.

Zdał sobie sprawę, że nie wypakował zbyt wielu rzeczy. Nie miał czasu. Od dnia, w którym przybył do Seattle, cały czas pochłonięty był pracą i uwodzeniem Jessie. Jego mieszkanie przypominało bardziej pokój hotelowy niż prywatną rezydencję. Został wylany z pracy.

Nie mógł uwierzyć, że to koniec. Nie mógł uwierzyć, że wszystko, nad czym pracował, rozwiało się jak dym. I zupełnie nie rozumiał, dlaczego Vincent Benedict nie dał się nabrać na jego blef. Nie chciał wierzyć, że straci Jessie.

Hatch nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że potrafi postępować z Vincentem. Sądził, że zmusi go do podziału firmy. Tymczasem powinien był od razu przewidzieć, że Benedict jest zbyt twardy, uparty i chytry, by zrobić coś, na co nie ma ochoty. Hatch grał w pokera z zawodowcem i poniósł klęskę. Wszystko przez ten jeden blef.

Blefował, grożąc, że zabierze Jessie. Benedict miał za dużo oleju w głowie, żeby dać się nabrać na coś takiego. Tylko wariat łudziłby się, że Jessie porzuci swoich bliskich i odejdzie z człowiekiem, który doprowadza ją do szału. Obowiązywała ją lojalność wobec rodziny, o czym Hatch wiedział przecież od samego początku. Wykorzystał to nawet, by się do niej zbliżyć. Szaleństwem było sądzić, że Jessie ucieknie z człowiekiem, którego zgodziła się poślubić dla dobra rodziny. A główna zaleta tego człowieka sprowadzała się do tego, że został wytypowany na zarządcę przedsiębiorstwa.

Hatch wolał się nie okłamywać. Znalazł się już kiedyś w podobnej sytuacji i wiedział, że gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Nie chciał porównywać Jessie z Olivią. Wierzył, że tej dziewczynie naprawdę na nim zależy. Uwierzyła, że go kocha, ale to by nie wystarczyło, żeby uciekła z nim w sytuacji, gdy inne plany legną w gruzach.

Hatch wmawiał sobie, że musi spojrzeć na ten problem z punktu widzenia kobiety. Ucieczka oznaczałaby utratę wszystkiego, co było dla niej drogą. Musiałaby wyjechać z Seattle i rozstać się z Elisabeth. A przede wszystkim zrzec się odpowiedzialności za rodzinę. Jej los zależałby od mężczyzny, który zaczyna wszystko od początku. Hatch wiedział doskonale z doświadczenia, że kobiety rzadko decydują się na takie idiotyczne posunięcia.

Zerknął na barek i pomyślał, że należy sobie drinka. Dobrze by mu zrobił. W końcu zdecydował się jeszcze zaczekać. Po spotkaniu z Jessie zapewne nabierze jeszcze większej ochoty na kielicha. Hatch uwiesił się na dzwonku od domofonu. Miał wprawdzie klucz, ale nie chciał z niego korzystać. W końcu tym razem nie wracał do domu po pracy. Przyszedł złożyć Jessie ostatnią wizytę.

- Tak? - Głos dziewczyny brzmiał dziwnie przez mikrofon.

- To ja.

Nie powiedziała nic więcej, ale charakterystyczny syk świadczył o tym, że wcisnęła guzik. Hatch

pchnął drzwi, wszedł do środka i ruszył na górę. Rozejrzał się i pomyślał, że wszystko wydaje mu się tutaj takie znajome. Wracał tu przecież codziennie po pracy. Wiedział, że Jessie czeka na niego z kieliszkiem wina, a z kuchni dochodzą apetyczne zapachy. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego mężczyźni wolą, żeby ich żony siedziały w domu. Przecież one posiadały taki szczególny dar umiłania życia.

Oczywiście żaden facet nie zrobi z niej typowej zaniedbanej kury domowej i maszynki do rodzenia dzieci - pomyślał gorzko Hatch. Dziecko ... Możliwość, że Jessie jest w ciąży, na chwilę zawisła zwodniczo w powietrzu. Bo gdyby rzeczywiście spodziewała się dziecka, pewnie wyszłaby za niego za mąż bez względu na inne okoliczności. Nie chciał jednak, by czuła się do tego zmuszona.

Z drugiej strony wszystko mogłoby się wtedy udać. Jessie przywiązywała ogromną wagę do ojcostwa. Przez większość życia starała się stworzyć więzy między Vincentem a resztą rodziny. Chciałaby, żeby jej dziecko miało ojca. Istniała jednak niewielka szansa, że zaszła w ciążę. W końcu tylko dwa razy kochał się z nią bez zabezpieczenia. Mógł na razie nic nie mówić i spróbować jeszcze raz, ale i tak dawało to bardzo słabą nadzieję. A jemu ostatnio nie dopisywało szczęście.

Jessie wpuściła go do środka. Miała na sobie czarny dres. Włosy odgarnęła za uszy. Kiedy tylko na niego spojrzała, w jej oczach natychmiast pojawił się niepokój. - Co się stało? Najwyraźniej nic jeszcze nie wiedziała. Powinien milczeć jak grób i jeszcze raz zaciągnąć ją do łóżka. Ale, do cholery, ona nigdy go jeszcze nie oszukała. Był jej winien szczerłość.

- Twój ojciec mnie dziś wylał. - Zdziwił się, że powiedział to tak spokojnie. Stał w korytarzu i, w oczekiwaniu na wyrok, zastanawiał się, jak sobie poradzi bez tej kobiety. Odpędził jednak tę myśl, przygotowując się na cios.

- Wylał cię? Zerwał z tobą kontrakt?

- Tak.

- Jesteś bez pracy?

Przytaknął, opierając się ramieniem o framugę. - Nie będziesz już zarządzał firmą?

- Nie. - Wstrzymał oddech. - Wyjeżdżam z Seattle.

Zacznę gdzie indziej. Może w Oregonie. Albo pojedę do Arizony. Wpadłem tylko na chwilę, żeby ci to powiedzieć.

- Niesamowite! Aż trudno uwierzyć! - Zamrugła powiekami, a w jej oczach nagle pojawiło się rozbawienie. Ni z tego, ni z owego zaczęła chichotać, a w końcu roześmiała się na cały głos.

- O Boże! Wreszcie coś nas łączy! Hatch nie rozumiał, o co jej chodzi. - Jessie?

- Ja też straciłam dzisiaj pracę.

- Co? - Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Słyszałeś - wykrztusiła, z trudem łapiąc powietrze. - Pani Valentine mnie wylała. Powiedziała, że nie podobają jej się moje plany rozwoju firmy. Boże, jakie to śmieszne! Oboje znaleźliśmy się na bruku tego samego dnia. Co za zbieg okoliczności.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego. Jessie otarła załzawione od śmiechu oczy.

- Pewnie że nie, biedaku. Założę - się, że nie byłeś jeszcze w takiej sytuacji.

- Już raz byłem - przypomniał jej rozmyślnie. Skinęła głową i wciągnęła go do środka.

- Rzeczywiście. Zapomniałam. jeszcze za czasów twego małżeństwa z Olivią. - Zamknęła drzwi na zasuwę - Ale i tak nie możesz nawet się ze mną równać. Wejdz, a pokażę ci, jak to się robi.

Hatch czuł się jak w krainie czarów. Nic nie przebiegało zgodnie ze scenariuszem.

- Jak co się robi?

- Jak się świętuje utratę pracy. Ponieważ nie masz zbyt wielkiego doświadczenia w tym zakresie, zamierzam ci pomóc. Najpierw usiądź. - Pchnęła go na stołek.

- I co dalej?

- Otworzę bąbelki. Kupiłam dziś rano szampana i włożyłam go przed godziną do lodówki. - Zdjęła butelkę z górnej półki. - Prawdziwy. Żaden kalifornijski sikacz, tylko oryginalny francuski szampan. Zawsze go piję, jak mnie wyleją.

- Rozumiem.

- Osobiście - powiedziała, odsuwając drucik przytrzymujący korek - głosuję za Oregonem. Choć byłam w Arizonie i bardzo mi się tam podobało. Ale Elisabeth byłoby bliżej do Oregonu. Z drugiej strony nie powinniśmy chyba za bardzo wybrzydzać.

W końcu oboje jesteście bezrobotni.

Korek wystrzelił z hukiem i trafił w sufit. Szampan trysnął silnym strumieniem, lecz w chwili gdy pierwsze musujące krople spadły na podłogę, Hatch wyjął dziewczynie butelkę z rąk i szybko wlał musujący płyn do kieliszków.

Potem wziął Jessie w ramiona. Przytuliła się do niego mocno, a w jej oczach błyszczała radość i miłość.

Rozdział 18

Czyżby to znaczyło - spytał ostrożnie Hatch, kiedy już wypuścił ją z objęć - że w dalszym ciągu jesteśmy zaręczeni?

Jessie wzięła kieliszek i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Chcesz się wykręcić?

- Oczywiście że nie.

- Ciotka Glenna ostrzegła mnie przed tobą.

- Nie rozumiem.

- Mówiła, że przestaniesz się mną interesować, jeśli nie dostanę firmy w posagu.

Hatch poczuł przyływ irytacji.

- A ja myślałem, że to ty zmienisz zdanie, jeśli przez nasz ślub stracisz *Benedict Fasteners*. Twój ojciec groził, że cię wydziedziczy. Chyba jeszcze o tym nie wspomniałem.

- Cały tata. Myśli wyłącznie o pieniądzach. Ale dlaczego właściwie cię wylał? Co się stało?

- Postawiłem wszystko na jedną kartę. Blefowałem, a on sprawdził. Mogłem przewidzieć, że tak się zachowa. - Zastanawiał się nad czymś przez chwilę. - Właściwie zdawałem sobie sprawę z ryzyka, ale musiałem je podjąć.

- Dlaczego?

- Chciałem, żebyś nie musiała wreszcie tańczyć, jak oni ci zagrają. Gdyby Elisabeth i David zostali współwłaścicielami firmy, wyzwoliłabyś się z tej pętli.

- Pętli?

- Według planu A firma miała zostać podzielona między was troje, a ja chciałem wykupić czwartą część. Wszyscy staliby wtedy na pewnym gruncie. Nikt nie byłby od ciebie zależny. Mama przestałaby zawracać ci głowę, a Glenna też by się uspokoiła, gdyby czwarta część *Benedict Fasteners* przypadła w udziale Davidowi. Nie czułabyś, że odpowiedzialność za przedsiębiorstwo spoczywa wyłącznie na tobie.

Jessie aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Chciałeś namówić tatę na podział firmy?

- Taki był plan A. Wydawał mi się dobry.

- On nigdy nie chciał się na to zgodzić. Przecież ci mówiłam. Tylko Pan Bóg wie, ile razy rozmawiałam z nim na ten temat. Ale sprawa upadła. Tata sądził, że *Benedict Fasteners* rozpadnie się na kawałki.

- Mówiłem mu, że potrafię złożyć wszystko do kupy. Najwyraźniej mi nie zaufał. Jessie oparła łokieć o ladę i położyła głowę na dłoni.

- Dlaczego przyparłeś go do muru? Wiedziałeś, że możesz w ten sposób wszystko stracić. Hatch napotkał jej wzrok.

- Już ci tłumaczyłem. Uważałem, że nie powinnaś dłużej żyć pod taką presją. Uśmiechnęła się.

- Wydaje mi się, że nie tylko. Chciałeś sam sobie udowodnić, że poślubię cię bez żadnego przymusu ze strony rodziny. Hatch, jakie to rozkoszne!

- Rozkoszne? Dziecko, przecież jestem bankrutem. Podciąłem gałąź, na której siedzę. Zagryzła wargi.

Nie możesz się pogodzić ze stratą firmy?

- Oczywiście że mogę. Ale ty również ją stracisz jeśli wyjdiesz za mnie za męża.

- Wielkie rzeczy!

- I w związku z tym przestaniesz odgrywać główną rolę w rodzinie.

- Nie jestem już pośrednikiem, bo tak mnie chyba nazywałeś - powiedziała wolno Jessie, kiwając poważnie głową. - Przypuszczam, że na początku będę się chyba trochę dziwnie czuła.

- Dziwnie? - warknął. - Lepiej przygotuj się na piekło.

Chyba nie rozumiesz, że oni wszyscy są zagrożeni. Wyjdiesz za mnie, a reszta klanu nawet nie skosztuje tej konfitury.

- Dlaczego? Co teraz zrobi tata?

- Kto wie? Albo od razu sprzeda firmę, albo będzie ją prowadził tak jak dotychczas. W obu przypadkach twoja rodzina będzie musiała się pożegnać z nadzieją na szybki zysk.

- Tatusz kocha *Benedict Fasteners*. Nie wyobrażam sobie, żeby mógł zdecydować się na sprzedaż.

- A ja sobie wyobrażam. Nie pozwoli sobie niczego narzucić. Ja też zresztą bym nie pozwolił. Udowodniłby w ten sposób, że nie poddaje się niczym manipulacjom. W dodatku on lubi się mścić. Nawet nie wiesz, jak łamałem sobie głowę, żeby wyrolować Yorlanda i Younga. Vincentowi zależało na tym wyłącznie dlatego, że kiedyś stracił przez nich kontrakt.

- Rzeczywiście. A ty rozumiesz, że można pragnąć zemsty, prawda?

- Tak - westchnął Hatch. - jeżeli natomiast nie sprzeda firmy, nie zdoła przekształcić jej w giganta, jaki się wszystkim marzył. *Benedict Fasteners* jest o trzydzieści lat do tyłu. Vincent nie zna się na nowoczesnych metodach zarządzania. Beze mnie nie da sobie rady, a wątpię, czy obdarzy kogoś innego równie dużym zaufaniem.

- W takim razie nic się nie zmieni. Tata będzie prowadził interesy na mniejszą skalę. Nie widzę w tym nic strasznego.

- Ale inni, z twoim ojcem na czele, są odmiennego zdania. Nie zapomną, że już byli w ogródku, już witali się z gąską. Będą mieli pretensje wyłącznie do ciebie. Bardzo mi przykro.

- A mnie nie. - Milczała chwilę. - jestem tylko ciekawa, czy tata zostawił ci jakąś furtkę?

Hatch uśmiechnął się ponuro.

- Oczywiście. Muszę tylko odzyskać rozum, przyczołgać się do niego na kolanach i powiedzieć, że zrobię, co zechce.

Jessie zrobiła zdziwioną minę.

- Naprawdę? Chyba wiedział, że nie pójdziesz na takie warunki?

- Widocznie nic innego nie przyszło mu do głowy - odparł, wzruszając ramionami. - jak ochłonie, przyprze cię do muru. Zresztą nie on jeden.

- Proszę bardzo. Ja już podjęłam decyzję.

Hatch w dalszym ciągu nie rozumiał do końca, co się dzieje.

- Dlaczego? - zapytał bez ogródek.

- Bo cię kocham. Przecież ci mówiłam.

- Tak, ale ...

Położyła mu palce na ustach. - A ty mnie kochasz? Po raz pierwszy dopuścił do siebie tę myśl.

- Tak mi się wydaje, do diabła. Po co miałbym wyczyniać takie cuda?

Zmarszczyła nos.

- Spokojnie, najdroższy. Rozważmy ten problem z innego punktu widzenia. Czy zrezygnowałbyś ze swoich planów dla innej kobiety?

- Oczywiście że nie. - Upił łyk szampana, kryjąc rozbawienie.

- Więc powiedz to, do cholery.

Po raz pierwszy tego dnia poczuł ulgę i uśmiechnął się szeroko.

- Kocham cię, Jessie. Odwzajemniła uśmiech.

- Warto było poświęcić wszystko dla miłości? Kamień spadł mu z serca.

- A ja tak właśnie zrobiłem?

- Mhmm.

- Jak ty uważasz? - spytał cicho.

- Zdecydowanie tak.

- Zdecydowanie tak - powtórzył. - Wyjął jej kieliszek z dłoni i postawił na ladzie, tuż obok swojego.

Potem wstał, zdjął ją ze stołka i wziął w ramiona.

- Boże - szepnęła, a gdy niósł ją do sypialni, w jej oczach błyszczała namiętność. - Szkoda, że w tym mieszkaniu nie ma schodów. Byłoby o wiele romantyczniej.

- Nie. W moim wieku należy dbać o kręgosłup - powiedział poważnie Hatch. Uderzyła go lekko w ramię.

- Żartowałam. Chciałam powiedzieć coś wesołego. Nie udało mi się? Hatch zaczął chichotać, a po chwili już ryczał ze śmiechu na całe gardło.

Jego radość odbijała się szerokim echem po białej sypialni, a on zrozumiał, że nie pamięta, kiedy po raz ostatni pozwolił się ponieść fali tak pełnego, niezmaconego szczęścia.

Gdy ocknął się na chwilę z krótkiej, przyjemnej drzemki, poczuł delikatne ciepło bijące od wtulonej w niego dziewczyny. jej słodki tyłeczek opierał mu się na udach, a krągła pierś spoczywała spokojnie w jego dłoni. Hatch ścisnął delikatnie sutkę dziewczyny.

Jessie poruszyła się lekko. - Dzwoniłeś?

Zaśmiał się i pocałował ją w ramię. - Sprawdzalem, czy nie śpisz.

- Nie. Właśnie się zastanawiałam, jak bardzo chciałeś położyć łapę na *Benedict Fasteners*.

- Marzę o tym, żeby położyć łapę na tobie.

Uśmiechnęła się i obróciła głowę, żeby na niego popatrzeć.

- Bardzo mi miło, że twoja hierarchia wartości uległa tak drastycznym przeobrażeniom.

Czuję się jednak winna.

Nastrój natychmiast mu się pogorszył.

- Nie mów tak, Jessie. jeśli ktoś tu w ogóle zawinił, to ja. jednym małym ruchem zmieniłem całe twoje życie.

- Bzdura. - Dotknęła delikatnie jego policzka. - Ten jeden mały ruch przekonał mnie o twojej miłości. I tak zachowam go w pamięci na zawsze.

- Więc nad czym myślisz?

- Mogłabym porozmawiać z tatą. Pewnie spuściłby trochę z tonu. Obaj jesteście niesamowicie uparci, ale gdybym podjęła się roli mediatora, znalazłabym chyba jakieś kompromisowe wyjście.

- Tylko spróbuj, a tak ci spiorę tyłek, że nie usiądziesz przez dwa tygodnie.

Zamrugła powiekami. - Co mówiłaś?

- Przecież słyszałaś. To sprawa między twoim ojcem a mną. Nie masz z nią nic wspólnego.

Rozumiesz? - Ależ mam.

- Nie. Powiedziałaś, że podjęłaś już decyzję. Chcesz zostać moją żoną, prawda?

- Tak, ale ...

- Więc dokonałaś wyboru. Przede wszystkim obowiązuje cię lojalność w stosunku do mnie. Rodzina jest na drugim miejscu.

- Tak.

- Nie będziesz pośrednikiem, kochanie. Nie pozwolę ci na to. Stoisz po mojej stronie barykady i nie zmienisz frontu. Nie chcę, żebyś mnie ratowała. Pragnę i potrzebuję wyłącznie ciebie, rozumiesz?

Uśmiechnęła się i położyła mu ręce na piersi.

- W porządku. Nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć czegoś równie miłego.

- Masz na myśli ten fragment o praniu tyłka?

Pociągnęła go za włosy na torsie i stwierdziła z satysfakcją że się skrzywił.

- Nie. Inny. O tym, że pragniesz mnie dla mnie samej.

Nie jestem ci potrzebna w charakterze mediatora. Nie chcesz, żebym ratowała sytuację.

Potrzebujesz mnie dla mnie samej.

- Nigdy o tym nie zapominaj. - Przesunął dłonią po jej udzie.

- Dobrze.

- Jessie? - Gładził delikatne włosy między nogami dziewczyny. - Tak?

- Jesteś pewna, że chcesz urodzić moje dziecko?

- Oczywiście. Wiem, że będziesz dobrym ojcem.

- Dzięki za zaufanie. Rozumiem, co oznacza dla ciebie ta decyzja. - Pocałował ją w szyję i rozsunął jej nogi. Odurzył go zapach kobiecości. Był już bardzo podniecony. - Nikt nie ufał mi tak bardzo jak ty. Jeśli ze mną odejdziesz, będziemy musieli zaczynać wszystko od początku.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Nie oszczędziłam zbyt wiele, ale zostało mi parę groszy.

Sprzedamy jedno auto. Niestety najprawdopodobniej Mercedesa.

- Cholera.

Poklepała go współczująco po ramieniu.

- Na pocieszenie dodam, że jestem mistrzynią w szukaniu posad. Położył się na niej, ujął jej głowę w dłonie i uśmiechnął się.

- Nie będzie tak źle. Zostały mi pewne zasoby, z pomocą których chciałem wykupić *Benedict Fasteners*. Teraz otworzę za nie nową firmę konsultingową. Raz mi się udało, więc czemu mam znów nie spróbować?

- Pewnie.
- Niestety, większość pieniędzy trzeba będzie wpakować w interes.
- Przez jakiś czas będzie ciężko.
- Nie martw się. - Jessie pogłaskała go po ramieniu. Jestem zupełnie spokojna.
- Wiem, że sobie poradzisz.
- Patrzył z rosnącym zdumieniem na jej rozpromienioną twarz.
- Gdzie byłeś przez całe moje życie?
- Czekałam na ciebie. - Objęła go nogami w pasie, a rękami za szyję.
- Hatch wszedł w nią wolno, z bolesną niemal czułością, a ona wciągnęła go głębiej. Dostrzegł pożądanie w jej oczach i doznał nie znanego mu dotychczas poczucia pełni.
- Pomyślał, że wszystko inne przestało się liczyć. Nieważna była zarówno nie pewna przyszłość, jak i utrata wspaniałych perspektyw. Ważne było tylko dziecko, które chciał spłodzić.
- Będę fantastycznym ojcem. - Ta obietnica wydawała się tak wiążąca jak przysięga. - Wiem.
- Ale jeszcze lepszym mężem.
- To również jest dla mnie jasne. - Uśmiechnęła się do niego promiennie. - Nie martw się. Może uda się nam jakoś zatrzymać Mercedesa.
- Pewnie, że nam się uda.

Elisabeth zapłaciła za książkę o kobietach-naukowcach. Zdjęła z lady papierową torbę i odwróciła się do Jessie.

- Jestem gotowa. Chcesz teraz pójść oglądać ciuchy? spytała, gdy wyszły już do zatłoczonego holu.
- Nie. Nie chcę ulegać żadnym pokusom - powiedziała Jessie, czując, że postępuje niezwykle szlachetnie i oszczędnie. - Dopóki Hatch nie rozkręci interesu, będziemy żyli bardzo skromnie.
- Czyżbyś musiała zrezygnować z hucznego wesela?
- Obawiam się, że tak. Ale będziesz moją druhną. Nie możemy sobie po prostu pozwolić na taki luksus jak bufet na trzysta osób.
- Ale dostanę tę sukienkę, którą mama już dla mnie wybrała? I ten mały kapelusik?
- Oczywiście. My pewnie włożymy dzinsy, ale ty będziesz wyglądała jak prawdziwa dama.

Żaden problem.

Elisabeth przyjrzała się jej uważniej, jakby chciała się upewnić, czy siostra nie kpi.

- Dzięki. Umieram z niecierpliwości. A co z przyjęciem zaręczynowym?
- Odbędzie się w piątek. Zgodnie z planem. Hatch nie chciał go odwołać. Stwierdził, że jeszcze nie jest tak źle, żebyśmy nie mogli sobie na nie pozwolić. Zresztą nie wydamy wiele, skoro przyjdiesz tylko ty i David. A przy okazji... czy mogłabym cię prosić, żebyś nie zamawiała homara?
- Trochę to dziwne ... tylko ja i David.
- Wiem - odparła cicho Jessie. - Mimo wszystko chciałabym, żebyśmy się dobrze bawili.

Elisabeth odwróciła wzrok i spojrzała na wystawę. - Będę za tobą tęsknić.

Jessie objęła ją mocno i przytuliła.

- A ja za tobą. Ale będziesz mogła nas odwiedzać tak często, jak zechcesz.
- Hatch się zgodzi?
- Oczywiście.
- Pojedziecie do Arizony?
- Haich jeszcze nie zdecydował. Musi sprawdzić, gdzie będzie miał lepsze perspektywy dla

interesów.

- Może jednak wybierzecie Portland. Tam mogłabym przyjeżdżać pociągiem. Jessie odetchnęła głęboko i poczuła wilgoć pod powiekami.

- Ja też mam nadzieję, że w końcu tam wylądujemy.

Tak czy inaczej, wszystko ułoży się znakomicie, obiecuję. - Ale zupełnie inaczej?

- Niestety.

- Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa. - Elizabeth podniosła głowę; w jej oczach lśniły łzy. - Bardzo bym chciała, żebyś była. Jessie nie udało się powstrzymać od płaczu.

- Dziękuję ci bardzo. Naprawdę. - Jessie przytuliła ją mocno do siebie i stały tak w przejściu, póki strażnik nie zapytał ich, czy coś się stało.

Pokręciły głowami i zeszły na parking.

Kiedy Jessie przyjechała z Elisabeth do biura firmy *ExTra Mieszkanie*, Lillian i Constance już tam na nią czekały. Elisabeth otworzyła drzwi i skrzywiła się.

- Uwaga, Jessie. już one dadzą ci dobrze popalić. Constance zmarszczyła groźnie brwi.

- Może pobiegasz sobie na zewnątrz? - zaproponowała. - Chcemy porozmawiać z Jessie.

- Oczywiście, mamo. - Elisabeth rzuciła siostrze współczujące spojrzenie, a gdy wyszła, na chwilę zapanowała głęboka cisza.

- Cóż, Jessie. - Lillian spojrzała poważnie na córkę. Powiesz nam wreszcie, co się właściwie stało? Jessie wzruszyła ramionami i usiadła na jednym z niewygodnych, włoskich krzeseł.

- Nie mam wiele do powiedzenia. Przyjęcie zaręczynowe odbędzie się w piątek. Nie ustaliliśmy jeszcze daty ślubu, ale nie zamierzamy czekać zbyt długo. Wyjedziemy do Portland albo do Phoenix. To na razie tyle. Nie odchodźcie od odbiorników. Film zaczyna się o jedenastej.

- Nie żartuj. - Constance pochyliła się i położyła łokcie na biurku. - Oni naprawdę zerwali umowę?

- Tak. Hatch chciał, żeby tata podzielił firmę między niego, Davida, Elisabeth i mnie, a on się nie zgodził.

- Na miłość boską. To było przecież jasne od początku.

Od lat usiłowałyśmy go namówić na taki układ. - Constance trzasnęła dłonią w blat. - Niech szlag trafi tego faceta! - Którego? Hatcha czy Vincenta? - spytała sucho Lillian.

- Obu - mruknęła Constance.

- Ale co my mamy teraz robić?

- Najlepiej nic - poradziła Jessie. Lillian potrząsnęła głową.

- Musisz podejść rozsądnie do sprawy. Gramy o wielką stawkę. Nie możesz chować głowy w piasek.

- Wcale nie chowam. Podjęłam już decyzję.

- Ale niedobrze - warknęła Connie. - Bądź rozsądna. Sama mówiłaś, że nie jesteś pewna swoich uczuć.

- Nieprawda. Tak czy inaczej, nie mam już żadnych wątpliwości i dokonałam wyboru. Pewnie nie takiego, jakiego oczekiwaliście, ale trudno.

- Chodzi o przyszłość wielu ludzi - odpaliła Connie. - Dochody mojej córki, Davida, a także i twoje stoją pod dużym znakiem zapytania. Nie wolno ci odejść, jak gdyby nigdy nic.

- Dlaczego? - Jessie uśmiechnęła się łagodnie. - Coś wam powiem. Wcale nie jest mi tak ciężko, jak się spodziewałam. Poza tym bądźmy realistkami. Nikt nie umrze z głodu. Nie będziecie może milionerkami, ale nie widzę powodu do zmartwienia.

- Żartujesz? - Connie zrobiła przerażoną minę. - Bez ciebie wszystko wywróci się do góry nogami.

- Ona ma rację - przytaknęła Lillian. - Vincent każe nam błagać o każdego centa. Przecież wiesz, jaki on jest.

- Więc nie błagajcie. W ten sposób doprowadzicie go do szału - poradziła sucho Jessie. - Tata uwielbia trzymać w ręku sznurki do cudzych sakiewek. Radzę wam je przeciąć.

- Łatwo powiedzieć - szepnęła Lillian. - Kiedy pomyślę, co to mogła być za firma ... - Zawiesiła głos.

- Radzisz mi, żebym odcięła sznurki od potencjalnych dochodów mojej córki, które mogłyby być ogromne, gdyby *Benedict Fasteners* odpowiednio się rozwinęło.

- Elisabeth na pewno sobie poradzi. Ona nigdy nie potrzebowała pieniędzy taty, tylko jego miłości i uwagi. - Cóż, skoro wyjeżdżasz, na to również nie będzie mogła liczyć - zauważyła Constance.

- W grę wchodzi także twój majątek. - Lillian spojrzała karcąco na córkę. - Teraz łatwo ci powiedzieć, że poświęcasz go w imię miłości, ale za pięć lat dochowasz się własnych dzieci i pewnie zmienisz zdanie.

- Chciałabym, żeby moje dzieci utrzymywały kontakt z dziadkiem - odparła Jessie. - Ale nie będą potrzebowały jego pieniędzy. Ja również nie. - Wstała i zarzuciła torbę na ramię.

- Jessie - powiedziała szybko Lillian. - Zastanów się jeszcze. Nie byłaś pewna, co czujesz do Hacha. Nie spiesz się. Zaczekaj. Rozważ wszystkie okoliczności. Nie wiesz, jaki ma on właściwie cel. Może na przykład chce cię wykorzystać jako broń przeciwko Vincentowi.

- Nieprawda. On mnie kocha. - Jessie uśmiechnęła się.

- Dla mnie samej, a nie dlatego, że jestem w jakiś sposób użyteczna. Prawdopodobnie narobiłam mu takich kłopotów, o jakich do tej pory nawet nie śnił.

- O czym ty mówisz? - spytała Lillian.

- Spójrz na tę sprawę z jego punktu widzenia. Wciągnęłam go w niesamowitą awanturę. Przeze mnie o mało nie zginął. Stracił szansę na utworzenie z *Benedict Fasteners* trzonu imperium, jakie chciał zbudować, bo postanowił ocalić mnie przed rodziną. A teraz musi właściwie zaczynać wszystko od początku.

- Patrzysz na to pod nieodpowiednim kątem.

- Niekoniecznie. - Jessie podeszła do drzwi i przystanęła z ręką na klamce. - On naprawdę zrobił wszystko, żeby mnie zdobyć. Na pewno jest zakochany.

- Prosimy cię tylko, żebyś zachowała odrobinę zdrowego rozsądku - wtrąciła gładko Lillian. - A jeśli Vincent wścieknie się do tego stopnia, że sprzeda firmę? Zresztą nawet jeśli jej nie sprzeda, wiemy przecież, że trzeba ją unowocześnić, bo nie wytrzyma konkurencji. *Benedict Fasteners* ma szansę stać się prawdziwym gigantem. Nie wolno nam jej przegapić.

- Nie poradzicie sobie bez Hacha, a tata go wyrzucił. - Przypomniała Jessie.

- Ale ty mogłabyś coś zrobić, cholera. - Constance uniosła ręce w błagalnym geście. - Potrafisz dogadać się z Vincentem. Namów go, żeby poszedł po rozum do głowy. I poproś Hatcharda, żeby się opamiętał.

- Tatusz będzie chciał go upokorzyć.

- Na tym polegają kompromisy! - wrzasnęła Constance. Zapominasz o dumie - powiedziała Jessie. - jeżeli tata i Hatch mają w ogóle razem pracować, jeden z nich będzie musiał się wycofać. A powiem wam od razu, że Hatch nie popuści.

- Vincent również nie - ostrzegła Lillian.

Jessie skinęła głową. Znała swego ojca równie dobrze jak jego eks-zony.

- Wiem. Aha, zapraszam was oczywiście na piątek.

- Chyba się nie spodziewasz, że zamierzamy świętować naszą klęskę - mruknęła Constance. Lillian zmarszczyła brwi.

- Idź do domu i pomyśl. Zastanów się dobrze. Nie chcesz przecież poświęcić rodziny dla człowieka, który wzgardził taką fortuną.

Jessie parkowała auto przed domem z dziwnym uczuciem. Intuicja znów ostrzegała ją przed niebezpieczeństwem, zupełnie tak samo jak wtedy, gdy zajmowała się sprawą Susan Attwood. Na jej stan psychiczny miały niewątpliwie wpływ zmiany, jakie ostatnio nieustannie zachodziły w jej życiu. Zdarzyło się zbyt dużo rzeczy naraz. Pani Valentine wyrzuciła ją z pracy, choć Jessie wierzyła głęboko, że tym razem zdoła utrzymać posadę. Zaręczyła się i przyczyniła w ten sposób do ogromnych napięć rodzinnych, a do tej pory zawsze je łagodziła.

Całe jej życie przewróciło się do góry nogami. Można by zatem uznać odczuwany przez nią niepokój, a nawet lęk, za stan normalny w takiej sytuacji. Jessie zabrała z tylnego siedzenia dwie torby z zakupami i wysiadła z samochodu. Zamykając drzwiczki, usłyszała nagle ryk silnika. Odruchowo zerknęła na prawo - spokojną zwykle ulicą pędził ciemnobrązowy samochód. Jechał prosto na nią. Jessie wrzasnęła i upuściła torby. Błyskawicznie oceniła, że nie uda jej się przebiec na drugą stronę jezdni. Zrobiła więc jedyną rzecz, jaka jej pozostała. Przycisnęła się na płask do samochodu, prosząc Boga, by kierowca zauważył jej auto.

Brązowy wóz śmignął tak blisko Jessie, że zahaczył zderzakiem o jej torebkę. Torebka wyleciała w powietrze i spadła o parę metrów dalej. Jessie poczuła tylko pęd powietrza, dostrzegła przyciemnione szyby samochodu, przez które nie było widać kierowcy, i było po wszystkim. Po wszystkim, a ona wciąż żyła. Ledwie żyła. Odrywając się od samochodu, poczuła, że robi jej się słabo. Auto, które o mało jej nie przejechało, skręciło za róg i zniknęło z pola widzenia.

- Ci cholerni pijacy - mruknęła stojąca na chodniku staruszka. - Powinno się ich raz na zawsze usunąć z ulic. Najlepiej zabrać im samochody. Jessie popatrzyła na nią w milczeniu.

Gdy Mercedes Hacha zaparkował obok jej auta, dziewczyna wciąż gapiała się bezmyślnie na sklepy po przeciwnej stronie ulicy. Hatch zobaczył rozsypane zakupy i w okamgnieniu znalazł się przy niej.

- Jessie?

Wpadła prosto w jego ramiona. W tamtej chwili tylko on mógł dać jej siłę i poczucie bezpieczeństwa.

Rozdział 19

Na pewno nic ci się nie stało? - zapytał po raz piąty. Wszystko w porządku. Jestem tylko trochę roztrzęsiona. - Jessie siedziała w kuchni i piła przygotowaną przez Hacha herbatę. Powinna była uważać.

- To prawda, cholera. Powinnaś była. Jessie uniosła brwi.

- Czyżbyś już mniej mi współczuł? Zamierzasz rozpocząć kazanie?

- Teraz, gdy pierwszy szok już minął, mam prawo powiedzieć, co o tym myślę.

- Hatch oparł się o zlew i patrzył na nią chmurnie. Następnym razem obejrzyj się za siebie, dobrze?

- Możesz być pewien, że się poprawię.

- Szkoda, że ta staruszka nie zauważyła numeru.

- Nie było czasu. To trwało parę sekund.

- I nie widziałaś kierowcy?

Jessie potrząsnęła głową.

- Mówiłam ci już. W aucie były przyciemnione szyby. Ale i tak nie miałabym kiedy sporządzić raportu. Chciałam raczej wtopić się w karoserię. Policji mogę powiedzieć tylko tyle, że jakiś brązowy wóz chciał mnie przejechać. Niestety, niewinni ludzie bez przerwy mają takie przygody. jedyne, co im pozostaje, to zachować maksymalną ostrożność.

- Właśnie. - Hatch umilkł i zadumał się.

- Hatch?

- Tak?

- O czym myślisz?

- O paru sprawach.

- Rozumiem - mruknęła Jessie. - No, powiedz. Co się dzieje w tym twoim pokręconym mózgu?

- Przypomniałem sobie, że policja nie znalazła faceta, który usiłował włamać się do biura i do Mercedesa. Przesłuchują Brighta, aresztowali Landisa i Hoffmana, ale może został ktoś jeszcze. Jessie rozszerzyła oczy z przerażenia.

- Chyba nie sugerujesz, że ten ktoś na mnie dybie?

- Pewnie nie - odparł Hatch trochę zbyt szybko. - jeśli tamci mają jakiegoś wspólnika, to on na pewno wyjechał już z miasta. A nawet jeśli brak mu piątej klepki i zdecydował się tu zostać, polowałby raczej na Susan Attwood. Przecież właśnie ona może przedstawić najcięższe dowody przeciw Brightowi.

- Fakt.

Powinniśmy chyba zadzwonić do Susan i Alexa. Hatch myślał chwilę.

- Coś mi tutaj nie gra. Ten facet już dawno powinien zniknąć z horyzontu. Pewnie pracował dla nich jako ochroniarz, ale jeśli udało mu się wymknąć policji, zostałyby mu tyle rozumu w głowie, żeby zmyć się stąd na dobre. Nie zaszkodzi jednak zawiadomić Robina. Poproszę go, żeby czuwał nad Susan, pozamykał dobrze drzwi i trzymał się z daleka od ciemnych zaułków.

- A ty co zamierzasz robić?

- Pilnować ciebie.

Jessie nie była specjalnie zaskoczona wiadomością od ojca, jaką znalazła rano na sekretarce.

- Chcę natychmiast z tobą porozmawiać. - Żądał Vincent burkliwym głosem. - Nie w biurze. Wracam wcześniej do domu. - W jego tonie trudno się było doszukać jakichkolwiek uczuć poza wściekłością.

O piątej Jessie posłusznie weszła na schody dużego, białego domu swego dzieciństwa. Dzielnica Queen Anne należała do najładniejszych w Seattle -domy były tu duże, drogie i starannie utrzymane. Rezydencję, do której Vincent Benedict przyprowadził swoje obie żony, otaczał piękny ogród.

Zajmował się nim oczywiście specjalista - ojciec Jessie nie interesował się zupełnie uprawą roślin.

Vincent otworzył drzwi ze szklanką whisky w ręku i łypnął na córkę. - No, nareszcie - mruknął i natychmiast zauważył, że przy krawężniku stoi Mercedes Hacha, a jego właściciel, niedbale oparty o zderzak, podziwia wysadzaną drzewami aleję. - Co ten łajdak tu robi?

- Pilnuje mnie.

- Dlaczego? - Vincent aż poczerwieniał ze złości. - Boi się, że nauczę cię rozumu?

- Niezupełnie. - Jessie weszła do holu i skierowała się do salonu. Vincent zamknął drzwi i poszedł za nią.

- Zaczekaj chwilę. Hatch przysłał cię tutaj, żebyś występowała w jego imieniu?

- Przyszłam, bo mnie zaprosiłeś, już nie pamiętasz? jest dopiero piąta, tato. Nigdy nie wychodzisz z pracy o tak wczesnej porze. Rozumiem, że to sprawa wagi państwowej. - Jessie popatrzyła na ogród przez wykuszowe okna. Był tak zadbane i idealny jak reszta domu, który sprawiał wrażenie nie zamieszkanego. Ojciec przychodził tu tylko po to, żeby się przespać i zmienić ubranie. Mieszkał w *Benedict Fasteners*. Tak jak kiedyś.

- Doskonale wiesz, o czym chcę z tobą rozmawiać. Wszystko się nam zawaliło.

- Nie mnie. Trzymam się od tej sprawy z daleka. - Przysiadła na poręczu jednego z kremowych foteli kupionych jeszcze przez Constance. Obie eks-żony Vincenta miały swój udział w umeblowaniu tego pokoju. Dziwnym zbiegiem okoliczności wszystko świetnie do siebie pasowało, co świadczyło samo przez się o związku łączącym obie panie.

- Nie opowiadaj bzdur. Zawsze chciałaś być w centrum wydarzeń. Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję. Obiecałam Hatchowi, że nie zostanę długo.

- Hatch! Co za sukinsyn! Wprowadziłem węża do własnego gniazda!

Jessie uniosła wojowniczo podbródek.

- Uważaj, tato. Mówisz o człowieku, którego zamierzam poślubić. Przyszłym ojcu twoich wnuków.

- Chryste. Tobie nie wolno za niego wyjść, Jessie.

Koniec i kropka. Przynajmniej dopóty, dopóki nie nabierze rozumu i nie pojmie, że palnął głupstwo. Oszalał! Chciał, żebym podzielił firmę. Cała ta historia zaszła już dość daleko i tylko ty możesz coś zrobić. Czego ode mnie oczekujesz?

- Tego, co zwykle. Załatw to jakoś. - Vincent machnął ręką, w której trzymał szklankę z whisky. -

Uspokój rodzinę i wymyśl jakieś rozsądne wyjście z sytuacji.

- Innymi słowy, wszyscy muszą postąpić zgodnie z twoją wolą.

- Tak się składa, że interesuje mnie wyłącznie dobro *Benedict Fasteners*, a co za tym idzie - dobro rodziny warknął Vincent.

- Hatch jest wręcz przeciwnego zdania.

- Mam gdzieś jego opinię.

- A ja nie. - Uśmiechnęła się. - Przykro mi, tato, ale tym razem niczego nie załatwię. Nie będę nawet próbować. - Dlaczego nie, do diabła?

- Przede wszystkim dlatego, że Hatch mnie spierze, jeśli jeszcze raz podejmę się roli mediatora.

- Groził ci? - Vincent odwrócił się gwałtownie z niebezpiecznym błyskiem w oku. - Ten sukinsyn groził, że pobije moją małą córeczkę? Rozerwę go na strzępy. Bóg mi świadkiem, że zrobię z niego sieczkę.

- Uspokój się. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że Hatch nigdy by mnie nie skrzywdził - powiedziała Jessie.

- Nie, ja już nic nie wiem. Nie jestem pewien, czego można się po nim spodziewać. Wydawało mi się, że znam tego człowieka, ale najwyraźniej się myliłem. On wystąpił przeciwko mnie i będzie ze mną walczył jak rekin, bo jest rekinem.

Jessie wzniosła oczy do nieba.

- Daj spokój, tato. Przesadzasz.

- Więc załatw to. Wymyśl coś. Nie wolno ci z nim uciec.

- Dlaczego?

- Bo on jest potrzebny firmie, a ty rodzinie. Oto dlaczego.

- Przykro mi, tato, ale podjęłam już decyzję. - Jessie wstała i podeszła do ojca. Wspięła się na palce

i musnęła ustami jego policzek.

- A co z rodziną? - spytał ochryplym głosem, gdy Jessie ruszyła do wyjścia.

- Kocham was wszystkich, ale zmuszacie mnie, żebym dokonała wyboru. Więc go dokonałam.

- Jessie, zaczekaj, cholera. Wracaj - prosił łamiącym się głosem. - Nie rozumiesz? jeśli wyjedziesz, stracę ich wszystkich - Elisabeth, Davida, Connie i Lillian. Trzymamy się razem wyłącznie dzięki tobie. Dzięki tobie i firmie.

- Przepraszam cię, tato, ale nie mogę ci pomóc.

- Nie pozwolę, żeby Hatch rozwaliał coś, co zbudowałem z takim trudem - zawył Vincent. - Słyszysz? Nie pozwolę! Nie pozwolę!

- Jeśli chcesz zachować to wszystko: mnie, rodzinę i wizję świetlanej przyszłości swojej firmy, powinieneś zaufać Hatchowi, jakby był twoim synem.

- Jessie ruszyła w stronę wyjścia, ale zanim otworzyła drzwi, przystanęła na chwilę. - Przy okazji chciałabym cię zaprosić na nasze przyjęcie zaręczynowe. Jutro o wpół do ósmej. Na wszelki wypadek podałam Grace nazwę restauracji.

- Nie czekaj na mnie. Nie wyrażam zgody na te ... te cholerne zaręczyny.

- Zaprosiłam tylko rodzinę - powiedziała cicho Jessie. - Nie spodziewam się zatem zbyt wielu gości. Hatch stał na ulicy i patrzył z zainteresowaniem, jak przy krawężniku parkuje zielony Buick, z którego wysiada Glenna Ringstead. Glenna - uczesana w ciasny kok, w szarej garsonce i czarnych pantoflach - wyglądała dokładnie tak samo jak zwykle. Nie od razu dostrzegła Hatcha opartego o zderzak Mercedesa. Była wyraźnie skoncentrowana na misji, z jaką przyjechała do Vincenta Benedicta. Hatch był bardzo ciekaw, skąd mogła wiedzieć, że o tej porze zostanie go w domu.

- Cześć - powiedział.

Glenna obróciła się gwałtownie, a jej interesująca twarz przybrała zdumiony wyraz.

- Hatchard? Co ty tu robisz?

- Jessie rozmawia z ojcem. Zaraz wyjdzie. Chyba nie mają sobie zbyt wiele do powiedzenia.

- A więc to prawda? - spytała, mrużąc oczy. - Pokłóciłeś się z Vincentem, a Jessie zamierza z tobą uciec.

- W przypadku gdy panna młoda ma już dwadzieścia siedem lat, a jej przyszły zbliża się do czterdziestki, trudno to nazwać ucieczką. Nie jesteśmy parą dzieciaków z ogólniaka.

Zrobiła zniecierpliwioną minę - Ale zamierzacie się pobrać?

- Tak.

Czy Vincent cię wylał?

- Kazał mi posprzątać biurko i zniknąć w ciągu dwóch godzin. Nie dostałem nawet wymówienia z dwutygodniowym wyprzedzeniem, choć - jak twierdzi Jessie - tak się na ogół postępuje.

Oczy Glenny rozblęły z zadowolenia.

- Wiedziałam, że się nie uda. Mówiłam Vincentowi, że popełnia błąd, zatrudniając cię w tej firmie. Bez twojej pomocy i tak by mu się udało wywindować *Benedict Fasteners* na szczyt. Wystarczy, żeby przekazał Davidowi swoją wiedzę i doświadczenie. Może teraz się opamięta. Hatch wzruszył ramionami.

- Coś mi się wydaje, że Davidowi nie zależy na takiej robocie.

- Ale na pewno będzie mu zależać. Potrzebował tylko trochę czasu, żeby zmądrzeć. Teraz, kiedy ty wypadłeś Vincent na pewno da mojemu synowi jedną szansę. Jest mu winien.

- Nie łudź się. David nie jest materiałem na biznesmena. Ten chłopak powinien zostać nauczycielem

Będzie o wiele szczęśliwszy.

Jessie nie wie, co mówi. Bo nie skończyła psychologii, w ogóle n dogłębnie nie studiowała. Nawet nie potrafi utrzymać posady. A wydaje się jej że pozjadała wszystkie rozумы. Najlepiej żeby przestała się zajmować sprawami rodziny. Wszyscy wyjdziemy na tym lepiej.

Hatch uniósł brwi. - Tak sądzisz?

-Jestem pewna - odparła i odeszła do domu.

Jessie niemal zderzyła się z nią - Cześć, ciociu. Skąd się tu wzięłaś? W jej oczach pojawiło się zdziwienie.

Przysłałam porozmawiać z twoim ojcem.

- Dobrze. Mam nadzieję, że nie o przyjęciu. Czekamy jutro o wpół do ósmej. Glenna skinęła sztywno głową. - Będę.

- Świetnie.

Gdy Jessie zeszła ze schodów, oderwał się od zderzaka i otworzył przed nią drzwiczki auta. – W porządku?

Tak.

Na pewno?

Jasne. - Uśmiechnęła się smutkiem na przednim siedzeniu. - Ciekawe, że ludzie zapędzają się w kozi róg i nie chcą wyjść, choć tak byłoby dla nich najlepiej, prawda?

- Bo postępują według utartych zasad. Nie tak łatwo zmienić przyzwyczajenia.

- Ciotka Glenna była pierwszą co mi to powiedziała.

Skoro już o niej mowa ... - Hatch zerknął w stronę domu. Widząc, że ciotka Jessie weszła do środka, zatrzasnął drzwiczki po stronie pasażera, po czym obszedł auto i usiadł za kierownicą.

- Co z ciotką? - spytała Jessie.

- Wydaje się jej, że osiągnęła swój upragniony cel.

- Bo ja zniknęłam wreszcie z horyzontu? - spytała gorzko Jessie. - Tak, wiem. - Zerknęła na zamknięte drzwi dużego białego domu, a Mercedes ruszył wolno naprzód. - Mam nadzieję, że wreszcie jest szczęśliwa.

- Coś mi mówi, że ona nie potrafi się niczym długo cieszyć - zauważył Hatch.

- Ale daję głowę, że w piątek zaszczyci nas swoją obecnością, żeby uczcić ten sprzyjający rozwój wydarzeń.

Kelner patrzył na pięcioro gości zgromadzonych przy ośmioosobowym stoliku. Wręczając im karty, odchrząknął dyskretnie.

- Czy będziemy jeszcze czekać na pozostałych? - spytał Hacha.

Jessie zagryzła wargi, a Hatch zerknął na zegarek. Na ich zaręczynowe przyjęcie przyszedł David, Elisabeth i Glenna. Reszta gości nie pojawiła się.

- Chyba nie ma sensu -. odparł Hatch. - Proszę przynieść szampana i butelkę wody mineralnej.

- Tak, oczywiście. Już podaję. - Kelner odszedł od stolika i zaczął się przebijać przez zatłoczoną restaurację.

Elisabeth patrzyła na Hacha, a oczy płonęły jej z ciekawości. - Trudno uwierzyć, że oboje zostaliście wylani tego samego dnia.

- Widocznie los tak chciał - mruknął Hatch.

- Raczej pech - zażartował David.

- Co za różnica. - Panowie wymienili rozbawione spojrzenia.

Glenna uśmiechnęła się do Jessie z zimną satysfakcją.

- Na pewno wyjdzie to wszystkim na dobre. David zerknął na drzwi.

- Stary wystawił cię do wiatru - zauważył, zerkając na Jessie. - Chociaż do końca miałem nadzieję, że się jednak złamie.

- Tata nie czuje się ostatnio najlepiej w moim towarzystwie - powiedziała cicho Jessie.

- Ale zupełnie nie rozumiem mamuś - odezwała się Elisabeth. - Mówiłam im, że powinny przyjść, choćby były nie wiem jak na ciebie wściekłe. A one mi na to, że popełniasz życiowy błąd, który spowoduje całą lawinę kłopotów. Stwierdziły jeszcze, że zaczniesz żałować, jak już będzie za późno. Nie chciały przykładać do tego ręki.

- Może z czasem zrozumieją, że dokonałam właściwego wyboru –odparła Jessie patrząc na Hacha, który uśmiechnął się do niej i pod osłoną obrusa pogłaskał ją po rękę.

- Więc gdzie w końcu zamierzacie mieszkać? - spytał szybko David zdecydowany skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory.

- Chyba w Portland - odparł Hatch.

- Świetnie. - Elisabeth rozjaśniła się z radości. - To wcale nie tak daleko.

Hatch wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dlatego wybrałem Portland, a nie Phoenix. Chcieliśmy, żebyś mogła nas często odwiedzać.

- Dzięki. - Elisabeth zerknęła na siostrę. - Już sprawdziłam pociągi.

- Będzie dobrze - powiedziała stanowczo Jessie. Kelner przyniósł szampana i wodę mineralną.

Wszyscy patrzyli, jak celebrytuje otwieranie butelki i nalewanie trunku do kieliszków. Gdy wreszcie odszedł od stołu, Hatch zabrał głos.

- Zebraliśmy się dziś tutaj, by uczcić nasze zaręczyny. Chciałbym wszystkim podziękować.

- Chwileczkę - przerwał David patrząc na drzwi. Mamy więcej gości.

- Mamuśki! - oznajmiła radośnie Elisabeth. - A jednak! Jessie od razu poczuła się lepiej. Uradowana, uśmiechnęła się do matki, która właśnie zbliżała się do stolika. Lillian ponuro skrzywiła się w odpowiedzi.

- Witaj, mamó. Cześć, Connie - powiedziała cicho Jessie. - Cieszę się, że was widzę.

- Zdążyłyście na toast. - Hatch wstał i podsunął im krzesła.

- Widzę - mruknęła Lillian, wpatrzona w córkę.

- Dobry wieczór, mamó - powiedziała Elisabeth. - Fajnie, że jesteście.

Bardzo nam was brakowało.

- No cóż. I tak zrobilibyście swoje - stwierdziła rzeczowo Lillian. - Nie było sensu udawać, że nic się nie stało. Jeśli Hatch chce porwać Jessie, musimy pogodzić się z losem.

- Jesteśmy oczywiście ogromnie wzruszeni faktem, że łaskawie zaakceptowała pani sytuację. - powiedział Hatch. - Dlatego tu przyszłam - odgryzła się Lillian.

- Właśnie. Bardzo nam miło. Proszę spróbować szampana.

Glenna spojrzała na Constance i Lillian z chłodną aprobatą.

- Wydaje mi się, że postąpiliście słusznie. Brak oparcia ze strony rodziców w takich chwilach jak ta może wyrzucić nieodwracalny wpływ na ich przyszłe stosunki z dziećmi.

- Myślę, że one nie potrzebują twojej aprobaty, mamó - szepnął David. - Przyszły, bo zależy im na Jessie tak samo jak nam wszystkim. Nawet jeśli uważają, że popełnia błąd.

- Istotnie - powiedziała Constance i uśmiechnęła się do Hacha. - Mam nadzieję, że niedługo znajdziesz pracę. Bóg świadkiem, że Jessie nie będzie w stanie utrzymać rodziny. Nie wytrwała na

żadnej posadzie dłużej niż sześć tygodni.

- Protestuję - zawołała wesoło Jessie. - Rzeczywiście nie mogę jakoś nigdzie długo zagrać miejsca, ale doskonale wynajduję nowe zajęcia. Nawet nie potrafię policzyć, w ilu firmach już pracowałam.

- To prawda. - Lillian jęknęła. - No? - zwróciła się do Hacha. - Wymyśliłeś już coś?

Cały czas się zastanawiam, jak by tu zdobyć jakiś zasiłek - mruknął Hatch. - To cholernie skomplikowana sprawa. Nie miałem pojęcia, że trzeba składać aż tyle papierów. No nic, istnieje w końcu opieka społeczna.

- Zasiłek? Opieka społeczna? To znaczy, że nie zacząłeś niczego szukać? I chcesz poślubić moją córkę? - Lillian patrzyła na niego z przerażeniem.

- Uspokój się, mamó. - Jessie zachichotała. - On żartował. Ma specyficzne poczucie humoru.

Lillian wzniosła oczy do nieba i zerknęła na Constance, jakby szukała w niej oparcia.

- Jeszcze mi tego brakowało. Zięć ze spaczonym poczuciem humoru.

- Lepsze takie jak żadne - zawyrokowała Connie.

- Dajcie spokój - przerwała Elisabeth i wzięła do ręki kieliszek z wodą sodową. - Mieliśmy wnieść toast, a ja jeszcze nigdy tego nie robiłam.

- W takim razie zaczniemy od początku - powiedział Hatch. - Zaprosiliśmy was tutaj, by podać do publicznej wiadomości fakt, że ja i Jessie zamierzamy się wkrótce pobrać. Cieszę się, że możemy razem świętować tę uroczystość. Wiem, że niektórym niełatwo się pogodzić z naszą decyzją, ale trudno. I tak będzie, co ma być. Wypijmy najpierw zdrowie mojej cudownej, lojalnej, ukochanej Jessie.

Jessie zarumieniła się pod jego gorącym spojrzeniem. Było w nim tyle uczucia i pożądania, że aż zadrżała z wrażenia. Pozbyła się już wątpliwości. Zrobiła to, co należało. Wszyscy przy stoliku sięgnęli po kieliszki, ale David przerwał toast po raz drugi.

- Chwileczkę - powiedział cicho. - Mamy kolejnego gościa.

- Kogo, do licha? - Glenna zmarszczyła brwi i odwróciła się.

- Nie do wiary ... - Lillian potrząsnęła głową w niemym zdziwieniu.

- Zemdleję - oświadczyła Constance z błyskiem w oku.

- Wiedziałem, że jest uparty jak muł - powiedział Haich z chłodną satysfakcją. - Ale nigdy nie uważałem go za głupca.

Jessie zerwała się z krzesła, a Elisabeth natychmiast podążyła w jej ślady. Obie pobiegły w stronę postawnego mężczyzny, który zatrzymał się przy wejściu.

- Tatusi! - Jessie pierwsza dopadła ojca i objęła go w pasie, śmiejąc się z radości. - Tak się cieszę, że jesteś. - A co miałem robić? Przecież jesteś moją córką. Skoro tak ci zależy na ślubie z tym draniem, myślę, że muszę się z nim jakoś dogadać. Elisabeth wczepiła się w ramię ojca, a on pocałował ją w policzek.

- Wiedziałam, że przyjdiesz! Tak samo jak wtedy, kiedy zaprosiłam cię do szkoły.

Vincent uśmiechnął się dobrodusznie do swych latorośli i zerknął na zaciekawioną hostessę.

- Moje córki - wyjaśnił z dumą. - Starsza wydaje dzisiaj przyjęcie zaręczynowe.

- Rozumiem. - Dziewczyna uśmiechnęła się. - I gratuluję. Chyba wszyscy na pana czekają.

Jessie podeszła do dużego stolika i usiadła obok Hacha, Elisabeth również wróciła na swoje miejsce. Hatch wstał i zerknął na Vincenta.

- Cieszę się, że cię widzę.

- Zawsze mówiłem, że jesteś rekinem. - Vincent usiadł pomiędzy Lillian i Constance.

Obie ucałowały go czule w policzek. - Powiniennem był wiedzieć, że skoro już raz zagiąłeś parol na moją córkę, to nie odpuścisz, żeby nie wiem co.

- Właśnie. - Hatch opadł z powrotem na krzesło.

Nad stołem zawisła krępująca cisza. Jessie wyczuwała również towarzyszące jej napięcie. Wszyscy zdawali się czekać na rozwój wydarzeń. Hatch i Vincent mierzyli się wzrokiem jak dwaj kowboje w samo południe.

- O rekinach należy wiedzieć przynajmniej jedno zaczął Vincent. - One gryzą.

- Po to mają zęby - wyjaśnił Hatch.

- Bóg mi świadkiem, że jeśli firma *Benedict Fasteners* ma kiedykolwiek stać się prawdziwym gigantem - ciągnął Benedict –to potrzebny jej będzie rekin z wielkimi zębami. Chcę odnowić z tobą kontrakt. Wszyscy zebrani wstrzymali na chwilę oddech.

- Sprawa nie jest taka prosta - przypomniał mu delikatnie Hatch. - Istnieje jeszcze drobna kwestia podziału firmy pomiędzy Jessie, Elisabeth, Davida i mnie.

- Pamiętam, do cholery! - Vincent łypnął na niego spod oka. – Nie przyszedłbym tutaj, gdybym nie zamierzał zgodzić się na ten układ.

Jessie odczuła tak głęboką ulgę, że na chwilę opadła z sił. Rozległy się wiwaty. David wydał okrzyk radości. Wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę.

- No cóż - powiedziała Constance, gdy wrzawa wreszcie umilkła. - Cieszę się, że wykazałeś odrobinę zdrowego rozsądku, Vince. Nigdy bym cię o to nie posądzała.

Lillian uśmiechnęła się do swego byłego męża i poklepała go po ręce.

- Gratuluję słusznej decyzji.

- Cudownie, tato. - Elisabeth wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Teraz Jessie będzie mogła zostać w Seattle.- Hatch miał rację. - David zerknął na Vincenta. - Rzeczywiście jesteś uparty, ale nie zgłupiałeś do reszty. - Dziękuję ci. - Benedict uśmiechnął się kwaśno.

- A co by było - zapytał spokojnie Hatch z nieprzeniknionym wyrazem twarzy - gdybym nie chciał już dla ciebie pracować?

Wszyscy znów wstrzymali oddech. Tym razem zebrani patrzyli na Hacha, który zdawał się nie zauważać, że stał się nagle najważniejszą osobą przy stole. Vincent uśmiechnął się ponuro. Teraz on do złudzenia przypominał rekina. Sięgnął po butelkę i nalał sobie kieliszek szampana.

- Cóż, w takiej sytuacji musiałbym cię zaskarżyć do sądu za zerwanie kontraktu, prawda?

Hatch pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- I zrobiłbyś to, ty stary draniu. Nie mam żadnych wątpliwości.

- Nie wahałbym się ani chwili - zgodził się Vincent.

- Cóż, w takim razie chyba wrócę do firmy – powiedział Hatch. Pod osłoną obrusa uściśnął mocno rękę Jessie. A *Benedict Fasteners* zyska nowych właścicieli.

Jessie dostrzegła triumfalny uśmiech Hacha i doznała olśnienia, a potem wybuchnęła gromkim śmiechem. Zebrani spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

- Słowo daję, Hatch, gdybym wiedziała, że zrobisz coś podobnego, wylałabym ci resztę szampana na głowę wydusiła, chichocząc.

Hatch uśmiechnął się i przyciągnął ją na tyle blisko, by zakryć jej usta pocałunkiem.

- Czasami dopisuje mi szczęście.

Skrzypnięcie krzesła po drugiej stronie stołu wyrwało Jessie z euforii.

Dziewczyna odwróciła głowę i zobaczyła, że Glenna wstaje gwałtownie z miejsca. Na jej twarzy

malowała się wściekłość.

- Nie - powiedziała z mocą. - To niesprawiedliwe. Mówię wam, że niesprawiedliwe.

Nikt nie widział jeszcze Glenny Ringstead w stanie tak silnego wzburzenia, więc wszyscy wpatrywali się w nią w osłupieniu.

- Dlaczego nie David? - syknęła przez zęby. - Powinieneś być jemu powierzyć firmę. Należy mu się rekompensata. Już nie pamiętasz, co zrobiłeś jego ojcu? Niech cię jasny szlag trafi.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Glenna obróciła się na pięcie i sztywnym, nienaturalnym krokiem poszła szybko w stronę drzwi. David w końcu odważył się przerwać głucho milczenie, jakie zapanowało po jej wyjściu.

- Nie sądzisz - zaczął, patrząc na Vincenta - że już najwyższy czas, żebyś mi powiedział, co się właściwie wtedy stało?

Vincent westchnął z rezygnacją.

- Może masz rację. Sądzę, że jakoś sobie z tym poradzisz. Kiedyś myślałem inaczej. - Zerknął na Hacha. - Teraz zmieniłem zdanie.

Rozdział 20

Chcesz usłyszeć szczerą prawdę? - spytał Vincent.

- Tak.

- Twój ojciec był jednym z najzdolniejszych ludzi, jakich znałem. Twoja matka ma rację. Na początku zawdzięczałem mu wszystko. Bez jego pomocy nie udało by mi się poprowadzić tej firmy. Znałem się na budowie, wydawało mi się, że potrafię pracować, ale nie wiedziałem, jak się robi interesy.

- A on wiedział.

- Pewnie! Był naprawdę zdolny. *Benedict Fasteners* zaczęło przynosić spore zyski. Przez dwa lata wszystko szło bardzo dobrze, a potem Lloyd okradł firmę.

David wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. - Co zrobił?

- Zanim zdołałem się zorientować, zdefraudował ponad trzysta tysięcy dolarów. Wtedy to była spora suma. Teraz zresztą też jest niemała.

Niewiele brakowało, a *Benedict Fasteners* poszłoby na dno. David potrząsnął głową z osłupiałą miną. - Nie. Nie wierzę.

- Chciałeś znać prawdę, więc rozmawiam z tobą jak mężczyzna z mężczyzną. Nie owijam niczego w bawełnę, choć tak życzyła sobie twoja matka. David patrzył przed siebie nie widzącym wzrokiem.

- Ale ona zawsze twierdziła, że mój ojciec był genialny.

- Fakt. Był genialnym oszustem bez skrupułów. Kiedy odkryłem jego matactwa, wylałem go na zbity łeb. Mógł albo pójść za kratki, albo zniknąć. Taki mu dałem wybór. Wolał to drugie rozwiązanie.

Glenna nie chciała z nim jechać. Wcale się jej zresztą nie dziwię. Nie mielibyście łatwego życia z takim człowiekiem.

- Mama mówiła, że jesteś nam coś winien - wykrztusił David nieswoim głosem.

- Kiedy twój ojciec odszedł, obiecałem jej, że nigdy nie będziecie cierpieć. Uważałem, że Lloyd przyczynił się bardzo wydatnie do rozwoju firmy. Poza tym twoja mama jest siostrą Lillian. Mógłbym jeszcze wymienić parę innych powodów. - Vincent zerknął niespokojnie na swoje byłe żony, które nie spuszczały z niego oka. - Cóż, tak czy inaczej wydawało mi się, że powinienem jej pomóc.

- Dlaczego nikt nie powiedział mi nigdy całej prawdy? - spytał David.
- Na początku byłeś za mały - odparł Vincent, wzruszając ramionami. - Poza tym Glenna ukrywała swój sekret przed rodziną, a ja się na to godziłem. Później chyba wolała zapomnieć, co się stało.
- Skoncentrowała się na zasługach Lloyda i wciąż powtarzała, że coś się jej od ciebie należy - powiedziała Lillian. - Teraz już rozumiem, czemu miała taki zaborczy stosunek do ciebie i firmy.
- I dlaczego sądziła, że David powinien zostać twoim spadkobiercą - dodała Constance po namyśle.
- Nie mogę uwierzyć, że tyle czasu nie powiedzieliście mi prawdy. W głowie mi się to po prostu nie mieści. David nie mógł przyjść do siebie z przerażenia.
- Chłopak nie musi wiedzieć takich rzeczy o swoim ojcu - szepnął Hatch.
- Tak - poparł go Vincent. - Jak usłyszy, że jego stary był skończonym draniem, będzie mu jeszcze ciężiej. Zapytaj Hacha. Albo mnie.
- Więc dlaczego teraz mi to mówisz? - David spojrzał Vincentowi prosto w oczy. - Bo prosiłem?
- Nie. - Vincent podniósł kieliszek z szampanem. Ukrywałem tę tajemnicę przez całe lata. Mogłem ją równie dobrze zabrać do grobu. Zdecydowałem się na tę rozmowę, bo uważam, że potrafisz stawić czoło faktom, chociaż twoja matka bez przerwy mi przypomina, jaki jesteś wrażliwy.
- Skąd wiesz, że sobie z tym poradzę?
- Hatch mówił mi, że podczas tej kretyńskiej awantury na wyspie stanąłeś naprawdę na wysokości zadania. Poza tym nie poprosiłeś Jessie o wstawiennictwo w sprawie pieniędzy na studia. Po prostu pomyślałem sobie, że jesteś już mężczyzną. Nie trzeba się z tobą cackać.

Hatch narzucił marynarkę i wziął teczkę do ręki. Popatrzył poważnie na Jessie i przystanął przy drzwiach, żeby dać jej buziaka na pożegnanie.... Tylko nie wpakuj się w jakieś tarapaty, kiedy mnie nie będzie. Zerknęła na niego z niewinną minką i zatrzepotała rękami.

- Po co ja się w ogóle wygłupiam. - Haich jęknął i cmoknął ją głośno w policzek. - Powiniennem wrócić o dziesiątej, chyba że lot się opóźni.
- Na pewno nie wolisz przenocować w Spokane?
- Nie, dlaczego mam spać w łóżku hotelowym, skoro mogę w twoim? - Mrugnął i zerknął na zegarek.
- Chcę tylko dopiąć ten kontrakt na ostatni guzik, żeby spędzić spokojnie miesiąc miodowy.
- Chodzi o transakcję, którą sprzątnęliście sprzed nosa Yorlandowi i Youngowi?
- Tak. Jeśli nie załatwię sprawy, twój ojciec będzie do mnie codziennie dzwonił i pytał, kiedy zamierzam wrócić. - Znając tatę, to całkiem możliwe. Nie martw się o mnie. Cały czas spędzę przy kominku w twoich kapciach i z fajką.
- Jasne. Na pewno ugotujesz sobie pół kilograma pierożków i zjesz całą porcję.
- W ten sposób przynajmniej nie narobię sobie kłopotów. - Objęła go za szyję. - Kocham cię, Hatch. Kocham te twoje stylowe buty, nudne krawaty ... wszystko w tobie kocham. Uśmiechnął się leniwie i bardzo seksownie. - Naprawdę?
- Mhmm.
- Pewnie dlatego, że jestem taki dobry w łóżku.
- Ani chybi.
- Co za różnica. ja też cię kocham, chociaż nie możesz się utrzymać na żadnej posadzie. - Pocałował ją w czubek nosa, a potem w usta. I poszedł.

Dużo później, już po zjedzeniu pierożków, Jessie zaczęła się niepokoić. Przeczuwała wyraźnie, że stanie się coś złego, i nie mogła sobie z tym poradzić. Zerknęła na zegarek. Do powrotu Hacha

zostały jeszcze trzy godziny.

- Chciałabym, żebyś tu był - szepnęła.

Próbowała czytać, ale myślała tylko o tym, jak bardzo pragnie, żeby on wreszcie się zjawił.

Telefon zadzwonił tuż po ósmej. Jessie rzuciła się do słuchawki, choć sama nie wiedziała, dlaczego reaguje tak gwałtownie.

- Halo?

- Jessie, kochanie, to ty? - spytała pani Valentine. Odetchnęła z ulgą.

- Dobry wieczór. Jak się pani miewa?

- Wspaniale. Oglądałam właśnie telewizję i nagle poczułam, że muszę do ciebie zadzwonić.

Wszystko w porządku?

- Tak.

- Cieszę się. Miałam jakieś niedobre przeczucia. Wydawało mi się, że chodzi o ciebie. Mój Boże!

Pewnie przez to uderzenie w głowę coś mi się pomieszało.

- Jestem pani bardzo wdzięczna za troskę. A co tam słyhać w firmie?

- Na razie będę musiała zawiesić działalność. Za kilka tygodni znowu zacznę przyjmować.

Chyba już wtedy cała ta burza wreszcie ucichnie. Będzie mi ciebie bardzo brakowało. Znalazłaś jakąś pracę?

- Jeszcze nie. Ale na pewno coś się trafi. Jak zawsze. Telefon zadzwonił po raz drugi o dziewiątej, kiedy późnowiosenny wieczór zaczął powoli ustępować miejsca nocy. Jessie niecierpliwie chwyciła słuchawkę. Głos należał do kobiety i brzmiał dziwnie znajomo. Jessie nie mogła jednak zidentyfikować swej rozmówczynie, ponieważ ta najwyraźniej przysłoniła mikrofon chusteczką.

- Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć Elisabeth żywą, przyjedź natychmiast do zakładów *Benedict Fasteners*. Nic nikomu nie mów, bo dzieciak zginie. Daję ci pół godziny.

Jessie zrobiło się niedobrze. O mało nie upadła na kanapę. Gorączkowo usiłowała odtworzyć w pamięci poniedziałkowy rozkład zajęć siostry. Może po południu miała trening? Jessie nie była pewna. Po omacku wybrała numer Connie. Nikt nie odpowiadał. Zatelefonowała jeszcze do firmy, ale tam także nikogo nie było. Zerknęła na zegarek.

Z trzydziestu cennych minut zostało jej jeszcze dwadzieścia osiem.

Nie miała czasu sprawdzić, co się stało, nie mogła ustalić, czy ten telefon nie był tylko okrutnym żartem. Jedyne, co jej pozostało, to jechać na drugi koniec miasta.

Chwyciła więc kluczyki do samochodu i pobiegła do drzwi.

O mało nie przewróciła się na schodach, długo nie mogła otworzyć auta, a gdy wreszcie jej się to udało, oślepiła ją para reflektorów.

Natychmiast przypomniała sobie wydarzenia sprzed paru dni i ogarnęło ją przerażenie. Zanim jednak rzuciła się do ucieczki, zobaczyła, że samochód parkuje spokojnie za jej Toyotą. Był to Mercedes Hatcha.

- Hatch! - krzyknęła Jessie. - Ona porwała Elisabeth.

Mam pół godziny. Nie, teraz już tylko dwadzieścia pięć minut. Boże! Hatch wysiadł z samochodu i podbiegł do niej.

- Kto? O kim ty mówisz?

- Nie wiem. - Jessie załkała. - jakaś kobieta. Może ją nawet znam. Ale mówiła przez chusteczkę. Zabrała Elisabeth do zakładów. Powiedziała, że ją zabije, jeśli nie przyjadę sama.

- Pojedziemy twoim wozem. Nie zorientuje się. Wsiadaj. Poprowadzę.

- Mówiła, że muszę być sama. Tak się boję!

- Wsiadaj. Po drodze coś wymyślimy - rzucił. Wpakował dziewczynę do auta i usiadł za kierownicą. Jessie próbowała pozbierać skołatane myśli. Nagle coś ją uderzyło.

- Dlaczego wróciłeś tak szybko?

- Złapałem wcześniejszy samolot.

- Ale dlaczego?

- Nie mam pojęcia - wyznał Hatch. - Parę godzin temu poczułem, że chcę wcześniej wrócić do domu. Wytłumaczyłem się jakoś kontrahentom, pojechałem na lotnisko, dostałem bilet i jestem.

- Dzięki Bogu. Umieram ze strachu.

- To na pewno była kobieta?

- Głowę daję, że tak. Ten głos wydał mi się znajomy.

Sądysz że ... - Jessie nie była w stanie dokończyć kwestii. - Dzwoniła Glenna? Nie wiem. Ale musimy się z tym liczyć.

- Niewiarygodne! Dlaczego miałyby zrobić coś takiego?

- Przecież wiesz. - Zaciśnął usta i wyprowadził auto na główną ulicę. - Ona w głębi serca uważa, że to David powinien być spadkobiercą. Może dostała kompletnego fioła i chce się pozbyć was obu.

- Nie. Ona nie zabiłaby Elisabeth. Bzdura!

- Skąd taka pewność? Jest w niej tyle zadawnionej urazy i goryczy. A wydarzenia na przyjęciu przepełniły czarę. Odebrały jej ostatnią nadzieję. I przekroczyła wszelkie granice. Jessie potrząsnęła głową z powątpiewaniem.

- Znam ją od urodzenia. Ciocia nie posunęłaby się tak daleko. Nie uwierzę, dopóki nie przekonam się na własne oczy. Hatch, co zrobimy?

- Muszę sobie przypomnieć rozkład fabryki. W zeszłym tygodniu oglądałem plany. Twój staroświecki ojciec dał się namówić na kupno nowych maszyn i teraz w zakładach zrobiło się dosyć ciasno. Można się przynajmniej łatwo schować. - Hatch umilkł. Na jego twarzy malowało się skupienie. Kilka minut później znaleźli się w ciemnej i cichej dzielnicy przemysłowej na południowym końcu miasta. W większości budynków nie paliło się światło. Nie opodal magazynów parkowały duże ciężarówki. Na ulicach było pusto.

- Hatch?

Jesteśmy prawie na miejscu.

- Wiem. - Zerknął na zegarek. - Wsiądę na rogu, pójdę na skróty i dostanę się na tyły zakładów. - W jaki sposób wejdiesz do środka?

- Znam kod systemu alarmowego. Wymyśliliśmy coś łatwego do zapamiętania.

- Ale ciocia go przecież nie zna. Bo i skąd?

- W końcu należy do rodziny. I jest inteligentna, prawda?

- Masz rację. Chcesz, żebym podjechała pod główne wejście?

- Tak. I zostań w samochodzie. Ona musi wiedzieć, że jesteś na miejscu, ale nie należy ułatwiać jej sytuacji. Niech się zastanowi, co zrobić, a my zyskamy czas na działanie. Wydaje mi się, że jeśli wydarzy się coś nieprzewidzianego, straci głowę. Nie chcemy jednak doprowadzić jej do ostateczności, bo przecież jest zupełnie niezrównoważona.

- Zakładamy, że to ciocia Glenna?

- Niestety nie istnieje żadne inne logiczne rozwiązanie.

Ale tak jest dla nas lepiej. Nie będzie jej łatwo zabić Elisabeth. Negocjacje przeciągną się. - Hatch

zatrzymał auto i wysiadł. Zamknął drzwi i wsadził głowę do środka przez otwarte okno, a Jessie wśliznęła się za kierownicę.

- Pamiętaj. Musisz zostać w samochodzie. Nie gaś silnika. Jeżeli cię zawoła, udawaj, że nie słyszysz.

- Dobrze. - Jessie zacisnęła drżące ręce na kierownicy.

Patrzyła, jak Hatch znika między dwoma nie oświetlonymi budynkami - jego szary garnitur całkowicie wtopił się w mrok. Potem skręciła i podjechała pod zakłady.

Przy wejściu nie dostrzegła żadnych oznak życia. Ale jedne z drzwi były otwarte, a za nimi panowała całkowita ciemność. Jessie zatrzymała samochód, pozostawiając silnik na chodzie, tak jak kazał jej Hatch. Czekała.

Siedziała tak dość długo w przerażającej ciszy. Trzydzieści minut minęło. Jessie zaczęła wątpić, czy Glenna lub ktokolwiek inny - w ogóle zauważył jej auto.

W obawie, że porywaczka posądzi ją o niezastosowanie się do instrukcji, Jessie pchnęła drzwiczki Toyoty. Musiała wysiąść i sprawdzić, co się dzieje.

- Jessie! - Z budynku wychynęła nagle drobna postać. Elisabeth zaczęła biec, ile sił w nogach, w stronę samochodu.

- Elisabeth - Jessie bez zastanowienia wyskoczyła z wozu, dopadła do siostry i odciągnęła ją na bok. Coś mówiło jej wyraźnie, że powinna usunąć małą z pola widzenia.

W sekundę później odgłos wystrzału wdarł się w niepokojącą ciszę, wiszącą dotąd nad fabryką jak gradowa chmura. - Jessie, ona mi kazała ... Chciała cię wyciągnąć z samochodu. Ma broń.

- Nie wierzę, że naprawdę chciała nas zabić. Nie wierzę.

- Jessie odsunęła siostrę jeszcze dalej od wejścia.

Elisabeth ścisnęła mocno jej rękę. - I co teraz zrobimy?

- Cicho. - Jessie oparła się o ścianę i zaczęła nasłuchiwać. - Hatch jest tutaj - szepnęła. - Jezu, co za ulga!

- Uważasz, że sama nie dałabym sobie rady? - mruknęła Jessie.

- Nie gniewaj się, ale Hatch jest chyba lepszy w takie klocki.

- Pewnie masz rację.

Padł jeszcze jeden strzał, a potem znowu zaległa cisza. Jessie i Elisabeth wstrzymały oddech. W chwilę później usłyszały znajome, ciężkie kroki. - Jessie? Elisabeth? już po wszystkim.

- Hatch!

Obie siostry wpadły mu w ramiona. Hatch tulił je przez chwilę.

- Myślę, Jessie - powiedział potem - że powinnaś sobie obejrzeć tę porywaczkę.

Jessie zamknęła oczy, jakby usiłowała przygotować się na cios.

- Tak - powiedziała. - Tylko co ja powiem mamie? I Davidowi?

- Ja na twoim miejscu nie mówiłbym zbyt wiele ~ odparł cierpko, poprowadził je do hali i zapalił światło. Jessie popatrzyła na znajomą, kościstą postać na podłodze. Tuż przy bladej twarzy kobiety leżała maska z pończochy.

- Nadine Willard.

- Znasz ją? - spytała ciekawie Elisabeth. - Usiłowała mi to wmówić, ale jej nie uwierzyłam. Dopadła mnie w toalecie przy deptaku. Potem wyjęła z torebki broń i zmusiła mnie, żebym z nią poszła. Umiała nawet wyłączyć system alarmowy. Przecięła jakiś drut, a potem gmerała przy nim obciążkami.

- Tak, znam ją - powiedziała Jessie, patrząc Haichowi prosto w oczy. Zrobiło jej się smutno. - Myślę, że nie zdradzimy nikomu naszych wcześniejszych podejrzeń.

- Podzielałam twoje zdanie - odparł sucho Hatch. Doktor Ringstead uznałaby nas za paranoików. Ona cały czas pracowała dla Brighta - mówiła Jessie, gdy spotkała się w dwa dni później z Lillian, Constance i Elisabeth w biurze firmy *ExTra Mieszkanie*. - Naprawdę ślepo wierzyła w Jutrzenkę Nadziei. Ciocia Glenna tłumaczyła mi, że pewien typ ludzi jest szczególnie podatny na takie wpływy. Nadine najwyraźniej należy do tej grupy. Traktowała Brighta jak bóstwo. Wydawało się jej, że to zbawca ludzkości.

- A on ją wykorzystał - podsumowała Constance. Jessie skinęła głową.

- Pochodziła z dziwnego środowiska. Wychowała się w podejrzanym dzielnicy. Wcześniej wpadła w łapy gangu, zażywała narkotyki. Przyłapano ją na włamaniu. Ale później jakoś wyszła na prostą. Zdała maturę, rozpoczęła naukę w college'u i pracowała w barze.

- Wtedy poznała Brighta? - spytała Lillian.

- Policja twierdzi, że Nadine zbierała informacje o ludziach, których Bright przyjmował do pracy. To ona włamała się do biura pani Valentine, a później do samochodu Hatcha. Chciała się zorientować, jak daleko posunęliśmy śledztwo i czy naprawdę stanowimy jakieś zagrożenie dla JUN.

- Później, kiedy zrozumiała, że jej szef wpadł, próbowała pozbyć się ludzi, którzy mogli zeznawać przeciw niemu. Zaczęła od ciebie - powiedziała Lillian z przerażeniem.

- Najpierw chciała mnie przejechać. Nadine była bezgranicznie oddana Brightowi. Chciała zabić wszystkich zaangażowanych w tę sprawę. Zaczęła ode mnie, bo nasłałam im na kark policję. Ale okazało się, że od początku usiłowała ukreślić łeb dochodzeniu.

- Co masz na myśli? - spytała Constance.

- Telefonowała do mnie pani Valentine. Rozpoznała jej zdjęcie. To Nadine zepchnęła ją wtedy ze schodów.

Lillian aż się wzdrygnęła.

- Dowiedziała się o wizycie pani Attwood. Jessie skinęła głową.

- Nadine wierzyła w zdolności pani Valentine i bała się, że prawdziwe medium może zaszkodzić Brightowi. Na mnie nikt nie zwracał uwagi, dopóki nie stało się jasne, że zamierzam odnaleźć tę dziewczynę. Potem wszystko się skomplikowało. Bright kazał jej sprowadzić nas na wyspę, żeby Landis i Hoffman mogli ocenić sytuację.

- Ale nie martwili się, dopóki nie odkryli, że udało się wam nawiązać kontakt z Susan - podsumowała Constance.

- Tak.

Connie splotła palce na biurku i zerknęła na Elisabeth. - Mam nadzieję, że już nigdy więcej nie pójdziesz sama na deptak.

- Och, mamo - jęknęła Elisabeth.

Jessie poklepała ją pocieszająco po rękę.

- Nie martw się. Możesz na mnie liczyć. Czuję, że jestem ci winna przynajmniej sto takich wypraw. - I tak nam się nie uda. Hatch cię nie puści. Jessie wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- On jest rzeczywiście ostatnio trochę niespokojny, ale sądzę, że to minie po weselu.

- Kto jest niespokojny? - spytał Hatch, który wrócił właśnie z kawą do pokoju. Widząc, że wszystkie się śmieją, wzruszył ramionami. - Kończysz już opowieść?

- Wszystko im powiedziałam.

- Dobrze. W takim razie możemy stąd wyjść. - Zerknął na zegarek. - Mam masę pracy przed wyjazdem w podróż poślubną.

Miesiąc później Jessie obudziła się w hotelowym apartamencie dla nowożeńców utrzymanym w biało-różowej tonacji. Za oknem, na jaskrawo niebieskiej tafli tropikalnego morza igrało słońce. Dziewczyna przeciągnęła się, świadoma ciepłej bliskości Hacha, który leżał tuż obok z ramieniem na jej piersiach i głową wtuloną w poduszki.

Jessie upajała się przez chwilę pięknem poranka i perspektywami na przyszłość.

Ślub przygotowywano w pośpiechu, ale wszystko wypadło znakomicie dzięki Ullian i Constance.

Elisabeth wyglądała ślicznie w stroju druhny. Nikomu jednak nie udało się wtłoczyć Hacha w koralowy smoking. Wystąpił w tradycyjnej czerni z białą i prezentował się bardzo elegancko.

Vincent poprowadził Jessie do ołtarza i oddał ją z satysfakcją człowiekowi, którego sam dla niej wybrał.

Na przyjęciu tańczył z obiema byłymi żonami i bawił się naprawdę świetnie, co zdumiało całą rodzinę. A w dodatku nawet na chwilę nie opuścił sali, żeby zatelefonować.

Hatch również nie.

- Co cię tak bawi? - Hatch poruszył się lekko i otworzył oczy. W jego spojrzeniu wyraźnie odbijały się rozkoszne wspomnienia minionej nocy.

- Myślałam właśnie, że od chwili gdy tu przyjechaliśmy, nie wysłałeś żadnego faksu.

- Bo minął zaledwie jeden dzień. Jeszcze mam czas.

- Jeśli tylko spróbujesz podnieść słuchawkę, natychmiast dostaniesz ode mnie po łapach. - Jessie oparła się na łokciu. - Jesteś szczęśliwy?

- Tak. Zdecydowanie tak - Pochylił głowę i dotknął ustami jej piersi.

- Wszystko poszło dobrze, prawda?

- Masz na myśli wesele? - Ucałował drugą pierś dziewczyny. - Oczywiście. jeśli pominiemy przechwałki twojego ojca, który oczywiście rozpowiadał na prawo i lewo, że sam znalazł dla ciebie odpowiedniego męża.

Jessie roześmiała się, a potem westchnęła głęboko, bo Hatch wsunął jej nogę między uda.

- Mam zamiar mu zaufać.

- Mnie również? Ledwo na ciebie spojrzałem, a już wiedziałem, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

To prawda. Wiesz, nigdy już nie będę mogła spojrzeć ciotce prosto w oczy. Dzięki Bogu ona nie ma pojęcia, co podejrzewaliśmy, jadąc na ratunek Elisabeth. Bo gdyby się domyślała, nie przyszłaby chyba na wesele.

- David bardzo długo z nią rozmawiał. Powiedział jej, że zna całą prawdę, i że tak jest lepiej. -

Hatch delikatnie zacisnął rękę na udzie Jessie.

- On i tata są teraz w znacznie lepszych stosunkach. - Jessie poruszyła niespokojnie nogą.

- Mhmm - mruknął Hatch, całując ją w szyję.

- Wiesz, co mi tatuś powiedział na przyjęciu?

- Nie.

- Powiedział, że nie powinnam się już wysługiwać innym ludziom. - Jessie wzięła głęboki oddech, bo Hatch zaczął głaskać wewnętrzną stronę jej uda. - Mówił, że nigdy nie będę szczęśliwa, jeśli nie zostanę swoim własnym szefem. I jeszcze to, że jestem do niego bardzo podobna.

- Tak?

- Nie słuchasz, a rozmawiamy o mojej przyszłości.

Trochę ostatnio myślałam i postanowiłam założyć własną firmę.

- Ja jestem twoją przyszłością - powiedział Hatch, zupełnie nie zbity z tropu własną odwagą.

Nachylił się nad nią, a w jego oczach jaśniało światło poranka. - A ty moją. Wszelkie dyskusje na ten temat należy przełożyć na później. Istnieją priorytety. Należy zawsze pamiętać o tym, co najważniejsze, pani Hatchard. Spojrzała na niego spod przymkniętych powiek i objęła go za szyję.

- Boże! jak ja lubię, gdy odgrywasz rolę dyrektora!

Trzy miesiące później Hatch oderwał wzrok od wyliczeń, kiedy Vincent Benedict wpadł jak burza do pokoju i cisnął akta na biurko.

- Widziałeś warunki kontraktu? Przysłali mi je do oceny. Coś nieprawdopodobnego! Szlag by to trafił! Co my zrobimy? Chyba jej szajba odbiła.

- Rozumiem, że mówimy o Jessie? - Hatch otworzył akta i zerknął na projekt umowy przesłany przez agencję *Usługi Intuicyjne*, której właścicielką była Jessie Hatchard. Na papierze firmowym widniał slogan reklamowy agencji: Krotkoterminowe prognozy zapotrzebowań kadrowych. - Tak, cholera.

Oczywiście że o niej. Hatch zerknął na projekt kontraktu i skrzywił się. Jessie proponowała zawarcie umowy na okres jednego roku, w myśl której reprezentowana przez nią agencja miała dostarczać programy komputerowe firmie *Benedict Fasteners*. Autorami programów była para zdolnych informatyków - Alex Robin i Susan Attwood.

Masz rację. Żąda zbyt wiele. Trzeba negocjować.

- Nic nie wskóramy - odparł Vincent ponuro. - To ostateczna oferta.

- W takim razie niczego nie podpiszemy. Vincent był wyraźnie zaszokowany.

- Ale to pierwszy poważny kontrakt Jessie. Chcę, żeby go dostała.

- Jeśli chce prowadzić własną firmę, musi nauczyć się walczyć.

- Niech cię szlag trafi! Chodzi o Jessie. Twoją żonę i moją córkę. Nie chcesz, żeby się jej udało? Ta agencja pośrednictwa to wymarzone zajęcie dla niej! Nigdy dotąd nie wpadła na lepszy pomysł. Nikt nie wie więcej niż ona na temat umów o pracę na czas określony!

- Zgoda. - Hatch popatrzył na Vincenta z rozbawieniem. - I nie wątpię, że ona rozkręci interes. Ma w sobie wiele z ciebie.

- Nie sądzisz, że powinniśmy podpisać tę umowę? Będziemy potrzebowali paru programistów. Sam tak mówiłeś.

- Owszem, ale jeśli teraz pójdziemy na jej warunki, będziemy musieli się ich trzymać. jeśli nie uda się wynegocjować lepszej ceny, nie podpiszemy. A ona szybko się uczy.

Vincent westchnął głęboko. - Może i masz rację.

Hatch wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wiesz, że tak. Przecież to ty wszystko wymyśliłeś. Nie martw się. Będzie dobrze.

- Oby! - Chytrze zmrużył oczy. - A może mógłbyś z nią porozmawiać dziś wieczorem, co?

Hatch roześmiał się głośno i potrząsnął głową.

- Niemożliwe. Jessie przestrzega pewnej zasady. W domu nie wolno rozmawiać o interesach. -

Zerknął na zegarek. - A skoro już mowa o domu, pora kończyć.

- jest dopiero wpół do szóstej. - Vincent skrzywił się.

- Wiem. - Hatch wstał i włożył marynarkę od klasycznego garnituru w prążki. - Ale na mnie już czas.

Jessie i ja musimy zrobić coś bardzo ważnego. Nie chcę się spóźnić. - Cóż takiego?

- Projekt pokoju dziecinnego. - Hatch dotknął delikatnie płatków lilii z bukietu na swoim biurku.

Jessie przysłała mu te kwiaty dla upamiętnienia pierwszego kwartału ich małżeństwa. - Za jakieś pięć miesięcy będziesz miał wnuka. Do zobaczenia rano. I nie zapomnij o kolacji w sobotę.

Elisabeth też przyjdzie. Nie spóźnij się. Jessie hołduje jeszcze jednej zasadzie. Kto się spóźnia, ten

nie je. Hatch wyszedł z biura i pospieszył do domu, gdzie czekała na niego Jessie, a wraz z nią wszystko, co najważniejsze w życiu.